



Małgorzata
Falkowska

*Mąż
potrzebny
na już*

VIDEOGRAF

@kasiul

Małgorzata
Falkowska

*Mąż
potrzebny
na już*

V I D E O G R A F

*Dla mojego wspaniałego męża, Wojtka.
Kocham Cię, pamiętaj o tym, kiedy piszę ☺
Bez Ciebie nie byłabym dziś w tym miejscu, w którym jestem.*

Prześwietlenie

Bernadetta (Berka) – ja; dyplomowany kosmetolog; najbardziej boi się swoich pomysłów, które niejednokrotnie sprawiły jej wiele problemów; stosuje wiele porównań książkowych i filmowych, które nie zawsze są odpowiednio dobrane do sytuacji; zazwyczaj wpierw mówi, potem myśli (albo i wcale nie myśli, bo po co płakać nad rozlanym mlekiem).

Zofia (Zośka) – z zawodu wieczna studentka kosmetologii (od czterech lat zaczyna pisać pracę magisterską i wciąż nie ma nawet tematu); właścicielka najbardziej „przeczesanych” włosów w Warszawie, a może i w całej Polsce; córka bogatego ojca; po porażce w wyborach Miss Warszawy postanowiła zostać aktorką, modelką lub piosenkarką, bo uważa, że w każdej z tych dziedzin jest rewelacyjna; na pytanie: „Co by zmieniła w świecie?” odpowiada, że wszystko prócz siebie, oczywiście.

Barbara (Baśka) – wypalona zawodowo korektorka w wydawnictwie, uważa, że jest wiele dobrych książek, ale ona musi poprawiać te, które ją nudzą; próbuje porządkować życie innych, zapominając o swojej niezaradności; zawsze służy dobrą radą innym, wzrusza się na horrorach, krzyczy na romansidłach, ale najbardziej lubi utyskiwać na własne życie.

Monika (Monia) – pracownik socjalny z prawdziwego zdarzenia; powołanie, tak można nazwać wybór jej zawodu, całkowicie niezrozumiały dla innych z powodu trudności w nim napotkanych oraz niskich płac; właścicielka nudnego życia, którego ubarwieniem są jedynie opowieści o jej podopiecznych z nizin społecznych; u każdego ze znajomych doszukuje się zaburzeń psychicznych, które poza pracą są jej jedyną pasją.

Jolanta (Jolka) – przesadnie dba o to, co je (od dziecka borykała się z nadwagą); maniaczka nie tylko zdrowego odżywiania, ale i sportu, nazywa siebie najwierniejszą przyjaciółką Ewy Chodakowskiej i jej przyszlą następczynią; zawsze znajdzie słowa, które zamiast motywować dobiją człowieka (nie bez powodu jej ulubionym narzędziem w domu jest młotek); jedynie na lekcjach wychowania do życia w rodzinie, które prowadzi w jednym z warszawskich zespołów szkół, wydaje się miłą i dobrą panią pedagog.

Marietta (Mari) – zapatrzona w siebie i swój sukces projektantka wnętrz; sformułowanie „po trupach do celu” rozumie jak najbardziej dosłownie; lubi rządzić, a sama ma problem z podporządkowaniem się komukolwiek; swoją garderobę podzieliła na cztery części, każda kolorystycznie dobrane do pory roku; nie rozumie ludzi bez ambicji, bo sama nie wyobraża sobie ustać w miejscu, na jednym ze szczebli kariery.

28-letnie singielki, przyjaźniące się z sobą od czasów podstawówki, kłócą się o wszystko, ale wiedzą, że tylko zgoda daje im szczęście.

Sylwester 2014

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden! – wykrzykiwałyśmy wszystkie razem.

Monia otworzyła szampana, Baśka podbiegła do niej z tacą, na której, jak co roku, stało sześć kieliszków.

– Szczęśliwego Nowego Roku, kochane – jako pierwsza powiedziała to gospodyni imprezy, Marietta.

– Szczęśliwego Nowego Roku, złotka wy moje – tym razem był to głos Moni.

– *Happiness, happiness, sex and love, my darlings!* – wykrzyknęła Jolka, podskakując do góry z sobie tylko znanych powodów.

– Oby dwa tysiące piętnasty był najwspanialszym, jaki nas spotkał w życiu. – Baśka w każdego sylwestra mówiła to samo, zmieniając tylko rok w wyuczonej formułce.

– Moje robaczki, moje pchełki, wiecie, że chcę dla was tak samo dobrze, jak ja mam, i tego wam życzę. – Zośka nawet podczas składania życzeń musiała podkreślić, że jest (jedynie w jej mniemaniu)

lepszą niż my.

– Szczęśliwego, moje piękne – powiedziałam krótko, ale Zośce to wystarczyło, by poczuć się spełnioną. Na słowach „moje piękne” nonszalancko zarzuciła swoje kruczoczarne, długie do pasa włosy na ramiona.

Z uśmiechem na ustach stuknęłyśmy się kieliszkami i wypiliśmy do dna szampana. Każda z nas wypiała już wystarczająco dużo, by mieć dobry humor, wiedziałyśmy też doskonale, co nas zaraz czeka.

– Do stołu, lejdis – zarządziła Marietta, a my potulnie zasiadłyśmy na swoich stałych miejscach.

Sześć krzeseł, sześć nakryć na stole i sześć przyjaciółek z dzieciństwa. Wspólne czasy podstawówki, gimnazjum, liceum, a potem studia na jednym uniwersytecie, tylko na innych wydziałach. Łączyło nas wiele, wiele też dzieliło. Jednak zawsze w sylwestra byliśmy razem. Nasza szósta i nikogo więcej.

– To pora teraz na nasze tradycyjne postanowienia noworoczne. Pamiętajcie, że ta, która będzie miała najlepsze i faktycznie je spełni, dostaje pięć tysięcy. Po tysiąc od każdej z przegranych. W zeszłym już roku wygrała nasza Dżolanta, która postanowiła, że w dwa tysiące czternastym roku schudnie dwadzieścia kilogramów, i – jak widzimy – w końcu się jej to udało. – Marietta lubiła przemawiać, nie potrafiąc przy tym ukryć swojego poczucia wyższości i uszczypliwości.

– Dokładnie dwadzieścia trzy siedemset, ale te siedemset to przytyję przez tego sylwestra z wami. – Jolka wstała i podkreśliła dłońmi zmieniony kształt swoich bioder, nie zauważając zgryźliwości Marietty.

Wszystkie, prócz Jolki, ruszyłyśmy do naszych torebek po koperty z wygraną. Jolka z radością przyjęła pieniądze, całując serdecznie każdą z nas.

– Moni będziesz dziś protokolantem – zarządziła Marietta, na co Monia kiwnęła z radością głową. – Długopis i notes są na stoliku nocnym w mojej sypialni.

Monia wstała i poszła do ogromnej sypialni, o której marzyła na pewno każda z nas. Nawet Zośka zazdrościła jej pomysłu na wystrój. Skandynawska sypialnia w błękitach i białych ściennych panelach, z ogromnym łóżkiem z pikowanym zagłówkiem, który podkreślał najnowszy hit sezonu – białe-szaro-błękitne cotton balls. Marietta była projektantką wewnątrz, co widać było w jej ogromnym domu. Wszystko tutaj do siebie pasowało. Potrafiła odmienić wewnątrz każdego, nawet najbrzydszego mieszkania. Potrafiła też odmienić wewnątrz człowieka. Każde, prócz swojego.

– Która zaczyna? – zapytała Monia, kiedy usiadła na swoim krześle z notesem i długopisem. – Może tak, jak składałyśmy życzenia.

– No dobra, czyli ja pierwsza. – Marietta wstała, trzymając kieliszek w dłoni. – W dwa tysiące piętnastym roku zostanę dyrektorem projektowym – powiedziała i wypiała do dna wino.

– A Teodor? – zapytała Jolka, doskonale orientując się w sytuacji z nierealnym awansem Marietty w firmie, której prezesem był niejaki Teodor.

– Mogę zawsze mieć nadzieję, że kiedyś umrze. Ma już czterdzieści trzy lata, więc najwyższa pora na niego. – Zaśmiała się szyderczo, a Monia, jako protokolantka, zapisała w notesie:

Marietta – w 2015 roku zostanie dyrektorem projektowym.

– Teraz ja. – Monia także wstała, trzymając kieliszek napełniony białym winem. – Na dwa tysiące piętnasty rok zaplanowałam coś szczególnego. Coś, o czym od zawsze marzyłam, coś...

– Do rzeczy, bejbe – poganiała ją niecierpliwa Zośka.

– Mówię przecież! W dwa tysiące piętnastym roku pójdę na kurs prawa jazdy – dokończyła Monia i wypiała wino znajdujące się w kieliszku, a reszta zaczęła się śmiać.

– Takie postanowienie to ja też mogę sobie zrobić. Zapisać się i już. Jedyne twoje szansa na wygranie jest wtedy, kiedy żadnej z nas nie uda się spełnić swojego postanowienia. Na pewno każde z nich będzie lepsze niż twój nędzny kurs prawa jazdy. – Jola z radością skrytykowała postanowienie Moni. Sama schudła w rok ponad dwadzieścia kilogramów, a Monia wyskoczyła z marnym kursem, na który zapisać

się może nawet jutro.

– Dla mnie to ważne – prychnęła Monia i zapisała w notesie:

Monika – w 2015 roku zapisze się na kurs prawa jazdy.

– Ważne, ale marne – skwitowała Jolka, po czym wstała ze swoim kieliszkiem. – W dwa tysiące piętnastym roku zostanę trenerem personalnym.

– Nieźle cię wzięło. – Marietta była wyraźnie pod wrażeniem jej postanowienia.

– Będziesz jak Chodakowska! – krzyknęła radośnie Zośka, która już od dwóch lat regularnie ćwiczyła *Skalpel* i *Killera* na zmianę.

– To piję. – Jola wypijała trunek do dna w celu przypieczerowania postanowienia.

– Za nową Chodakowską! – Zośka wciąż była w euforii.

– Gęsicką – poprawiła ją Jolka. – Jolantę Gęsicką.

– Już widzę te hasła „Schudnij z Gąską”, „Szczupła Gęś”, „Gęsim krokiem ku pięknej sylwetce” – zaczęła wyliczać Zośka, lecz żadna z dziewczyn jej nie słuchała.

Monia wzięła długopis i zapisała w notesie:

Jola – w 2015 roku zostanie trenerem personalnym.

– Baśka, teraz ty – powiedziałam, a Baśka niechętnie wstała z kieliszkiem w dłoni.

– Ja w dwa tysiące piętnastym roku wyprowadzę się od rodziców – powiedziała cicho i wypijała wino z kieliszka, a my patrzyliśmy na nią z niedowierzaniem. Wiedziałyśmy, że sama nie jest w stanie nic ogarnąć wokół siebie, a co dopiero sama mieszkać.

– Baśka, zaskoczyłaś mnie. – Monia wyraźnie się zdziwiła, słysząc jej postanowienie. – Zaskoczyłaś nas – poprawiła się po chwili, po czym zanotowała w notesie.

Baśka – w 2015 roku wyprowadzi się od rodziców.

Widząc, że Monia kończy zapisywać postanowienie Baśki, Zosia wstała i przeczesła palcami włosy. Pomalowała usta błyszczkiem, jakby szykowała się do zdjęcia, nie do przemówienia, i sięgnęła po swój kieliszek.

– W tym roku obronę magistra – powiedziała z gracją Zosia, po czym wypijała do dna.

– Zośka, wymyśl coś nowego. – Marietta zaśmiała się jako pierwsza, a my jej zawtórowaliśmy.

– Od czterech lat masz to samo postanowienie – zniechęconym głosem dodała Jolka.

– Żeby obronić, trzeba najpierw napisać pracę – wykrzyknęłam i wszystkie dziewczyny, prócz Zośki oczywiście, zaczęły się pokładać ze śmiechu.

– I zdać egzaminy, zaliczyć praktyki – zaczęła wymieniać Baśka.

– Jedyne, co zaliczyła Zośka na studiach, to świeżych doktorów, choć dziwię się, jak się z nimi dogaduje – rzuciła Jolka, a Zośka spojrzała na nią spod byka.

– W łóżku nie trzeba gadać – zabłysnęła Monia.

– Prędeż cię wyrzucą z tych studiów. – Marietta po wypiciu alkoholu była jeszcze bardziej bezlitosna.

– Dla nas to lepiej, dziewczyny. Zośka już nam odpadła w przedbiegach, bo prędeż krowy będą latać, niż Zośka się obroni.

Słowa Moni wyraźnie nie spodobały się naszej „gwiazdce”, bo usiadła z widoczną złością w oczach, mimo iż uśmiech wciąż nie schodził z jej twarzy.

Monia ponownie sięgnęła po długopis i zapisała w notesie:

Zośka – w 2015 roku obroni tytuł magistra.

Przyszła pora na mnie. Wzięłam swój kieliszek w dłoń, wstałam pewnie z krzesła i radośnie

zakomunikowałam:

– W dwa tysiące piętnastym roku wyjdę za mąż.

Wypiłam toast, nie zauważając śmiejących się przyjaciółek. Od alkoholu szumiało mi już w głowie, a one wciąż się śmiały.

– Berka, ale żeś popłynęła – skwitowała moje postanowienie Baśka, kiedy tylko skończyła się śmiać.

– Zatoniesz szybciej niż Titanic i nawet góra lodowa ci nie będzie potrzebna. – Jolka zachichotała złośliwie.

– Kocham DiCaprio – rozmarzyła się Zośka.

– A on ciebie nie, bo jesteś za głupia – sprowadziła ją na ziemię Marietta, na co Zośka rzuciła się na nią ze swoimi drobnymi rączkami.

– Sama jesteś głupia i na dodatek brzydka jak noc – Zośka nie chciała pozostać jej dłużna.

– Ej, ja lubię noc i sądzę, że wcale nie jest brzydka – włączyła się w kłótnię Jolka.

– Coś czuję, że za rok to ja zgarnę te pięć tysięcy. – Radosny głos Moni przywołał dziewczyny do porządku.

– Wcale się nie zdziwię – podsumowała jej słowa Marietta, a Monia zapisała w zeszycie:

Berka – w 2015 roku wyjdzie za mąż.

– To teraz każda przypieczętuje postanowienia Rady Sylwestrowej Nocy. – Marietta sięgnęła po leżący przed Monią notes i podniosła go do góry, aby każda z nas spojrzała na niego dokładnie.

Nawet z tej odległości widać było każde z zapisanych postanowień. Marietta rozdała każdej z nas kolorowe szminki i małe lusterka. Wiedziałyśmy, co należy zrobić. Jak co roku przypieczętujemy nasze postanowienia noworocznym całusem. Każda z nas ma swój kolor, aby łatwiej rozróżnić prawdziwość pieczęci. Marietta – czerwony, Zosia – blad różowy, Baśka – amarantowy, Jolka – beżowy, Monia – pomarańczowy i ja – fioletowy. Pomalowałam usta fioletową szminką i czekałam, aż notes trafi w moje ręce. Odnalazłam swoje postanowienie i obok niego zostawiłam słodkiego fioletowego całusa. „Słowo się rzekło, Berka – pomyślałam i w moich wyraźnie nietrzeźwych już myślach zanotowałam: – W dwa tysiące piętnastym roku wyjdę za mąż!”.

1 stycznia 2015 roku

„Cholera jasna, mój łeb” – to była pierwsza moja myśl po tym, jak tylko udało mi się podnieść powieki. Próbowałam wstać, lecz moje nogi odmówiły posłuszeństwa. Sturlałam się z łóżka na panele i niczym gąsienica postanowiłam dotrzeć do toalety. Kiedy dopełzałam do drzwi, te otworzyły się gwałtownie i uderzyły mnie w głowę. Zawirowało. Żołądek też zawirował i wyrzucił z siebie całą zawartość pochłoniętą wczorajszej nocy.

– Berka, nic ci nie jest? – zapytał znajomy głos, ale nie miałam siły odpowiedzieć.

Karol podszedł do mnie i swoimi czyściutkimi, pasiastymi skarpetami wdepnął w kałużę pod moją twarzą.

– Widzę, że było naprawdę grubo. – Chwycił mnie pod pachami i przeniósł z powrotem na łóżko. – Zrobię ci herbaty.

– Miiiięęętttyyy – wydukałam z bólem, a on zaczął się śmiać i poszedł do kuchni.

Leżałam na łóżku i próbowałam sobie przypomnieć, co stało się poprzedniej nocy. Pamiętam, że byliśmy w szóstkę u Marietty, wypiliśmy dużo wina, dużo za dużo, sądząc po tym, jak się czuję. Chyba urwał mi się film. Nie pamiętam, jak tu dotarłam. Jak dotarłam do mojego pokoju, mojego kochanego i przyjemnego łóżka z satynową pościelą w kwiaty lawendy. Moje rozważania przerwało skrzypnięcie drzwi. „Miałam je naoliwić” – pomyślałam i obiecałam sobie, że zrobię to, jak tylko poczuję się lepiej.

– Usiądź. – Karol pomógł mi się podnieść, lecz moje ciało wydawało się bezwładne.

– Mięta? – upewniłam się, a on wy dobył z siebie ciche „mhym”.

Podniosłam kubek i upiłam łyk herbaty, po czym wyplułam go.

– Kurwa, imbir! – krzyknęłam, momentalnie się budząc.

– Woda z imbirem. Jak mawia babcia Stasia, jest ona idealna na takie problemy... jak ty masz – wyjaśnił Karol.

– Babcia Stasia, żeby dłużej żyć, pije co rano swój własny mocz, a ty mnie chcesz otruć jakimś ohydny imbirem – odbiłam piłeczkę.

– Też mogłabyś zacząć pić swoje siki, bo przy takim stylu życia, jaki prowadzisz, to wątpię żebyś dotrwała do trzydziestki – zaśmiał się Karol, a ja nie miałam siły się z nim kłócić.

– Umieram – wydukałam, a on podsunął mi kubek, w którym była woda z imbirem.

– Właśnie o tym mówiłem. A do trzydziestki masz jeszcze praktycznie dwa lata – podsumował zwycięsko naszą batalię i patrzył, jak piję ohydny napar.

– Chyba wolę umrzeć, niż korzystać z receptur babci Stasi. – Grymas na mojej twarzy wyraźnie mówił o smaku napoju.

– A teraz się prześpij jeszcze z godzinę, a ja pójdę po wodę do sklepu, bo coś czuję, że będzie jej dużo potrzeba. – Karol już zakładał buty na swoje mokre pasiaste skarpetki.

– Karol, skarpety – wydukałam ledwo.

– Wypierzesz je, już ja będę o tym pamiętał.

– Dziś Nowy Rok. Sklepy są zamknięte. – Chyba imbir zaczął otrzeźwiać mój mózg.

– Sklepy tak. Żabka nie – powiedział, zamykając za sobą drzwi, a ja ciężko opadłam ponownie na łóżko.

Zamknęłam oczy i pozwoliłam sobie na chwilę wytchnienia. Wiedziałam, że kiedy nabiorę sił, przyjdzie pora na wyjaśnienia, co się wydarzyło poprzedniej nocy. „Niech babcia Stasia da mi swój zeszyt mikstur” – zdążyłam pomyśleć krótko przed tym, nim zasnęłam.

* * *

Sen był przyjemny. Biegałam boso po śniegu, który wciąż spadał drobnymi płatkami z nieba, delikatnie otulając ulice dookoła. Było mi ciepło. Ciepło mimo widoku ubranych w grube płaszcze ludzi. Nie widziałam ich twarzy. Oni byli nieważni. Ważna byłam tylko ja, śnieg i moje bose stopy, zostawiające małe ślady w rozmiarze trzydzieści sześć na puchu. Byłam szczęśliwa. Szczęście to nie są rzeczy materialne. Szczęście to nasze wewnętrzne ciepło, niepozwalające nam zmarznąć. Moje ciepło topiło śnieg. Stałam przed ogromną mosięzną bramą i zastanawiałam się, czemu na nią nie spadał śnieg. Może tam już nie padało? Może śnieg kończył się tuż za mną? Popatrzyłam w głąb bramy i zobaczyłam małą dziewczynkę siedzącą na śniegu. „A jednak tam też pada” – pomyślałam i spróbowałam przedostać się za bramę. Wspinałam się po niewygodnych, zimnych prętach i nagle brama się otworzyła. „Berka, wystarczyło ją pchnąć” – pomyślałam, po czym spadłam radośnie w puszystą zaspę. Kiedy podeszłam do dziewczynki, zauważyłam, że miała przed sobą zapałki. „Znam ją” – przebiegło mi przez głowę i zaczęłam zastanawiać się w myślach nad szczegółami tej znajomości.

– Mam zapalniczkę – powiedziałam, przeszukując kieszenie moich spodni. – Pomogę ci.

Trzymałam już zapalniczkę i nagle coś zakłóciło mi obraz...

* * *

– Komu pomożesz? – Ze snu wyrwał mnie Karol.

– Dziewczynce z Zapałkami – odpowiedziałam, a on zaczął się śmiać.

– Czy aby na pewno twoja obecna kondycja spowodowana jest jedynie upojeniem alkoholowym?

Spojrzałam na niego krzywo. Nie lubiłam tego stanu, kiedy w mojej głowie dzieje się coś, na co nie mam wpływu. Jakieś trzy lata temu z powodu notorycznego bólu głowy mój lekarz przepisał mi silne

tabletki, które zawsze pomagały. Pomagały zawsze, prócz sylwestrowych spotkań z dziewczynami. Wino lało się strumieniami, a nasze gardła je chętnie chłoneły. Gorzej było w Nowy Rok. Każda z nas leżała w łóżku, marząc, by mózg zaczął pracować jak dawniej. Jednak tym razem było inaczej. Głowa bolała jeszcze bardziej, a myśli... zgubiły się gdzieś w połowie drogi. Nie pamiętałam praktycznie nic, co wydarzyło się wczoraj.

Karol, zobaczywszy, że rozmowa ze mną nie ma najmniejszego sensu, zostawił przy moim łóżku wodę mineralną i poszedł do swojego pokoju. Chciałam znów zasnąć. Pomóc Dziewczynce z Zapałkami, spotkanej we śnie. Powieki ledwo zdążyły opaść, kiedy do moich uszu dotarł znany mi doskonale dźwięk mojej komórki. „A niech cię czołg przejedzie na drodze” – życzyłam temu, kto dzwonił. Machinalnie wyszukałam telefon i wciąż mając zamknięte oczy, nacisnęłam miejsce, gdzie zazwyczaj była zielona słuchawka.

– Berka, żyjesz??? – Po drugiej stronie usłyszałam Mariettę.

– Yhy – wydukałam ledwo.

– Wczoraj to żeś pokazała. Z takiej strony to nawet my cię nie znałyśmy. – Nie potrafiła mówić bez tej swojej ironicznej nuty w głosie.

– A co takiego zrobiłam? – zapytałam przerażona.

– To ty nic nie pamiętasz?! – Marietta zaczęła rechotać i byłam pewna, że patrzy teraz w lustro, aby upewnić się, czy podczas śmiechu nie widać na jej twarzy za dużo zmarszczek.

– No, niewiele – wyznałam szczerze.

– Berka to ja ci wszystko opowiem, tylko, błagam cię, usiądź, bo padniesz, jak usłyszysz – rozkazała.

– Leżę, więc już bardziej nie upadnę.

– Nawet się nie dziwię, że nie masz siły wstać. Naprawdę dałaś czadu. – Zaczęłam bać się jeszcze bardziej. – Więc o dwunastej, jak co roku, były życzenia i nasze postanowienia.

– Kurwa mać, mać kurwa! – przerwałam jej.

– Berka, przywołuję cię do porządku i przypominam, że ty nie bluźnisz, a słowo z „mać” na pewno nie jest chorobą i nie wytłumaczysz go jak „cholery”. – Sama kłęła jak szewc.

– Mari, jakie miałyśmy postanowienia w tym roku? – zapytałam, bojąc się jej odpowiedzi.

– Ja zostanę dyrektorem projektowym, Monia pójdzie na kurs prawa jazdy, Jolka chce być trenerem personalnym, Baśka wyprowadzi się od rodziców, Zośka obroni w końcu magistra, a ty... ty nas zaskoczyłaś. – Trzymała mnie w napięciu, mając pewność, że naprawdę nic nie pamiętam. – Ty w dwa tysiące piętnastym roku wyjdiesz za męża.

– Cooo?! – Nie wierzyłam, ale głos po drugiej stronie wcale się nie zaśmiał.

– Tak, tak, tak. Więc radzę ci się spieszyć. Zostały ci tylko trzysta sześćdziesiąt cztery dni, bo dziś to raczej nikogo nie wyrwiesz. – Miała ze mnie prawdziwy ubaw.

– A co było po postanowieniach? – Wiedziałam, że musiałam zrobić coś jeszcze gorszego, niż postanowić, że wyjdę za męża w ciągu roku.

– Więc po przypieczętowaniu postanowień włączyłyśmy tradycyjnie *Króla Lwa*, lecz jeszcze przed narodzinami Simby zaczęłaś rzucać poduszkami i popcornem w telewizor, krzycząc: „To Skaza jest winny. Zabić gnoja”. Nie mogłyśmy cię uspokoić, więc dla świętego spokoju wyłączyłyśmy film. Zaczęłaś płakać, że zabrałyśmy ci dzieciństwo, i pędem rzuciłaś się do mojej sypialni, z której przyniosłaś mój lateksowy wibrator. Podałaś go Moni i kazałaś jej śpiewać *Krąg życia*. Monia chyba tak się ciebie bała, że zaczęła śpiewać. – Po drugiej stronie słuchawki słychać było ponownie głośny śmiech Marietty. – Zaczęłaś tańczyć, potknęłaś się o miskę po popcornie i upadłaś na mój piękny, nowoczesny stoliczek. Bałyśmy się o ciebie, więc zadzwoniłyśmy po taxi, by odwieźli cię do domu.

– Jechałam sama w takim stanie? – niedowierzałam.

– Berka, jak sama? Był z tobą taksówkarz, chociaż radzę ci nie szukać męża w tym kręgu, bo gdyby nie stówka napiwku, to byś chyba pieszo szła do domu.

– Rzygałam? – przestraszyłam się.

– To by chyba z dwojga złego było lepsze. – Zaśmiała się. – Kiedy wyprowadziłyśmy cię przed dom do taksówki, miły pan wyszedł, by pomóc, a ty rzuciłaś się na niego i zaczęłaś go cmokać, tłumacząc, że to twój przyszły mąż. On przestraszył się i pokazał obrączkę, a ty „szepem” tak głośnym, że wszyscy słyszeli, obiecałaś mu, że jak się z tobą ożeni, to oddasz mu połowę kasy i będzie mógł żyć z odsetek do końca swoich dni – dokończyła Marietta, a ja poczułam, że moja głowa pęka. Pęka bardziej od wstydu niż od przepicia. Szybko się pożegnałam i rzuciłam telefonem w drzwi.

„W tym roku wyjdę za mąż” – powtarzałam sobie treść mojego postanowienia. Przecież to niemożliwe. Niedorzeczne. Jestem sama od czasów Marcina. To już jakieś dwa lata, a może trochę więcej. Obiecałam sobie, że będę singielką do końca życia, a tu takie postanowienie. „Słowo się rzekło, więc trzeba się starać” – pomyślałam i zawołałam, najgłośniej jak potrafiłam: „Kaaarolll!”. Przypominało to raczej krzyk męczennika, ale on go usłyszał i już po chwili stanął z pytającym spojrzeniem w drzwiach mojego pokoju.

– Wychodzę za mąż.

– Gratuluję. – Zaśmiał się. – Daj mi to, co wczoraj brałaś, to może i ja znajdę żonę, gdzieś pomiędzy jawą a snem.

– Takie mam postanowienie na dwa tysiące piętnasty rok – wyznałam z dumą, choć jeszcze przed chwilą nic o nim nie wiedziałam.

– O, nie wiedziałem.

– Ja w sumie też. Dopiero teraz Marietta mi powiedziała.

– A można wiedzieć za kogo? – zapytał.

– Za kogo? Z dziewczynami co roku mamy postanowienia...

– Za kogo wychodzisz za mąż? – przerwał mi.

– Właśnie tutaj jest problem – wyznałam – jeszcze sama nie wiem.

2 stycznia 2015 roku

Nowy Rok to tylko dwadzieścia cztery godziny, podczas których ludzie trzeźwieją, i trzysta sześćdziesiąt cztery dni na realizację noworocznych postanowień. Według statystyk najczęściej wybiera się rzucenie palenia i odchudzania, a ja postanowiłam wyjść za mąż. Statystyki mówią także o tym, że większość ludzi już 2 stycznia łamie swoje postanowienia, ale ja się nie poddam. Pokażę dziewczynom, że w ciągu roku wyjdę za mąż. Pozostało mi tylko znalezienie idealnego kandydata, ale to nie powinno być trudne. Nie jestem aż brzydka, figura też niczego sobie, a i w głowie mam poukładane.

– Naprawdę chcesz się bawić w realizację swojego głupiego postanowienia? – zapytał Karol, kiedy robiłam rano śniadanie.

Masło klarowane roztopiło się na patelni. Mogłam zacząć wbijać jajka. Jedno, drugie, trzecie, czwarte i piąte. Szczypta soli, odrobina pieprzu, kilka leniwych ruchów drewnianą łyżką i gotowe. Dwa talerze pokryły się bladożółtą mazią. Postawiłam je przed kubkami, które jeszcze delikatnie parowały. Zielona herbata z pigwą i Karolowy earl grey z mlekiem.

– Tak, chcę. Jeszcze się zdziwisz, że wyjdzie mi to na dobre. – Przełknęłam pierwszy kęs jajeczniczy.

Karol jadł, wyraźnie będąc myślami gdzieś indziej. Zaczęłam mieć wyrzuty sumienia, że to już drugi dzień, kiedy to nasze wspólne współlokatorskie życie kręci się wokół mnie. Wyrzuty wygrały z moim narcyzmem i skierowałam swoje myśli ku wydarzeniom ostatnich dni w życiu Karola. „Cholerny projekt” – przypomniały mi się słowa mojego współlokatora, wypowiedziane, kiedy zasuwał mi sukienkę przed sylwestrem u Mari.

– Jak twój projekt? – zapytałam, zadowolona, że mój narcyzm musiał choć na chwilę dać pole do popisu innym moim cechom. Tym lepszym, zdecydowanie.

Karol spojrzał na mnie, jakbym była kosmitką. Nie mogły go przestraszyć moje nieuczesane jeszcze włosy ani twarz niepokryta lekkim makijażem, bo regularnie widywał mnie tak już praktycznie od trzech lat. Patrząc wciąż na mnie tymi swoimi ogromnymi niebieskimi oczami, wstał od stołu i wyszedł z kuchni. W mojej głowie już układały się słowa pocieszenia związane z niezrealizowanym projektem: „Nie martw się, informatyk zawsze znajdzie pracę, nie to co ja, kosmetyczka” lub „Nie ten projekt, to inny, to jak z makijażem – nie musi się on wszystkim podobać”. Przygotowana na najgorszy scenariusz pod tytułem *Pociesz Karola* czekałam w kuchni, zajadając się resztką jajeczniczy.

– Masz. – Karol wszedł i położył przede mną czystą kartkę A4, wyjętą zapewne przed chwilą z drukarki.

– Karol, nie ten projekt, to... – Wybrałam drugą opcję, bo wydawała mi się delikatniejsza.

– Narysuj tabelkę. Dwie kolumny, trzy wiersze, przy czym w pierwszym wiersie scal z sobą komórki – rozkazał, a ja spojrzałam na niego pytająco. – Daj, narysuję ci, bo pewnie wciąż nie pamiętasz, że kolumny są pionowe, a wiersze poziome.

– Karol, ja nie jestem pakiet Microsoft Office – wyznałam z uśmiechem.

– Zauważyłem, patrząc na twoje błędy ortograficzne w pamiętniku, kiedy piszesz „kocham Karola” przez samo h – zażartował.

– Palant! – Uderzyłam go lekko w ramię.

Karol wziął kartkę i czarnym długopisem narysował precyzyjną tabelkę. Dwie kolumny, trzy wiersze, w tym pierwszy scalony. Podał mi papier i dodał:

– W scalonej u góry komórce napisz: „Idealny kandydat na męża”.

– Toć to są dwie komórki, tylko scalone, więc mam napisać w dwóch, tak? – zapytałam w celu upewnienia się.

– Dwie komórki po scaleniu są już jedną, gwoli jasności, mądrało. Tak, tam – wyjaśnił, a ja zapisałam podyktowane wcześniej sformułowanie.

– Po lewej stronie, czyli tej z ręką bez bransoletki, w drugim wierszu napisz: „On musi”, a z prawej strony, w tym samym wierszu, napisz: „On nie może”. – Nie byłby sobą, gdyby nie wskazał palcem dokładnego miejsca zapisu podanych informacji. – I uzupełnij sama, na dole w trzecim wierszu po lewej i po prawej stronie.

Posłusznie siedziałam w kuchni na niewygodnym taborecie i szukałam w myślach cech mojego idealnego męża. Przywoływałam wspomnienia moich byłych facetów i wiedziałam, że ich cechy znajdują się w prawej kolumnie. Niech pomyślę...

* * *

Pierwszym chłopakiem (na poważnie) był Wiktor z mojego osiedla. Nie był rycerzem na białym koniu, o jakim marzyłam jako nastolatka, ale lepszy on niż żaden. Poszliśmy razem na studniówkę, ale po tym, jak zwymiotował na moją sukienkę, kupioną w Anglii, nie mogłam z nim dłużej być. Na dodatek nie przeprosił i nazwał mnie „parszywą wywłoką”, nie wiedząc chyba, co oznacza to stwierdzenie.

Albert – drugi z moich życiowych partnerów. Kolejna porażka. Student prawa, który częściej łamał prawo, niż go przestrzegał. Zerwałam z nim po awanturze, jaką zrobił młodemu policjantowi, kiedy ten wystawił mu mandat za zbyt szybką jazdę. Do dziś pamiętam jego wzrok, kiedy mówił mi, że on jeszcze znajdzie na „te mendy” odpowiedni paragraf. Czy znalazł, nie wiem. W każdym razie po kolejnej sesji nie był już studentem prawa na naszym uniwerku.

Rok później byłam już szaleńczo zakochana w Tytusie. Poznaliśmy się przypadkiem. Biblioteka uniwersytecka była najrzadziej odwiedzanym przeze mnie miejscem w kampusie, gdyż pełno tam było tych głośnych studentek pedagogiki, które non stop musiały pisać jakieś prace zaliczeniowe. Sięgałam po *Chemię w kosmetyce i kosmetologii*, leżącą na najwyższej półce, kiedy ułożone obok niej książki runęły wprost na moją głowę. Szukając guza, który zapewne został po silnym uderzeniu, usłyszałam czyjś stłumiony śmiech. Spojrzałam przez ramię i ujrzałam najprzystojniejszego bibliotecznego kujona (bo jak inaczej nazwać faceta w bibliotece). Podszedł do mnie. Dotknął mojej głowy w miejscu uderzenia i uśmiechnął się niczym Brad Pitt stojący obok pięknej Angeliny na czerwonym dywanie.

– Tytus. – Podał mi swoją dłoń.

Była ona tak delikatna, jakby niemęska. Po dotyku stwierdzić można było, że jest nie tylko bibliotecznym kujonem, ale też jednym z tych opisywanych w czasopiśmie metroseksualistów.

– Romek i Atomek – odpowiedziałam dowcipnie, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że on z Tytusem nie żartował. – Bernadetta, mówią na mnie Berka.

Byliśmy z sobą prawie rok. Prawie rok za długo. Chodziliśmy razem na zakupy, jeździliśmy do pobliskiego spa. Było pięknie. Pięknie z mojej kosmetycznej perspektywy. Miałam na kim trenować nowe maseczki, komu robić masaże. On miał tylko dobrze wyglądać. Tylko tyle mógł z siebie dać. I wcale nie okazał się najprzystojniejszym bibliotecznym kujonem, bo w bibliotece był bardziej przypadkowo niż ja, sądząc po jego IQ. Z początku mi to nie przeszkadzało. Przystojny, zadbany, byle tylko się nie odzywał, ale ile można. Kiedy powiedział mojej siostrze Agacie: „Takie kluski jak ty to do końca życia pozostają same”, miarka się przebrała. Tym bardziej że Agata nosiła od zawsze rozmiar trzydzieści osiem, a nie pięćdziesiąt.

Następny był Marcin. Jak opisać Marcina, aby go nie skrzywdzić? Trzeba by było nic nie mówić. Jeśli Tytus był głupi, to Marcin klasyfikował się jeszcze niżej. Na dwa tygodnie przed moimi urodzinami z zachwytem i blaskiem w oczach powiedział:

– Będę miał dla ciebie najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałaś. Zapamiętasz go do końca życia.

Już widziałam w wyobraźni piękny pierścionek kupiony w Aparcie. Jeden z tych, na które ostatnio niby przypadkiem zerkałam w galerii. Ja w białej sukni ślubnej, typu syrena. On we fraku lub smokingu, bo garnitury wydają się dziś takie zwyczajne. Zwyczajne, niepasujące do nas i naszej miłości. Ona była wyjątkowa. To nie były motyle w brzuchu, to było najpiękniejsze przedstawienie pirotechniczne. Czułam, jakby każdego dnia był w moim życiu sylwester. Takie były nasze trzy wspólne miesiące i taki miał być też nasz wyjątkowy dzień. Inne znane mi pary przez lata nie doznały między sobą takiej bliskości cielesnej i duchowej, jak my w te trzy miesiące. I nadszedł dzień moich dwudziestych szóstych urodzin. Włożyłam najpiękniejszą sukienkę, jaka była w mojej garderobie. Biała góra z delikatnej koronki, dół zrobiony z miliona warstw tiulu w kolorze pawich oczek. Marcin przyszedł punktualnie. Ubrany zwyczajnie, dał mi kolorową torebkę, z której pospiesznie wyjęłam bombonierkę. „Romantyk” – pomyślałam, pewna, że ukrył pierścionek w jednej z czekoladek. Zjadłam wszystkie czekoladki. Do każdej z nich podchodziłam naprawdę delikatnie, więc nie było mowy o połknięciu pierścionka.

– A kiedy ten wyjątkowy prezent? – postanowiłam zapytać.

Udał, że nie pamięta i wskazał dłonią, bym usiadła na łóżku.

„Tak, tak, wyjdę za ciebie” – trenowałam w myślach, a on z kieszeni wyjął telefon.

– Pisałem do Tolkiena na Facebooku i prosiłem, aby wysłał mi dla ciebie książkę z jego autografem, bo wiem, że uwielbiasz *Władcę pierścieni*, ale on odczytał wiadomość i nic nie odpisał. Przykro mi – dodał smutno, a moje oczy zrobiły się zapewne większe niż denka od słoików.

– Nie wierzę – wydukałam, przerażona.

– Czego się nie robi dla ukochanej. – Uśmiechnął się do mnie słodko.

– A w jakim języku napisałeś wiadomość? Pytam z ciekawości... – Bałam się odpowiedzi, ale musiałam zadać to pytanie.

– Po polsku. Przecież głupi nie jestem i wiem, że nie znasz angielskiego tak dobrze, żeby czytać książkę po angielsku, a skoro on pisze też po polsku, to dla niego żaden problem – powiedział, wyraźnie dumny z siebie.

I cała chemia między nami ulotniła się niczym niewidzialny gaz. Nie byliśmy już jednością. Byliśmy ponownie dwiema odrębnymi cząsteczkami, które zdecydowanie nie pasują do siebie.

– Po pierwsze, Tolkien nie żyje od ponad czterdziestu lat, po drugie, książki tłumaczy tłumacz, jak sama nazwa wskazuje, a po trzecie, wyjdź, z nami koniec. – Zdenerwowana wskazałam ręką drzwi.

– Ale, Berka, chcesz ze mną zerwać w urodziny? – zapytał głupio, jak na niego przystało.

– W urodziny i niedoszłe zaręczyny. – Wypchnęłam go za próg.

Zamknęłam drzwi, kucnęłam po nimi i zaczęłam płakać. Szlochałam tak głośno, że nawet Karol w słuchawkach słyszał moje łkanie.

– Co się stało? – zapytał, kiedy wyszedł ze swojego pokoju, a ja wciąż kuciałam pod drzwiami.

– On napisał wiadomość do Tolkiena na Facebooku... i to po polsku.

Karol przytulił mnie bratersko. Zaprowadził do pokoju, a potem poszukał mojego różowego pendrive'a i podłączył go do telewizora. To był kolejny rok, kiedy w dniu moich urodzin oglądaliśmy *Szkolę uczuć*.

* * *

Mając w pamięci moich byłych, zaczęłam uzupełniać tabelkę, którą stworzył Karol. Nie było to wcale tak łatwe, jak mogło się wydawać, więc poprosiłam go o pomoc. Wspólnymi siłami po prawie półtorej godziny mieliśmy przed sobą gotową tabelkę mojego idealnego męża.

Idealny kandydat na męża

On musi:

On nie może:

- BYĆ INTELIGENTNY – mieć IQ wyższe niż osioł (nie obrażając osła Marcina i Tytusa)
- Wiedzieć, że Tolkien nie żyje
- Mieć w sobie choć trochę samokrytyki
- Mieć pracę!
- Mówić prawdę
- Ugryźć się w język, nawet kiedy ma czasem rację
- Sprzątać po sobie swoje skarpetki
- Przytulać mnie, kiedy krzyczę
- Kochać pizzę i makaron
- Cierpliwie oglądać ze mną komedie romantyczne, kiedy tego potrzebuję
 - Zaakceptować moje przyjaciółki (wiem, że to trudne, ale możliwe)
- Sprawiać, że się go wstydzę
- Mieć nałogów (odliczając partnerskie pojedynki na playstation)
- Śmierdzić lenistwem na kilometr
- Żerować na mnie, bo sama dużo nie zarabiam
- Obrażać mnie słowami, których sam nie rozumie
- Spędzać przed lustrem więcej czasu niż ja
- Mówić LUBIAŁEM, SZŁEM, PRZYSZŁEM itp.
 - Rozkazywać mi, co mam robić, w sposób taki, że wiem, że to rozkaz (muszę sama wpaść na pomysł, że tego właśnie chciałam)

Przeczytaliśmy tabelkę jeszcze ze dwa razy, zastanawiając się, co można dodać. Oceniając mojego idealnego kandydata na męża, stwierdzam, że są to naprawdę minimalne wymagania (co najwyżej średnie).

– Masz jakiegoś kolegę w pracy, który spełniłby te warunki? – zapytałam Karola, kiedy po skończonej „pracy” popijaliśmy herbatę.

– Niestety, do tego punktu nie mogę ich zaliczyć. – Wskazał palcem pierwszy wers w lewej kolumnie.

– Aż tak źle? – Nigdy nie mówił, że pracuje z kimś, kto dorównuje wiedzą przedszkolakowi, a mnie informatycy wydawali się zawsze nad wyraz inteligentni, na pewno w dziedzinach ścisłych.

– Gorzej niż źle – odpowiedział z lekkim uśmiechem.

– Czemu?

– Twierdzą, że jestem gejem, bo mieszkam z tobą od trzech lat i cię nie bzyknałem – wyjaśnił.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – zapytałam, ciekawa i trochę smutna.

– Nie było o czym.

– Faktycznie... – Zamyśliłam się. – Skoro używają terminu „bzykać”, to ich IQ nie jest powalające.

Trzy lata wspólnego wynajmu mieszkania, a ja tak mało o nim wiedziałam. Czasami wracał do domu z jakimiś koleżankami, ale nie żeby było między nimi coś ten tego. „Może wierzył, że da radę wpłynąć na zmianę swojej orientacji?” – zastanawiałam się przez chwilę, czując jednocześnie, jak robi mi się wstyd, że sama nie wpadłam na to wcześniej. „Karol jest gejem i musisz to tolerować” – rozkazałam sobie. Strata najlepszego współlokatora wydawała się bardziej dotkliwa niż okazanie krzty tolerancji dla jego orientacji.

– Gdzie mam szukać męża? – Nie chciałam zadawać kłopotliwych pytań, rodzących się wciąż w mojej głowie.

– Poczekaj chwilę, mam coś dla ciebie – powiedział i wyszedł z kuchni. Wrócił po chwili z kartką A4, na której widniał wielki napis: „Voucher na siłownię”.

– Jesteś wielki! – Rzuciłam mu się w podziękowaniu na szyję. – Gdzie jest najwięcej facetów? Na siłowni.

Moja wyobraźnia już widziała mnie, dookoła której ustawiają się seksowni, napakowani faceci. Ten ulatniający się z ich ciał testosteron, męski zapach potu... To musiało się udać.

Sposób 1. Siłownia

Znalezienie męża to kosztowna inwestycja. Karnet na siłownię podarował mi Karol, ale reszta była już tylko na mojej głowie. Buty (nie takie zwykłe adasie, bo do ćwiczeń trzeba mieć dobre buty) kosztowały mnie prawie trzysta złotych, stanik sportowy: sto pięćdziesiąt złotych (bo moje piersi musiały w nim ładnie wyglądać), getry i koszulka to raptem kolejne dwie stówki. Powtarzałam sobie, że miłość niby nic

nie kosztuje, ale trzeba w nią zainwestować, więc zrobiłam to. Tym bardziej że siłownia to idealne miejsce dla kobiety takiej jak ja. Kobiety, która szuka pilnie męża. Przy okazji poszukiwań przyszłego małżonka może dam radę zrealizować postanowienie z 2013 roku, kiedy miałam zacząć ćwiczyć.

Przed pierwszym wyjściem na siłownię postanowiłam zadzwonić do Jolki, aby zapytać, co mam robić, żeby się specjalnie nie zmęczyć, a wyglądać jak sportsmenka.

– Czego? – Jolka była przyjazna jak zawsze.

– Idę na siłownię – powiedziałam z dumą.

– Czekał, usiądę. Gdzie idziesz? – chciała się upewnić. Nigdy we mnie nie wierzyła.

– Tak, na siłownię, i mam do ciebie kilka pytań.

– Już się nie mogę ich doczekać. – Zaśmiała mi się do ucha.

– Jak mam ćwiczyć, żeby się zbytnio nie zmęczyć, a wyglądać jak stała bywalczyni?

– O Boże jedyny, Matko przenajświętsza, ty idziesz męża na siłowni szukać! – Szybko mnie przejrzała.

– To tak przy okazji – próbowałam wyjść z twarzą.

– Z twoją kondycją, kochana, to dam ci radę. Zaczni od Ewki, najlepiej *Skalpel*, a jak go zrobisz trzy razy, to idź na siłownię i daj z siebie wszystko. Tylko, błagam, nie jednego dnia te trzy *Skalpele*, bo gwarantuję ci, że po nich nie wstaniesz – powiedziała profesjonalnie Jolka.

– A ta cała Ewka to kim w ogóle jest? – ciekawiło mnie, że każdy ją zna, a ja nawet o niej nie słyszałam.

– Najwspanialszą trenerką pod słońcem, dzięki której wiele kobiet nie tylko straciło na wadze, ale też dowartościowało się. Ja dzięki niej wierzę, że wszystko, czego pragnę, jest w zasięgu ręki, dlatego szykuj się, że i w tym roku wygram nasz mały konkurs – wyjaśniła i rozłączyła się, tłumacząc, że jej Klemens wszedł za szafę i nie może wyjść.

Za radą Jolki postanowiłam zaprzyjaźnić się z Ewą. Poczekalam, aż Karol wyjdzie z domu, przebrałam się i włączyłam laptop. W YouTubie wpisałam tajemniczą nazwę *Skalpel*, którą tak zachwalała Jolka. „Osiem milionów wyświetleń przez rok” – przeczytałam i nie wierzyłam własnym oczom. Kliknęłam i czekałam. Po krótkim zapoznaniu („Cześć, nazywam się Ewa Chodakowska”; „Cześć, Ewa, jestem Berka”) zaczęły się wymachy rękoma. „Banalne” – stwierdziłam i czekałam na rozwinięcie. Ewa wciąż machała rękoma, zmieniając swoje ustawienie, a ja posłusznie wykonywałam to, o co prosiła. Była cudowna. Obecna ze mną w pokoju. Jakby żywa. Mówiła: „Dobrze, jeszcze dwa, dasz radę”, a ja jej wierzyłam i, nie chcąc zawieść, robiłam, co kazała. Ramiona zaczynały stawać się ciężkie, ale brnęłam dalej. Pora na nogi. Ewa wykonuje ćwiczenia, jakby to było banalnie łatwe, lecz ja już po rozgrzewce z rękoma wiem, że to mylne wrażenie. Padam na twarz po dwudziestu trzech minutach, a Ewa patrzy na mnie i mówi to swoje: „Dasz radę”. Wstaję. Wierzę jej i dalej brnę w jej świat. Jestem już tak zmęczona, że nie czuję nic. Dosłownie nic. Padam ponownie i znów to proszenie: „Nie poddawaj się”. Wstaję. Ona wie, jak do mnie mówić. Docieram do końca i leżę na mojej niebieskiej karimacie, jak facet po udanym seksie. „Cholera, jest mi dobrze” – myślę, uśmiechając się sama do siebie. Żegniam się z Ewą, by iść się umyć. Jestem cała mokra. Od czubka głowy po palce u stóp, idąc przez czoło, szyję, piersi, brzuch, krocze, uda, kolana, wszystko. W myślach wyzywam Jolkę, jednocześnie jej dziękując. Ma rację. Jak zrobię trzy *Skalpele*, to będę mocniejsza. Pójdę na siłownię i nie spoczę się jak oblesna świnka. „Ewka, a może wiesz, jak znaleźć męża?” – myślę sobie, że skoro potrafiła mnie zmotywować do ćwiczeń, to może i ma jakiś pomysł na związki. Kąpiel przynosi orzeźwienie. Jeszcze dwa *Skalpele* z Ewą i ruszam na podbój świata, znaczy się siłowni.

SIŁOWNIA – DZIEŃ PIERWSZY

Ewa wykończyła mnie bardziej, niż myślałam i planowałam, dlatego na siłowni pojawiłam się dopiero po tygodniu. Zakwasy w każdej cząsteczce mojego ciała były zarazem przerażające, jak i przyjemne.

Do sportowej torby zabrałam kupione po Nowym Roku ubrania, włożyłam ręcznik, półtoralitrową wodę niegazowaną i stawiałam się przy recepcji. Młoda, zgrabna blondyneczka wiedziała, że jestem tutaj nowa, dlatego pokazała mi, co gdzie się znajduje. Tutaj szatnia, prysznic damski, tam męski, sale do zajęć, sala ze sprzętami. W razie problemu miałam pytać niejakiego Tomasza, który miał na sobie rażąco różowy podkoszulek.

Pierwszego dnia postanowiłam skorzystać z zajęć grupowych. „W grupie siła” – mawiali. Na spokojnie wybrałam pilates. Wiedziałam, że na nim się za bardzo nie zmęczę. Przecież tyle razy widziałam go w telewizji...

Poszłam do szatni. Założyłam mój ekstra, nowy strój i poszłam do sali, w której miały odbywać się zajęcia. W środku było już kilka pań w różnym wieku. Po chwili dołączył do nas Tomasz (ten w odblaskowym podkoszulku) i kazał iść po piłki. Podreptałam za innymi paniami. Tomasz był tutaj jedynym mężczyzną, niestety. Cieszyłam się, że na pierwsze zajęcia wybrałam lekki pilates, a nie jakiś aerobik, gdzie pewnie też nie byłoby panów. Tomasz włączył muzykę, odwrócił się przodem do luster i zaczął rozciąganie z piłką. Nie było to nic trudnego. Kilka wymachów piłką w jedną, kilka w drugą i po strachu. To miałam opanowane dzięki oglądaniu na YouTube. Po rozciąganiu nadszedł jednak czas na trudniejsze ćwiczenia. Tomasz kazał nam położyć się na piłce i wstawać z niej bez pomagania sobie rękoma. „Banalne” – pomyślałam, jeszcze zanim spadłam pierwszy raz z piłki. Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty... przestałam liczyć. Tomasz podszedł do mnie i próbował mi pomóc. Cieszyłam się. Plan układał się po mojej myśli – jedyny facet, do tego blisko mnie. Pierwszy kandydat na męża znaleziony. Nie wiem, czy sprostą wszystkim wymogom, ale lepszy rydz niż nic. Tomasz trzymał piłkę i kazał mi położyć się na niej. Zrobiłam, jak kazał, i znów bęc.

– Jesteś sztywna – powiedział, pomagając mi wstać.

– No lepszego komplementu nie mogłam sobie wymarzyć. – Zalotnie zatrzepotałam rzęsami. – Nie zawsze taka jestem.

– Coś wpadło pani do oka? – zapytał Tomasz, widząc moje umizgi.

– Jedyne, co mogło mi wpaść w oko, to pan, panie Tomaszu, ale poproszę słodko, by pan tam już pozostał – wyznałam kusząco, a kobiety na sali zaczęły się śmiać.

Jedna z nich była wyraźnie nie w humorze, bo moje zaloty jej nie rozśmieszyły. „Ta to dopiero sztywna jest” – pomyślałam, a zgrabny rudzielec podniósł swój zgrabny tyłek z maty i podszedł do mnie i Tomasza. Spojrzała mi w oczy i niespodziewanie poczułam, że piecze mnie policzek. Rudzielec otwartą dłonią uderzył mnie w twarz.

– Why? – zapytałam.

– Znajdź sobie swojego chłopca, wywłoko, a nie obcych podrywasz! Tomasz, wybieraj, albo ta suka, albo ja – powiedziała, a on spuścił smutno głowę.

– Nie wiedziałam, że jest z panią – wyznałam. – To były takie dowcipy.

– Takie dowcipy to sobie z dziećmi w przedszkolu trenuj, bo może one będą się śmiały, ale tutaj, na porządnej siłowni, gęba na kłódkę i ćwicz, jasne? – Jej ton był przerażający, współczułam serdecznie Tomaszowi takiego gada w domu.

– To może ja już pójdę. – Podniosłam się, wzięłam butelkę z wodą i ruszyłam ku drzwiom.

– Potrenuj trochę pośladki, bo może i wygadana jesteś, ale tyły ci zwisają – powiedziała ruda, a ja gryzłam się w język, żeby nie odpowiedzieć jej: „Zwisają, bo mam tam ciebie, rudzielcu”.

Dzień pierwszy osiągnięć na siłowni

- Kandydatów na męża: 0
- Spalone kalorie: + 10 000 za pączki, lody i szarlotkę
- Upadków: za dużo
- Przyjaciół: 0

SIŁOWNIA – DZIEŃ DRUGI

Nie chcąc powtórzyć swoich osiągnięć z wczoraj, postanowiłam nie iść na zajęcia zorganizowane. Osiągnąć? Klótnia to raczej wpadka, ale to pierwsze lepiej brzmi. Dziś wraz z moją spakowaną torbą znów przekroczyliśmy próg siłowni. Gdyby nie to, że miałam tam wykupiony karnet na miesiąc, przeniosłabym się zapewne do innej siłowni. Jednak szkoda mi było inwestować kolejne sto pięćdziesiąt złotych w miłość, której wciąż nie było nawet widać na horyzoncie. Przebrana, poszłam pod okno, w kierunku bieżni. Paradoks – ludzie się tam poca, mając centralnie widok na ludzi wychodzących z McDonald's, opychających się wieśmacami, mcroyalami czy big macami. „Zjadłabym mcchickena” – rozmarzyłam się, chcąc jednocześnie oddalić pragnienia jak najdalej od siebie. Zająłam ostatnią wolną bieżnię. „Popatrzę na tych tłuszciochów za oknem, co zamiast ćwiczyć wolą jeść” – pomyślałam i ustawiłam butelkę w przeznaczonym do tego miejscu. Weszłam rześko, stając na taśmie. Do koszulki podpięłam licznik pulsu i nacisnęłam START. Zaczęłam powoli. Podwyższałam stopniowo tempo. Przy trzech kilometrach na godzinę wciąż szłam, do biegu było daleko.

– Na dziewiątce jest spoko – powiedziała w moim kierunku dziewczyna z bieżni po lewej stronie – tylko powoli dodawaj.

– Dzięki. Zazwyczaj biegam na jedenastce. – Uśmiechnęłam się, sama nie wiedząc, czemu skłamałam.

Dziewczyna spojrzała na mnie z podziwem, a może i trochę mi nie wierzyła. Była młoda, zgrabna, jak jedna z tych trenerek fitness, które oglądałam na YouTube po treningach z Ewą. Słowo się rzekło, trzeba dotrzymać. Szybko wciskałam przycisk, który podbijał tempo. Przy szóstce czułam, że moje nogi szybciej nie potrafią, jednak musiałam dobrnąć do jedenastki. Moje nogi były coraz słabsze i nie chciały robić tego, co im kazałam. Ostatnia liczba, jaką pamiętam, to osiem i cztery dziesiąte na liczniku.

– Halo, halo, nic się pani nie stało?

Kiedy delikatnie podniosłam powiekę, ujrzałam nad sobą „Adonisa”.

– Jestem w niebie? – zapytałam.

– Jeszcze w siłowni, do nieba stąd daleko. – Zaśmiał się, pokazując śnieżnobiałe, równe zęby.

– Co się stało? – Nie rozumiałam, dlaczego leżę, a kilka osób pochyla się nade mną.

– Spadła pani z bieżni. Za szybko jak na pierwszy raz. Chciała się pani chyba wykończyć – stwierdził, a ja wzrokiem poszukałam laleczki z bieżni obok.

Stała po mojej prawej stronie i uśmiechała się szyderczo. „Ja ci pokażę” – pomyślałam. „Adonis” pomógł mi się podnieść. Prosił, abym usiadła na ławce i poszedł. „I znów nici z męża” – mój mózg mimo upadku pamiętał, po co tu przyszłam. Rozpaczając nad stratą „Adonisa”, spojrzałam do góry i znów go ujrzałam. Te śnieżnobiałe, równe zęby posyłały uśmiech w moim kierunku.

– Proszę, niech pani sobie przyłoży to z tyłu głowy. – Podał mi lód.

– Dziękuję. – Chciałam zatrzepotać rękami, ale nie miałam sił.

– Jestem Darek. – Podał mi rękę.

– Byłam pewna, że jesteś moim Adonidem – powiedziałam szybciej, niż pomyślałam, a on znów błysnął zębami. – Berka.

– Widzę cię tutaj pierwszy raz... – zagadnął.

– W gwoli ścisłości to drugi. Wczoraj byłam na pilatesie, ale jedna ruda małpa mnie zwyzywała – wyznałam, dumna z siebie.

– Kamila. – Zaśmiał się. – Słyszałem od kumpeli, że Kama znów zrobiła jakiejś lasce jazdę z zazdrości o Tomka.

– Widzę, że jestem sławna. – Również i mnie poprawił się humor, kiedy przypominałam sobie wczorajszą scenę.

Wiadomości na siłowni rozchodziły się z prędkością o wiele szybszą, niż można wyciągnąć na bieżni. One biegały między sprzętami i zahaczały o uszy każdego trenującego. Nie byłam zła. Teraz poznałam Darka i to się liczyło.

– Może w ramach podzięki dasz się zaprosić na kawę? – zaproponowałam śmiało.

– Nie lubię kawy. – Dostałam kosza. – Ale na sok dam się zaprosić. – Znów chciało się żyć.

Poszliśmy się przebrać. Każdy do swojej szatni, niestety. „Adonis”, znaczy Darek, był czarujący. Jego uśmiech, ciemnobrązowe oczy i ta muskulatura. Nie wyglądał, co prawda, jak Pudzian, ale był idealny. Nie taki mały, ale też nie za duży. Czułam, że trzeba kuć lód, póki nie zamarzł.

Dzień drugi osiągnięć na siłowni

- *Kandydatów na męża: 1*
- *Spalone kalorie: to, co straciłam na bieżni + tona zjedzonych w smerfowych muffinach*
- *Upadków: 1, ale wart bólu*
- *Rozdane numery telefonu: 1*
- *Ilość motyli fruujących w moim brzuchu: milion miliardów*
- *Nadzieja na powodzenie misji: ogromna*

SIŁOWNIA – DZIEŃ TRZECI

Ponownie idę na siłownię. Ponownie kroczę ze swoją sportową torbą, lecz pierwszy raz nie sama. Darek zaproponował, że będziemy wspólnie ćwiczyli (żebym nie zrobiła sobie ponownie krzywdy), a ja nie protestowałam. Po wczorajszej randce wiedziałam, że zna się na treningu lepiej niż większość tych nadmuchianych facetów. Kiedy jedliśmy muffiny i piliśmy sok, on z pasją opowiadał o ćwiczeniach, mistrzostwach Polski w kulturystyce, w których brał już udział dwukrotnie. Ja, zafascynowana, patrzyłam na niego. Nie rozumiałam połowy rzeczy z tego, co mówił, ale wiedziałam, że się dotrzemy. Czułam między nami dawno zapomniane ciepło.

– Co chcesz dziś trenować? – Opiekuńczo dotknął mojego ramienia, a ja poczułam, że odpływam.

– To co ty – wyznałam. Chodziło mi o znalezienie męża, więc musiałam trzymać się u jego boku.

Uśmiechnął się tak słodko, że moje nogi znów zrobiły się jak z waty. „Mój Adonis” – pomyślałam i jak potulny piesek szłam za nim. Doszliśmy do ławki, gdzie kilku facetów podnosiło ciężary. Darek przywitał się z nimi, a mnie podał dwa małe ciężarki.

– To są hantle. Na początek po kilogramie każdy. Podnoś je na przemian, a jak będziesz miała problemy, to wołaj – wyjaśnił.

Wzięłam zielone hantle i zgodnie z instrukcją Darka podnosiłam je naprzemiennie. Najpierw dziesięć razy, potem dwadzieścia, trzydzieści, aż przestałam czuć ramiona. Przypomniałam sobie moje treningi z Ewą, która spokojnie powtarzała: „Dasz radę, jeszcze dwa”, po czym ponownie unosiłam hantle ku klatce piersiowej. Kątem oka zerkałam na mojego przyszłego męża i podziwiałam jego idealne kształty. Już powoli odpływałam myślami w stronę naszej przyszłości, jak to cudownie będzie nam razem w łóżku, kiedy poczułam ciężar uderzający w moją stopę.

– Auuu! – krzyknęłam, a Darek natychmiast zjawił się obok mnie.

– Berka, co jest? – martwił się.

– Myślałam o naszym seksie, a on upadł na moją stopę – wyznałam, a Darek zrobił wielkie oczy.

– Jakim seksie? Poczekaj, pójdę po lód. – I już go nie było.

Czekałam na niego i wierzyłam, że po moim wyznaniu dziś nasze drogi nie rozejdą się jak wczoraj. Skończymy w moim łóżku lub w jego.

– Masz lód, Berka. – Miałam déjà vu. – Jaki seks miałaś na myśli?

Cieszyłam się. Miałam nadzieję, że pociągnie dalej ten temat, i udało się. Dziś stracę ponownie dziewictwo.

– No... ja, ty, łóżko – zaczęłam. – Chyba że chcesz gdzieś indziej, jestem otwarta – wyznałam, zamknęłam oczy i czekałam na pocałunek.

Czas ciągnął się nieubłaganie, a moje usta wciąż były suche. Suche i samotne.

– Chodź stąd. – Darek wziął mnie za rękę i zaprowadził do szatni.

„Wstydlivy” – pomyślałam, co nawet mi się trochę podobało. Piękny niczym Adonis i Dawid Michała Anioła, nieśmiały niczym Spider-Man przed włożeniem swojego kostiumu. Trzymałam jego rękę i szłam, wiedząc, że szybko się to nie skończy. „Może chce się kochać tu i teraz” – pomyślałam, ciesząc się, że nie spociłam się dziś za bardzo.

– Berka, jesteś piękna – zaczął, choć mnie gra wstępna nie była już potrzebna. – Jesteś piękna, ale...

– Jakie ale?! – krzyknęłam.

– Ja nie mogę uprawiać seksu, jestem...

– Jesteś aseksualny? – przerwałam mu ponownie.

– Nie, nic w tym stylu – wyznał, a ja wypuściłam z siebie nadmiar powietrza.

– Więc? – zapytałam.

– Zawsze trzy miesiące przed zawodami rezygnuję ze wszystkich przyjemności. Alkohol, słodczyce i seks także. Moje ciało musi się zregenerować i być prężne, a używki temu, niestety, nie służą.

– Ile razy w roku masz zawody? – pytałam dalej.

– Dwa. – Wyszczrzył zęby.

Chwila ciszy i gorączkowego myślenia. Dwa razy trzy daje nam sześć. Sześć? Cholera, aż sześć, a z drugiej strony – tylko sześć.

– Pół roku bez seksu w małżeństwie! – wykrzyknęłam. – O nie, ja się na to nie piszę. – Odwróciłam się na pięcie i poszłam do szatni.

– O czym ty gadasz, Berka? – Pytanie dochodziło zza drzwi, ale udałam, że go nie słyszę.

Przebrałam się i wyszłam z siłowni, mówiąc głośno „do widzenia”. Nie zamierzałam tu więcej wrócić. Nie po tym, co mnie spotkało. W ramach pocieszenia poszłam na muffinki z masą miętową. Zamówiłam sześć. To przez tę liczbę zakończył się mój związek, jeszcze zanim się zaczął. To ta liczba zabiła moje marzenia o ślubie z połączeniem Adonisa, Dawida i Spider-Mana. Marzenia prysnęły niczym bańka mydlana. Nawet szybciej. Nie zdążyłam dmuchnąć, by bańka powstała, a ona już rozpękała się na drobne cząsteczki.

Wróciłam do mieszkania, w złym humorze. Wtargnęłam do pokoju Karola i rzuciłam mu w twarz ten cały jego karnet na siłownię. Zdziwiony Karol wstał od laptopa i podszedł do mnie wolno. Przytulił, a ja zrozumiałam, że tego właśnie mi trzeba.

– Opowiadaj. – Zdjął mi kurtkę i zaprowadził mnie do kuchni, gdzie zrobił zieloną herbatę.

– Straciłam męża – rzekłam, a Karol wybuchnął śmiechem.

– Berka, żeby stracić męża, trzeba go najpierw mieć, tak dla sprostowania – powiedział.

– W gwoli ścisłości, masz rację, ale byłam już bliska. – Kąciki moich ust mimowolnie uniosły się ku górze.

– „W gwoli ścisłości” jest moje i proszę wykupić prawa autorskie, żeby go używać, panno Bernadetto.

– Poważny ton wcale do niego nie pasował. – Mów, co tam się stało, z tym niby-mężem.

– Rozumiesz sześć miesięcy bez seksu? – zapytałam.

– Mieszkając z tobą od trzech lat, wiem, że w twoim pokoju nic się nie działo od jakiś dwóch lat, więc sześć miesięcy to tylko jedna czwarta tego okresu.

Spojrzałam na niego spod byka, sugerując: „Zamknij się albo cię zabiję”.

– Chyba że coś działo się poza twoim pokojem i całym naszym mieszkaniem, w co osobiście wątpię, bo wiem, jak zachowujesz się po seksie. – Karol znał mnie lepiej, niż myślałam.

– Niby jak? – Ciekawiły mnie jego spostrzeżenia.

– Po seksie chodzisz, nie dotykając stopami powierzchni płaskich. Jesteś bliżej nieba i aniołów niż

nas, Ziemi. – Wprowadził trochę metafizyki do swojego ściśle „informatycznego” życia.

Zielona herbata nie wystarczyła. Stojące w lodówce dwa wina „na czarną godzinę” zostały osuszone do dna. „Czarna godzina” nadeszła i trzeba przygotować się na kolejne. „Kupię jutro dziesięć win” – pomyślałam i z uśmiechem na ustach postanowiłam zapomnieć o Darku i siłowni. Jak widać, siłownia to nie miejsce na szukanie idealnego kandydata na męża.

Dzień trzeci osiągnięć na siłowni

- *Kandydatów na męża: już 0*
- *Spalone kalorie: kilka podczas podnoszenia naprzemiennie hantli, uzupełnione sześcioma muffinami z masą miętową*
- *Upadków: 1, niedotyczący mnie, lecz hantli*
- *Ilość motyli fruujących w moim brzuchu: wszystkie umarły*
- *Plany ponownych wizyt na siłowni: brak*
- *Ilość wypitego wina: 2 (na spółkę z Karolem)*
- *Postanowienia: dopisać do lewej kolumny tabeli: uprawiać seks minimum raz w tygodniu miesiącu (niech stracę)*

25 stycznia 2015 roku

Ostatnia niedziela stycznia. Zima się jeszcze nie pojawiła, pewnie znów śnieg spadnie na Wielkanoc. Dzieciaki z Mazowieckiego kończą pierwszy tydzień ferii, siedząc zapewne przed monitorem, zamiast cieszyć się lepieniem bałwana. Ocieplenie klimatu. Takie wzmianki padają w telewizji, ale czy te dwa słowa wystarczą dzieciom? Niedługo śnieg będzie dla nich niczym UFO, które ponoć istnieje, choć nikt go nigdy nie widział. Patrząc na smutne, puste ulice warszawskiej Ochoty, przypomniała mi się książka *Niewygodna prawda* Ala Gore’a, w której tak ciekawie przedstawiono zmiany klimatyczne, jakie mają miejsce w świecie. Topniejące lodowce potwierdzone zdjęciami sprzed i po latach.

Moje rozmyślenia przerwał dźwięk domofonu.

– Berka, ratuj! – W słuchawce usłyszałam błagalny głos Zośki.

– Zośka, co jest?

– Otwórz szybko, błagam. – Prawie płakała, więc otworzyłam.

Zapominając o moich rozważaniach na temat ocieplenia klimatu, zastanawiałam się, co mogło stać się tym razem. Zerknęłam na zegarek i byłam pewna, że spóźnię się przez to na rodzinny obiad u babci, u której spotykamy się zawsze w ostatnią niedzielę miesiąca. Przyjaciółka w potrzebie była jednak priorytetem w tym przypadku. Gonitwa myśli w mojej głowie przypominała bez wątpienia wyścigi konne. Czemu Zośka była taka zmartwiona? Zerwał z nią chłopak? Nie wiedziałam nawet, żeby jakiś był, więc to wątpliwa hipoteza. Ojciec ją wydziedziczył? Też nedorzeczne, przecież jest jedyną córeczką tatusia. Nie zdążyłam ułożyć w głowie więcej teorii, gdyż głośnie walenie w drzwi otrzeźwiło mnie na tyle, by je otworzyć.

– Masz tormentiol?

Wpadła do mojego mieszkania niczym stado dzikich zwierząt wypuszczonych z klatki, pokazując palcem na małą opryszczkę w kąciку ust.

– Jest w łazience – odpowiedziałam, a ona pobiegła pędem, jakby ją ktoś gonił.

Wróciłam do pokoju i nie przejmując się nieproszonym gościem, kończyłam szykować się do wyjścia na rodzinny obiad. Tuszowałam rzęsy, kiedy w drzwiach mojego pokoju stanęła Zośka.

– Ale ten twój tormentiol śmierdzi – wycedziła przez zęby.

Dopiero, kiedy skończyłam tuszować rzęsy, spojrzałam na nią i zaczęłam się śmiać.

– Bo to nie jest tormentiol. – Tormentiol był biały, a ta maź była bladobrazowa. – To maść Karola na hemoroidy.

– Hemo co?! – krzyknęła.

– Na Lusię i Lucka dokładnie. – Zaśmiałam się, ale tylko mnie było do śmiechu.

– On je nazywa? – zapytała. – To CHO-RE – sylabizowała, abym lepiej zrozumiała jej rozgoryczenie.

– Lusia i Lucek... dupni przyjaciele, kurwa – kpiła Zośka. – A ja zaraz mam casting do reklamy.

– Casting w niedzielę? – zdziwiłam się.

– W show-biznesie ludzie pracują siedem dni w tygodniu, ale co ty możesz o tym wiedzieć. –

Lekceważąco odrzuciła swoje kruczoczarne włosy przez ramię. – Lecę robić karierę, bo tutaj nic ciekawego mnie nie spotka.

Wyszła, zatraskując za sobą drzwi. „Zośka i show-biznes” – pomyślałam. W sumie ze swoją inteligencją i błyskotliwością mogłaby wystąpić w kolejnym sezonie *Warsaw Shore*, ale nawet jej sposób bycia był niczym w porównaniu do tam przedstawianych. Nałożyłam na stopy ciepłe kozaki i poszłam na przystanek, z którego odjeżdżał autobus na Mokotów.

Dotarłam na obiad z lekkim poślizgiem. Mama, babcia i Agata już na mnie czekały, lecz nie odważyły się zwrócić mi uwagi. A może po prostu się już przyzwyczyły do moich spóźnień, tak samo, jak moja szefowa w salonie kosmetycznym.

– Wychodzę za mąż – poinformowałam, jak tylko zasiadłyśmy do stołu.

Od lat ten sam stół, ta sama porcelanowa zastawa i PRL-owski wystrój mieszkania babci. „Tylko osób u stołu ubyło” – pomyślałam ze smutkiem. Mama naląła gorący niedzielny rosół do głębokich talerzy, po czym usiadła miękko.

– Agata, przynieś nalewkę dziadka Idka. Trzeba to uczcić – zarządziła mama, lecz Agata nawet na milimetr nie podniosła swoich szanownych czterech liter.

– Mamo, nalewką mieliśmy uczcić otwarcie przeze mnie przewodu doktorskiego – zauważyła niezadowolona Agata.

Mama spojrzała na nią uważnie. Pamiętała o obietnicy danej mojej młodszej siostrze, jeszcze zanim rozpoczęła studia. Najlepsza studentka uniwersytetu, na Wydziale Prawa, to nie było byle co.

– Kochanie, twój doktorat to tylko kwestia formalności, a ślub Bernadetty to mniej prawdopodobne niż szóstka w lotto – wyjaśniła mama, a zadowolona Agata wstała po nalewkę.

Wiśniowy trunek zapełnił nasze kryształowe kieliszki. Babcia, jako najstarsza, podniosła kieliszek ku górze i gestem zachęciła do wypicia. Nasze kubki smakowe delectowały się po raz ostatni słynną nalewką dziadka Idka, do której dodawał on sekretny składnik, nieznan nawet babci.

– Kim jest ten nieszczęśnik? – Jako pierwsza odezwała się mama.

Sądząc po wzroku Agaty i babci, twierdziły podobnie.

– Właśnie tu jest problem, że jeszcze nie wiem – wyjaśniłam z uśmiechem.

– Jak można wychodzić za mąż i nie wiedzieć za kogo? – Agata zdecydowanie nie należała do spontanicznych osób, w jej życiu zawsze wszystko było poukładane.

Trzy pary identycznych oczu patrzyły na mnie, wyczekując odpowiedzi. Siedziałam na krześle i czułam, jak ono się pode mną zapada. Ich wzrok powodował, że nie byłam już tak pewna swoich słów jak kilka minut temu. One czekały na konkrety, a ja ich nie miałam.

– Właśnie chciałam się was poradzić, gdzie mogę spotkać mojego przyszłego męża. Babciu, gdzie ty poznałaś dziadka Idka? – Nie chciało mi się tłumaczyć całej historii z postanowieniem noworocznym na ten rok.

– Bereczko, to było tak dawno... – Nienawidziłam nazywania mnie Bereczką, ale babcia zawsze tak mówiła. – Ja poznałam twojego dziadka w stodole.

Agata parsknęła śmiechem, pewna, że babcia żartuje, jednak po jej piorunującym spojrzeniu, skierowanym w jej stronę, można było stwierdzić, że z tą stodołą nie kłamała.

– Co wy, młodzi, możecie wiedzieć o miłości! – skarciła ją babcia. – To było w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku, jeszcze przed powstaniem warszawskim. Dziadek ukrywał się przed

Niemcami, których było wszędzie pełno, i tak trafił do naszej stodoły. Kiedy szłam po słomę, którą mój ojciec chciał palić w piecu, spotkałam w naszej stodole młodego chłopaka.

– Co było dalej? – Ciekawiła mnie ta historia i dziwiłam się, że nigdy wcześniej nie pytałam o to babci.

– A dalej to chodziłam codziennie do tej naszej stodoły i ukradkiem zносиłam trochę jedzenia i picia dla Ideczka, raz nawet kocyk udało mi się przemyścić. Szkoda mi go było, takiego biednego, śpiącego na sianie. Gdyby mój ojciec się wtedy dowiedział, że ukrywałam dziadka w stodole, to na pewno nie byłoby was dziś tutaj. To było tak dawno, a ja pamiętam, jakby to było wczoraj. – Zamyśliła się na chwilę. –

Ja miałam wtedy siedemnaście lat, a Idek dwadzieścia. Byliśmy młodzi, zakochani i nieszczęśliwi, ukrywając naszą miłość przed całym światem.

– To jak to się stało, że byliście razem? – Agata była niecierpliwa.

– Daj mi mówić, to się dowiesz – babcia ponownie ją skarciła. – Potem wybuchło powstanie i dziadek nie musiał się już ukrywać. Chciał walczyć, ale ja nie chciałam. Kochałam go. Ledwo wojna się zakończyła, a ja byłam w ciąży i wzięliśmy skromny, ale piękny ślub – dokończyła babcia.

– Ale jak to? – zapytałam.

– Kochane moje wnuczki – zaczęła – ja wiem, że wasza matka ma w głowie pusto, jak kapusta, ale uwierzcie mi, że z kapusty się ona nie wzięła. – Puściła do nas oczko.

– Babciu, tylko bez szczegółów – poprosiła Agata.

„Przecież nie pójdę szukać męża w stodole” – pomyślałam, zawiedziona.

– Mamo, a ty i tata? – Mój głos był dość cichy, ale słyszalny.

Mama nie lubiła rozmawiać o naszym ojcu.

– Ja, Bernadetto, i wasz świętej pamięci ojciec...

– Mamo, przypominam ci, że tata wciąż żyje – zauważyła Agata.

– Gdzieś może i tak, ale dla nas już nie – odburknęła.

Tata był tematem tabu w rozmowach z mamą. Od czasu ich rozvodu minęło już kilka lat, ale ona wciąż nie mogła się pogodzić z jego odejściem.

– Ty pierwsza go zdradziłaś. – Agata wciąż miała kontakt z ojcem, o czym mama nie wiedziała.

– To był jeden raz. Jedna krótka chwila zapomnienia – powiedziała mama, na co babcia wybuchła śmiechem.

– Jeden raz? A myślisz, że nie słyszałam, jak sprowadzałaś sobie fagasów, kiedy Tadek był w delegacjach? Myślałaś, że oglądam *Dlaczego ja?* i nie słyszę, bo telewizor był tak głośno nastawiony. Ale ja słyszałam – triumfalnie dodała babcia, a mama zrobiła się cała czerwona. – Kwiczałaś głośniejsz niż cały chlew głodnych świń i z pewnością nie było to tylko raz.

Równocześnie spojrzaliśmy z Agatą na mamę i chyba obydwie myślałyśmy, że gdyby mogła, to schowałaby się po pelerynę niewidkę, o której nam opowiadała, jak byliśmy małże.

– Mamo, Martyna jest w ciąży. – Agata nie wytrzymała panującej ciszy. – Za miesiąc urodzi dziewczynkę.

– Ta wywłoka będzie miała dziecko z moim mężem?! – zdenerwowała się mama.

– Będziemy miały siostrę – ucieszyłam się.

– Byłym mężem, córeczko – uświadomiła mamę babcia.

Mama naląła sobie kieliszek dziadkowej nalewki i szybkim ruchem wychyliła do dna.

– Może dokończ odpowiadać na pytanie Bereczki? – zaproponowała babcia, a mama skinęła delikatnie głową.

– Ja i mój BYŁY MAŻ – mama podkreśliła dwa ostatnie słowa – poznaliśmy się przez ogłoszenia zamieszczane w gazetach.

– Kłamliwe dziewczuszyko! – krzyknęła babcia w stronę mamy. – „Na dancingu go poznałam”, mówiła nam, kiedy pytaliśmy.

– Wtedy widziałam go po raz pierwszy – wyznała mama – wcześniej pisaliśmy długie, romantyczne i dość intymne listy.

– A potem kwik-kwik i wyszła Bereczka – zaśmiała się babcia.

– Mamo, nie traktuj mnie jak świni, w dodatku pierwszej lepszej świni – poprosiła mama.

– Ogłoszenia matrymonialne to jest myśl! – rzekłam, nie przejmując się kłóiącymi się mamą i babcią.

– A ja poznałam Radka na uczelni. – Agata chciała o sobie przypomnieć.

– Wiem, wiem. Ja już jestem po studiach, a poza tym na kosmologii nie było żadnego faceta – wyznałam.

– Trzeba było się uczyć i iść na prawo – zadrwiła Agata, ale ja nie czułam się urażona, bo kochałam moją pracę i nie zamieniłabym jej na żadną kancelarię świata.

Niedzielny obiad minął znacznie szybciej niż zawsze. Mieszkanie babci opuszczałam po dwudziestej, z naręczem kobiecych gazet, w których były rubryki z ogłoszeniami matrymonialnymi. Mama uwielbiała czytać takie łązawe historie, przy których nie trzeba było myśleć.

Jadąc autobusem, spotkałam grupkę radosnych kibiców piłki nożnej, którzy podsunęli mi wspianą myśl.

Sposób 2. Złoty kibic

– Oszalałaś!? – wykrzyknął Karol, kiedy powiedziałam mu o swoim pomysle.

Sama byłam jednak dumna z tego, że nikt nie musiał mi po raz kolejny podpowiadać. Nie licząc grupki radosnych kibiców, ale oni byli nieświadomi swojej użyteczności.

Mój plan był prosty. Warszawa to idealne miasto dla fana sportu, a kto jest największym fanem? Wiadomo, mężczyźni. Postanowiłam pochodzić na mecze i „niby przypadkiem” spotkać tam męża. „Genialne” – pomyślałam.

Nienawidziłam sportu, ale czego się nie robi dla miłości. Nie mogło być przecież gorzej niż na siłowni. Na stadionie nie spadnę z bieżni, nie zrzucę hantli na stopę i nie zrobię wielu innych rzeczy, które zapewne spotkałyby mnie na siłowni, gdyby nie rychłe zerwanie.

– Tylko musisz mi pomóc... – prosiłam ładnie Karola, chcąc go przekonać do mojego planu.

– Niby jak? – zapytał, bardziej z ciekawości niż chęci pomocy.

– Musisz nauczyć mnie podstawowych zasad gry w różne sporty. Już sprawdzałam i w sobotę jest pierwszy mecz piłki nożnej, potem – w razie niepowodzenia – siatkówka, koszykówka i – w najgorszym wypadku – hokej – tłumaczyłam.

– Przecież cię to nie interesuje, Berka – słusznie zauważył Karol.

– Teraz nie, ale jak będę wiedziała, o co w tym chodzi, to zacnie. – Posłałam mu błagalny uśmiech, a on skapitulował.

Od poniedziałku każdego dnia zaraz po pracy siadaliśmy w kuchni i Karol tłumaczył mi zasady piłki nożnej. Musieliśmy zacząć od absolutnych podstaw. Dwie drużyny, w każdej po jedenaście osób, które grają na boisku, w tym jeden z nich to bramkarz. Obrońcy, pomocnicy i napastnicy (prawie jak w jakimś dobrym kryminale). Trzech sędziów: dwóch liniowych, którzy nie wchodzą na boisko, i jeden główny, latający za gwardią dzikich mężczyzn. I najważniejsze – jedna piłka. Jedna, a dwudziestu dwóch chętnych, aby ją zdobyć. Po wstępnym przedstawieniu sytuacji liczbowej na boisku Karol przyniósł laptop i pokazał mi kilka filmów, tłumacząc cierpliwie, co one przedstawiają. Rzut różny, rzut z autu, rzut wolny, rzut karny i niepasujący do pozostałych – tajemniczy spalony. Na wszelki wypadek pokazał mi stroje, w których będzie grała „moja” drużyna, abym nie kibicowała przeciwnej, bo wtedy nie znalazłabym nie tylko męża, ale i drogi do domu.

PIŁKA NOŻNA

Wyposażona w wiedzę od Karola i szalik Legii, kupiony przed wejściem na stadion, odczytałam

z biletu numer miejsca i poszłam go poszukać. Dyskretnie wyszukałam interesujące „okazy” przysłego męża i czekałam cierpliwie na rozpoczęcie gry. Mecz był nudny. Nudny jak gadanie Agaty o jej cudownym Radziu. Była zielona trawa, a na niej mężczyźni w kolorowych koszulkach i jedna biała piłka. Czekałam, aż coś się wydarzy. Facet siedzący obok mnie był wyraźnie zainteresowany tym, co dzieje się na dole. Mogłam spokojnie przyglądać się jego profilowi, nie bojąc się, że zostanę nakryta. Krótkie, gęste, ciemne włosy, nos trochę zadarty, trzydzieści może trzydzieści pięć lat, niewidoczne jeszcze zaokrąglenie na brzuchu i brak „GPS-a” na jego dłoni mówiły mi, że warto spróbować. Musiałam tylko czekać na sytuację i jak na zawołanie dostałam, co chciałam.

– Jedenaście, jedenaście! – skandował tłum, a „okaz” wybrany jako kandydat na męża wraz z nim.

Wiedziałam, że teraz jest moja szansa, która może się już nie powtórzyć. Szybko próbowałam sobie przypomnieć, co mówił Karol o jedenastce i czego to dotyczyło. Czas mijał, a pamięć nie wracała. „Spontaniczność. To przecież moje drugie imię” – pomyślałam z uśmiechem.

– Sądzę, że powinien dostać jedenastkę i zejść z boiska. – Chciałam brzmieć jak ekspert z dziedziny piłki nożnej.

– A ja sądzą, że powinnaś już iść do domu i nie przeszkadzać prawdziwym kibicom podczas meczu – skwitował, odwrócił wzrok w kierunku boiska i na tym się skończył nasz nierozpoczęty związek.

Nie czekałam do końca meczu. Piłka nożna nie była moim konikiem. Musiałam zrezygnować z planu A i przejść do realizacji planu B.

Pierwszy (i ostatni) mecz piłki nożnej

• *Kandydatów na męża: 0 (przez duże z)*

• *Minut spędzonych ciekawie na meczu: 0*

• *Ilość wydanych pieniędzy (w złotych): 35 (szalik) + 20 (bilet = 55)*

• *Liczba razy, kiedy chciałam się zapaść pod ziemię: 1!*

SIATKÓWKA

Kolejny tydzień nauki i kolejna sobota zmarnowana na mecz. Karol przez pięć dni tłumaczył mi zasady gry, abym nie popełniła takiej gafy jak ostatnio. Tu było na szczęście mniej graczy i mniej trudnych terminów do zapamiętania. „Serw”, „ścina”, „aut” były doskonale mi znane z liceum, kiedy siedząc na ławce, słuchałam grających na boisku dziewczyn. „Nie chciało się ćwiczyć na WF-ie, to teraz wychodzi” – skarciłam się w myślach. Karol cierpliwie mówił o libero, który może wejść w każdej chwili i zastąpić jakiegoś zawodnika, o rozegraniach na trzy (więcej w siatkówce nie można), o grze do dwudziestu pięciu punktów (jeśli są minimum dwa punkty przewagi) i o tie-breaku, który grany jest w razie remisu, do piętnastu punktów. Siatkówka wydawała się o wiele ciekawsza niż piłka nożna. Wierzyłam, że tym razem mój plan zakończy się powodzeniem.

Sobotnie popołudnie wolałabym spędzić na plotkach z przyjaciółkami lub przed telewizorem, oglądając puszczane na każdym kanale powtórki. Mecz i myśl o znalezieniu męża jednak wygrały i wyciągnęły mnie z domu. Tym bardziej że dziś przypadał 14 lutego, czyli walentynki. Zakochanych pełno, w mieście, w sklepach roi się od czerwonych serduszek, a w kwiaciarniach kolejki jak za dawnych lat, mówiące o tym, że miłość wystarczy okazywać raz w roku, akurat 14 lutego. Dziś postanowiłam nie inwestować w gadzety, ale widok dmuchanych pałeczek do klaskania zmienił moją decyzję. Weszłam na halę, zajęłam miejsce i czekałam, aż przestrzeń wokół mnie wypełni się mężczyznami, z których aż bucha testosteron. Testosteron nie buchnął. Na hali zdecydowanie więcej było progesteronu. Owszem, byli mężczyźni, ale zazwyczaj mieli u swojego boku kobietę lub dziecko. Rozczulił mnie ten widok ojców trzymających w swoich męskich, dużych dłoniach małe, gładkie rączki. Oczami wyobraźni poszybowałam w przyszłość, by zobaczyć mojego męża, chodzącego na mecze z naszymi dziećmi. Może i ja nie lubiłam sportu, ale dziecko samo musiało wybrać, co je interesuje.

Z ojcem na mecze, ze mną do kina i teatru.

Mecz zakończył się wygraną warszawiaków, czym cała hala się radowała, a ja razem z nimi. Tutaj atmosfera była bardziej rodzinna, intymna (jeśli można tak powiedzieć o zlocie kilku tysięcy osób), inaczej niż na meczu piłki nożnej.

Wróciłam do domu bogatsza o nowe doświadczenia i dwie dmuchane pałki. Karol, widząc moją ekscytację, schował się w swoim pokoju, zapewne przekonany, że znów się zakochałam.

Poszłam do siebie i zmęczona padłam na łóżko. „Walentynki” – przypomniałam sobie, po czym gwałtownie wstałam. Zapomniałam kupić prezent Karolowi, a to była taka nasza mała tradycja samotnych duszyczek. Spojrzałam na mój stolik nocny, gdzie zawsze Karol zostawiał dla mnie prezenty. Pusty. „Karol też zapomniał” – pomyślałam i opadłam ponownie na łóżko.

Pierwszy mecz siatkówki

- *Kandydatów na męża: 0*
- *Minut spędzonych ciekawie na meczu: 98*
- *Ilość wydanych pieniędzy (w złotych): 10 (pałki) + 5 (bilet w promocji) = 15*
- *Liczba razy, kiedy chciałam się zapaść pod ziemię: 0*
- *Liczba otrzymanych walentynek: 0*

KOSZYKÓWKA

Tym razem padło na piątek. Jeden dzień mniej do nauki, ale za to sobota tylko dla mnie. „Będę robić nic, nic nie będę robić” – tak śpiewała Kasia Klich, a ja tak określiłam moje plany na najbliższy weekend: w piątek po pracy poszukiwanie męża, a w weekend relaks na kanapie, z popcornem w dłoni. „Zaraz, zaraz... A jak znajdę męża?” – zrozumiałam, że moje weekendowe plany znów legną w gruzach, zanim na dobre zdążyły się stworzyć. To jak umieranie przed urodzeniem. Tak właśnie było z moimi planami. Z postanowieniami noworocznymi bywało podobnie. Lecz tym razem się uda. Wierzyłam w powodzenie, wierzyłam w siebie.

Koszykówka to kolejne trudne zagadnienia do opanowania. Center, rozgrywający, dwutakt i pole trzech sekund to tylko nieliczne z przedstawionych mi przez Karola. Tym razem chłopak musiał się bardzo wysilić i wydrukować kilka pseudoboisk. Na nich narysował kosze, graczy i to całe głupie pole trzech sekund. Przecież nikt nie liczy, ile stoi w miejscu, a koszykówka tego wymagała. A mówią, że sportowcy są głupi.

Piątkowy wieczór zapowiadał się w mojej głowie doskonale. Byłam pewna, że do trzech razy sztuka, a to był właśnie ten trzeci. Kupiłam bilet, gadzety ominęłam wielkim łukiem i skierowałam się na moje miejsce. „No, są i oni” – ucieszyłam się, widząc tłum mężczyzn na trybunach. Wystarczyła tylko lokalizacja ciekawego „okazu”, usadowienie się w pobliżu (jeśli będzie to możliwe) i czekanie, aż zauważy obok siebie swoją przyszłą żonę, czyli mnie. Trybuna K była niemal pełna. Pani w kasie powiedziała, że zawsze tam jest najwięcej osób, dlatego ją wybrałam.

Miejsca się zapełniały, a kandydatów na męża wciąż nie było. Jeden za grubo, kilku blockersów lub dresów, czy jak ich się tam nazywa, po prostu nie ci. I nagle zjawił się on. Niczym objawienie. Wszedł na trybunę i zajął miejsce akurat obok mnie. Miał najpiękniejszy nos ze wszystkich, które widziałam, jego cera była taka gładka, zadbana, a rzęsy równe. Był idealny. Musiał być mój. Mecz się rozpoczął, a ja czekałam na właściwy moment, aby pokazać mu, że tam jestem. Trzydzieści jeden do dwudziestu sześciu widniało na tablicy, kiedy cała hala zaczęła krzyczeć: „Pajace, pajace!”. Zapatrzona w mój ideał po lewej stronie, nie zauważyłam, co działo się na boisku. Mój przyszły mąż też zdawał się nie wiedzieć, co się dzieje, gdyż jako jeden z nielicznych nie krzyczał.

– Nie rozumiem, jak można obrażać przeciwników, przecież to tylko gra – zagadnęłam i posłałam mu najpiękniejszy z moich uśmiechów.

– Oni nie krzyczą tego do zawodników, tylko sędziów – wyjaśnił, a mnie zrobiło się głupio.

– Przecież to ich praca, muszą być sprawiedliwi – starałam się ratować z opresji, żeby nie pomyślał, że nie znam się na koszykówce.

– To nazywasz sprawiedliwością? Zaliczył mu rzut zrobiony po sygnale – oburzył się i odwrócił w drugą stronę, mało delikatnie dając do zrozumienia, że nie chce już ze mną rozmawiać.

Mecz zakończył się wygraną (siedemdziesiąt osiem do siedemdziesięciu siedmiu) tych, co im sędzia zaliczył te niesłuszne punkty za rzut po sygnale.

Pierwszy mecz koszykówki

• *Kandydatów na męża: 1 (szybko stracony)*

• *Ilość wydanych pieniędzy (w złotych): 12 (bilet) + 5 (piwo na pocieszenie) = 17*

• *Liczba razy, kiedy chciałam się zapaść pod ziemię: 1*

• *Liczba pomysłów na powodzenie planu: mniej niż zero*

* * *

Mecz koszykówki był ostatnim wydarzeniem sportowym, w jakim brałam udział. Wołałam zrezygnować z hokeja, bojąc się, co tym razem mogłabym powiedzieć. Idealny plan znalezienia męża w zbiorowisku kibiców nie wypalił. Może to i lepiej. Jeszcze chciałby, żebym z nim na mecze częściej chodziła. Mąż kibic to nie dla mnie.

25 lutego 2015 roku

Środa, a w salonie kosmetycznym ludzi jak w sylwestra. Hybrydy, peeling, maseczka błotna, próbny makijaż do ślubu i... tylko jej tu brakowało.

– Berka, idźmy na kawę. – Zapłakana Baśka wbiegła do salonu, kiedy robiłam jednej ze stałych klientek hybrydy.

– Nie dam rady, mam ruch. – Wskazałam na siedzącą na kanapie klientki.

– Berka, musisz – zaszlochała głośno.

Nie wiedząc, co robić dalej, malowałam paznokcie siedzącej przede mną klientki.

– Niech pani zrobi sobie pół godziny przerwy – zaproponowała szefowa, wyraźnie zde gustowana zachowaniem Baśki. – Zasłużyła sobie pani na odpoczynek.

Zdjęłam fartuch, powiesiłam go w szatni i zakładając na siebie kurtkę, zapytałam szefową:

– Ale na pewno da sobie pani radę?

Niechętnie skinęłam głową. Nie musiałam się o nią martwić. Przecież sama też skończyła kosmetologię. Jediną różnicą między nami było to, że ona miała męża. Bogatego męża, który kupił jej salon.

Poszliśmy z Baśką do pobliskiej restauracji, w której o tej porze nie powinno być jeszcze tłumu. Zająłmy stolik w kącie, zamówiliśmy gorącą czekoladę, a kiedy kelnerka odeszła, Baśka znów zaczęła szlochać.

– Co się stało? – zapytałam.

– On ma raka – wyznała, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć.

Jedynym „onym” w życiu Baśki był jej ojciec. W takich chwilach nie ma odpowiednich słów. Tym bardziej że tata Basi miał dopiero czterdzieści dziewięć lat. Baśka opowiadała ostatnio o jego gorszym samopoczuciu, ale tłumaczyliśmy to raczej kryzysem wieku średniego. A tu rak, nie kryzys. Nachyliłam się do Baśki i próbowałam ją przytulić, lecz mnie odepchnęła. Każdy w takich sytuacjach reaguje inaczej. Niby logiczne, że w pierw umierają rodzice, a potem dzieci, lecz żadna chwila nie jest odpowiednia na takie zdarzenia.

– Co mówi lekarz? – Diagnoza się z palca nie wzięła.

– Że na moim miejscu pomógłby mu... – Chlipnęła. – ...pomógłby odejść bez bólu.

Nie mogłam uwierzyć. Wiele się słyszało o lekarzach, ale takie rzeczy... I jeszcze później strajkują, bo im pieniędzy mało.

– Lekarze nie mają serca... – To jedyne, co wydawało mi się sensowne.

– Masz rację. Lekarze, głupi weterynarze! – krzyknęła.

– Byłaś z tatą u weterynarza? – Nie mogła być aż tak nieporadna, żeby nie wiedzieć, że ludzie nie chodzą do weterynarza.

– Tata został w domu, byłam z Norkiem – wyznała smutno. – A czemu pytasz o tatę?

– Twój tata ma raka – przypomniałam jej.

– On też? Ja tego nie wytrzymam! – Znów zaczęła płakać.

– No, tak mówiłaś.

– Berka, to Norek ma raka. – Norek to chomik Basi.

– To czym się zajmujesz? Umrze, to kupisz nowego – zaproponowałam, a ona wstała i zaczęła zakładać kurtkę.

– Nie masz serca, bestio – rzuciła, kiedy wychodziła.

Zostałam przy stoliku sama, dopijając końcówkę gorącej czekolady podanej w olbrzymim kubku. Nie

rozumiałam Baśki. Z dwojga złego lepiej chyba pochować chomika. I jak miała czelność powiedzieć, że ja nie mam uczuć? Postanowiłam poprawić sobie humor i zadzwonić do Karola, aby potwierdził, że Baśka nie ma racji.

– Pracuję – usłyszałam po drugiej stronie.

– Czy ja jestem bez serca? – zapytałam z wyrzutem w głosie, tak dużym, że nawet ja go dostrzegłam.

– Zasadniczo zależy, o co pytasz... – Znow zaczął filozofować. – ...jeśli o serce jako organ, to owszem, posiadasz takowe, bo bez niego zapewne nie mógłbym teraz z tobą rozmawiać. Człowiek nie może żyć bez serca.

– Karol – przerwałam mu na znak, że ma skończyć te mądrości, bo nie o to mi chodziło.

– Jeśli chodzi o serce jako miejsce powstawania uczuć, to tutaj jest pewien problem. Twoje nie działa tak, jak powinno.

– Jak to? – ciekawiło mnie.

– Kochasz tych, którzy są tego niewarci, a tych bliskich tobie najlepiej byś zakopała żywcem. Musisz nauczyć się patrzeć na świat bez różowych okularów – tłumaczył Karol.

– Ale ja nie noszę okularów – zaznaczyłam.

– Więc może powinnaś – zaśmiał się i rozłączył.

Sposób 3. Dance with my husband

Programy taneczne opanowały telewizję. Zapowiadają następną edycję *You can dance*, już na przyszły rok, a *Taniec z gwiazdami* zmienia jedynie stacje i nic po za tym. Która to już edycja? Dziesiąta? „Nie, dziesiąta była jeszcze w niebieskiej stacji, a teraz przecież tańczą w Polsacie” – pomyślałam.

Taniec był w moim życiu od małego. Kto wie, jak to jest być dzieckiem niespełnionej matki, ten zrozumie i mnie. Moja mama chciała tańczyć. Na chceniu się skończyło, bo dancingi, w tym ten, na którym poznała tatę, to jedyne, co łączyło ją z tańcem. Zakochała się, zaszła w ciążę i miała na kim realizować swoje pasje z lat młodości.

Pierwszy w moim życiu był balet. Każdej kobiecie wydaje się to takie piękne. Myśląc o balecie, widzą piękną, zgrabną kobietę w tiulowym tutu i satynowych, delikatnych baletkach, zawiązanych nad kostką. Pewnie sama bym tak myślała, gdyby nie to, że chodziłam na lekcje baletu. Jedyne śliczne tutu było moim marzeniem. Na co dzień ćwiczyło się w getrach i koszulce, dopiero na występy ubierano nas, czesano i malowano niczym najpiękniejsze porcelanowe laleczki. „Ubierano nas” jest chyba złym określeniem. Ja tutu miałam na sobie jedynie raz. Jedna z koleżanek na dzień przed występem skręciła kostkę i nie było nikogo prócz mnie, kto znałby jej choreografię. Pani Alina, nasza trenerka i guru baletu, dała mi wtedy jedyną szansę. Szansa, jak i moje postanowienia umarła, zanim się na dobre urodziła. Malwina, koleżanka ze skręconą kostką, obserwowała nas na próbie przed występem i poprosiła trenerkę, bym nie tańczyła. Stwierdziła, że nawet ze skręconą kostką wypadnie lepiej i, cóż, miała rację. Po tej przykrej sytuacji pani Alina zaprosiła moją mamę na rozmowę. Rozmawiały długo, a ja stojąc na korytarzu szkoły baletowej, słyszałam jedynie urywki ich rozmów: „Jak ktoś nie czuje muzyki, to już się tego nie zmieni”, „Na pewno jest coś, w czym Bernadetta się odnajdzie”, „Nie każda baletnica może wyglądać jak łabędź na scenie. Bernadetta to raczej mały słonik w pięknym tutu” – tłumaczyła pani Alina, lecz moja mama odwróciła się tylko na pięcie i wyszła. A ja, mała Berka, cieszyłam się z usunięcia ze szkoły baletu. Nie lubiłam tych monotonicznych ćwiczeń przy drążkach, a szczególnie nienawidziłam baletek. Moje palce były płaskie, wszystkie jednej długości, zniszczone przez balet. Taniec to wyzwolenie, którego nie każdy może doznać.

Po balecie były łyżwy. Mama postanowiła wykorzystać moje zamiłowanie do jazdy na lodzie i zapisać mnie do grupy łyżwiarstwa figurowego. Od tego dnia oglądała wszystkie mistrzostwa i olimpiady, gdzie młode kobiety wykonywały piękne skoki. Moje życie z baletowego drążka zdobyło status toeloopów, flipów, lutzów, axelów i innych skoków, które miałam trenować. Liczne kontuzje nie były dla mojej mamy

motywacją do zakończenia moich męczarni. Nie miałam drygu do tańca, a łyżwy, owszem, lubiłam, ale tylko wtedy, kiedy nie wymagały ode mnie większego wysiłku. Mimo ogromnych starań mamy nigdy nie zatańczyłam na lodzie.

O tańcu można mówić wiele. Chwaląc go i krytykując. Przypominając sobie sceny ze *Step up* oraz taniec dwóch pokrewnych dusz z *Kochaj i tańcz*, zrozumiałam, że może to jest moja droga. Taniec to moja droga... Droga ku prawdziwej miłości, która obudzi się podczas spotkania dwóch ciał, niesionych tym samym rytmem.

I tak zaczął się kolejny etap poszukiwania mojego przyszłego męża. Mimo mojej niechęci do tańca wiedziałam, że sprawi on, że nasze ciała będą płynąć jedną łódką, wiosłując w tym samym kierunku.

– Karol, zapisałam nas do szkoły. – Postawiłam współlokatora przed faktem dokonanym.

– Jakiej szkoły? – Nawet nie odwrócił wzroku od swojego laptopa.

– Szkoły tańca dla początkujących. To mój prezent dla ciebie na urodziny. – Cieszyłam się, że mogłam połączyć szukanie męża z upominkiem dla Karola.

– Ale ja nie lubię tańczyć, nie potrafię – wyznał, spoglądając na mnie bacznie.

– To się nauczysz. – Uśmiechnęłam się. – Jutro pierwsza lekcja, tylko spakuj adidas – dodałam, zamykając drzwi jego pokoju.

Pójście z Karolem do szkoły tańca było dla mnie bezpieczną alternatywą. Nigdy nie lubiłam być w czymś najgorsza, a Karol zapewne na parkiecie radził sobie gorzej niż ja. Swoją drogą, jak nie znajdę męża, to chociaż będziemy się tam dobrze bawić.

LEKCJA PIERWSZA

Następnego dnia wybraliśmy się do jednej z pobliskich szkół tańca. Nie była ona duża, ale na liście uczestników znalazłam kilka męskich nazwisk. „W tańcu kobieta musi wyglądać seksownie. Wyglądać i tak też się czuć” – powtarzałam sobie usłyszane kiedyś w programie śniadaniowym słowa znanej tancerki. Być seksowną to było moje zadanie na dziś.

Weszliśmy do sali, gdzie było już kilka par. Miałam nadzieję, że były one dobrane przypadkowo, bo po incydencie z rudą na siłowni nie chciałam się pchać na trzecią. Miła instruktorka, Blanka, wraz ze swoim partnerem Janem zapowiedzieli, że zaczniemy od czegoś łatwego, czyli od rumbi.

– Rumba to taniec miłości. Pokażcie w niej swoją cielesność i uczucia, jakie w was drzemią – mówił rozentuzjasmowany Jan, a Blanka uśmiechała się na znak, że się z nim zgadza.

„Rumba, też nam się trafiło” – pomyślałam, rozgniewana, bo takiego tańca powinnam uczyć się z moim przyszłym mężem, a nie Karolem. Myśli Karola nie byłam w stanie odczytać. Nie był ani szczęśliwy, ani też zły. Podszedł do tego jak do kolejnego projektu, który należy wykonać. Muzyka zaczęła płynąć ze stojącego w rogu magnetofonu, a Blanka i Jan zaczęli tańczyć układ, którego mieliśmy się nauczyć. „Cudowny” – pomyślałam, kiedy skończyli. Może nie było tych efektów, jak w *Tańcu z gwiazdami*, ale była między nimi chemia. Chemia, którą chciałam zostać obdarowana, lecz nic mi nie dali. Pokazali, jak można wyrazić uczucia, nie używając do tego ani jednego słowa. Jeszcze nawet nie ruszyłam stopą, a już czułam, że to coś dla mnie. Po latach moje ciało odblokowało się na taniec. Miałam teraz tylko jedno marzenie: zamknąć oczy i dać się ponieść chwili. Chwili, która miała mnie zaprowadzić do innego świata, pomóc zwiedzić inną planetę.

– Zaczynamy, kochani – powiedziała Blanka.

Wraz z Janem pokazywali kolejno każdy krok. Cierpliwie podchodzili do tych, którym nie wychodziło, by jeszcze raz zaprezentować, jak należy się poruszać.

– Dobrze, widać, że to czujesz – pochwaliła Karola Blanka, a mi zrobiło się miło, że to ja z nim tańczę.

– Wyzwalam moją miłość – odpowiedział, a ja zaczęłam się głupio śmiać.

– Trenujecie przed ślubem? – zagadnęła.

– Nie. – Speszyłam się.

– Jeszcze nie. – Uśmiechnął się, a ja zrozumiałam, że on jako jedyny wierzy we mnie, że znajdę męża.

– Jesteś taki kochany – wyznałam, przytulając się do niego. – Tylko ty wierzysz, że uda mi się kogoś usidlić.

Karol nic nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął. Prowadził mnie dalej w tej naszej przyjacielskiej rumbie.

Pierwsza lekcja tańca

• *Kandydatów na męża: 0 (nie zdążyłam zwrócić uwagi, tańcząc)*

• *Czas spędzony z uśmiechem na twarzy: 60 minut na 60 możliwych*

• *Nauczone tańce: 1/10 choreografii rumbi*

• *Zaskoczenie lekcji numer 1: Karol potrafi tańczyć!*

LEKCJA DRUGA

Dziś rozejrzę się za kandydatem na męża. Rumba będzie musiała na chwilę wyzwolić moje logiczne myślenie, bo minęły już dwa miesiące, a ja nadal nie mam perspektyw na ślub. Cudownie jest móc uwolnić swoje myśli w powietrze i zapomnieć, że trzeba je kiedyś znów złapać. To jak wypuszczenie tysięcy balonów z helem – tylko nieliczne dobrną do końca swej drogi. Tak samo jest z myślami. Zbieramy je w mózgowie szufladki i dopychamy, nie dając im się ulotnić. Kiedy nastaje taki czas, jak u mnie, gdy tańczę, szufladka otwiera się i wypuszcza myśli wysoko. Kiedy skończę tańczyć, zacznę łapać w powietrzu moje niewidzialne myśli, lecz nie wszystkim z nich uda się powrócić do mojej szuflady.

Blanka i Jan ponownie rozpoczynają zajęcia pokazaniem nam układu rumbi. Mimo iż widzieliśmy go nie pierwszy raz, wszyscy wciąż jesteśmy pod wrażeniem. Byli jak dwa piękne cienie tańczące na miłosnym murze, przy zachodzie słońca. Bliskie, ale nieuchwytnie.

– Może dziś zamienimy się partnerami – zaproponowałam, czując, że to jedyny sposób, abym mogła poznać kandydata na męża.

– Ktoś zgłasza przeciw? – zapytała Blanka, a dwie pary podniosły swoje ręce do góry.

– My trenujemy na pierwszy taniec – powiedziała szatynka.

– My też – z radością w głosie wyznał chłopak z drugiej pary.

– Zatem wy zostańcie razem, a my robimy zmiany co piętnaście minut, aby każdy mógł tańczyć z każdym – zarządziła Blanka, wskazując przy okazji kierunek przejścia między pozostałymi parami.

Rudy piegus stanął przede mną, przedstawiając się jako Robert. Już na pierwszy rzut oka nie okazał się idealnym kandydatem na męża. Wykonywałam prezentowane przez instruktorów kroki z nadzieją, że te piętnaście minut minie szybciej niż zazwyczaj. Na domiar złego za swoimi plecami słyszałam radosny głos Karola i wesołe chichotanie dziewczyny, która z nim tańczyła. Spojrzałam na nią z lekką zazdrością, bo ona dobrze bawiła się z Karolem, kiedy ja musiałam tańczyć z mrukiem Robertem. „A może to i lepiej, że on się nie odzywa?” – pomyślałam i ponownie spojrzałam na chichoczącą lalunię.

Wiek: maksimum dwadzieścia pięć lat. Rozmiar: trzydzieści sześć (z możliwością wciśnięcia się w trzydzieści cztery). Kolor włosów: też blondynka, tylko jaśniejsza niż ja, jakkolwiek to brzmi (pewnie tleniona). Widoczne zaokrąglenia: braki w miejscu brzucha, ale i piersi.

Sama nie wiem czemu, ale ta blondyna działała mi na nerwy. „Pewnie przyszła tutaj szukać męża” – pomyślałam i zaraz pożałowałam, bo co do niej była to jedynie moja hipoteza, lecz w określeniu mnie była to szczerza prawda.

Piętnaście minut ciągnęło się wolniej niż osiem godzin w pracy, ale w końcu usłyszałam radosne wołanie Blanki: „Zamiana” i czym prędzej pożegnałam się z Robertem. Jego miejsce u mego boku zajął wysoki brunet, z ciemnymi jak noc oczami i delikatnie brązową skórą.

– Przemek. – Podał mi rękę na powitanie, a potem przyciągnął energicznie do siebie.

Poczułam ciepło jego ciała, mocne ramiona i pewne ruchy, które prowadziły mnie jego ścieżką, z której nie chciałam już zejść.

– To twój facet? – zapytał, wskazując na Karola.

– Przyjaciół – sprostowałam.

– To dobrze, bo wpadłaś mi w oko już wczoraj – wyznał, a ja się zaczerwieniłam.

– Z kim tu przyszedłeś? – ciekawiło mnie.

– Z Beatą, moją młodszą siostrą – odpowiedział spokojnie.

– Czemu taniec?

– To nie o taniec chodzi. Szukam żony – wyznał, a z mojego brzucha wyfrunęły miliony motyli.

– A ja męża – powiedziałam z uśmiechem, choć on chyba nie uwierzył.

Przemek tulił mnie do siebie, przyciągał tak blisko, że nasze ciała stawały się jednością. Czulałam, jakbyśmy uprawiali seks przez ubrania, kiedy do moich uszu dotarł dźwięk: „Zmiana”. Niechętnie pożegnałam się z Przemkiem, czekając na przyjście ostatniego kandydata. Blondyn z lekko pożółkłymi zębami wydawał się miły, ale moje myśli krążyły wokół Przemka, który teraz musiał tańczyć z „chichoczącą lalunią”. Wierzyłam, że to, co było między nami, nie było moim wymysłem. On też musiał to czuć. Upewniłam się co do tego, kiedy spojrzał na mnie i puścił oczko. „Tańczy z lalą, a myśli o mnie” – wzdychałam cichutko, czując, że moje serce ogrzewa przyjemny płomień. Blondyn coś mówił, ale udawałam, że nie słyszę, i czekałam na ostatnią zmianę, by wyznać Karolowi, że znalazłam męża.

Druga lekcja tańca

• *Kandydatów na męża: 1 (w dodatku szukający żony)*

• *Liczba motyli w brzuchu: więcej się już nie zmieści*

• *Nauczone tańce: 3/10 choreografii rumbi*

• *Rada na jutro: wymienić się numerem telefonu z Przemkiem, a może od razu zaprosić na randkę*

• *Plany na wieczór: seks z Przemkiem (dziś jedynie w śnie)*

LEKCJA TRZECIA

Z Karolem u boku frunęłam na lekcję. Moje stopy nie dotykały ziemi, co wcale nie spodobało się Karolowi. Mówił, że wmawiam sobie coś, czego nie ma. Nie ma? Nie on uprawiał seks na parkiecie, a potem jeszcze we śnie. Ten na parkiecie nie tak dosłownie, ale ten w śnie... Pędem pobiegłam na parkiet, czekać na mojego przyszłego męża, nie zwracając uwagi na Karola.

– Dziś też każdy z każdym? – zapytała Blanka.

– Nie, dziś ja tańczę tylko z Karolem! – wykrzyknęła „chichocząca lalunia”, a Karol spojrzał na mnie, czekając na moją reakcję.

– To tańcz, ja mam dziś Przemka – wyznałam i przyciągnęłam go do siebie, co mu się najwyraźniej spodobało.

Blanka puściła muzykę i głośno zachęcała do uwolnienia z siebie emocji. „Ja uwolnię je wieczorem” – pomyślałam, przypominając sobie sen z poprzedniej nocy. Przemek był czarujący, tak samo, jak wczoraj. Znowu czułam, że nasze ciała mają wspólny rytm, a o to przecież w tańcu chodziło. Jego ciało było tak blisko mojego, a zarazem tak daleko.

– Gdzie wczoraj uciekłeś? – Zazwyczaj to faceci pytają kobiety, gdzie zniknęły, ale co mi tam.

– Musiałem jechać pilnie do kumpla, awaria rury w kranie. – Brzmiało to jak przeprosiny.

– Jesteś hydraulikiem? – zapytałam.

– Raczej tak zwaną złotą rączką, tu przepcham, tu naprawię – wyliczał, a ja pomyślałam znowu o naszej wczorajszej nocy.

„W przepychaniu jesteś doskonały” – chciałam powiedzieć, lecz na szczęście ugryzłam się w język,

bojąc się, aby nie uznał mnie za wariatkę.

– A dziś masz jakieś plany? – Mój głos brzmiał zalotnie.

– Owszem, mam plan wziąć numer telefonu od najpiękniejszej dziewczyny w szkole tańca, aby móc jej słać po nocy SMS-y – wyznał, a ja zrozumiałam, że z dzisiejszego seksu nici.

„Widocznie nie lubi pośpiechu – tłumaczyłam sobie – a to może być jedynie jego zaletą”.

Lekcja minęła zbyt szybko, jednak dzień się dla mnie nie skończył. Miałam numer Przemka, a on miał mój. Pozostało mi tylko czekać. Nie chciałam ponownie robić pierwszego kroku. Chciałam być adorowana, zdobywana.

Wracając do domu, postanowiłam zapytać Karola o „chichoczącą lalunię”, gdyby nie fakt, że jest gejem, jeszcze pomyślałabym, że coś z tego będzie.

– Sylwia – zaczął, kiedy zadałam pytanie – to piękna dziewczyna. Chciała nawet, żebyśmy się spotkali – dodał, a mnie aż gula stanęła w gardle.

– Kłuje żelazko, póki gorące – wycedziłam przez zęby.

– W gwoli ścisłości to żelazo, nie żelazko, i trzeba je kuć, a po drugie i tak nic z tego nie będzie – wyjaśnił, a ja doskonale rozumiałam, o co mu chodzi.

Po co miał spotykać się z dziewczynami, skoro bardziej interesowali go faceci. Czując, że on świetnie zna się na facetach, zapytałam, co sądzi o Przemku.

– Może i przystojny, ale jakiś taki nadęty typ z niego. Ja bym mu nie ufał – powiedział.

Dotarliśmy do domu i każde z nas zamknęło się w swoim pokoju. Karol zapewne pół nocy znów spędzi przed monitorem, lecz ja miałam większe zmartwienia. „Napisze, nie napisze” – wyliczałam, odrywając samoprzylepne karteczki, jakby były płatkami kwiatów. Leżałam tak z godzinę, kiedy moja komórka oznajmiła mi radośnie przyjście SMS-a. Chwila, to nie komórka była radosna, to moje serce tańczyło sambę szczęścia. Wzięłam telefon i nacisnęłam migającą kopertę:

Dziś w godzinach popołudniowych odszedł od nas nasz przyjaciel NOREK.

Pogrążona w smutku rodzina w celu podziękowania Norkowi za jego miłość i oddanie pragnie poinformować, że jego pogrzeb odbędzie się jutro o godzinie 17:00

na cmentarzu w Nowym Koniku, ul. Terespolska 107a.

Uroczystość żałobna zostanie zakończona modlitwą oraz krótkim poczęstunkiem w pobliskiej restauracji.

Prosimy o zachowanie szacunku dla świętej pamięci Norka i przybycie w żałobnych szatach.

Odczytałam wiadomość od Baśki i nie wierzyłam. Ona naprawdę chciała pochować chomika. „Jutro o siedemnastej mam lekcję tańca. Nie mogę iść na pogrzeb Norka” – pomyślałam, zastanawiając się, jak z tego wybrnąć. Wybór między mężem a przyjaciółką jest jednym z trudniejszych, jakie mnie spotkały w moim życiu. „Mąż musi zrozumieć” – pomyślałam i zaczęłam pisać wiadomość do Przemka. „Wybacz, jutro mnie nie będzie w szkole tańca. Umówmy się na wieczór” – zaproponowałam i kliknęłam „wyślij”. Moja cierpliwość nie została ponownie wystawiona na próbę, chwilę po wysłaniu wiadomości mój telefon zadzwonił, a na wyświetlaczu widoczny był numer Przemka.

– Nie wiedziałam, kocie, że tak za mną tęsknisz – zaczęłam zaczepnie.

– Co? – zapytano niewyraźnie po drugiej stronie.

– Jeśli masz ochotę, to możemy się spotkać nawet teraz, na małe łóżkowe tańce – zaproponowałam.

– Jak ja ci, suko, zatańczę w łóżku, to własna matka cię nie pozna – usłyszałam i to zapewne nie był głos Przemka. – Ladacznico, przy rurze sobie tańcz lub przy lampie, ale wara od mojego męża! – Rozłączyła się.

Męża? Przecież on miał być moim mężem. Zdradził mnie. Nie, mnie nie zdradził. Zdradził ją, uprawiając ze mną dwukrotnie niemy seks. Pogrążona w smutku, powoli zaczęłam rozumieć Baškę. Ona straciła chomika, który był jej przez dwa lata, ja straciłam tylko „zwierzę” będące moje przez raptem dwa dni.

Trzecia lekcja tańca

- Kandydatów na męża: 1 żonaty, więc 0
- Nauczone tańce: 7/10 choreografii rumbi
- Plany na przyszłość: podziękować Norkowi, że przez jego pogrzeb odkryłam prawdę o Przemku palancie

5 marca 2015 roku

– Zebraliśmy się tutaj, aby pożegnać naszego przyjaciela Norka, który był obecny w naszym życiu przez dwa lata. Panie, świeć nad jego duszą i miej w swojej opiece – mówił młody mężczyzna w garniturze.

Na cmentarzu dla zwierząt, przed przyszłym grobem Norka, byłyśmy tylko my. Nasza szóstka i pracownik cmentarza.

– A gdzie ksiądz? – zapytała mnie cicho Zośka.

– Księża nie chowają zwierząt, tylko ludzi – odburknęłam niezbyt cicho, a Baśka spojrzała na mnie z kwaśną miną.

Młody mężczyzna wykopał mały dołek, do którego Basia włożyła niewielkie drewniane pudełko, mające być zapewne prowizoryczną trumną. Po uroczystym złożeniu trumny w dole nastąpił moment umieszczenia w grobie ważnych dla Norka rzeczy przez wszystkich przybyłych. Basia ułożyła na trumnie kołowrotek Norka, opowiadając przy tym we łzach, że tuż przed śmiercią jeszcze się na nim kręcił. Ja sypnęłam garść trocin, mając nadzieję, że Norek je lubił. Marietta włożyła gotowy pokarm. Jola i Monia podarowały Norkowi główki róż, jedną białą (niewinną), drugą czerwoną (znak miłości). Zosia długo poszukiwała swojego podarku w olbrzymiej torbie. Kiedy go znalazła, nie kryła radości, że ma coś innego niż my. Gdyby się powtórzyła z którąś z nas, jak Jola i Monia, to na pewno zrobiłaby awanturę.

– Kość? – zapytałam, widząc podarek Zosi.

– Tak, niezła co? – Była z siebie dumna.

– Norek to chomik, nie pies! – wykrzyczała Basia.

Zosia zdawała się jej nie rozumieć i położyła dumnie kość na różach.

– Chomiki nie lubią kości – zauważyła Jolka.

– Kwiatów pewnie też nie – odburknęła Zosia.

Pracownik cmentarza zakopał dołek, wbił w ziemię małą tabliczkę i poszedł w swoją stronę. Stałyśmy nad grobem, nie wiedząc, co powiedzieć Basi. Patrzyłyśmy na tablicę wkopaną w ziemię, na której widniał napis:

Norek

15.01.2013–4.03.2015

Na zawsze w naszej pamięci!

Baśka trochę popłakała i mogłyśmy iść na „chomiczą stypę”. Ulokowałyśmy się przy jednym z restauracyjnych stolików, zamówiłyśmy coś do jedzenia i dwie butelki białego wina. Czekając na obiadową kolację, opowiadałyśmy sobie o nic nieznaczących głupotach, aż nagle Monia zapytała:

– Jak idzie wam realizacja postanowień noworocznych? – Nie wiem dlaczego, ale miałam wrażenie, że wszystkie spojrzały jednocześnie na mnie. – Ja już swoje zrealizowałam – dodała z dumą.

– I jak na kursie? – zapytała Mari z zaciekawieniem, sama bowiem miała prawo jazdy, jako jedna z dwóch z naszej paczki.

– Jeszcze nie wiem, nie byłam na kursie – wyznała Monia.

– A kiedy się zaczyna? – Marietta nie odpuszczała.

– Dwa tygodnie temu – odpowiedziała Monika i wszystkie wybuchłyśmy śmiechem.

– Już nie przesadzaj i idź chociaż na niego, bo inaczej ci nie zaliczymy – powiedziała Basia, a reszta

kiwnęła głowami na znak, że się z nią zgadza.

Kelnerka przyniosła ogromne talerze dla każdej z nas. Dwa razy tagiatelle z kurczakiem w sosie kurkowo-śmietanowym (dla mnie i Marietty), jedna karkówka z grilla (dla Moniki), stek z wiśnią (dla Basi) i dwie sałatki z kurczakiem (dla dbających o linię Joli i Zosi).

– A ty, Berka? Jak poszukiwania? – zapytała Jolka.

Ona chyba najmniej we mnie wierzyła i to właśnie jej utrę najbardziej nosa, jak wyjdę za mąż w tym roku.

– Dość dobrze – skłamałam. – Ostatnio byłam na kursie tańca i tam poznałam cudownego faceta.

– Nie wierzę! – oburzyła się Zośka.

– Wczoraj uprawialiśmy seks...

– Uprawiałaś seks z obcym facetem? – Baśka prawie krzyczała.

– No tak, jak tańczyliśmy...

– Uprawiałaś seks z obcym facetem na parkiecie? Polać jej – ucieszyła się Zośka.

– Dajcie mi dokończyć! – podniosłam głos. – Tańczyliśmy, byliśmy tak blisko siebie, że czułam, jakbyśmy uprawiali seks przez ubranie – dokończyłam i spojrzałam na miny dziewczyn.

– Widać, że dawno faceta w łóżku nie miałaś, jak już myślisz, że seks przez ubranie można uprawiać – skwitowała mnie wrednie Zosia.

Nie chciałam ciągnąć tego tematu, ale dziewczyny nie dawały mi spokoju. Musiałam powiedzieć im prawdę.

– I wczoraj dowiedziałam się, że on ma żonę – powiedziałam markotnie i wszystkie, prócz Zośki, zrobiły smutne miny.

– Też mi coś! Żonaci są cudowni w łóżku, idiotko, więc wykorzystaj to – zasugerowała z kpiną w głosie Zosia.

– Ale ja szukam męża – zakończyłam temat, a ona, jak miała w zwyczaju, przeczesała swoje włosy palcami, coomal nie wyprowadziło mnie z równowagi.

„Wstrętne dziewczuszyko” – pomyślałam o Zośce. Zawsze musiała udowodnić innym, że jest lepsza, mimo iż była pusta bardziej niż bęben. Sama nie wiem, jak to się stało, że wytrwała w naszej paczce do dziś. Czasem myślałam, że to nasza zasługa, bo tolerowałyśmy jej głupotę, ale szybko zdałam sobie sprawę, że ona po prostu była tak głupia, że nie rozumie naszych uszczypliwych uwag na swój temat.

Basia, chcąc zakończyć spór między mną a Zosią, postanowiła powspominać zmarłego wczoraj chomika. Przecież dla niego się tu dziś zebrałyśmy, miałyśmy upamiętnić jego śmierć i zastanowić się trochę nad kruchością życia.

– Szkoda, że Norek nie dożył do Dnia Kobiet – zasmuciła się Zosia.

– I tak by nie dostał prezentu, więc nie ma czego żałować. – Jola nie potrafiła być delikatna.

Basia wstała od stołu i wybiegła z restauracji.

– I co zrobiłaś? – rzuciłam Joli wredne spojrzenie i pobiegłam za Basią.

Siedziała na zimnej ławce i cichutko chlipała. Było mi jej ogromnie szkoda. Miałyśmy być tam dla niej, bo dla nas Norek nic nie znaczył, ale nasza przyjaciółka straciła kogoś bliskiego. Usiadłam obok niej i sama nie wiem czemu zaczęłam mówić:

– Jak byłam w liceum, to tata kupił mi na urodziny złotą rybkę. Nazwałam ją Księżniczką, była taka piękna. Powiedziałam jej trzy moje życzenia i czekałam, aż je spełni. Wiedziałam, że muszę o nią dbać, wtedy ona się odwdzięczy. Kiedy wróciłam pewnego dnia ze szkoły, zobaczyłam, że mama jest smutna. Wiedziałam, że coś się stało. Wtedy ona poprosiła mnie, bym usiadła i powiedziała, że Księżniczka zmarła. Zapytałam, jak to się stało, a ona powiedziała, że Księżniczka wyskoczyła ze swojej szklanej kuli i Agata ją zdeptała, myśląc, że to liść – dokończyłam, a Basia podniosła na mnie wzrok.

– Tak mi przykro. – Przytuliła mnie. – Co z nią zrobiliście?

– Mama powiedziała, że Księżniczka na pewno chciałaby na zawsze pozostać w wodzie, więc

spuściliśmy ją w toalecie.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś?

– Bałam się, że mnie wyśmiejecie, że płaczę po złotej rybce – wyznałam szczerze, a Basia uśmiechnęła się.

Powrót myślimi do wydarzeń sprzed dziesięciu lat było dla mnie przełomem. Po latach mogę stwierdzić, że Księżniczka nawet po śmierci czuwała nade mną, spełniając każde z moich trzech nastoletnich życzeń.

Sposób 4. Elektroniczny zawrót głowy

Siedziałam pod grubym kocem, zajadając lay'sy, i zastanawiałam się, gdzie tym razem udać się na łowy na męża. Siłownia już była, udawanie zagorzałej kibicki też się nie powiodło, a i lekcje tańca okazały się totalnym niewypałem, jakich pełno po sylwestrowej nocy. To musiało być coś wow, coś, w co nie będę musiała inwestować kolejnych pieniędzy, bo niedługo się okaże, że taniej by było zapłacić komuś, żeby się ze mną ożenił, niż go znaleźć. Swoją drogą zaoszczędziłabym przy okazji szmat czasu, który teraz marnowałam na poszukiwania.

Włączyłam laptop, chcąc poszukać pomysłów, gdzie można spotkać idealnego mężczyznę, kiedy mój kochany samsung zrobił się czarny. Wciskałam reset, wciskałam wszystko, a on nic. Poszłam do Karola (przecież był informatykiem), ale nawet on nie pomógł. Polecił kupić nowy, lepszy sprzęt, oczywiście kładąc nacisk na „lepszy”. Zdenerwowana, zaczęłam się zastanawiać, ile razem już przeżyliśmy i zrobiło mi się smutno, kiedy uzmysłowiłam sobie, że kupiłam go zaraz po obronie licencjatu. To już prawie pięć lat. Miał prawo odmówić posłuszeństwa. Bez laptopa nie umiałam już funkcjonować, na gwałt potrzebowałam więc nowego. I wtedy wpadł mi do głowy genialny pomysł. Pomysł lepszy niż wszystkie inne, na jakie wpadłam w swoim życiu. Potrzebuję laptop i męża, a gdzie jest najwięcej facetów sprzedawców? No tak, sklepy RTV i AGD. Genialne.

Włożyłam obcisłe dżinsy, cienki sweterek w serduszka w kolorze pudrowego rózu, a do tego założyłam kozaki na wysokim koturnie sięgające za kolana. Poprawiłam starannie makijaż, nałożyłam kurtkę, którą miałam ochotę zdjąć, jak tylko wejdę do galerii, i pojechałam na zakupy. Zakupy połączone z polowaniem.

SKLEP NUMER 1

Pierwsza z galerii, jakie odwiedziłam, to ta najbliższa, na Ochocie. Na planie znalazłam punkty, gdzie mogłabym kupić mój nowy laptop. Zrobiłam zdjęcie komórką, aby dwa razy nie musieć podchodzić do tablicy informacyjnej, a potem skierowałam się na ruchome schody. Weszłam do gigantycznego sklepu, gdzie było wszystko, dosłownie wszystko, co chociażby w małym stopniu związane było z elektroniką. Przechadzałam się między regałami, poszukując mojego celu. Nie, jeszcze nie szukam laptopa, najpierw musiałam znaleźć męża. Interesujący okaz na stoisku z lodówkami miał na palcu świecącą w promieniu kilometra obrączkę. „Jego żona wiedziała, że się podoba kobietom” – pomyślałam i pogratulowałam jej szczerze. W dzisiejszych czasach trzeba pilnować faceta, jak oka w głowie. Choć oko to w zasadzie samo się pilnuje.

Weszłam na stoisko z gramami, ale tam zobaczyłam jakiegoś małolata, który ledwie skończył liceum, a już pracował. Ruszyłam więc dalej i wtedy go zobaczyłam. Wysoki, dość szczupły blondyn, w zgrabnie dobranych okularach. Chodził przy półkach z książkami. „Intelektualista” – pomyślałam i podeszłam bliżej.

– Jaką książkę mógłby pan polecić na prezent dla brata? – zagadnęłam.

– A ile lat ma brat? – zapytał, a ja nie pomyślałam, że przecież jak weźmiemy ślub, to on odkryje, że nie mam brata.

– Trzydzieści – podałam wiek Karola.

– To tyle, co ja – powiedział, a ja zrozumiałam, że chciał, żebym się po prostu nim zainteresowała. – Ostatnio dużo ludzi kupuje tę książkę. – Podał mi *Opowiem ci mroczną historię* Dardy. – Sam też czytałem i jestem pełen podziwu dla tego autora.

– Słyszałam o nim. – Nie mogło się wydać, że czytałam już wszystkie książki tego autora, jakie się do tej pory ukazały.

– Ja dowiedziałem się o nim od mojej dziewczyny, która czytała jego poprzednie powieści. Była zachwycona umiejętnością budowania nastroju grozy, który wielu autorów przedstawia zazwyczaj zbyt dosłownie, wręcz brutalnie. Jeśli twój brat jest żądny mocnych literackich wrażeń, to bierz śmiało – powiedział, ale ja usłyszałam jedynie głośne hasło: „od mojej dziewczyny”.

Wzięłam książkę i odłożyłam na najbliższej półkę, jak tylko straciłam z oczu blondyna. „Berka, taki facet nie mógł być wolny” – pomyślałam i poszłam dalej. Postanowiłam chwilę popatrzeć na laptopy, bo przecież po to tam poszłam. Na dwóch długich blatach stały dziesiątki komputerów, chodziłam między nimi i czekałam, aż któryś z nich powie do mnie: „Weź mnie”. Moją przechadzkę przerwał uprzejmy, niski głos:

– W czym mogę pomóc? – zapytał dość przystojny brunet z kocimi oczami.

Był kilka centymetrów wyższy niż ja w koturnach, więc mógł mieć jakieś sto siedemdziesiąt pięć, maksymalnie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, a na jego palcu nie błyszczała obrączka, choć mógł mieć przecież dziewczynę.

– Jaki laptop poleciliby pan swojej dziewczynie? – zapytałam.

– Najpierw musiałbym mieć dziewczynę, żeby jej coś polecić. – Zaśmiał się, a moje serce zaczęło bić szybciej. – A czego konkretnie pani szuka?

– Jestem Berka – przedstawiłam się. – A pan... Rafał – przeczytałam z przyklejonej do jego koszuli plakietki. – Mogę mówić panu po imieniu?

– Nie widzę problemu. Więc czego szukasz, Berko? – powtórzył pytanie, odejmując od niego sformułowanie „pani”.

– Mój laptop padł jakieś dwie godziny temu i szukam dla niego zastępstwa – powiedziałam.

– Cóż, mogę polecić kilka modeli, ale wolałbym radzić ci poczekać jeszcze dwa dni, aż Sony dowiezie nam swoje Vaio. Są trochę droższe, ale nie pożałujesz. – Uśmiechnął się.

– A jak pracujesz za dwa dni, żebym mogła wpaść na ciebie? – zapytałam.

– Będę po południu, ale tu masz mój numer, więc jak coś, to dzwoń. Pomogę chętnie, nie tylko w sprawie laptopa. – Podał mi swoją wizytówkę, a ja poczułam, jak nogi się pod mną uginają.

Mam i laptop, i męża – dwie pieczenie na jednym ogniu. To znaczy laptopa jeszcze nie mam, bo będzie dopiero za dwa dni, ale to bliżej niż dalej. Co do męża, też pozostała już tylko kwestia załatwienia formalności. Rafał wyraźnie powiedział, że chętnie mi pomoże, nie tylko w sprawie laptopa.

Wróciłam do domu, jak na skrzydłach. Czułam, że ponownie latam. Dobrze, że Karol gdzieś wyszedł, bo znów miałby ze mnie ubaw, a tego nie chciałam. Myślałam, co teraz powinnam zrobić i wywnioskowałam, że Rafał grał ze mną otwarcie, więc i ja tak zrobię. Wyjęłam jego wizytówkę, żeby wpisać do telefonu numer, po czym napisałam wiadomość: „O której dziś kończysz, mój wybawco?”. Odpowiedź przyszła szybciej, niż się spodziewałam. Już po chwili moim oczom ukazała się liczba dwadzieścia jeden. Spojrzałam na zegarek i zrozumiałam, że mam tylko półtorej godziny, aby doprowadzić się do ładu. Ponownie lecąc z przyklejonymi skrzydłami miłości, trafiłam do łazienki, gdzie wzięłam ekspresową kąpiel, poprawiłam włosy i zrobiłam nowy makijaż. Pozostało wybrać, w co się ubiorę, bo założenie tego, co już widział, nie wchodziło w grę. Niebieska rozkloszowana sukienka przed kolana idealnie komponowała się z wysokimi kozakami. Nie wyglądałam przesadnie elegancko, ale też nie było jak.

Wyszłam z domu pół godziny szybciej i czekałam przed galerią. Mijało mnie mnóstwo ludzi, lecz ukryci pod kapturami zimowych kurtek byli dość anonimowi. „A jak mnie nie pozna?” – zastanawiałam

się, bo nie liczyłam, że to ja go zauważę. Zegar wybił dwudziestą pierwszą, a jego nie było. Chodziłam od drzwi do drzwi, kiedy ktoś dotknął mojego ramienia.

– Nocą też wyglądasz pięknie – powiedział, przyciągnął mnie do siebie i zaczął namiętnie całować.

Czułam zapach miętowej gumy w jego ustach. „Szybko działasz” – pomyślałam i cieszyłam się, że nie owija w bawełnę, bo to znaczy, że szybko weźmiemy ślub. Rafał całował mnie coraz namiętniej, nachalniej, nie dając złapać powietrza.

– Idziemy do mnie? – zaproponował, pociągając mnie za rękę w stronę pobliskiego blokowiska.

– Myślałam, że najpierw się poznamy – powiedziałam nieśmiało, bo może teraz tak się właśnie rodzą związki, a ja jestem nie na czasie.

– Poznać możemy się zawsze po seksie. – Uśmiechnął się, a jego uśmiech wydał mi się nagle obleśny, jak cały on.

Odwróciłam się na pięcie. Biegłam w stronę domu, kiedy za moimi plecami usłyszałam jeszcze głośny krzyk: „Suka!”. „Więc tylko o seks mu chodziło” – zrozumiałam. Dotarło do mnie również, że wraz z utratą kandydata na męża straciłam też laptop, bo drugi raz do tego sklepu nie pójdę. Tak zdecydowałam.

Pierwszy sklep z elektroniką

• *Zakupione sprzęty: 0*

• *Kandydatów na męża: 1 (chwilowy)*

• *Liczba randek: 1 (krótka)*

• *Minuty spędzone na szykowaniu do wyjścia: 83 (prawie półtorej godziny życia zmarnowane na szykowaniu się na pięciominutową randkę)*

• *Zalety randki: całowałam się pierwszy raz od zerwania z Marcinem*

SKLEP NUMER 2

Kandydata na męża brak. Laptop też nie chce współpracować. Vaio zostało przekreślone przez swojego namolnego reklamodawcę i nie wiem, co robić. „Kolejna galeria” – pomyślałam. Wyjęłam z szafy tony ciuchów i zastanawiałam się, co włożyć. Wygrała prostota, inaczej niż wczoraj. Postanowiłam być sobą, nie chciałam udawać.

Tym razem musiałam jechać tramwajem. Ludzie na przystanku rozmawiali o tym, że ma przyjść cieplejszy front z zachodu, a ja zastanawiałam się, o co im chodziło. Była połowa marca, piętnaście stopni, a im jeszcze mało. Starsza pani w śmiesznym kapeluszu tłumaczyła innej, że emerytury jej braknie na rajstopy, jak będzie musiała dziennie po dwie pary zakładać na siebie. Nie chciałam ich słuchać, lecz mówiły tak głośno, że nawet głuchy by usłyszał.

Tramwaj przyjechał. Wsiadłam, zajęłam miejsce i czekałam, aż pani miłym głosem oznajmi nazwę mojego przystanku, bym mogła wysiąść. Kocham jeździć miejskim transportem. Patrząc, jak warszawiacy czytają książki, choć coraz rzadziej są to wersje papierowe. Baśka mówi, że wygodniej w podróży czytać z kindle’a, ale ja nigdy nie zamienię papieru na czytnik. Książki to jedno z moich uzależnień. Jedyne pozytywne, jak mawia moja matka, wciąż niezadowolona z wyboru mojej drogi życiowej. Według niej powinnam jak Baśka pracować w dużym wydawnictwie, zajmować się czytaniem książek debutantów oraz decydowaniem, czy ich dzieło trafi na księgarskie półki. To też było moim marzeniem, dopóki matka nie zaczęła opowiadać swoim koleżankom z żywego różańca, żeby pisały książki, bo jej córka pomoże im je wydać. Nawet kiedyś myślałam, żeby zrobić podyplomówkę z edytorstwa, ale jakoś mi to się gryzie z zawodem kosmetyczki. Na szczęście mama nie zabiła wszystkich moich marzeń. Nazwałabym to raczej „pomocą w dokonaniu wyboru”, którego ona wciąż nie mogła zaakceptować. Do dziś dużo czytam, ale od czasu poszukiwania kandydata na męża książki musiały zejść na bok. „Poczytam, jak będę już żoną” – pomyślałam z uśmiechem. Pani oznajmiła, że to mój przystanek i wraz ze mną z tramwaju wyszła chmara

ludzi. Zapewne tak jak i mnie, nogi pokierują ich w stronę galerii. Aż strach pomyśleć, co kiedyś ludzie robili, jak nie było galerii, kina, teatru.

Po wejściu do galerii znalazłam na planie, gdzie mam się udać w celu zakupu laptopa oraz „przypadkowego” poznania przyszłego męża. Pierwsze piętro. Kierując się ku ruchomym schodom, żałowałam, że tyle osób wpadło na pomysł odwiedzenia dziś centrum handlowego. Nie lubię tłumów, ścisków i tego przypadkowego obcierania się jednej osoby o drugą, z późniejszym rzuceniem nic nieznaczącego „przepraszam”. Wjechałam schodami i zobaczyłam wielki sztyld sklepu. Po raz ostatni zastanowiłam się, czy aby na pewno powinnam wejść, lecz nie znalazłam żadnego słusznego argumentu, który odwiódłby mnie od tego. Ponownie spacerowałam po sklepie, szukając interesującego obiektu. Zaczęłam od działu z książkami i nie pożałowałam. Wysoki brunet z lekkim zarostem wydawał się sensownym kandydatem na męża. Udałam, że szukam czegoś na półkach, a on podszedł i zadał to głupkowate pytanie: „W czym mogę pomóc?”, które muszą zadawać w każdym sklepie.

– Szukam dobrego kryminału na samotny wieczór – odpowiedziałam, wciąż szperając na półkach.

– Mąż wyjechał, więc szykuje się noc z kryminałem? – Zaśmiał się.

– Nie mam męża, narzeczonego ani nawet chłopaka. – Wydawało mi się, że powiedziałam to nawet słodko.

– Przepraszam, nie moja sprawa.

Spuścił głowę i podszedł do jednego z regałów. Stał przed nim chwilę, po czym podał mi jedną z książek.

– Ja zawsze z nim spędzam samotne wieczory, kiedy chcę dobry kryminał. – Podaje mi Larssona. – Znam jego trylogię już chyba na pamięć.

– Zgadzam się – mówię z uśmiechem. – I pomyśleć, że człowiek dopiero po śmierci staje się doceniony.

– Widzę, że mam przed sobą eksperta. – Zaśmiał się chłopak.

Z identyfikatora odczytałam na koszuli jego imię, Igor.

– Do eksperta mi daleko, ale trochę czytam. – Rumienię się mimo woli.

– Może miałyby pani ochotę pogadać kiedyś o książkach? – zapytał, a ja uśmiechnęłam się w myślach do siebie.

– Pewnie, czemu nie. – Wyjęłam z torebki portfel, by podać mu wizytówkę.

Igor patrzył na nią przez chwilę, a potem uważnie mi się przyjrzał.

– Kosmetyczki czytają? – zapytał, a ja pomyślałam, że smutny jest los kobiet takich jak ja, które stereotypowo uważane są za puste, bo dbają nie tylko o swój wygląd, ale też o wygląd innych.

– Potrafimy czasem poskładać sylaby – wypaliłam, on po raz kolejny spuścił głowę. – To będę czekać na telefon – dodałam wesoło, aby nie pomyślał, że się obraziłam.

Czytający mężczyzna, w dodatku chce ze mną rozmawiać o książkach. Idealny, nie może być inaczej. Ponownie zakochana, choć po ostatnich doświadczeniach ostrożniejsza, poszłam jeszcze na stoisko z laptopami. Wybrałam Vaio, mimo iż wciąż pamiętałam pocałunek nachalnego Rafała.

Z uśmiechem na ustach, laptopem w kartonie i nadzieją w sercu wróciłam do domu. Do pełni szczęścia brakowało mi tylko telefonu od idealnego Igora.

SMS od niego przyszedł przed północą. Proponował mi spotkanie jutro, między dziewiętnastą a dwudziestą piętnaście, w jednej z galeriowych kawiarni. Odpisałam krótkie „O” i poszłam spać, doskonale zdając sobie sprawę, że sen jest najlepszym i zarazem najtańszym kosmetykiem dla ludzkiego ciała, a na pewno mojej cery.

* * *

Osiem godzin pracy minęło szybciej niż zwykle. Wybiegłam do domu, aby przejrzeć swój księgozbiór

i przypomnieć opisane w nim historie. Każda z nich inna, każda wyjątkowa, każda warta uwagi. Nawet kiepskie książki wnoszą do naszego życia wyjątkowe opowieści, które dzięki autorowi możemy w myślach przeżywać. Czasem kiepska historia ma wspaniałego autora, on tworzy z niej prawdziwą przygodę dla oczu, duszy i mózgu. Niestety czasem dobre historie spisują ci, którzy pisać nie powinni.

Galeriowa kawiarnia i on przy stoliku. Niecierpliwie zerkał na zegarek, jakbym się spóźniła. Podeszłam do niego, a on wyszczerzył zęby, wskazując siedzenie naprzeciw niego. W dzisiejszym stroju wyglądał zdecydowanie lepiej, niż zapamiętałam go wczoraj.

– Wyglądasz zupełnie inaczej – wymknęło się z moich ust, mimo iż tego nie chciałam.

Widać, że moje słowa sprawiły mu przyjemność. Dopiero teraz zauważam, że jego żuchwa cały czas się rusza, mimo że nic do mnie nie mówi.

– Masz gumę? – Byłam ciekawa, a on w odpowiedzi zrobił balon z gumy i zaczął się śmiać.

– Muszę dbać o zgryz, bo to moja praca – wytłumaczył i wciąż żuł gumę tak, że słyszałam każde mlaśnięcie.

– Zatrudniają was do sklepu tylko z dobrym zgryzem, nie wiedziałam.

– Sklep, kochana, to tylko przykrywka – powiedział i uśmiechnął się pod nosem. – Widzisz przed sobą Mistra Polski.

Spojrzałam na niego i zastanowiłam się, czy to ze mną jest coś nie tak, czy też z nim.

– Nie znam się na całych tych konkursach, ale wiem, że Maślak jest Misterem – wyznałam.

– Maślak, powiadasz? – zakpił, a ja zaczęłam wątpić w to, co powiedziałam. – Maślak to odejdzie w zapomnienie, kiedy odda mi tytuł. Powinien być mi wdzięczny, że dopiero teraz kandyduję, bo dzięki mnie mógł mieć swoje pięć minut sławy.

W myślach przypomniła mi się twarz Rafała, którą regularnie oglądałam na jego fanpage’u. Przystojna, męska, a zarazem delikatna. I to ciało, które nawet przez koszulę nie było podobne do ciała siedzącego naprzeciwko Igora.

– Maślakowi to ty jedynie możesz potrzymać... – Gorączkowo próbowałam zebrać myśli. – ... numerek, kiedy on wychodzi na scenę. Pod warunkiem, że ustoisz za nim.

– Wredotka. – Obliznął wargi. – Lubię takie.

Od tematu udziału w konkursie piękności dla mężczyzn doszliśmy jakoś do książek. Co by nie powiedzieć o samoocenie Igora, to jednak na książkach znał się naprawdę. Rozmawialiśmy właśnie o wysokim poziomie pisania polskich autorów, kiedy zadzwonił jego telefon.

– Laura? – zdziwił się. – Cholera, już jadę – powiedział z grymasem, kiedy kobieta skończyła krzyczeć.

– Laura? – zapytałam.

– To moja sponsorka. – Wstał od stołu i już wychodził, kiedy odwrócił głowę i spojrzał na mnie. – Idziesz?

Nie wiem dlaczego, ale ruszyłam za nim. Byłam ciekawa, co mi powie, jak wyjaśni niezręczną sytuację, jednak dla niego nie była ona krępująca.

– Mówiłem, że mam czas do dwudziestej piętnaście – powiedział z wyrzutem, kiedy wsiedliśmy do nowego passata.

– Wybacz, nie pilnuję twojego kalendarza spotkań towarzyskich – wycodziłam przez zęby, zadowolona ze swojej riposty.

– To nic trudnego. Nauczysz się. – Zaśmiał się. – W poniedziałki i czwartki od dwudziestej piętnaście Laura, w co drugi weekend Kryśka, a w środy Renata.

Nie wierzyłam, że mówi o tym z takim spokojem w głosie. Dla mnie byłby to raczej powód do wstydu, a on wydawał się dumny.

– Jesteś męską prostytutką? – zapytałam, aby się upewnić, że nie żartuje.

– Nazwałbym to raczej „pan do towarzystwa”. – Zapatrzył się przez chwilę na drogę. – Płacą mi za

dobłą zabawę.

– Płacą ci za seks – poprawiłam go.

– Zwał jak zwał, ważne, że kasa jest fajna. W miesiącu mam od pięciu do dziesięciu kafli, a czasem nawet i prezenty, jak to autko, wyjeżdżone już przez Laurę.

– Po co pracujesz w sklepie? – Sama nie wiem, skąd przyszło mi do głowy to pytanie, kiedy było milion ważniejszych.

– To przykrywka dla starych. – Zerknął na mnie. – Czasem wpadają do stolicy i widzą moją chatę, a ze stypendium nie opłaciłbym nawet czynszu. Mówię, że pracuję w sklepie i mam duże premie od sprzedaży, a oni są dumni.

– I chcesz tak zarabiać zawsze? – pytam, ciekawa.

– Maleńka, nie po to wylałem tony potu na siłowni, aby teraz z tego nie skorzystać. Pomyśl, ty byś sobie siedziała w domu i robiła swoje włoski, paznokcie, maseczki, a ja bym wychodził na dwie godziny, tak trzy razy w tygodniu, i żylibyśmy sobie spokojnie. – On mówił całkiem poważnie, a ja zaczęłam się go bać. – Tylko, wiesz, czasem po takim wypadzie nie dałbym rady kochać się z tobą, tak jak z nimi.

– Jesteś obleśny! – krzyczę i proszę, aby się zatrzymał.

Zahamował, a ja wysiadłam. Razem ze mną wysiadły płonne nadzieje, które jeszcze nie oprzytomniały. Mój idealny Igor okazał się prostytutką, a może lepiej prostytutem. Na dodatek nie widział w tym nic złego, nie chciał z tym skończyć, lecz żyć i utrzymywać z tego rodzinę. Partner do dyskusji o książkach ze mną stał się partnerem do łóżka dla innych.

W domu sięgnęłam po kolejną butelkę wina, z tych na „czarną godzinę”. Karol, widząc mnie, o nic nie spytał. Sięgnął po kieliszek dla siebie i podał, abym mu polała. Milczeliśmy tak do dna butelki. Wraz z końcem wina skończył się wieczór.

Drugi sklep z elektroniką

• *Zakupione sprzęty: 1 laptop*

• *Kandydatów na męża: 1 (nawet zainteresowany)*

• *Liczba randek: 1*

• *Liczba ciekawych tematów: tylko książki*

• *Liczba win na pocieszenie: 1*

• *Rada: pytać faceta, jak zarabia na życie, zanim w myślach stworzy się wizję ślubu z nim*

3/4 kwietnia 2015 roku

Odreagowując niepowodzenia ostatniego kwartału, postanowiłam zabrać się za coś przyjemnego. Padło na jajka. Biedne jajka, które jutro włożę do wielkanocnego koszyczka stojącego na szafie. Kiedy byłam mała i coś mi się nie udawało, brałam kredki i blok, siadałam na podłodze i malowałam tak długo, aż poczułam się lepiej. Nie miałam zdolności, nie oczekiwano ode mnie czegoś wielkiego. Pozwalano mi wyrzucić z siebie niechciane uczucia na biały, niczemu niewinny papier. Kredki łamały się pod wpływem mojej wewnętrznej walki emocji, nie chcąc dopuścić do siebie innego koloru niż czerń. Po czerni przychodziła kolej na szarość i tak brnęliśmy aż do żółci, bo biały wydawał mi się niepotrzebny. Moje prace były bez wątpienia kolorowe. Pełne dziecięcej wyobraźni i nieznannej mi do dziś finezji. Tylko w moich pracach widziałam prawdziwą siebie, bez zahamowań, bez strachu o to, czy dobrze mnie zrozumieją. Ja, moje kolorowe kredki oraz biały blok.

Wielkanoc w tym roku wypadła dość wcześnie. Pierwszy tydzień kwietnia i potem prawie dziewięć miesięcy czekania na następne święta.

Nastawiłam trzydzieści jajek, na zapas, jakby wena przyszła i nie chciała odejść. Uszykowałam pędzelek, farbki i kilka wzorów wydrukowanych z internetu, zaczynając od najbardziej mrocznych do tych przesłodzonych, kolorowych. Kiedy jajka gotowały się na palniku, postanowiłam pójść do pokoju,

ściągnąć koszyk. Z radością przemierzałam kuchnię, przedpokój, aż nagle trach... Leżałam na kafelkach i patrzyłam za siebie. „Cholerne krzywe płytki” – pomyślałam, chcąc wstać, lecz nie mogłam się podnieść. Doczołgałam się do szafki na buty i opierając się o nią, postanowiłam ponownie spróbować się podnieść.

– AUUU! – zawyłam.

Spojrzałam na stopę i zauważyłam lekkie wybrzuszenie w miejscu, gdzie go wcześniej nie było. Otaczające je spuchnięcie mówiło samo za siebie. Sięgnęłam po komórkę i wybrałam numer sto dwanaście.

– Słucham? – zapytała kobieta po drugiej stronie.

– Złamałam nogę – powiedziałam.

– Nie pani jedna. – Brzmiała obojętnie.

– Poproszę karetkę – zażądałam, a ona zaśmiała się do słuchawki.

– Do taksówki dupę pakować, a nie karetki umierającym odbierać – rzuciła i rozłączyła się.

Może i miała rację. Jednak nie wiedziała, jak ja cierpię. Zadzwoiłam po taksówkę i, obiecując dodatkową zapłatę, poprosiłam, aby kierowca wszedł do góry. Pięć minut później jechałam już windą na dół, w towarzystwie starszego pana z dość okazałym brzuszkiem.

– Do szpitala? – chciał się upewnić, a ja kiwnęłam tylko potakująco głową.

Dojechaliśmy po piętnastu minutach. Dałam kierowcy sto złotych, nie prosząc o resztę, za co wdzięczny odprowadził mnie aż do izby przyjęć. Podeszłam do okienka, podałam dowód i siedząc na plastikowym krześle, czekałam na swoją kolej. Obserwowałam ludzi dookoła i zastanawiałam się, skąd się wzięła nazwa „pogotowie”. Najsensowniejszym wytłumaczeniem wydawał się splot „pomóc” oraz „gotowi”, jednak nijak się to miało do atmosfery tu panującej. Obojętni wszystkim chorzy, ranni, połamani, siedzieli na kolorowych krzesłach, mijani przez personel szpitala. O polskiej służbie zdrowia każdy słyszał wystarczająco dużo, jednak wysiadanie w szpitalnym korytarzu pokazało mi jeszcze gorsze realia. Ranny w ramię chłopak, z zaciśniętą koszulą na przedramieniu, mającą najwyraźniej pełnić rolę opaski uciskowej, wydawał się sinieć z minuty na minutę. „Chyba chcą, żebyśmy się sami wykończyli” – pomyślałam, spoglądając, jak chłopak sinieje jeszcze bardziej, a mijająca go pielęgniarka uśmiecha się do niego sztucznie, jakby miała tym pomóc.

– Pilny przypadek! – woła głos znajdujący się przy drzwiach wejściowych. – Bezdomny, przemarzał w chłodni.

– Co on tam robił? – zapytał lekarz znajdujący się najbliżej.

– Ktoś nieumyślnie go tam zamknął, kiedy wszedł po ryby.

– Ryby? Na Wielkanoc się jajka gotuje, a nie ryby wcina – burknął niezadowolony lekarz i odszedł, pozostawiając kolejnego pacjenta na pastwę losu.

Mężczyzna, który przywiózł włóczęgę, ulokował się na krześle obok mnie. Zdjął kurtkę, przykrył nią wyraźnie wyziębionego bezdomnego.

– I to jest służba zdrowia? – zapytał, bardziej sam siebie.

– Powinno się ich raczej nazywać „służba grób” lub „pogrobowiec” – syknęłam, a mężczyzna obok roześmiał się.

Siedzieliśmy, czekając na swoją kolej. Siniejący chłopak trafił na OIOM (uznano jego stan za ciężki). Następna była babcia z drugim zawałem, potem odwodnione dziecko i ja, jedynie połamana. Prześwietlenie stopy, diagnoza i gips. Cztery godziny czekania, a dziesięć minut roboty. Z gipsem do połowy łydki, zwolnieniem w rękę i humorem gorszym niż po jakiegokolwiek randce wyszłam z gabinetu i zadzwoniłam do Karola.

– Co jest, Berka?

– Odbierzesz mnie ze szpitala? – zapytałam cicho.

– Ciebie? – nie dowierzał.

– Złamałam kostkę – wytłumaczyłam krótko.

– Jak?

– Potknęłam się – wydukałam, zła, że woli mnie teraz przepytawać, zamiast wsiąść w samochód i przyjechać. – O fugę.

– O co? – udał, że nie usłyszał, lecz wiedziałam, że to głos zdziwienia, który zaraz zamieni się w śmiech.

– O F-U-G-Ę – przeliterowałam cierpliwie, a on wybuchł śmiechem, jak przewidywałam.

Pożegnał się krótkim stwierdzeniem, że już jedzie, a ja ponownie zasiadłam na plastikowym krześle. W tym momencie z gabinetu wyszedł zdenerwowany mężczyzna, ten od bezdomnego, i zaczął kopać nogą w ścianę.

– Radzę nie kopać, bo skończy się jak ze mną – powiedziałam.

– Oni mnie do grobu wpędzą – wyznał. – Mówią, że to moja wina, że pan Józek jest w takim stanie, mogłem mówić, że to pilne, a nie cierpliwie dawałem mu się wychładzać.

– Przecież pan mówił...

– Wiem, wiem, wiem właśnie – przerwał mi. – Zaraz ja dostanę zawału, a zanim mnie zauważą, to będę po tamtej stronie.

– Niech pan tak nie mówi – poprosiłam.

– Czy mogę panią o coś prosić? – Usiadł obok mnie. – Jeśli faktycznie bym zaraz tutaj umarł, niech pani powie mojej narzeczonej, żeby do trumny włożyła mi Playstation 4. Tylko całe. I jakąś grę, może *GTA V*. Dopiero je kupiłem, a tu już przychodzi mi umierać. Jak się obudzę w zaświatach, chociaż się nie będę nudził, rozumie pani? Chociaż tam mogą nie mieć internetu. – Zamyślił się.

– Przekażę. – Zaśmiałam się, lecz on najwyraźniej mówił całkiem poważnie.

Mężczyzna wstał, ponownie wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Nie dziwiłam mu się, że był zdenerwowany. Sama też bym tak zareagowała na jego miejscu. No może zamiast Playstation 4 poprosiłabym o *Małego Księcia*, żebym mogła czytać coś, co mi się nie znudzi.

* * *

– Wow, Berka, seksi gipsik – zaśmiał się Karol, patrząc na moją ogromną nogę.

– Jedźmy już – poprosiłam, a on podał mi rękę.

Złapał mnie w talii i zaprowadził do zaparkowanego w pobliżu lanosa.

– Zapraszam do karocy, księżniczko. – Otworzył przede mną drzwi i pomógł mi wsiąść.

– Karocą to może to było do północy, jednak teraz znów jest zwykłą dynią – zakpiłam i szybko tego pożałowałam, bo co by nie powiedzieć, to jednak ta dynia wiozła mnie i moją złamaną kostkę do domu.

– Ile? – zapytał Karol.

– Sześć tygodni – odpowiedziałam ze smutkiem.

Karol już o nic nie pytał. Ja też nie miałam ochoty na rozmowę. Czułam się źle, naprawdę źle. Wizja świąt w gipsie, myśl o mijającym czasie i postanowieniu, któremu chcę sprostać, były dla mnie zbyt uciążliwe. Marzyłam, aby zamknąć się w moim pokoju, położyć się na świeżo zmienionej rano pościeli i zasnąć na minimum sześć tygodni.

Dojechaliśmy przed blok, Karol uczynnie pomógł mi wsiąść i poprowadził w stronę klatki.

– To oni! – krzyknęła jakaś kobieta, a dwóch strażaków podbiegło do nas.

Dopiero teraz zauważyliśmy, że przed blokiem stoją trzy wozy straży pożarnej, policja i tłum gapiów.

– Czy państwo mieszkają pod numerem sześćdziesiąt pięć? – zapytał jeden ze strażaków, a my jednocześnie kiwnęliśmy głowami.

– Cholera, jajka! – przypomniałam sobie, puściłam Karola i zaczęłam biec.

Przebiegłam góra trzy metry, po czym wylądowałam twardo na betonie, omal nie łamiąc sobie biodra.

– Ogłupiałaś?! – krzyknął na mnie Karol, a mnie zrobiło się naprawdę głupio.

Czasu nie cofnę, a zdrowia nie kupię, gdy stracę. Czekaliśmy kilka minut na strażaków, którzy właśnie kończyli gasić pożar w naszym mieszkaniu.

– Nie mam dobrych wieści – zaczął strażak, kiedy reszta zespołu pakowała się do wozów. – Musicie państwo wymienić drzwi, bo musieliśmy je niestety wyważyć. Przyda się też malowanie, i to nie tylko kuchni, bo przedpokój i część korytarza na pewno też ucierpiały – mówił spokojnie. – I jeszcze jedno, niestety jajek nie udało nam się uratować. – Spojrzał z uśmiechem na Karola, który odwzajemnił jego uśmiech.

– Jak to się w ogóle stało? – zapytałam, choć sama mogłam postawić hipotezę.

– Wstawiła pani jajka, gotowała je pani na małym ogniu i gdyby było ich tam pięć do dziesięciu sztuk, to nie doszłoby do pożaru, jednak podczas gotowania jajka w garnku zaczęły rytmicznie podskakiwać, strącając leżącą w pobliżu ścierkę, a dalej chyba sama pani potrafi połączyć fakty – wyznał strażak i odszedł do wozu.

Przy wejściu do klatki zaczepiła nas jeszcze sąsiadka, mówiąc, jaka to jestem nieodpowiedzialna i że daruje mi malowanie w święta, ale najpóźniej w środę klatka ma być w kolorach narzuconych przez spółdzielnię, a nie dym. Dodała, jakie niebezpieczne było to wszystko, co zrobiłam, dla jej zdrowia i że recepty na pozbycie się z organizmu tlenu węgla przyniesie mi jutro rano, bo lekarz Czaromski już jej wypisał stosowny druczek.

Wymijając sąsiadkę, weszliśmy do klatki i pojechaliśmy windą do góry. Oboje zastanawialiśmy się, co zastaniemy w mieszkaniu. Słowa strażaka nie przerażały, jednak patrząc na jego pozytywny stosunek do świata, mogło się okazać, że w mieszkaniu nic nie pozostało. Winda zatrzymała się. Wyszliśmy, zobaczyliśmy czarny nalot wokół naszej futryny i drzwi leżące na podłodze przedpokoju.

– Zadzwoń do Staśka, jego brat pracuje w Castoramie, na dziale z drzwiami – powiedział Karol, po czym udał się do swojego pokoju.

Dzielnie stanęłam w kuchni. Oglądałam ją dookoła, jak nigdy wcześniej, i cieszyłam się, że bardziej przypomina aniżeli odbiega od tej przed pożarem. Firanki trzeba będzie wyrzucić, żaluzje wymienić na nowe, a kuchenkę porządnie wyszorować cifem z pięć razy. Sama nie wiem czemu, ale otworzyłam lodówkę i zerknęłam ukradkiem na półkę z winami, odłożonymi jakiś czas temu na czarną godzinę.

– Jak by nie patrzeć, jakaś godzina jest i jest czarno, więc wino się należy – nakrył mnie Karol.

– A drzwi? – zapytałam.

– Stasiek i jego brat będą dopiero jutro rano, więc szykuje nam się noc na czatach. – Zaśmiał się.

– Jesteś zły? – zapytałam smutno, a on uśmiechnął się.

– Cieszę się, że ciebie tutaj nie było, kiedy się paliło, bo mogło być zupełnie inaczej – powiedział i przytulił mnie do siebie.

Wyjęłam wino, potem drugie, trzecie i czwarte. Siedzieliśmy w czarnej od dymu kuchni całą noc, nie zważając na smród spalenizny. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, doskonale czując się w swoim towarzystwie. W myślach cieszyłam się, że właśnie na Karola trafiłam, kiedy dałam do gazety ogłoszenie, że szukam współlokatora. Nie mogłam trafić lepiej. Karol miał w sobie coś intrygującego, wydawał się skryty i czasami lekko nieobecny. Po latach wspólnego mieszkania wiedziałam, że jego dystans spowodowany był sytuacją rodzinną, którą trudno zrozumieć, a co dopiero wytłumaczyć. Brat, Marek, odzywał się sporadycznie, zwykle w urodziny, dzwoniąc na Skypie. Rzucił opowieściami z życia na misji, które wydawały się aż nierealne. Matka, goniąca za karierą, od lat mieszkająca za oceanem, również nie była powodem do dumy. Pogrążona w żałobie po mężu, wyjechała na pół roku, ale osiadła na stałe, zapominając o swoich synach. Chyba właśnie ten brak kontaktu był dla Karola najtrudniejszy. Nie dość, że ojca stracił w wypadku samochodowym, to jeszcze matkę, która uciekła układać sobie ponownie życie. Tego Karol nie mógł jej wybaczyć.

– Berka, przynieś no tę twoją listę – powiedział Karol, kiedy druga butelka wina była pusta.

– Po co? – zapytałam pijanym głosem.

– Dopisz, że ten twój mąż to musi mieć samochód, żeby mógł cię z pogotowia odbierać. – Czknęło mu się.

– Pogrobowca, Karol, pogrobowca – wydusiłam z siebie i wybuchliśmy śmiechem.

– Jak mi w informatyce będzie źle szło, to otworzę zakład pogrzebowy przy szpitalu. – Zaśmiał się sam ze swojego żartu, a ja mu zawtórowałam.

– I nazwiesz go „Z pogrobowca do podziemi” – dodałam coś od siebie do jego pomysłu.

* * *

Stasiek i jego brat przyszli koło dziewiątej trzydzieści, kiedy wspólnie z Karolem zabraliśmy się za malowanie jajek. Tym razem pilnowaliśmy ich cały czas, zaglądając do garnka, czy aby za wysoko nie skaczą, jak poprzednie.

– A wy co? – zapytał Stasiek, kiedy wszedł do kuchni.

– Malujemy pisanki – zaśmiał się wstawiony jeszcze lekko Karol.

– Pisanki? – dopytywał się ten drugi, brat Staśka.

– No do koszyczka, dziś Wielka Sobota – wytłumaczył Karol, jednak to nie przekonało chłopaków.

Postanowili jak najszybciej wykonać swoją robotę i zjechali po stare drzwi, które mieli w samochodzie. Zamontowali je, powiedzieli, że na razie muszą nam wystarczyć, bo wszystkie sklepy są zamknięte. Wychodząc, życzyli miłego święcenia jajek i tyle ich widziałam.

Kilka minut później, kiedy już położyliśmy się do łóżek, usłyszałam głośnie pukanie do drzwi. Pewna, że to Stasiek, krzyknęłam:

– Idź se jaja poświęć, może je ktoś zechce.

– Pani Bernadetto, to ja – usłyszałam głos sąsiadki i wyskoczyłam z łóżka.

Przypomniałam sobie o jej recepcie od doktora Czaromskiego, po czym prędko otworzyłam drzwi. Wzięłam receptę i obiecałam, że jeszcze dziś wykupię leki i przyniosę jej do domu. Zamknęłam drzwi i w myślach powiedziałam: „wredna, stara flądra”, kiedy zza drzwi doszło mnie głośnie:

– Słyszałam!

Byłam padnięta, wróciłam więc do łóżka, by zatopić się w świeżej, pachnącej pościeli. Do uszu włożyłam stopery, leżące na dnie szuflady nocnego stolika, myśląc, że dziś po raz pierwszy przydadzą się w tym mieszkaniu. Ze wspomnieniami pochodzącymi z czasów studenckich zasnęłam twardym, przyjemnym snem.

5 kwietnia 2015 roku

Wielkanoc. Co roku zrywam się o piątej pięć, by na szóstą być w kościele, na rezurekcji. Trzy kółka dookoła starego kościoła, podczas których gra głośnie orkiestra, a dziewczynki w komunijnych szatkach sypią kwiatki i niosą dumnie białe poduszki. Uwielbiam ten widok. Mimo iż nie jestem przesadnie wierząca, to w Wielkanoc zawsze odczuwam potrzebę, by z radością świętować z innymi Zmartwychwstanie. Niestety 2015 rok jest rokiem wyjątkowym. Wyjątkowo pechowym, rzekłabym. Moje nogi nie chcą iść do kościoła, bo gips na jednej z nich jest dość trudny do okiełznania. W tym roku nic mi się nie udaje. Postanowienie, rzucone bez namysłu, zdaje się powoli zakopywać samo, wiedząc, że z każdym kolejnym dniem maleje szansa na jego spełnienie.

Jak na złość moje refleksje przerywa dźwięk komórki. Ledwo zwlekam się z łóżka i sięgam po dzwoniący telefon.

– Mogłabym umrzeć, a wy byście nawet nie zauważyły – słyszę głos mamy.

– Babcia na pewno zaprosiłaby nas na imprezę z tej okazji – żartuję, ale ona się nie śmieje.

– Gdzie ty jesteś, Berka? Babcia kończy dziś osiemdziesiąt osiem lat i wiesz, jakie to dla niej ważne –

mówi z wyrzutem.

– Mam nogę w gipsie – przypominam sobie, że w natłoku ostatnich zdarzeń zapomniałam powiadomić najbliższych o złamanej kostce.

– I teraz mi o tym mówisz? – pyta i jednocześnie krzyczy coś nie do mnie. – Za pół godziny będą po ciebie Agata z Radziem – teraz mówi do mnie i nie czekając na moją odpowiedź, rozłącza się.

„Trzydzieści minut” – myślę i jestem pewna, że w tak krótkim czasie nie dałabym rady wyszykować się do wyjścia ze zdrową nogą, a co dopiero mając jedną w gipsie. Jednak wyobrażenie miny Agaty, kiedy musiałaby chociażby pięć minut na mnie czekać, było bardziej przerażające niż sceny ze wszystkich oglądanych przeze mnie horrorów łącznie. Zdenerwowana Agata była skrzyżowaniem zombie, Golluma i Freddy’ego Kruegera w jednej osobie. Na dodatek przy swoim Radziu musiała się maskować i pewne było, że gdy tylko on zniknie z pola widzenia, ona wystrzeli z atakiem wprost na mnie. Była jak naładowana armata, zawsze gotowa do wystrzału. Nie dziwiło mnie, kiedy oznajmiła, że wybiera się na prawo, miała do tego olbrzymi potencjał osobowościowy.

Założyłam luźną sukienkę, odpowiednią zarówno na Wielkanoc, jak i urodziny babci, niewymagającą ode mnie większej gimnastyki przy jej wkładaniu.

– Karol! – krzyknęłam, a on niczym błyskawica zjawił się w drzwiach mojego pokoju.

– Babcia ma dziś urodziny – wyznałam z miną zawiedzionego dziecka.

– I...? – Nie wiedział, o co mi chodzi.

– Nie mam prezentu – wydusiłam, zdenerwowana.

Karol popatrzył na mnie chwilę, po czym poszedł do swojego pokoju. „No tak, nie jego sprawa” – pomyślałam zła i zaczęłam rozglądać się po pokoju, w celu szybkiego znalezienia pomysłu na prezent. Czasu było mało, sklepy zamknięte, a wyobrażenie czekającej w samochodzie Agaty mogło tylko dobić człowieka.

– Kupiłem babci Stasi, ale tobie dziś bardziej się przyda. – Z uśmiechem na ustach podał mi zapakowany pakunek.

– Co to? – zapytałam z ciekawości.

– Książka – wyznał i spojrzał na mnie. – Idziesz tak do babci?

Spojrzałam w dół i zobaczyłam różową skarpetkę z uszami, otulającą mój gips. Założyłam ją, żeby nie widzieć białego paskudztwa na mojej nodze, lecz teraz stanowczo nie pasowała do mojej stylizacji „na szybko”. Ucałowałam Karola w policzek, włożyłam jedną baletkę i pojechałam windą na dół, mając nadzieję, że będę przed kłatką szybciej niż Agata. Niestety. Mina Agaty za kierownicą jej Audi A5 nie wróżyła nic dobrego. Wsiadłam cichutko, chcąc być niezauważoną, lecz jej wzrok w lusterku mówił wszystko. Jej działo armatnie było gotowe do wystrzału. Do wystrzału wprost we mnie.

– Cześć, Berka – rzucił wesoło Radek, a ja po raz kolejny zastanawiałam się, jak on wytrzymuje z moją siostrą. – Co masz dla babci?

– Książkę – wyznałam i miałam nadzieję, że nie zapyta jaką.

– *Greya* to babcia raczej czytać nie będzie. – Agata ponownie wysłała mi sygnał ostrzegawczy.

– Ja *Greya* nie czytałam, ale ty widać jesteś znawcą – prychnęłam, a ona oblała się rumieńcem.

„Tu cię mam – pomyślałam, ale zostawiłam to dla siebie. – Wykorzystam to przed ostatecznym wystrzałem jej działa”.

* * *

Babcia w przesadnie kolorowej sukni w kwiaty wyglądała niby zwyczajnie. Przyzwyczała nas do swoich pstrokatych kreacji, urozmaiconych niepasującymi do siebie dodatkami. Dziś nie mogło być inaczej. Do kwiecistej sukni dobrała zieloną apaszkę w jasnożółte groszki i niebieski naszyjnik z sutaszu, kupiony na bożonarodzeniowym kiermaszu przed kościołem.

– Babciu, pięknie wyglądasz – wyznałam i ucałowałam ją w oba policzki. – Niech ci się spełnią twoje marzenia. – Podałam jej prezent.

– A widzisz – zwróciła się do mamy – mówiłaś, że wyglądam tragicznie, a tu mnie chwali młodzież. Ciebie... – Spojrzała na jej złotawą garsonkę. – ...ciebie jedynie nieboszczycy w kostnicy mogliby pochwalić.

– Mówią tak, bo masz dziś urodziny – odpowiedziała mama, lecz babcia się nią nie przejmowała.

Zaprosiła nas do zastawionego stołu, podała czapeczki i piszczałki dla nas, a na swoją głowę założyła różową koronę z naklejonymi dwiema ósemkami.

– Babciu, musimy? – zapytała niezadowolona Agata.

– To tradycja – powiedziała babcia, a Agata nie chciała po raz kolejny się kłócić o to samo.

Wiedziała, że noszenie czapeczki potrwa góra kilka godzin, a awantura z babcią to przynajmniej tydzień milczenia. Agata uważała, że babcia na starość zdzieciniała, ale ja lubiłam te jej pomysły. Kiedy pięć lat temu kupiła pierwsze czapeczki, nie wiedziałam, czego mogę się po niej jeszcze spodziewać. Z roku na rok miała bogatszy asortyment urodzinowy i pewne było, że i dziś nas czymś zaskoczy. Czapeczki, piszczałki i trąbki były już stałym elementem babcinych urodzin.

– Otwieramy prezenty – zakomunikowała babcia z radością dziecka, po czym sięgnęła po trzy zapakowane paczuszki. – Od Agatki i Radzia. – Pokazała nam, triumfalnie podnosząc go do góry.

Delikatnie odwinęła białą wstążkę i zerwała fioletowy papier w czarne kropki.

– Złoty johnnie walker – ucieszyła się, co uradowało Agatę. – Wypijemy go, jak... – Tutaj wskazała na mamę. – ...zdechnie na amen.

– Mamo! – zwróciła jej uwagę mama, lecz babcia tylko puściła do nas oko.

Zabrała się za rozpakowywanie kolejnego prezentu, tego od mamy. Papier w kwiaty został rozerwany w okamgnieniu, a mina babci na widok prezentu nie była już tak radosna, jak wcześniej.

– Kupiłaś mi, żebym miała na twój pogrzeb, rozumiem? – zwróciła się smutno do mamy, pokazując wszystkim czarną bluzkę z broszką róży.

Babcia wyraźnie była zawiedziona i wcale jej się nie dziwiłam. Każdy, kto ją znał, wiedział, że jest ona energiczną, kochającą życie i kolory staruszką. Prezent od mamy należał ewidentnie do tych nietrafionych, które najlepiej potem sprzedać na Allegro.

– Mamo, osiemdziesiąt osiem lat to najwyższa pora na stonowany strój – niby szepnęła to do ucha babci, ale tak głośno, że wszyscy słyszeli.

– Jak ja zazdroszczę Tadeuszowi... – Babcia zamyśliła się na chwilę, po czym spojrzała na mamę. – On mógł się z tobą rozwieść, a ja nie mogę.

Mina mamy się nie zmieniła. Żarty babci ani jej nie śmieszyły, ani nie raziły. Po prawie siedemdziesięciu latach mieszkania z babcią mama nie miała innego wyjścia, jak przyzwyczaić się do jej czarnego humoru. Ostatni prezent był ode mnie. Babcia z błyskiem w oku spojrzała na mnie, licząc, że pod papierem kryje się coś wyjątkowego, a ja miałam nadzieję, że się nie zawiedzie. Mnie też ciekawiło co to. Niebieski, rozdarty w strzępy papier w paski pokrył część podłogi. Babcia przez ułamek sekundy patrzyła na okładkę, a ja marzyłam, aby podniosła ją już do góry. Czekanie ciągnęło się w nieskończoność, lecz w końcu babcia triumfalnie podniosła do góry książkę, a naszym oczom ukazał się tytuł: *Hokus-pokus, czyli magiczne mikstury na każdy dzień roku*. „Prezent dla babci Stasi” – pomyślałam i zdałam sobie sprawę, że to mógł być jedyny dobry podarek dla babci Karola, której życie kręciło się dookoła dziwnych metod leczenia każdej dolegliwości.

– Bereczko – zwróciła się do mnie babcia ze szczerym uśmiechem, co mnie także ucieszyło – rozumiem, że odnalazłaś tutaj przepis dla twojej mamy, abym mogła się delikatnie pozbyć jej z tego świata i chociaż pod koniec życia móc czerpać z niego przyjemność, na jaką zasłużyłam? – zaśmiała się babcia, a ja jej zawtórowałam.

Nawet Radio delikatnie parsknął, ale piorunujące spojrzenie Agaty sprowadziło go na ziemię.

Rozpakowywanie prezentów dobiegło końca, zatem można było spokojnie zacząć jeść i czekać na dalsze atrakcje, które na pewno babcia zorganizowała. Rok temu kazała nam się bawić w podchody i szukać skarbu, którym okazała się jej stara szczeka, dwa lata temu było karaoke z piosenkami z bajek Disneya, trzy lata temu malowaliśmy swoje twarze. Wcześniejsze lata były także pomysłowe, ale z roku na rok babcia przechodziła samą siebie. Zastanawiałam się, jak długo musi koczować w internecie, aby znaleźć takie pomysły i wspomóc samotnie ich realizację.

– To teraz tort, a potem niespodzianka. – Babcia zatarła ręce z radości i gestem wskazała mamie, aby poszła do kuchni po tort.

Osiemdziesiąt osiem świeczek i dwie płonące pochodnie ledwie mieściły się na torcie upieczonym samodzielnie przez jubilatkę. Nastąpiło uroczyste zdmuchnięcie, krojenie i na końcu delektowanie się biszkoptowym tortem z masą truskawkowo-śmietanową nasączonym rumem oraz zdobionym kolorowymi owocami.

– Radziu, chodź ze mną, bo sama sobie nie poradzę – poprosiła babcia, kiedy wszyscy już zjedli tort.

Radzio wstał i poszedł za babcią do jej pokoju. Przyszli z czterema kolorowymi jajami, zrobionymi z balonów. Babcia trzymała w ręku gałąź oraz kawałek czarnego materiału.

– Przesuńmy stół pod okno – zarządziła, a ja, Radzio i Agata posłusznie wykonaliśmy zadanie.

Babcia podała Radziowi fioletowo-różowe jajo, nakazując powiesić je jakieś czterdzieści centymetrów pod żyrandolem. Wszyscy patrzyliśmy na nią i zniecierpliwieni czekaliśmy na dalsze jej wskazówki.

– To są piniaty. – Wskazała na cztery kolorowe jaja. – Każdy z was ma swoje jajo, bo dla każdego przygotowałam coś wyjątkowego. Waszym zadaniem jest uderzać w jajo gałęzią tak długo, aż ono pęknie. Utrudnieniem są zasłonięte oczy, dlatego przypatrzcie się, gdzie jest jajko, żebyście mi żyrandola nie zbili nieudacznie. – Zaśmiała się. – Pierwsza jest Agatka i jajko w jej ulubionych dziecięcych kolorach. Swoją drogą wolałam cię w nich niż w tej szarości.

Agata powstrzymała się od komentarza jedynie ze względu na urodziny babci. W każdym innym dniu dodałaby parę słów od siebie, jednak teraz bez marudzenia dała sobie zakryć oczy i chwyciła gałąź. Radzio dał jej całusa w czoło i zakręcił delikatnie, a my mówiliśmy jej „zimno”, „ciepło”, „gorąco” i „parzy”, po czym ona zaczęła machać zabawnie gałęzią, szukając swojego jaja. Uderzała w nie dość lekko i rzadko celnie, dlatego musieliśmy poczekać kilka minut, zanim wewnątrz jaja ozdobi dywan pod nami. Ostatnie uderzenie, jajko już ledwo wisi i trach! Na ziemi ląduje kilka cukierków i mnóstwo kolorowych karteczek, zapisanych pismem babci.

– Uśmiechaj się, kiedy tego chcesz, a nie kiedy uznasz to za stosowne – Agata przeczytała jedną z kartek, po czym pytająco spojrzała na babcię.

– To twoje osiemdziesiąt osiem sposobów, aby nie być sztywną – zaśmiała się babcia i cała reszta, prócz Agaty oczywiście, także wybuchła śmiechem. – O to mi właśnie chodzi. – Pokazała na nas, a Agata, żeby pokazać swoje rozluźnienie, podniosła delikatnie kąciki swych ust ku górze i zaczęła zbierać karteczki zapisane przez babcię.

– Teraz Radzio. – Babcia poprosiła tym razem mnie o zawieszenie jaja na żyrandolu, a Radek nałożył na oczy opaskę. – Nie wiedziałam, jakie kolory lubisz, ale sądziłam, że jesteś naszą jedyną nadzieją na zmianę mojej młodszej wnuczki, stąd zielone jajko.

– Lubię zielony. – Uśmiechnął się i zaczął uderzać w jajko gałęzią.

Poszło mu zdecydowanie lepiej niż Agacie i już po kilku uderzeniach ujrzeliśmy pod jego stopami kilka cukierków oraz kolorowe kartki ze „złotymi radami”.

– Niech prawo nie będzie dla ciebie jedynie dziedziną naukową, ale i jedną ze stron twojej lateralizacji – przeczytał Radzio i roześmiał się. – Osiemdziesiąt osiem rad jak być dobrym prawnikiem? – zgadywał.

– No prawie, prawie. – Babcia była pod wrażeniem jego spostrzegawczości i błyskotliwości. –

Osiemdziesiąt osiem rad jak na prawie nie zwariować.

Radzio zebrał swoje karteczki, ucałował wdzięcznie babcię w oba policzki i podszedł do Agaty, aby ją przytulić. Nawet tak zimna istota, jak Agata miała serce i na czuły gest swojego partnera zareagowała krótkim uśmiechem.

– Teraz ty. – Wskazała na mamę, każąc Radziowi zawiesić czarno-szare jajo. – Bereczka na końcu, bo mam dla niej coś wyjątkowego.

Mama niechętnie nałożyła opaskę i sięgnęła po gałąź. Widać było, że bawi się w grę babci tylko dlatego, że nie chce jej sprawić przykrości. Kilka lekkich uderzeń nie ruszyło jaja. Zniecierpliwiona babcia krzyknęła, aby mama wyobraziła sobie ją i siła uderzeń była od razu większa, a mina babci okazywała jej satysfakcję z dobrej motywacji. Ostatnie uderzenie i ponownie na dywanie widać kolorowe karteczki, tym razem w otoczeniu ziarenek pestek dyni.

– W twoim wieku cukierki szkodzą bardziej, niż myślisz – rzuciła babcia.

Mama udała, że nie słyszy, podniosła jedną z karteczek i odczytała jej treść:

– Wyjdź do ludzi, nie tylko do sklepu.

– Osiemdziesiąt osiem rad jak nie umrzeć za życia, córeczko! – wykrzyknęła dumna ze swojego pomysłu babcia, a ja w myślach przyznałam jej rację.

Po rozwodzie z ojcem mama zamknęła się w sobie. Już nie była tą towarzyską kobietą, jaką znałam, będąc dzieckiem, a potem nastolatką. Grono jej przyjaciół stopniowo się zmniejszało, aż w końcu została sama. Nikt nie chciał już odwiedzać wiecznie niezadowolonej i obwiniającej wszystkich dookoła za swoje nieszczęścia mamy. Jej jedyną atrakcją były słowne potyczki z babcią, która jej nie oszczędzała, chcąc według mnie raczej ją zmotywować, niż przygnębić.

Nadeszła moja kolej. Chciałam czym prędzej poznać osiemdziesiąt osiem rad, które wymyśliła specjalnie dla mnie. Radzio lokował niebieskie jajko na żyrandolu, a ja z opaską zawiązaną na oczach szukałam gałęzi, aby móc już uderzać w piniatę. Przez krótki czas mogłam znów być dzieckiem. Jak piętnaście lat temu, kiedy w ogromnym ogrodzie Zośki jej tata powiesił zamówionego z zagranicy konia wypchanego cukierkami. Naszym zadaniem było mocno w niego uderzać piąstkami (już wtedy jej tata wiedział, że danie nam czegoś ostrego może się źle skończyć) i czekać, aż masa cukierków runie na ziemię, byśmy mogły je pozbierać. Uderzałyśmy ile sił w rękach, koń w końcu rozerwał się na brzuchu, a Jolka jako pierwsza przyklękła pod nim, łowiąc cukierki i chowając po kieszeniach. Wówczas była słodczolubnym, dość pulchnym łasuchem. Aż dziw, że dziś wygląda, jak wygląda i od roku nie je słodyczy.

Trzymałam gałąź mocno w dłoni, celowałam na oślep, a oni krzyczeli „zimno”, „ciepło”, „gorąco”. Nie czekałam na „parzy”, tylko zamachnęłam się i uderzyłam z całej siły. Trach! Był to zdecydowanie inny odgłos niż przy rozpadnięciu się jajka. Zdjęłam opaskę z oczu, by móc ujrzeć leżące pod moimi stopami kolorowe kartki, kilka cukierków i kilkaset drobinek szkła, pochodzących z wiszącego do niedawna żyrandola.

– Na szczęście. – Babcia klasnęła z radością w dłonie.

Schyliłam się, by sięgnąć jedną z leżących na dywanie kartek.

– Bądź jak mentos – złam jeden „przypadkiem”, drugi z czystą świadomością i idź dumnie przed siebie – przeczytałam i przypomniałam sobie reklamę mentosa sprzed lat.

Pani idąca ulicą w jasnej garsonce, przyglądający się jej mężczyzna i złamany przypadkiem (naprawdę przypadkiem) obcas. Ona siada, zdejmuje but i odrywa obcas najpierw od jednego, potem od drugiego buta, i dumnie idzie dalej przed siebie.

– Osiemdziesiąt osiem rad jak znaleźć męża. – Babcia przytuliła mnie serdecznie. – Tylko osiemdziesiąta ósma jest wyjściem awaryjnym. – Puściła do mnie oko.

– Czyli?

– Złap go na dziecko – wyznała, a za jej plecami rozległ się głośny śmiech.

Jak zahipnotyzowani wpatrywaliśmy się w śmiejącą się szczerze Agatę.

– O, moje rady już zaczęły działać. – Babcia była pewna, że to zasługa jej zapisków na kolorowych kartkach.

– Babciu, idąc za twoją radą, Berka zostanie starą panną, na dodatek z dzieckiem. – Agata wciąż się śmiała, a ja nie chciałam jej zabierać tych jedynych chwil radości, jakie spotkały ją w dorosłym życiu.

Urodziny babci minęły zbyt szybko. Mimo wielu uszczypliwości uznaję je za wyjątkowo udane. Babcia naprawdę się postarała, organizując dla nas piniatową atrakcję, a i dla mnie karteczki mogą stać się inspiracją do realizacji mojego postanowienia.

Powrót do domu wyglądał podobnie jak wyjście z niego. Agata, jej Audi A5 i – chwała Bogu – Radziu. Gdyby nie on, jej działo wystrzeliłoby ze zdwojoną siłą za „złote rady” babci.

– Jak książka? – zapytał Karol, gdy tylko weszłam do domu (musiał słyszeć, jak otwieram kluczem drzwi).

– A wiesz, że trafnie. Babcia cieszyła się, że może znajdzie tam sposób na pozbycie się mojej matki. – Zaśmiałam się, a Karol wraz ze mną.

Doskonale znał moją rodzinę. Mieszkał ze mną wystarczająco długo, aby być świadkiem przynajmniej kilkunastu ich niespodziewanych nalotów. O każdym z członków mojej rodziny potrafił powiedzieć coś dobrego, za co niezwykle go podziwiałam. Ja, mimo iż znałam ich zdecydowanie dłużej, miałam z tym duże trudności, a jemu to przychodziło z łatwością.

Krótką rozmowa z Karolem, szybki prysznic (z kąpieli nici przez sześć tygodni) i spełnienie marzenia o znalezieniu się w łóżku – tak wyglądał wielkanocny wieczór, dopóki nie sięgnęłam po kilka kolorowych karteczek, które miałam w torebce. Czytałam je i przed oczami miałam minę babci, kiedy je pisała.

- *Padłaś, powstań. Pamiętaj, nie wstawaj sama, niech pomoże ci jakiś młodzieniec.*
- *Zatańcz tam, gdzie nikt nie tańczy i czekaj, aż przyłączą się inni.*
- *Uśmiechaj się do ludzi mijanych na ulicy. Może oczarujesz go właśnie swoim uśmiechem, a jeśli nie, to na pewno poprawisz humor chociaż jednej z mijanych osób.*
- *Bądź odważna – wyślij list pod nieznany adres, może dotrze do tego, do którego byś chciała, aby dotarł.*

I to była myśl. Idealna myśl dla mnie.

14 kwietnia 2015 roku

Nadrabianie zaległości książkowych oraz przegląd filmów z listy tych, które chciałam zobaczyć, szły idealnie. Jak tak dalej pójdzie, to wyzwanie „52 książki w rok” zaliczę już podczas rekonwalescencji z gipsem na nodze. Dzielne spisywanie tytułów książek wraz z ich liczbą stron zapełniło już większą część kalendarzowego notatnika. Nic nie wskazywało na to, aby mój świat przez resztę domowej kuracji wyglądał inaczej niż dotychczas. Książki, zielona herbata, filmy oglądane na nowym laptopie i mnóstwo paczek chipsów, które pochłaniam jak nakręcona. Czego można chcieć więcej, jeśli marzyło się o urlopie? A jednak nie są to Kanary ani nawet grecki Kos. Jest to tylko pusty pokój na warszawskiej Ochocie, do którego czasem zagląda strudzony wędrownik, Karol.

Gdyby nie on, moje L4 można by uznać za najgorszą rzecz pod słońcem. Jest idealnym dostawcą chipsów, zaparzaczem herbaty, a i na spacer czasem wyciągnie dookoła bloku.

Biorę w dłonie kolejną książkę, by móc ponownie zatopić się w świecie idealnej miłości. W książkach wszystko jest łatwiejsze. Kłóćą się, godzą, kochają. A w życiu? W życiu jest ciężko. Znalezienie męża w XXI wieku wydaje się trudniejsze niż wejście na Mount Everest. Ci idealni są albo zajęci, albo, jak Karol, wolą facetów. Gdzie zatem poszukiwać owej miłości? Będąc mną, pozostaje chyba jedynie internet, gdzie roi się od zbrojeńców i oszustów.

Pukanie do drzwi. Zwlekłam się z łóżka, choć było to dość trudne. Podskakując na jednej (sprawnej, rzecz jasna) nodze, dotarłam do drzwi. Pukanie nasiliło się. Otworzyłam drzwi, a Zośka, prawie mnie przewracając, wpadła do mieszkania.

– Jak ty wyglądasz! – Po jej minie byłam pewna, że to stwierdzenie, a nie pytanie.

– Jak ktoś ze złamaną kostką? – zgađłam kpiąco.

– Gorzej! – krzyknęła. – Jak będę kiedyś tak wyglądała, to błagam, uśpijcie mnie na czas tej całej rekonesensji.

– Rekonwalescencji – poprawiłam ją, lecz ona nawet tego nie zauważyła.

Weszła do mojego pokoju. Wygodnie usadowiła się na moim łóżku, wyjmując ze swojej dużej torebki wypchaną teczkę z Barbie.

– Mam dla ciebie miłą lekturę na dziś. – Uśmiechnęła się i podała mi teczkę.

Spojrzałam na nią bacznie, bojąc się zajrzeć do środka. „Zośka przynosi mi książkę? I to spakowaną w teczkę?” – zastanawiałam się, podejrzewając bardziej obecność węglika niż przyjemną lekturę. Z sukni Barbie ściągnęłam gumkę, by móc wyjąć zawartość. Nie wierzę! Moim oczom ukazał się tytuł: *Zbawienny wpływ kasztanów na wszystkie rodzaje cery*, pod którym widniały imię i nazwisko Zosi. To niemożliwe. Zosia przez cztery lata nie napisała ani jednego zdania, a dziś przyniosła mi całą pracę, i to z tym głupawym tytułem?

– Czemu mi ją przynosisz? To Baśka jest korektorem. – Miałam jeszcze nadzieję, że ominie mnie czytanie jej pracy.

– Baśka może i zna się na tych całych znaczkach, haczkach, ale co ona może wiedzieć o kosmetyce. – Zośka mówiła to ze współczuciem w głosie.

– Kosmetologii – poprawiłam ją, lecz ona przeczesła tylko swoje włosy palcami.

Nie było innego wyjścia. Usiadłam wygodnie na łóżku i zaczęłam czytać. Już pierwsze zdanie wywołało mój śmiech, kiedy to we wstępie Zosia zamiast opisywać pracę opisała siebie. Postanowiłam darować sobie ten wywód o jej pięknie i doskonałości, i przejść dalej, do pierwszego rozdziału. Czytałam te wypociny i oczom nie wierzyłam. Jak można było tak skrzywdzić pracę, jeśli w ogóle pracą to można nazwać.

– Zośka, błagam cię, powiedz, że nie jesteś aż tak głupia i że to nie ty pisałaś – poprosiłam ją z nadzieją w głosie.

– Aż tak to widać? – zapytała, a mnie kamień spadł z serca.

– Zośka, przeczytaj ten fragment. – Podsunęłam jej pod nos jedną z kartek.

– *Kasztany są darem natury, który należy szanować i zbierać jesienią. Ich zbiór to nie tylko wpływ na branżę kosmetyczną, ale też idealny sposób zarobku, bo za kilogram kasztanów płacą nawet pięćdziesiąt groszy* – czytała spokojnie. – I co w tym dziwnego, sama prawda? – Zośka ewidentnie nie zauważała w przeczytanych słowach nic niepokojącego.

– Spójrz na przypis do tego fragmentu. – Pokazuję jej zapis: „Księga Urodzaju, J. Chrystus, Wyd. ZŁO, 0, s. 7–13”.

Mina Zośki wciąż sugeruje mi, że nie rozumiem, o co mi chodzi. Wyjaśniam jej, że nie ma Księgi Urodzaju, a już na pewno nie napisał jej sam Jezus. Dopiero wtedy zauważam, że do Zosi coś dociera. Powoli, niczym metoda małych kroków stosowana w pracy z dziećmi i niepełnosprawnymi. Siedziała cicho z pochyloną głową, a mnie robiło się jej żal. Jaka by nie była, była przecież moją przyjaciółką. Przytuliłam ją i zapytałam:

– Jak się czujesz?

– Gorzej, niż ty wyglądasz. – Musiało być z nią naprawdę kiepsko.

Zamiast zastanawiać się, jak jej pomóc, przez chwilę pomyślałam o jej prośbie dotyczącej uśpienia jej, kiedy będzie wyglądała gorzej niż ja. „Gdzie dzwonić? Lekarz? Weterynarz?” – zastanawiałam się, nie zdając sobie sprawy, kogo prosi się o takie rzeczy. Ocuciłam się z wyrzutów sumienia, budzących we

mnie współczucie do Zośki.

– Coś ty jej zrobiła? – zapytałam, chcąc dowiedzieć się, dlaczego ktoś zrobił jej takie świństwo.

Przecież nie musiała przyjść z tą pracą do mnie. Mogła od razu zanieść ją na uczelnię i z radością przekazać swojemu promotorowi, który zapewne po przeczytaniu jej wywaliłby Zośkę już na stałe z uczelni. Nie pomogłyby już pewnie pieniądze jej ojca, które były jedynym powodem tego, że Zośka wciąż figurowała na liście studentów.

Zosia spojrzała na mnie i wybuchła rzewnym płaczem.

– Przez przypadek przespałam się z jej chłopakiem, wtedy nawet chyba już narzeczonym – powiedziała, ledwo łapiąc powietrze.

– Jak można przez przypadek się z kimś przespać? – nie rozumiałam.

– Normalnie. – Na myśl o tym wspomnieniu uśmiechnęła się. – Byliśmy w szóstkę na wakacjach. Ja z Krystkiem, Marta z Michem i Kaja z Olem, trzy pary. Ostatniego dnia był grill, na którym ostro poszaleliśmy. Alkohol lał się strumieniami, mieszaaliśmy, co się tylko dało. Czułam, że mam już ciężką głowę, więc poszłam do pokoju. Niestety byłam w takim stanie, że pomyliłam pokoje. Zamiast na prawo, poszłam na lewo, bo były to takie podobne strony. Położyłam się do łóżka i poczułam ciepłe męskie ciało. Byłam pewna, że to Krystek. Zaczęłam się do niego dobierać, a on szybko odwzajemnił moje pieszczoty i stało się. Było ciemno, zrozum – tłumaczyła.

– Nie zauważyłaś, że to nie Krystek? Przecież chyba niejeden raz już się kochaliście... – drażyłam temat.

– Masz rację, ale byłam pijana. Zalana w trupa.

Próbowałam zrozumieć przyjaciółkę, lecz nie mogłam. Wyobraziłam sobie, jaka ja bym była zła na miejscu tamtej dziewczyny i nawet nie dziwił mnie już wybryk z pracą napisaną Zośce.

– Ale jak ona się o tym dowiedziała? Nakryła was? – W opowieści Zosi nie było nic na ten temat.

– Nie do końca... – powiedziała smutno. – Kiedy już skończyliśmy i leżeliśmy obok siebie, upojeni sobą, on powiedział: „Marta, proszę, bądź taka zawsze”, a ja zaczęłam okładać go pięściami.

– Dlaczego? – Znowu nie rozumiałam, Zośka nie była osobą, która miałaby wyrzuty sumienia nawet po przespaniu się z chłopakiem najlepszej przyjaciółki.

– Była Krystka miała na imię Marta, bałam się, że kochał się ze mną, a myślał o niej, a wybaczyć, spójrz na mnie i co widzisz? Sam seks, żadna Marta nie mogła się ze mną równać. Nawet do butów by mi nie sięgała – wyznała dumnie, znów przeczesując swoje włosy.

– To jak Marta się o tym dowiedziała? – Nie chciałam ciągnąć tematu jej zbyt wysokiego mniemania o sobie, bo nie miało to nawet sensu.

– Ten jej facet, jak go kilka razy walnęłam po gębie, zaczął krzyczeć jak baba i ona wtedy przybiegła. Nie musiała za dużo myśleć nad przebiegiem sytuacji, bo i on, i ja byliśmy nago, a na dodatek ja siedziałam na nim okrakiem. – Moja wyobraźnia bez problemu wytworzyła przed moimi oczami tę scenę.

Nie dziwię się owej Marcie, że tak zareagowała. Dziwię się jedynie Zośce, która myślała, że po takim numerze Marta jej wybaczyła i jeszcze charytatywnie pracę napisała. Pamiętam tę Martę z zajęć. Ładna, szczupła szatynka, po którą zawsze po zajęciach przychodził jej chłopak. Zawsze pomocna, miła, wzorowa studentka ze stypendium naukowym.

– A wiesz, co było najgorsze? – Moje wspomnienia przerwał wzburzony głos Zośki.

– Nie mam pojęcia – odburknęłam.

– Że Krystek nie chciał mnie zabrać z powrotem samochodem do Warszawy, a Misiek sam nie miał samochodu, bo Marta prowadziła, i musiałam wracać do stolicy pociągiem. Pociągiem, rozumiesz?! – powiedziała, a ja byłam pewna, że ona nigdy się nie zmieni.

– A co z tym Miśkiem i Martą? – ciekawiło mnie.

– No co? Ona nawet chciała mu wybaczyć, ale jak Krystek mnie rzucił, to wiedziałam, że ktoś musi mnie podziwiać, i zaczęłam się uśmiechać do Miśka, a potem sama się w nim zakochałam. Wpadłam

normalnie, jak mrówka w kompot – wyznała.

– Ty i Misiek? Nie pamiętam tego. – Przyjaciółka mówiła nam o wszystkich swoich facetach.

– Bo nie było o czym. Jak wracaliśmy pociągiem, to byłam tak zła, że musiałam odreagować. – Zaczynałam się bać, co zrobiła biedakowi. – Zaciągnęłam go do łazienki, żeby wiesz sama, no i on doszedł, zanim wszedł, i mrówka wyszła z kompotu – wyjaśniła, a ja nie wiedziałam, czy mam się śmiać z tej historii, czy płakać.

Zośka jeszcze chwilę opowiadała o swoich podbojach łóżkowych, które znałam praktycznie na pamięć. Moim ulubionym była opowieść o zaciągnięciu do łóżka przewodniczącego jury na wyborach Miss Warszawy i zapewnienie sobie tym pewnej i tak korony. Okazało się, że jedyne, co facet miał wspólnego z konkursem piękności, to włączanie muzyki do tańców dziewczyn, a i z korony były nici po tym, jak Zośka powiedziała, że współczuje wszystkim na sali, że muszą oglądać ją taką piękną, kiedy sami nie dosięgają jej nawet do fleka szpilki.

Zośka wyszła, a ja znów wzięłam w dłonie książkę. Usadowiłam się wygodnie na poduchach, by móc odpłynąć w świat fantazji autora, jednak kiedy zaczęłam czytać, do domu wbiegł Karol.

– Berka, ty masz jakieś długi? – zapytał, po czym podał mi plik kopert adresowanych do mnie.

– Jeszcze nie, ale jak będę miała, to powiem ci, żebyś je spłacił, skoro tak się o mnie martwisz. – Zaśmiałam się, a on odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Nie interesowało mnie to. Książka też musiała poczekać. Teraz były ważniejsze rzeczy. Przyszły listy. Listy do mnie. Trzeba było je wszystkie dokładnie przeczytać.

Sposób 5. Do zaczytania jeden krok

Czekałam na te listy od tygodnia. Marzyłam, aby nadeszły. Wierzyłam, że któraś z kartek włożonych w koperty będzie początkiem mojej miłosnej ścieżki. Jak u mamy i taty. Mimo złego zakończenia początku mieli piękne. Kochali się, szanowali, ufali sobie. Wszystko dopóki tata nie zaczął wyjeżdżać w częste delegacje, a mama nie zaczęła się nudzić i czuć samotna. Inaczej byłoby, gdybyśmy z Agatą były młodsze, musiałyby poświęcić nam czas, zając się nami, a tak to została sama, sama z babcią.

Przejrzałam koperty. Rachunek za telefon, składka za ubezpieczenie na życie, oferta kredytu gotówkowego i moje listy. Listy pisane miłością. Mam nadzieję... Bardziej magiczne niż zwykłe SMS-y w dzisiejszych czasach. Kto z młodych pamięta dziś o listach. Pamiętam, jak kiedyś młoda pani w sklepie powiedziała mi, że pisanie znudziło się ludziom, zanim się na dobre zaczęło. „Przestało być modne, zanim weszło w modę” – tak skwitowała te słowa Zośka. Smutne to, lecz prawdziwe. Dziś rozmowy pisane to te na Facebooku, telefonie lub mejle, w których zapominamy o wielu ważnych kiedyś rzeczach. Listy mają swoją historię, nie zginą w cyberprzestrzeni, a i dzięki nim można powiedzieć więcej niż zapisane jest piórem. Skropione perfumami kartki dla ukochanego, słowa spisane pięknym kaligraficznym pismem. Dziś ludziom się nie chce. Nie chce się pisać, nie chce się czekać na odpowiedź tygodniami. Dziś liczy się prędkość wypowiedzi, a nie jakość, co smuci takie osoby jak ja. Smuci mnie z racji mojej miłości do czytania, pochłaniania słów pisanych przez innych, zastanawiania się nad towarzyszącymi im wtedy emocjami i wyobrażanie sobie ich wizji swoimi oczami.

Nim otworzę listy, każdy z nich dotykam niczym największy skarb. Śledzę palcem zapisane przez kogoś na kopercie moje imię i nazwisko. Dotykam go i mam nadzieję, że przez dotyk poczuje, co skrywa serce osoby piszącej.

Wyjmuję pierwszą z kartek i wącham ją. Nie czuję perfum, nie czuję olejku eterycznego, czuję jedynie... stęchliznę.

LIST NUMER 1

Kochana moja!

Przestałem już wierzyć w miłość, aż do dnia, kiedy dostałem Twój list. Jesteś moją nadzieją, nadzieją na zmiany, które chcę wprowadzić w moim życiu. Moje życie nie było dotąd idealne, ale chcę je zmienić, chcę zmienić siebie. Wierzę, że mnie zrozumiesz, i wybaczysz mi, że nie napisałem o sobie całej prawdy w ogłoszeniu, jakie przeczytałaś w gazecie.

Nazywam się Mirek, to o mnie wiesz. Mam 30 lat, z których 3 wyjąć można z mego życiorysu i wyrzucić do śmieci, bo nic nie znaczą. Trzy lata to dużo dla kogoś takiego jak ja. Trzy lata spędzone w więzieniu za popełnienie jednego błędu. Nie bój się, nikogo nie zabiłem. Po prostu znalazłem się w złym miejscu i to wystarczyło. Jestem niewinny, ale nikt mi nie uwierzył. Byłem w pobliżu miejsca zdarzenia, gdzie zostały ślady moich butów, odciski palców. Ja nie wysadziłem tego bankomatu, nie ukradłem znajdujących się w nim pieniędzy. Przez te 3 lata tutaj myślałem, co może jeszcze dobrego spotkać mnie w życiu i wtedy napisałaś Ty. Napisałaś, że szukasz miłości, lecz wszystko układa się nie tak, jak powinno. Skąd ja to znam... Moje życie też miało być inne. Chciałem prowadzić własny sklep z częściami samochodowymi, bo z zawodu jestem mechanikiem. Nawet tu, w zakładzie, pomagam przy samochodach, bo lepsze to niż ciągłe siedzenie w celi i odliczanie dni do wyjścia na zewnątrz. Tutaj nawet powietrze nie jest takie samo jak po Twojej stronie muru.

Nawet jeśli nie chcesz dać nam szansy na coś więcej, proszę Cię, odpisz. Napisz, jak wygląda świat po Twojej stronie, bo to wiele dla mnie znaczy. Jesteś moim jedynym kontaktem ze światem żywych, który chcę podtrzymać.

List pełen emocji i ciepła. Pełen prawdy, jakiej nie chciałam chyba znać. Nie o taką szczerłość mi chodziło. Czytam list ponownie i wiem, że z tego nic nie będzie, nie zaufam komuś, kto od samego początku mnie okłamywał. Tylko czy gdybym знаła prawdę, to czy napisałabym do niego? Sądzę, że nie. Widok liter ZK skreśliłby go już na wstępie. Mimo sprzecznych uczuć biorę jednak kartkę i postanawiam napisać. Nie robię mu nadziei, chcę go jedynie podtrzymać na duchu. To jedyne, co mogę dla niego zrobić. Nie będę kłamała, wyznam, że jedyne, co może nas łączyć, to te listy. Jednak zawsze to lepsze, zawsze to jakaś odskocznia od zgrzybiałych ścian więzienia.

LIST NUMER 2

Wyjmuję z koperty kartkę papieru kancelaryjnego i zaczynam czytać: „Bereniko!”... Nie zamierzam czytać dalej. Porywam kartkę na tysiące małych kawałków, tak drobno, jak tylko mogę. Nawet jeśli dalej napisane było coś pięknego, mnie to nie interesuje. Szkoda mi czasu na kogoś, kto nie spojrział przed pisaniem listu na imię osoby, do której pisze. Niby nic, ale dla mnie znaczy bardzo wiele. Nie chcę być jedną z wielu, chcę czuć się wyjątkowa, a nadawca tego listu na pewno temu nie sprostał. To jakby pomylić szynkę z mielonką. Szynka na pewno byłaby zła, że ktoś sprzedał ją za tanio. Choć w dzisiejszych czasach, czy w mielonce, czy w szynce mięsa jest góra dziesięć procent, reszta to woda, barwniki, ulepszacze i substancje pompujące, po których faktycznie można pomylić sztuczny wytwór z prawdziwą wiejską szynką.

LIST NUMER 3

List z trzeciej koperty już na wstępie różni się od pozostałych. Nie jest pisany piórem czy długopisem, lecz wydrukowany z komputera, co już mi się średnio podoba. „Może brzydko pisze?” – próbuję tłumaczyć autora i zabieram się do czytania.

Bernadetto!

W dzisiejszych czasach tak mało jest mądrych kobiet. Większość to puste niczym opakowanie po zjedzonych chipsach lalunie, próbujące być fajne, żując gumę tak głośno, że słyszałyby nawet Beethoven. Brakuje pięknych, delikatnych, a zarazem elokwentnych dam, które kiedyś nosiły ogromne kapelusze w stylu Królowej Elżbiety. Twój list sprawił, że zaczęłam się zastanawiać, co z Tobą jest nie tak. Czy masz sześćdziesiąt lat i dlatego używasz tak starannego w doborze języka, a może faktycznie jesteś wyjątkowa? Opowiedziałem o Twym liście mojemu przyjacielowi, który powiedział, że wyjątkowe to są bokserki z Batmanem, ale nie kobieta, w dodatku z ogłoszenia. Czy on ma rację? Postanowiłem sam się o tym przekonać.

Prosiłaś, abym napisał coś o sobie, więc piszę, choć nie wiem, co byś chciała wiedzieć. Jestem zagorzałym fanem japońskich kreskówek. Tak, mam 29 lat i oglądam kreskówki, a nawet sam tworzę swoje. Kilka razy spróbowałem swoich sił w konkursach dla twórców anime, lecz niestety konkurencja jest zbyt wielka. Moje życie poświęciłem tej sztuce, bo inaczej o tym mówić nie można. Oglądam wszystko, co produkuje japoński rynek, a potem tworzę swoje opowieści w postaci komiksów. Moi starzy tego nie rozumieją, mówią, że pora iść do pracy, ale ja wiem, że na etacie się zmarnuję. Ja mam talent i ktoś kiedyś go dostrzeże, tylko potrzeba mi czasu. Przecież w Polsce nie może być aż tak źle, ktoś musi wiedzieć, jak odkryć i oszlifować prawdziwy diament.

Jako że moje życie to sztuka, to i moja kobieta musi być ze sztuką związana. Jeśli nie

kochasz anime, to uwierz, że pokochasz, kiedy mnie poznasz na żywo. Mam w swojej szafie genialne stroje postaci z „Dragon Balla”, a Ciebie proszę, byś została moją własną Czarodziejką z Księżyca. Razem zbawimy świat, sprawimy, że każdy pokocha japońskie kreskówki i zechcą je też produkować w Polsce.

Szacun, piękna,

Son Goku

Porażka, katastrofa, apokalipsa – pierwsze słowa, jakie pojawiły się w mej głowie po przeczytaniu trzeciego listu. Japońskie anime, niespełniony artysta, nieudacznik utrzymywany przez rodziców. Gorzej być nie mogło. A może i mogło? Mógł jeszcze przebierać się za żeńskie postacie, ale to zostawił dla swojej wybranki. Przypominam sobie moją listę (te kolumny i wiersze wymyślone przez Karola) i pamiętam, że jednym z warunków była praca. Son Goku pracy nie miał, nie zapowiadało się także, żeby takową dostał w najbliższym czasie, zatem i jego list stał się w kilka sekund tysiącem małych kawałków. Przez chwilę czułam się, jakbym rozdzierała czyjeś serce, lecz świadomie tłumaczyłam sobie, że to tylko głupi list. List, który miał odmienić moje życie i pomóc mi w realizacji postanowienia noworocznego. Ja i Son Goku nie byliśmy sobie przeznaczeni, nie pasowaliśmy do siebie, jak Batman do bokserek. „Swoją drogą idiotyczne to porównanie” – pomyślałam i zaczęłam się śmiać sama do siebie.

LIST NUMER 4

Przedostatni z listów. Czwarta biała koperta, a w niej czwarty list. Zapisany niedbałym „lekarskim” pismem. Trudno rozczytać część wyrazów, ale nie poddałam się i przeczytałam go w całości. Tyle razy mówiono przecież, że nie po okładce ocenia się książkę, tak ja po piśmie nie oceniałam mężczyzny.

Najdroższa z drogich,

Ludzka miłość jest jak matematyka. Dwie smutne samotne dusze łączą się z sobą, tworząc szczęście. Jak dwa minusy dające jeden plus. W każdym z nas są wirujące elektrony, szukające podobnych do siebie cząsteczek ujemnych. Z nich powstają protony, wtedy też mowa o związku między dwojgiem ludzi. Chemia, matematyka i fizyka to najwspanialsze nauki dla ludzi, ich uczuć i emocji.

Wszystko wkoło krzyczy wręcz, że miłość można spotkać na każdym kroku. Chodzę po ulicach, czekam, szukam, nie widzę. Z miłością nie jest jak z całkami, na które zawsze znajdzie się odpowiedź. Trzeba posiedzieć nad nią dłużej. Widać nie każdy może bez problemu nauczyć się dwustu liczb po przecinku przy liczbie π (Pi), dostępnych na łamach Wikipedii.

Moim największym marzeniem jest znaleźć mój drugi atom. Ja jestem jednym, Ty możesz zostać drugim. Człowiek do życia potrzebuje tlenu, a on właśnie składa się z dwóch pięknych atomów. Wiadomo, że w życiu dwóch atomów może kiedyś pojawić się trzeci, szkodliwy (tak zawsze nazywam ozon, który jest trójcząsteczkowy), ale wierzę, że miłość bez zdrady i rozkładu wybuchowego jest możliwa. Wierzę, że w życiu może mnie spotkać jeszcze coś tak pięknego, jak twierdzenie Talesa w geometrii euklidesowej, które przetrwało w świecie nauki do dziś dnia.

Czytałem Twój list i czułem, jak efekt cieplarniany dotyka mojego serca, jak topi lodowiec pozostawiony po ostatnim, nieudanym związku. Nasze elektrony nie utworzyły wiązania kowalencyjnego, a nasz związek był jak spalanie wodoru w tlenie, które zakończyło się wielkim fiaskiem.

Podobno nie wszystko dookoła nas da się wytłumaczyć naukowo. Ponoć są zjawiska niewytłumaczalne, ale według mnie to tylko kwestia czasu. Skoro na elipsie ziemskiej chodzą

ludzie i nie spadają, to magia nauki musi istnieć. Zostań moją własną grawitacją.

Pozdrawiam ciepło,

Ludwik

PS Twoje imię, Bernadetto, jest tak wyjątkowe, że postanowiłem wyjaśnić jego znaczenie. Jest ono powiązane z teorią strun, według której przestrzeń, w której żyjemy, ma przynajmniej 10 wymiarów. 10 wymiarów i 10 liter w Twoim imieniu, to nie może być przypadek.

Niewiarygodne. Nigdy nie byłam królową nauk ścisłych, ale coś z nich wciąż pamiętałam, bo kosmetologia też z nimi współpracuje. Może nie tak, jak Ludwik, ale na pewno choć częściowo. List Ludwika zaliczę do wyjątkowych. Nie odpiszę na niego, ale zachowam i będę wyjmowała, kiedy nadejdą gorsze dni. A może i zechcę kiedyś nauczyć się dwustu liczb po przecinku w liczbie Pi, aby znaleźć miłość, tworząc z partnerem moją własną cząsteczkę.

LIST NUMER 5

Ostatni z listów. Moja ostatnia nadzieja na znalezienie partnera sposobem mojej mamy. Szkoda, że nie zapytałam jej, jak długo ona szukała tego jedyne. Czy był to jeden list, a potem została trafiona strzałą Amora, a może kilkanaście lub kilkadziesiąt nieudanych prób, by w końcu pojawił się on.

Z lękiem wzięłam do ręki ostatnią z kopert. Moje palce były spocone, a serce kołatało, jakby było na rockowym koncercie. Otworzyłam delikatnie, wyjęłam list i zatraciłam się po raz kolejny w wyjątkowej lekturze, chcąc wejść w głąb myśli nadawcy. Listy były dla mnie w pewnym sensie lustrem, w którym doszukiwałam się człowieka podobnego do mnie.

Berko,

Listy nie są moją mocną stroną, ale skoro zamieściłem swój anons w gazecie, mogłem przypuszczać, że kiedyś może ktoś napisze, a ja zechcę to dalej ciągnąć. Moje słowa mogą układać się chaotycznie, lecz wierzę, że je zrozumiesz. Z pisania nigdy dobry nie byłem, nie leżało to w moich życiowych celach.

Czytałem Twój list kilkakrotnie, próbując dowiedzieć się, kim naprawdę jesteś. Zakochana w książkach kosmetyczka to zdecydowanie za mało jak dla mnie. Chciałem wiedzieć więcej, więc analizowałem każde z Twoich słów.

Mam nadzieję, że nie obrazisz za szczegółową analizę Ciebie, ale jestem psychologiem i robię to na każdym kroku, mimo iż nie chcę. Moi znajomi śmieją się, żebym zanalizował siebie, ale to za trudne wyzwanie. Wracając do Ciebie, bo Ty jesteś tą ważniejszą w tej chwili, chcę Ci powiedzieć, że nie doszukałem się w Tobie żadnych zaburzeń osobowości, jakie miewają zazwyczaj dziewczyny z ogłoszeń. Pisałem do kilku, ale nigdy nie wymieniliśmy więcej niż jednego listu. Z Tobą chcę, aby było inaczej. Niestety nie mieszkam w Warszawie, ale przecież miłość nie zna kilometrów. Chciałbym bliżej Ciebie poznać i przekonać się, czy naprawdę jesteś tak ciepłą istotą jak ta, którą odnalazłem w liście. Jeśli będziesz miała ochotę się spotkać, to zadzwoń, na dole podaję mój numer.

Czekam na znak,

Sławek

Wzięłam komórkę i natychmiast wykręciłam zapisany na końcu listu numer. Po dwóch sygnałach odebrał, przedstawił się i czekał na moje słowa.

– Przeczytałem twój list i dzwonię – powiedziałam.

– Berka? – Chciał się upewnić, a ja wydukałam głupie yhy-hm. – Czyżby to znaczyło, że chcesz się ze mną spotkać?

– Nie to żebym była zdesperowana, ale przydałaby mi się dokładna analiza psychologiczna, jeśli to możliwe. – Śmiałam się sama ze swoich słów, a on po chwili mi zawtórował.

– Będę w weekend w Warszawie, mam szkolenie z psychologii klinicznej i trochę czasu na zwiedzanie stolicy też się znajdzie. – Głos Sławka był bardzo przyjemny.

– Może umówimy się jednak bez zwiedzania? Mam nogę w gipsie, a chyba nie chcesz mnie nosić. Może kawiarnia To Lubię, na starówce? – zaproponowałam.

– To sobota, godzina siedemnasta, w To Lubię – ustalił i rozłączył się, a ja już myślałam o sobocie.

* * *

Sobota przyszła szybciej, niż myślałam. Przywitała mnie promieniami słońca, wpadającymi do mojej sypialni. Od samego rana było pięknie. Ptaki powoli zaczynały ćwierkać, oznajmiając światu, że wiosna nadeszła i pora wyjść z domów. Ich śpiew dotarł i do mnie. Wiedziałam, że dziś czeka mnie coś wyjątkowego. Dziś miałam poznać mojego tatę sprzed lat. Znaczą jak mama kiedyś tatę, tak ja dziś Sławka.

W To Lubię byłam kilka minut przed czasem. No może nie kilka, tylko kilkadziesiąt, ale lepiej poczekać, niż się spóźnić. Siedziałam przy stoliku, zastanawiając się, który z wchodzących mężczyzn to on. Nie ustaliliśmy, jak się poznamy, ale wiedział, że mam nogę w gipsie, jako jedyna w kawiarni. Ludzie wchodzili i wychodzili. Siedemnasta minęła, a jego nie było. Zjawił się dwadzieścia minut później, trzymając różę w dłoni. Podał mi ją, ucałował przyjaźnie w oba policzki i zajął miejsce naprzeciw mnie. On zamówił kawę, ja poprosiłam o herbatę i nastała cisza. Miałam czas, aby przyjrzeć mu się. Szczupły, żeby nie użyć określenia „chudy”, blondyn w okularach z ładnymi oprawkami. Twarz nawet przyjemna, choć uśmiech nie był jej stałym bywalcem.

– Zobacz tamtego. – Pokazał na jednego z siedzących po prawej chłopaków. – Cały czas przytupuje nogą, widać już na pierwszy rzut oka, że ma nieleczoną nerwicę.

– Aha. – To było jedyne, co przyszło mi do głowy.

– A tamta baba w kapeluszu... – Skierował swój wzrok za moje plecy i chciał, abym i ja tam spojrzała. – ...ma ewidentny problem z realnym wizerunkiem swojej osoby, nie wie, kim jest, lecz wie, za kogo chce być uważana.

– Aha.

– A tamten facet z tą laską w rogu... – Spojrzał mało dyskretnie na całującą się parę w ciemnym kącie kawiarni. – ...powinien odwiedzić seksuologa, bo podchodzi do swojej partnerki bardzo przedmiotowo. Łatwo zauważyć, że zależy mu tylko na jej walorach estetycznych, a nie na głębszym uczuciu.

– Głębiej też ją sprawdza – wymknęło mi się, kiedy zauważyłam, jak facet wkłada partnerce język do ust.

– Oj, Berka, Berka, jak ty się na psychologii nic nie znasz. – Pokiwał smutno głową.

– Nie każdy jest takim geniuszem jak ty – powiedziałam drwiąco.

– No nie każdy, tego trzeba się nauczyć. – Nie wsłuchał się w ton mojej wypowiedzi.

– A mnie co dolega? – Ciekawiło mnie, co u mnie stwierdzi pan psycholog od siedmiu boleści.

– Ty masz problemy z okazaniem swoich emocji. Zobacz, siedzimy tutaj... – Spojrzał na zegarek. – ...dwadzieścia minut, a ty wciąż nie dotknęłaś mej dłoni, mimo iż położyłem ją blisko twojej.

Spojrzałam na niego i w jednej chwili zrozumiałam, czemu on nadal jest sam. Nie można być z kimś, kto u każdego widzi jakieś zaburzenia. Nawet Monia w swych teoriach zaburzeń psychicznych nie jest tak perfidna i przesadna, jak on.

– A wiesz, co ja myślę? – zapytałam i nie czekając na jego odpowiedź, ciągnęłam dalej. – Że może i nie znam się na psychologii tak dobrze, jak ty, ale już po dwudziestu minutach z tobą mogę stwierdzić, że masz jedno z zaburzeń osobowości z wiązki typu B, dotyczące zaburzeń dramatyczno-

niekonsekwentnych, a dokładnie doszukałam się u ciebie narcyzmu – dokończyłam i nie czekając na jego słowa, wyszłam z kawiarni.

Słuchanie opowieści Moniki na coś się przydało. Jej obsesja chorobowo-zaburzeniowa była niczym w porównaniu do tego, co spotkało mnie u Sławka.

Pierwsza (i ostatnia) randka z kandydatem z listów

- *Długość randki: więcej niż pierwsza, mniej niż ostatnia*
- *Tematy poruszone na spotkaniu: brak, jedynie on mówił o zaburzeniach istot nas otaczających (nie włączając w to siebie)*
- *Rada na przyszłość: jak mi się nie podoba facet, to niech on wyjdzie, nie ja. Przez niego nie wypłam znakomitej herbaty w To Lubię, o której chodzą słuchy na mieście.*

20 kwietnia 2015 roku

Nienawidzę poniedziałków. Nawet jeśli nie muszę tego dnia pracować. Mam L4 od dwóch tygodni, a zapuściłam się, jakbym nie wychodziła z domu przynajmniej przez trzy miesiące. Włosy nieumyte, naciągnięte na siebie stare dresy, o których istnieniu już dawno zapomniałam, i ta moja bezmakijażowa twarz. Poszukiwania męża stoją w miejscu, a nawet rzekłabym, że się cofnęły. Nieudana randka ze Sławkiem zakopała moje listowne marzenia głębiej niż jądro wewnętrzne naszej planety.

– Co jest? – Odebrałam telefon, kiedy ledwie zaczął dzwonić.

Osoby na L4, które nudzą się jak ja, tak właśnie reagują, kiedy nagle usłyszą dobrze znany dźwięk.

– O, Berka, szybko – zdziwiła się Baśka. – Mam dla ciebie propozycję, a właściwie już postanowiłam za ciebie. Idziemy dziś o szesnastej na spotkanie autorskie. – Zaśmiała się słodko do słuchawki.

– Mam nogę w gipsie – przypomniałam.

– To pojedziesz taksówką, empik w Arkadii o szesnastej i bez gadania. Będę czekać piętnaście minut przed – powiedziała i rozłączyła się, pozostawiając mnie z głuchą ciszą w słuchawce.

Baśka kochała swoją pracę, znaczy kochała, dopóki się nie okazało, że musi poprawiać „gnioty” gwiazd, znanych z pierwszych stron gazet plotkarskich, a nie prawdziwych autorów, którzy wkładają serce w swoje książki. Baśka coraz częściej niestety miała do czynienia z takimi przypadkami. Jej szef, Borek, dawał jej najgorszą pracę korektorską, bo nie narzekała. Nawet strach powiedzieć głośno, jaki zwrot stylistyczny najczęściej był używany w wypowiedziach gwiazd.

Spotkanie autorskie miało się odbyć za trzy godziny. Miałam wystarczająco czasu na poprawę swego stanu fizycznego, ale nie wiedziałam, czy wystarczy, aby i poprawić stan psychiczny.

Prysznic, masaż głowy podczas jej mycia, przyjemne ciepło podczas suszenia i znana radość przy nakładaniu najpotrzebniejszych elementów makijażu. Świeże ubrania, pachnące jeszcze płynem do płukania, spryskane delikatną nutą perfum. Stan fizyczny osiągnął zadowalający wynik, a i stan psychiczny się ewidentnie poprawił.

Czekająca przed klatką taksówka miała zawieźć mnie do galerii. Baśka czekała przed wejściem, aby pomóc mi iść o kulach, z moim nieszczęsnym przyjacielem na kostce.

– Kochana, ten autor to najlepszy debiut tego roku. Uwierz mi, młody, przystojny i co najważniejsze wolny – trajkotała Baśka.

– Dużo wiecie w wydawnictwie o życiu prywatnym pisarza. – Zaśmiałam się.

– Sam napisał w podziękowaniach, że zaczął pisać po zerwaniu z narzeczoną. Ona odeszła, a wena się pojawiła. Taka wymiana – rzuciła zadowolona Baśka.

Weszliśmy do galerii, skierowałyśmy się do empiku, gdzie czekał już tłum kobiet. Jedne młodsze, drugie w średnim wieku, a i pań po sześćdziesiątce nie zabrakło. Zająłymi miejscami w trzecim rzędzie, mając dobry widok na dwa żółte fotele znajdujące się przed nami. Do spotkania pozostało dziesięć minut.

– Jaką sprzedaż osiągnęła jego książka? – zapytałam Basi.

– Ledwo miesiąc po wydaniu i już bestseller. Debiutant, Berka, rozumiesz? – nie dowierzała wciąż Baśka.

Kilka minut przed rozpoczęciem na jednym z foteli usiadł młody mężczyzna w błękitnej koszuli. Rozglądał się niepewnie po sali w celu zliczenia osób, które przybyły na spotkanie. Wyglądał przyjaźnie. Typowo greckie rysy twarzy, wyciągnięta linia żuchwy, ciemne oczy i włosy. Bardzo męski, z tym swoim dwudniowym zarostem. Kobieta w przykrótkiej czerwonej sukience usiadła naprzeciw niego z mikrofonem w dłoni i zaczęła zadawać pytania, które miała zapisane na kartce. Kiedy skończyła, podała mikrofon mężczyźnie i poprosiła o powiedzenie kilku słów od siebie. On uśmiechnął się serdecznie i zaczął mówić:

– Nawet nie wiecie państwo, jak miło patrzeć, że tak wiele osób czyta moje książki. Każde słowo, które w nich napisałem, skierowane jest tylko i wyłącznie do was, czujcie się wyjątkowo, kiedy Filip opowiada wam swoją historię i zaprasza was do wspólnej wędrówki jego szlakiem. Nie sądziłem, że mój debiut będzie miał tak wielki odzew z waszej strony. Codziennie dostaję masę wiadomości na Facebooku czy też mejlowo, które dodają mi wiary, że przygoda z pisaniem nie skończy się na pierwszych pięciuset stronach, które trafiły w państwa ręce. Moje dni napełniają się dzięki państwu wodą życzliwości i nadziei, którą chcę pić jak najdłużej. A teraz część, którą lubię najbardziej. – Uśmiechnął się ponownie. – Czy ktoś ma jakieś pytania?

Baśka podniosła rękę, jakby wystrzeliła ją z procy. Ledwo skończył mówić, a jej dłoń już machała nad moją głową.

– Co by się stało, gdyby pan się zakochał? – Jej pytanie było co najmniej nie na miejscu, lecz autor mimo to odpowiedział.

– Przestałbym pisać. – Zaśmiała się, a tłum kobiet wydał z siebie gniewny pomruk. – Wtedy serce bije inaczej, ten rytm nie służy w moim wypadku pisaniu. Widzę, że wnikliwie przeczytała pani moją książkę.

– Nawet nie wiesz, jak wnikliwie – wycedziła przez zęby tak cicho, że tylko ja ją słyszałam.

– Przez półtora miesiąca napisałem dwie książki – mówił dalej – jedną już znacie, a druga się poprawia, aby trafić już w lipcu w wasze ręce. – Na sali rozbrzmiały brawa. – Nie myślcie, że to koniec przygód Filipa Krętacza.

Kobiety zadawały kolejne pytania. Chciały wiedzieć, co jeszcze spotka Filipa na jego drodze i jak potoczą się jego losy. Autor cierpliwie zbywał te pytania, tłumacząc, że tego nie da się opowiedzieć teraz i że do lipca zostało już całkiem niewiele czasu. Około godziny osiemnastej wyszliśmy ze spotkania i udałyśmy się do kawiarni.

– Nie myślałam, że między wydawnictwami istnieje tak duża konkurencja, że chcesz swatać autora ze mną, by nie pisał już więcej książek – zażartowałam, kiedy usiadłyśmy przy stoliku.

– Jaka konkurencja? – ze złością się Baśka. – To ulubieniec Borka. – Puknęła się palcem w czoło.

– Wasz czołowy pisarz i chcecie się go pozbyć? – Zupełnie nic z tego nie rozumiałam.

– Czołowy? Berka, ludzie czytają jego książkę tylko dlatego, że ja ją poprawiłam. Gdyby nie ja, nikt by tego nie przeczytał! I co mi po tym? Jestem ledwie wymieniona na stronie redakcyjnej, a on ma swoje piękne drukowane, wypukłe litery na pierwszej – mówiła wzburzona.

– Zawsze poprawiasz książki i nigdy się nie burzysz – zauważyłam.

– Zawsze poprawiam i tego się trzymaj. Jego książkę trzeba było w sumie od nowa napisać. Normalnie nie przyjmujemy książek z rażącymi błędami, ale tym razem Borek powiedział, że to jest historia, która sprzedaje się jak żadna inna, i miał rację – prawie krzyczała.

– I o co ci chodzi? – zapytałam.

– O to, że ten człowiek nie zna zasad ortografii, nie stosuje interpunkcji, a jego styl pozostawia wiele do życzenia – wymieniała cierpliwie. – Miałam wrażenie, że poprawiam pracę ucznia z podstawówki.

– Aż tak źle? – Nie mogłam uwierzyć, wypowiadał się tak ładnie i poprawnie. – Ale historia jest niezła.

– Tylko historia, Berka – zasmuciła się Baśka. – Wiesz, że nawet historia i herbata może być napisana przez „ch”? A to tylko dwa słowa.

– Naprawdę? Ale skoro historie ma dobre, to może warto zrezygnować ze swatania mnie z nim – zauważyłam.

– Swatanie was może przynieść dwa rozwiązania – wyznała, a ja spojrzałam na nią niepewnie. – Pierwsze, że faktycznie przestanie pisać i rynek ucierpi, bo nie pozna więcej historii Filipa Krętacza. Drugie – on nadal będzie pisał, ale zanim wyśle książkę do nas, da ją tobie do oceny, bo przecież kochasz książki. – Zaśmiała się, a ja jej zawtórowałam.

Spotkanie autorskie okazało się przyjemnym wydarzeniem. Zrozumiałam, że muszę do swojego łóżka zaprosić Filipa Krętacza, by móc zrozumieć, dlaczego tak wiele kobiet się nim zachwyca. Może po przeczytaniu wędrówki Filipa odnajdę autora na Facebooku i zacznie się na nim wymiana literackich poglądów. On jest wolny, ja także, a Filip może być na doczepkę. Nigdy nie miałam nic przeciwko trójkątom, jeśli nie dotyczyły one trzech osób oczywiście.

Wychodząc z kawiarni, postanowiłam jeszcze raz odwiedzić empik, by kupić książkę z przygodami Krętacza, o których Baśka opowiadała mi z fascynacją, popijając kawę.

Sposób 6. Internet jednak gryzie

Zniechęcona niepowodzeniem listów pisanych, nie miałam w planach się poddać. „Może listy faktycznie są dziś niemodne?” – myślałam i zalogowałam się na laptopie. Skoro mamy XXI wiek, to może pora używać narzędzi pochodzących z tego okresu, a nie prehistorii papirusu i papieru. Nawet telewizja przypomina o istnieniu portali randkowych, które ponoć połączyły już tysiące osób. Moja wiara w portale nie była wielka, jednak postanowiłam pozaglądać na fora dotyczące interesującego mnie tematu.

„Jak znaleźć męża” musi być dość często wpisywaną frazą w wyszukiwarce Google. „Nie jestem jedyna” – pomyślałam, uśmiechając się do monitora, w duchu dodając do swej wypowiedzi: „jedyną desperatką”. Choć mnie nie można było nazwać desperatką. Ja po prostu chciałam wygrać. Jeden, jedyny raz. Miałam dość słuchania, że nigdy nie potrafię zrealizować prostych postanowień. „Też mi się zachciało” – przypominałam sobie moje tegoroczne postanowienie i ono nie wydawało się należeć do tych określanych mianem „proste”. To było najtrudniejsze spośród wszystkich poprzednich, które od lat wymienialiśmy na wspólnym sylwestrze. Moje postanowienie można porównać do muru berlińskiego, który runął w 1989 roku. Jak on, tak i moje postanowienia upadły bezlitośnie, zanim zaczęłam je realizować.

Wchodzę na pierwsze z forów dla kobiet szukających męża. Licznik osób biorących udział w dyskusji wyświetla trzysta osiemdziesiąt siedem. „Nie jest źle. Jest tutaj prócz mnie trzystu osiemdziesięciu sześciu poszukujących”. Wymyśliłam nick: *poszukuje_pilnie* i klikam, że chcę dołączyć. Zaczynam od drobnego przywitania i czytam poruszone wcześniej wątki. Zauważam, że jedna z dziewczyn *nika.nic* pisze dość dużo i dość często. Odpowiadam na jej post z pytaniem o niepowodzenia, jakie nas spotkały i opisuję swoją ostatnią randkę ze Sławkiem. Inne wydają mi się zbyt śmieszne, by ujrzeć światło dzienne. Już po chwili dostaję powiadomienie, że ktoś odpowiedział na mój post. Klikam i czytam. Wiadomość od *Ludusiaaak* to jedynie pytanie o mój wiek. Klikam szybko „dwadzieścia osiem” i dodaję na tablicę. Dostaję kilka powiadomień jednocześnie.

■ Ludusiaaak: 28??? <emotikon laughing>

kacza_paczka: w tym wieku to radziłabym za trumną się rozglądać, a nie za mężem!!!

pusia132: przed trzydziecią to już nawet Kret rur nie udroźni.

Lubaluba6: niech w Cifa zainwestuje, jak Kret nie daje już rady.

pusia132: Cif??? <emotikon smile>

Lubaluba6: pusia132 na rdzę może jej pomoże.

„Bezwstydnym dziewczyska” – pomyślałam, czytając ich żarty ze mnie. Mnie nie było do śmiechu. Chciałam im się jakoś odgryźć, jednak nie wiedziałam jak. Zastanawiając się nad środkami odwetu, jakich mogłabym użyć w tej wręcz dziecinnej wymianie zdań, usłyszałam dźwięk nowego powiadomienia. „Co jeszcze te krowy napisały?” – złościłam się, ale kliknęłam powiadomienia.

■ gejmofwer: poszukuje_pilnie nie przejmuj się gimbazami, które okupują forum dla kobiet, bo myślą, że skoro mają seks za sobą (pewnie nie jeden), to są kobietami <emotikon laughing> takie czasy nastały, że młodzież w głowach ma to, co my dojrzały zostawiamy w kiblu... Swoją drogą zastanawia mnie, dlaczego szukasz męża? Dość samotności?

Ileż prawdy w kilku zdaniach. Odruchowe naciśnięcie <odpowiedz> i mechaniczne pukanie w klawiaturę dodały mi skrzydeł, że nie jestem sama.

■ Ja: nas w szkołach uczono jeszcze szacunku nie tylko do innych, ale i samego siebie, a one to jedyny szacunek znajdujący w Wikipedii, bo encyklopedia jest im nieznaną. Szukam, bo chyba nadeszła taka pora. Mam swoje lata, a nie wiem, ile żyją dinozaury, więc wolę się pospieszyć.

Ledwo dodałam wpis, kiedy dźwięk oznajmił, że mam kolejne powiadomienie.

■ pusia132: to już mamy dwa dinusie, gejmofwer też pewnie z tych, co trumny szukają <emotikon laughing> podobno w dębowych najpóźniej się kości rozkładają.

gejmofwer: poszukuje_pilnie, zapraszam na priv, tam nie będziemy musiały dzieci bawić do snu, a z kołysanek nigdy nie byłam orłem.

Przeczytałam wypowiedź *gejmofwer* i zgodnie z jej poleceniem napisałam do niej prywatną wiadomość. Fajnie wśród setek kobiet (odejmując gimnazjalistki) znaleźć kogoś, kto cię rozumie. Pisanie z nową znajomą pochłonęło mnie do tego stopnia, że nie zauważyłam, kiedy wrócił Karol. Koleżanka z forum wytłumaczyła mi, że w dzisiejszych czasach mamy wiele nowych rozwiązań, które trzeba poznać. Podała mi kilka linków do stron dla kobiet poszukujących męża, przed i (na wszelki wypadek) po trzydziestce, do których zamierzałam jeszcze dziś zajrzeć.

■ niejestemdesperatką

Blog 36-letniej Malwiny, pracującej na stanowisku public relations jednej z niemieckich korporacji.

■ Moje życie to pasmo sukcesów, które dopiero od niedawna zmieniło się nie do poznania. Pod wpływem innych osób zaczęłam zauważać, że osiągnęłam wszystkie szczeble zawodowej kariery, ale nie osiągnęłam nic w życiu prywatnym. Specjalistka od kontaktów z otoczeniem i relacji nie potrafiła nawiązać współzależności poza pracą. To, co wychodziło mi doskonale w pracy, w życiu osobistym uzyskało miano niepowodzenia. Rozmowy z moimi zamężnymi już przyjaciółkami uświadomiły mi, że to może być ostatni moment. Ostatni moment na poznanie kogoś, zawarcie bliższej znajomości i wymarzoną rodzinę.

Wpisy Malwiny wydawały się bardzo osobiste. Opisywała w nich, jak szukała (i wciąż szuka) faceta idealnego. Jej poczynania przypominały mi te, których doświadczyłam ostatnimi czasy. Miałam wrażenie, że czytam swoje własne refleksje i myśli, które ktoś skopiował z mego mózgu na tę stronę.

■ Samotna-w-wielkim-miescie.blog

Blog 28-letniej Rozalii, terapeutki zajęciowej pracującej z niepełnosprawnymi intelektualnie w jednym ze Środowiskowych Domów Samopomocy w Krakowie.

■ Niech nikt mi nie mówi, że kobiety mają łatwo, że możemy wykonywać wszystkie męskie prace, bo panuje równouprawnienie. W dupie mam to całe równouprawnienie, jak pęka uszczelka. Faceta brak, uszczelki brak, trzeba dzwonić po specjalistę. Starszy pan mówi mi, że chciałyśmy równouprawnienia, a uszczelki zmienić nie potrafimy. Chciałyśmy? Kto chciał? Ja? Nikt mnie o nic nie pytał, do jasnej cholery, a oceniać może każdy. Nikt nie spyta, czy jestem singielką, czy po prostu starą panną. Single to niby ci, co chcą być sami, ale moim zdaniem to tylko ładniejsze określenie nas, starych panien. Nie panien z wyboru, panien z musu, bo faceta brak. Jakże ja mam możliwości, żeby poznać męża? W pracy jedyny facet to kierowca po pięćdziesiątce, w dodatku z żoną i dwójką dorosłych córek. Po pracy? Próbowałam wszystkiego, i nic. Kompletnie nic. A teraz jeszcze ktoś śmie mówić mi o równouprawnieniu, którego ponoć tak bardzo chciałam, o które walczyłam. A ja chcę tylko moc z kimś dzielić życie. Chcę widzieć w przedpokoju męskie papcie, widzieć w swojej szafie świeżo wyprane męskie ubrania i nawet mieć po kim zbierać skarpetki porozrzucane po całym domu.

Czasami mam wrażenie, że moje czoło ma wypalony na skórze napis: „Mąż potrzebny na już” i dlatego nie mam faceta. A może

to oni nie chcą stabilizacji? Może to im wygodniej jest fruwać z kwiatka na kwiatek bez zbędnych deklaracji? Jak w takim razie nazwać takich mężczyzn? Feministka pochodzi od łacińskiego femina, mężczyzna w tym języku to hominis, zatem prostą drogą dedukcji mamy nie tylko feminizm dotyczący nas, kobiet, ale i hominizm dotyczący gorszego gatunku.

I jak nie kochać nas, kobiet? Każda z nas powinna być nazwana bezwzględny słowotwórcą. Chociaż współcześni mężczyźni nie są nam wcale dłużni. Mój kolega z pierwszej pracy regularnie podrywał dziewczyny na swoją gołą koszulkę, jak miał w zwyczaju mawiać.

zolza_szuka_zolzola.blog

Blog 29-letniej Ewy, recepcjonistki w jednym z toruńskich hoteli.

Od dziecka szukałam swojego księcia z bajki, potem przyszedł czas na rycerza na białym koniu, a dziś... dziś nie chcę być samotna. Nie chcę księcia czy rycerza. Chcę normalnego faceta (z tym normalnym bardzo dosłownie). W moim życiu miałam wielu facetów. Wszyscy to mniejsze lub większe wpadki, po których lzy leciały, mimo iż nie powinny.

Od 5 lat słyszę, że pora się ustatkować. Mimo iż mam własne mieszkanie (na kredyt, co prawda, ale własne), stałą pracę, to wciąż chcą ode mnie więcej. Albo i nie więcej. Oni chcą męża i dzieci, a w sumie, ja też o tym marzę. Już nie mogę słuchać pytań o to, kiedy przedstawię swojego narzeczonego. Te gadki o moim tykającym zegarze też znam na pamięć, choć czasem brat tłumaczy mnie, że po prostu wymienię baterie i będzie dobrze, co nie podoba się mojej babci. Spotkania rodzinne są moją udręką, a telefony mamy aż proszą o odrzucenie. Niby wszystko w XXI wieku jest takie „do przodu”, ta technika, technologia, ale związki partnerskie leżą. Niedawno rozmyślałam, że w dzisiejszych czasach gimnazjalistki są lepiej doświadczone seksualnie niż ja, dojrzała kobieta.

Seks... i tu kolejny temat tabu. Albo nie tabu, lecz temat nic. Temat, o którym nie warto opowiadać, bo nic się nie dzieje od dawien dawna i jeszcze dawniej. Moje stosunki seksualne można opisać jak rozpoczynającą się baśń: „Dawno, dawno i jeszcze dawniej, za siedmioma górami, siedzioma rzekami i wszystkimi oceanami, jakie znane są w geografii, był sobie seks. Pan Seks (albo pani, bo to takie ono) żył tak dawno, że już nie pamiętał, że w ogóle żył, tak daleko, że nikt nie mógł (i nie chciał) tam dotrzeć”.

Kiedyś moja mama powiedziała, że jeszcze chwila bez seksu i zaproszę do siebie byle jakiego strudzonego wędrowca. Moja mama? Nawet moja mama ma więcej stosunków seksualnych z moim ojcem niż ja, która powinnam żyć seksem, nie jeść, nie pić, nie spać, tylko kochać się do upadłego.

Genialny wpis, dostarczył mi masę śmiechu, którego potrzebowałam. Sama postanowiłam pomyśleć, jak u mnie z panem S. Wzięłam kartkę i postanowiłam zapisać swój wstęp do bajki: „Dawno, dawno temu, za tysiącem gór i małą łąką, której już nie koszono, bo nie było warto, żył sobie pan, którego imienia nie pamiętał już nikt, bo tak długo nie był uprawiany na łące, że zdechł”. Czytam swój wpis i śmieję się sama z siebie. W myślach utwierdzam się w przekonaniu, że na pisarza (szczególnie bajek dla dzieci) kompletnie się nie nadaję.

1 maja 2015 roku

Święto Pracy, a nikt nie pracuje. Nikt, prócz tych, co muszą pracować, i tych, którzy chcą zarobić na tym, że inni nie pracują. Czy właśnie tego dnia nie powinniśmy pokazać, jacy jesteśmy pracowici? Ale w sumie miejmy wolne. Niech 1 maja będzie widniał na czerwono w kalendarzu, bo to jedno z nielicznych (naprawdę nielicznych) świąt wolnych od pracy i niezwiązanych z Kościołem katolickim. Tylko cztery na trzystaście (Kościół powie, że pięć) to święta nasze, typowo polskie. Dla Polski i Polaków. Inne nawołują do uczestnictwa w mszach, słuchania długich kazań, co rok na ten sam temat. Tak mała część naszego wewnętrznego świata jest wolna od religii, a dotyczy patriotyzmu.

Pogoda za oknem wydaje się też mieć dzień wolny. Ludzie z utęsknieniem czekali na słoneczny majowy weekend, a w zamian dostali jesienną ulewę z silnym wiatrem. Ulice opuszczone, ani śladu żywej duszy. Gdzieś za oknem widać jeżdżące wolno samochody, wpadające kołami w ogromne kałuże, powstałe na jezdni.

Noga w gipsie od czterech tygodni. „Jeszcze dwa” – myślę, chcąc znów żyć jak dawniej. Może nie byłam specjalnie towarzyska, ale mogłam wyjść na spacer, kiedy chciałam, a teraz? Kule wcale nie są jakimś wielkim ułatwieniem. Jeśli ktoś przyzwyczajony jest do poruszania się o własnych siłach, akceptacja kul następuje zazwyczaj pod koniec okresu ich użytkowania. Mnie do osiągnięcia tego stanu zostały więc jeszcze dwa tygodnie.

Moje plany na dziś to łzawa komedia romantyczna w towarzystwie miski maślanego popcornu. Trójkąt wręcz idealny.

– Berka, zbieraj się! – krzyknął Karol ze swojego pokoju.

– Co?

– Zbieraj się. – Krzyk stał się głośniejszy lub był bliżej mnie.

– Co?

– Berka, ty głucha jesteś czy tylko udajesz? – wkurzał się, stojąc w drzwiach mojego pokoju.

– Nie obrażaj niepełnosprawnych. – Pokazałam moją nogę.

– Babcia Stasia zaprasza nas na obiad. Ma dla ciebie jakąś tajemną miksturę czy coś takiego – powiedział, śmiejąc się.

– Co? – zapytałam ponownie.

– Powiedziałem jej ostatnio, całkiem przypadkiem, o tych twoich poszukiwaniach męża, a ona zadzwoniła dziś, żebym zabrał cię na obiad – tłumaczył, a widząc moją minę, zorientował się, co o tym sądzę. – Myślisz, że mnie też uśmiecha się obiad z tobą? Zjesz mi pewnie wszystkie pomidorowe pulpeciki babci Stasi, a ja będę musiał na to patrzeć i udawać, że się nie denerwuję.

Wybuchłam śmiechem, choć Karol miał rację. Pulpeciki babci Stasi to coś genialnego. Prawdziwa delicja dla kubków smakowych w moich ustach. Zawsze, kiedy Karol wracał od babci Stasi ze słoikami pulpetów w sosie pomidorowym, to ja zjadałam je po kryjomu, kiedy Karol pracował. Niestety trudno było podejrzewać o ten czyn kogoś innego, więc Karol zawsze miał pewność, że to ja wyjadłam jego ukochane pulpety. Pamiętam, jak kiedyś postanowiłam zrobić mu psikusa. Zjadłam trzy słoiki pulpetów od babci Stasi, a potem ukradkiem wypełniłam jej pulpetami ze sklepu. Wyglądały identycznie. Pulpet w pulpet, sos w sos. Karol nie miał szans się zorientować, dopóki nie spróbował pierwszego kęsa. Jeden kęs, jedno plunięcie pulpetem wprost na mnie. Zbieg okoliczności, a może przeznaczenie? Karol nie krył swojej złości. W ramach strajku cały dzień nic nie jadł, nawet pizza z ananasem i kurczakiem na mój koszt go nie przekonała.

Ubieranie się, by wyjść z domu, kiedy za oknem szaro, wietrznie i deszczowo, nie jest ani trochę przyjemne. Dopełniając o nogę w gipsie, było jeszcze mniej przyjemne niż „ani trochę przyjemne”. Otworzyłam szafę i szukałam czegoś „odpowiedniego” dla babci Stasi, zdając sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach kobiety chodzą ubrane jak rozpustnice, wytykane za jej czasów palcami. Dżinsy bez dziur, niezbyt obcisłe, i szary sweter w groszki wygrały. Włożyłam je niedbale na siebie, związałam włosy w luźny kok i byłam gotowa do wyjścia. Karol, widząc mnie, uśmiechnął się szyderczo, myśląc pewnie, że babcia będzie ze mnie dumna.

Ruszyliśmy do centrum, gdzie w starej, przedwojennej kamienicy mieszkała babcia Stasia. Babcia kochała to miejsce, a opowieści o mieszkańcach kamienicy były idealnym tematem na książkę, i to niekoniecznie historyczną. Sąsiadka z góry, pani Lukrecja, przynajmniej raz w miesiącu wyrzucała ubrania swojego męża przez okno, wprost na ulicę. Raz zapomniała się i wyrzuciła jego ukochany klaser ze znaczkami, który na jej nieszczęście trafił wprost w dozorcę. Pani Lukrecja czym prędzej się schowała, lecz dozorca, doskonale znający zwyczaje swoich lokatorów, nie miał wątpliwości, kto go „zaatakował”. Poszedł pod drzwi pani Lukrecji, a ona jak prawdziwa aktorka udawała, że nie wie, o co chodzi. Mówiła, że pukanie do drzwi ją obudziło, a o rzucaniu klasera z okna nie ma pojęcia. Zaczęła opowiadać historię o duchu zmarłego podczas drugiej wojny światowej ojca, który to błąka się po mieszkaniu, bo gdzieś tu jest jeszcze jego ząb. Ona uczynnie przeszukała całe mieszkanie, by pomóc ojcu odejść w spokoju, lecz niestety nie znalazła zguby. Dozorca, poruszony tą historią, zaczął wraz z panią Lukrecją szukać zaginionego zęba pod podłogą, zapominając o klaserze, który spadł na jego głowę.

Na wprost pani Lukrecji mieszkała cicha nauczycielka biologii, Joanna. Joanna nie wydawała się specjalnie problematyczna, poza częstymi męskimi odwiedzinami w jej domu. Babcia Stasia tłumaczyła zawsze, że mężczyźni przychodzący do Asi chcieli nauczyć się więcej o układzie rozrodczym, zanim

zaczną starać się o dziecko, stąd też głośne i częste naśladowanie jęków rodem z *Pięćdziesięciu twarzy Greya*.

Naprzeciw babci Stasi mieszkało starsze małżeństwo, które przysparzało dużo kłopotów. Pani Lidia miała w zwyczaju przechadzać się po starówce, jednak często zapominała założyć na siebie ubranie przed wyjściem. Pamiętałam, jak pewnego dnia w telewizji był materiał o nagiej staruszce spacerującej w centrum, a ja nie miałam wątpliwości, o kim mowa. Mąż pani Lidki, Henryk, też nie był łatwym człowiekiem. Według niego wszyscy byliśmy pilnie śledzeni przez CBS, które zainstalowało w naszych głowach chipy podczas pobytu w szpitalu. Codziennie rano pan Henryk za pomocą masażera do pleców, przykładanego do czoła, rozładowywał swój chip.

Babcia Stasia otworzyła nam drzwi ubrana w duży kolorowy sweter, jaki pamiętałam doskonale z lat mojego dzieciństwa. Siwe włosy, zaczesane do tyłu, uwydatniały każdą zmarszczkę na jej starej skórze.

– Jak ty wyglądasz, dziecko?! – Babcia Stasia spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Złamałam kostkę – wytłumaczyłam.

– Ta kostka to jedyne, co cię wyróżnia z tłumu. Nie dziwię się, że jesteś samotna – wyznała, a Karol podśmiewał się pod nosem.

Nie wyglądałam może jak rozpustnica z lat młodości babci, ale widać do panienki do wzięcia też mi daleko. Czasem miałam wrażenie, że cofam się, zamiast gnać do przodu. A gdyby tak można było przenieść się w przyszłość? Niczym przejażdżka wehikułem czasu doktora Emmetta Lathropa Browna.

Babcia zaprosiła nas do pokoju dziennego, zwanego gościnnym. Pełny antyków, obrazów i rodzinnych pamiątek, ukazywał historię tego domu. Nawet położyła tapeta, niezmieniana od ponad trzydziestu lat, wydawała się piękną częścią opowieści o tym miejscu. Historycy i ludzie nauki mieliby dużo pracy, przeglądając pamiątki babci Stasi, pochowane w zakamarkach każdej z okazałych szaf.

Siedzenie na starych krzesłach rodziło we mnie pewne obawy ze względu na brak wiary w ich trwałość, lecz w mieszkaniu babci Stasi wszystko miało swoje lata i swoją historię. Tutaj nawet czajnik miał prawie tyle lat, co ja.

Babcia Stasia postawiła przed nami pulpety w sosie pomidorowym, ziemniaki i surówkę. Karol jak prawdziwy dżentelmen czekał, aż każda z nas nałoży sobie, po czym odebrał ode mnie prawie pustą salaterkę z pulpetami. Zerknął na mnie spod byka, a ja uśmiechnęłam się do swoich myśli. Wiedziałam, że jak tylko wrócimy do domu, on powie mi kilka słów, które zapewne teraz wirują w jego głowie.

– Beruniu kochana... – zaczęła babcia Stasia, a ja uśmiechnęłam się sztucznie, próbując zapomnieć o nazwaniu mnie „Berunią”. – Karolek mówił mi o twoich planach zamążpójścia.

Karol wybuchnął śmiechem.

– Zamążpójście to za wiele powiedziane, najpierw musi znaleźć męża, a czasu coraz mniej – rzekł.

Jestem pewna, że dokładnie czuł żar spojrzenia, jakie na niego skierowałam.

– Znalezienie męża to żaden problem, Karolku. – Staruszka uśmiechnęła się.

– Jest problem, jest – wyznałam szczerze, pomijając milczeniem moje historie podboju męskich serc z ostatnich miesięcy.

Babcia Stasia spojrzała znacząco, wstała z krzesła i wyszła z pokoju. Wróciła po chwili ze starym zeszytem.

– Mam dla ciebie, kochana, magiczną miksturę, po której na pewno znajdziesz męża. – Rozpromieniła się. – To taki eliksir miłości – dodała szeptem, puszczając przy tym oczko.

Karol ponownie wybuchnął śmiechem. Wiedział, że jego babcia ma fioła na punkcie ziół, genialnych mieszanek na każdą z chorób, ale żeby na miłość? Przecież nie ma nic takiego. Zarówno on, jak i ja byliśmy sceptycznie nastawieni do pomysłu.

– Tobie też przydałoby się znalezienie partnera – skarciła go babcia, a ja ucieszyłam się, że ona wie o jego homoseksualizmie.

– Babciu... – próbował uspokoić starszą panią, lecz ona była w swoim tajemniczym amoku

ziołolecznictwa, a może lepiej „ziołopomocy”, w moim wypadku.

Staruszka podała mi zeszyt, otwarty na przepisie pod nazwą „Na miłość Boską” (babcia zawsze określała swoje wymyślne mieszanki).

Na miłość Boską

- 1 łyżka octu
- 1 główka czosnku
- ¼ szklanki oleju
- ½ grejpfruta (z białą skórką)
- ½ łyżeczki soli
- sok z 1 cytryny
- 1 łyżeczka pieprzu
- ½ łyżeczki papryki słodkiej
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- 5 gramów drożdży
- garść liści lubczyku
- 1 łyżeczka cukru
- ½ szklanki wina własnej roboty

Wszystkie składniki wymieszać razem, żeby tworzyły konsystencję płynną. Podane właściwości to dawka dla jednej osoby! Jeśli naprawdę chcesz znaleźć męża/żonę, to musisz wszystko wypić bezzwrotnie, nie popijając.

Niech miłość opanuje twój cały świat, powodzenia.

„Ohyda” – pomyślałam, a Karol zdawał się czytać w moich myślach, sądząc po jego uśmiechu. Elixir miłości. Czy coś takiego w ogóle istnieje?

– Tak się składa, że mam w domu wszystko, więc możemy spróbować, kochani – zaszczebiotała babcia Stasia, a my spojrzeliśmy na siebie.

Karol chciał coś powiedzieć, lecz babcia już poszła do kuchni, przygotować tajemniczą miksturę. Siedzieliśmy bez słowa. Karol spoglądał na mnie, a ja zastanawiałam się, czy napój może pomóc mi w realizacji postanowienia noworocznego. „Na pewno nie zaszkodzi” – pomyślałam, uśmiechając się do siebie.

Babcia Stasia wróciła z dwiema okazałymi szklankami w kolorze bardziej bordowym od wina niż zielonym od lubczyku. Postawiła przed nami szklanki i z uśmiechem zachęciła, abyśmy je opróżnili. Podnieśliśmy z Karolem naczynia, wiedząc, że obserwacja staruszki nie ustanie, póki nie wypijemy napoju.

– Na trzy pijemy – powiedział Karol. – Raz, dwa, trzy. – Jednocześnie przechyliliśmy szklanki.

Do tej pory najgorszą rzeczą, jaką jadłam w życiu, była wątróbka, którą zamiast w mące obtoczyłam w cukrze. Wiedziałam, że mama używała czegoś białego, znajdującego się w dużej torbie, a jako że pierwszy pod ręką był cukier, to na niego padł mój wybór. Wątróbka była tak obrzydliwa, że nawet koty z osiedla jej nie zjadły, ptaki nie podziabały. Jedyne dozorca się nią zainteresował, zmiotł i wyrzucił do śmieci. Dziś napój babci Stasi przebił wątróbkę. Przebiłby ją nawet, gdybym przez przypadek obtoczyła ją zarówno w cukrze, jak i soli. Napój babci Stasi był tak ohydny, że nawet nie da się go z niczym porównać. Czosnek, sól, cukier, gorzka skóra grejpfruta, cierpkie wino, ocet i cała reszta kompletnie się z sobą nie zgrały. Nic tu do siebie nie pasowało. Wypiliśmy z Karolem całą szklankę „trucizny”, jakimś cudem jej nie zwracając, choć było to nie lada wyzwaniem.

Kiedy nasze szklanki były puste, babcia zaczęła się śmiać. Wiedziałam, że podczas picia robiliśmy głupie miny i w duchu dziękowałam jej, że dopiero teraz zaczęła chichotać.

– Głupoki – powiedziała wesoło.

Nie wiedząc, o co chodzi, spojrzeliśmy na nią pytająco.

– Naprawdę myślicie, że to eliksir miłości? Moja ciotka wymyśliła ten napój dla swojej przyjaciółki, z którą zdradził ją jej mąż – mówiła – chciała się zemścić i wymyśliła splot najohydniejszych rzeczy, jakie mogą być. Ja od siebie dodałam jedynie grejpfruta, bo kiedyś to wiecie, że go nie było. Moja ciotka powiedziała tamtej zdrajczynie, że to napój na wieczną młodość, a ona uwierzyła. Wypiła to i zwymiotowała, a moja ciotka powiedziała jej smutno, że przez to będzie teraz starzeć się z dnia na dzień. – Babcia śmiała się, co przerwało na chwilę jej opowieść. – A tamta... a tamta każdego dnia patrzyła na siebie w lustrze i zauważała a to nową zmarszczkę, a to nowy siwy włos... co dzień było z nią gorzej. Wujek zerwał z tamtą kobietą, a ciotka pilnowała go, żeby znów nie zbłądził na złą ścieżkę.

Babcia cały czas się śmiała, co również i nas rozśmieszyło. Wyobraziłam sobie tamtą kobietę, która stoi przed lustrem i szuka kolejnych oznak starości. To musiało być straszne.

– Ale czemu my? – zapytał Karol smutno.

– Chciałam zobaczyć, jak bardzo Beruni zależy na znalezieniu męża, i cieszę się, że i ty, Karolku, nie masz w planie być sam. Może kiedyś będę mogła bawić małe bąbelki z naszej rodzimej krwi – tłumaczyła, a mnie zrobiło się jej żal, bo skoro marzyła o prawnukach, to najwyraźniej nie wiedziała o orientacji swojego wnuka.

Karol siedział cichutko i nic nie mówił. Złość na babcię mu przeszła. Jak nie wtedy, to później, kiedy dała mu trzy słoiki ukochanych pulpetów. Wkupiła się tym ponownie w jego łaski, aż miło było na nich patrzeć, jak się żegnali.

Wróciliśmy do domu zadowoleni. Święto Pracy okazało się przyjemnym dniem wolnym od pracy, spędzonym w towarzystwie najlepszego przyjaciela i ekscentrycznej staruszki.

Wieczór z książką był dopełnieniem. Łóżko, koc i nowy kryminał. Wyobraźnia zaczynała pracować, podążałam wprost za mordercą, miałam go już na muszce, czuł mój oddech na plecach, kiedy usłyszałam dźwięk oznajmiający przyjście SMS-a. Niechętnie złapałam telefon, by odczytać wiadomość od Jolki: „20 czerwca spełnią się Twoje marzenia i poznasz tego jedyne J”.

Nie zastanawiając się nad tym, powróciłam do gonienia mordercy. W tamtym momencie schwywanie go było priorytetem tej nocy.

2 maja 2015 roku

Sobota. Leniwa majowa sobota. Marzeniem było spędzenie jej w łóżku i delektowanie się kolejną częścią kryminału młodej polskiej autorki piszącej o małym, klimatycznym Lipowie. Marzenie legło w gruzach, kiedy Jolka napisała SMS, proponując wspólny obiad w restauracji. Wymówka nie wchodziła w grę, specjalnie wybrały restaurację blisko mojego mieszkania, abym nie musiała się za daleko przemieszczać z moją nogą. Trzeba było wstać z łóżka, założyć jakieś ekstra ciuchy, żeby dziewczyny nie gadały, że z moją gipsową przyjaciółką wyglądam jak straszdyło.

Pogoda za oknem ponownie nie zachęcała do wyjścia z domu. Silny wiatr i temperatura bardziej jesienna niż wiosenna nakazywały założyć na siebie ciepły płaszcz, a chmury na niebie przypominały o schowaniu parasola do torebki. Karol leniuchował przed komputerem, kiedy ja musiałam iść zmierzyć się z wietrzyskiem. Życie bywa bardzo niesprawiedliwe.

Położona dwieście pięćdziesiąt metrów od domu restauracja wydawała się wręcz oddalać. Kilka kroków w przód, trzy do tyłu, kiedy zawiął mocniej wiatr, i tak w kółko, aż do drzwi restauracji. Weszłam, zmęczona krótką, ale intensywną podróżą, i już z daleka zauważyłam machającą do mnie Zośkę. Zdjęłam płaszcz, powiesiłam go na wieszaku i kątem oka widziałam, jak Zośka przeczesuje swoje włosy palcami, czekając, aż podejde do stolika.

– Jezusie Heroldowy, jak mi się nudziło tutaj samej – zaczęła trajkotać. – Myślałam, że kostnicy zaraz przyjadą, żeby mnie zabrać do chłodni z tej nudy.

– Kostnicy? – zapytałam.

– No, skoro pracują w kostnicy, to są kostnikami, no nie? – Ponownie przeczesła włosy, a ja postanowiłam nie wyprowadzać jej z błędu.

Usadowiłam się wygodnie na narożnej kanapie, obok Zośki, i marzyłam, aby reszta dziewczyn przyszła jak najszybciej, bo głupota bywa czasem zaraźliwa, niestety. Zośka trajkotała o swojej karierze piosenkarki, którą planowała rozpocząć, ale już wiedziała, że będzie bardziej znana niż Madonna, Lady Gaga i Rihanna razem wzięte. Opowiadała o napisanej wczoraj piosence, ale chciała, żeby była to dla nas niespodzianka, zatem nic więcej nie zdradzi. Nie pytałam. Wolałam żyć w niewiedzy, w tym wypadku.

– Jolka napisała mi wczoraj SMS-a, że ma dla mnie propozycję debiutu telewizyjnego na dwudziestego czerwca. – Cieszyła się jak dziecko, kiedy to mówiła.

– Hm... to dziwne, bo mi napisała, że właśnie tego dnia poznam swojego przyszłego męża – zastanawiałam się na głos.

– Zobacz, jaka z niej cudowniaczka, skoro pamięta o każdej z nas.

– Cudowniaczka? – zapytałam.

– No, zdrobnienie od „cudowna”, bo „cudowna” to za mało, skoro chce pomóc i mnie, i tobie – tłumaczyła. – Swoją drogą wciągnięcie mnie do telewizji jest o wiele łatwiejsze niż znalezienie ci męża – dodała skromnie.

– A jeśli będzie chciała pomóc jeszcze komuś, to jak ją nazwiesz? Cudowniaczka to będzie ewidentnie za mało – kpiłam, lecz ona tego nie wyczuła.

Zośka zamyśliła się na chwilę, jeżeli to w ogóle możliwe w jej wypadku.

– Cudotwórczka – wyznała, dumna z siebie, a ja nie chciałam pytać o dalsze kombinacje jej złotych myśli.

Zośka zajęła się przeczesywaniem swoich długich, kruczoczarnych włosów, a ja udawałam, że szukam czegoś w torebce. Mari zjawiała się dość nagle i już patrząc na jej minę, można było wnioskować, że spotkało ją coś złego.

– Nienawidzę tych dziur – mówiła zezłoszczona. – Człowiek wychodzi z taksówki, a tu, trach, dziura.

– Kto by pomyślał – nie dowierzałam.

– Mogliby zdecydowanie lepiej wykorzystać nasze pieniądze niż na remonty dróg, które wciąż są dziurawe – mamrotała Zośka.

– Jakie nasze? – zaciekawiła się Marietta.

– No, nasze podatki na to idą – wyznała mądrze Zośka.

– Nasze? Zośka, ty nie wiesz, co to podatek, bo nigdy nie pracowałeś – powiedziałam szczerze.

– Ale kupuję i to wystarczy – oburzyła się Zośka.

– Za pieniądze tatusia, więc się nie liczy – powiedziała Mari, chcąc zakończyć rozmowę.

Zośka zacisnęła ręce na piersiach i ze złością w oczach rzekła:

– Tatusia czy też nie, ale zawsze wolę kupować ciuchy, kiedy sprzedają je bez podatku.

– Jest taka możliwość? – zainteresowałam się.

– Ależ ty, Berka, głupia jesteś. – Zośka z niedowierzaniem pokręciła głową. – Zawsze masz w sklepach kilka dni, kiedy wisi ogromny napis SALE, czyli bez podatku. Wtedy bluzki kosztują na przykład dwieście pięćdziesiąt złotych, zamiast pięćset. I pomyśleć, że tak dużo zabiera nam państwo.

Spojrzałyśmy na siebie z Mari i postanowiłyśmy nie wyprowadzać Zośki z błędu. Niech SALE będzie dla niej tym, czym było do tej pory. Po co niszczyć świat szczęśliwej bogaczki.

Reszta dziewczyn dotarła po chwili. Korki w mieście opóźniły ruch ZTM. Zadowolone zasiadły do stolika i zaczęły przeglądać menu, po czym złożyłyśmy zamówienie u ślicznej blondynki.

– No, Jolka, mów, co tam dla nas przygotowałeś – zaczęła Baśka, a ja zdałam sobie sprawę, że i ona dostała wczoraj wieczorem tajemniczy SMS.

Jolka uśmiechnęła się promiennie. Widać było, że jest dumna ze swojego pomysłu i najwyraźniej

oczekiwała, że i my będziemy w podobnym nastroju, kiedy dowiemy się, o co chodzi.

– Dwudziestego czerwca na Skwerze Kahla odbędzie się największy otwarty trening z Ewą Chodakowską – wyznała uradowana.

– A co to ma do mojego męża? – zapytałam.

– Przecież będzie tam masa facetów – wyznała, a potem spojrzała na Zośkę. – I telewizja. – Skierowała wzrok na Baśkę. – Materiały na książkę też się znajdują...

– Ale ja nie piszę książek, tylko poprawiam – zauważyła Baśka.

– To może pora zacząć robić coś nowego. – Jolka uśmiechnęła się, po czym spojrzała na Monię. – Będą na pewno też jacyś potencjalni podopieczni dla ciebie.

– A dla mnie, co będzie, bo według twojego SMS-a będę tam miała dużo pracy? – zapytała Mari.

– Bo będziesz. Wiesz, ilu znanych i bogatych bierze udział w takich treningach? Wystarczy tylko dobrze się rozejrzeć – wyznała Jolka.

Patrzyłyśmy na nią z niedowierzaniem, jak ona sobie wszystko rozplanowała. Dla każdej z nas znalazła powód, aby iść wraz z nią na trening jej mentorki.

– W sumie to ja mam największe szanse na powodzenie z tych, co wymieniałaś – powiedziała skromnie Zośka, nie czując piorunujących spojrzeń naszych oczu.

– Zośka, ty to zalegasz w naszej grupce, jak niespalone kalorie w organizmie. – Wredne oblicze Jolki znów dało o sobie znać.

– Ja jestem szczupła – odburknęła Zośka, nie zauważając uszczypliwości.

Siedziałyśmy, rozmawiając o zakupach, jakie należy zrobić, aby przygotować się na trening z Ewą. Musiałyśmy nie tylko czuć się wygodnie, ale i być piękne (przynajmniej w moim przypadku). Śmiałyśmy się z pomysłów Zośki, które jak zawsze były zaskakująco głupie. Wymieniałyśmy się poglądami na temat skuteczności ćwiczeń Ewy, ale widok Jolki mógł jedynie potwierdzić, że ruch to podstawa, aby wyglądać szczuplej i czuć się zdrowo.

Kelnerka przyniosła nasze zamówienia. Zaczęła układać je przed nami, kiedy całkiem przypadkiem z jednego talerza wypadł pieczony ziemniak i trafił wprost w krocze Zośki.

– Przepraszam bardzo, już biegnę po ręczniki – próbowała ratować sytuację śliczna blondynka.

– Ty ruda małpo! – krzyknęła Zośka, a kelnerka spojrzała za siebie, aby upewnić się, czy na pewno do niej było skierowane to zdanie.

– Ale ja nie jestem ruda – wyznała speszona kelnerka.

Zośka spiorunowała ją wzrokiem. Wiedziałyśmy, że gdyby miała z sobą broń, nie zawahałaby się jej użyć właśnie teraz.

– Przecież widzę, że nie jesteś ruda, ale jak miałam cię nazwać? Blond małpa? To by świadczyło, że jestem głupia i nie znam się na języku polskim. – Zośka chciała wyglądać niczym dystygowana pani, lecz jej nie wyszło.

– No tak, a teraz wyszło, że jesteś daltonistką – skwitowała Jolka, a my zaczęłyśmy się głośno śmiać.

Kelnerka patrzyła na nas zdziwionym wzrokiem, lecz po chwili także nie wytrzymała i wybuchła śmiechem. Zdenerwowana Zośka wstała z impetem od stołu i wyszła z restauracji.

– Przepraszam, ja nie chciałam. – Dziewczyna czuła się winna.

– Nic nie szkodzi, przeczesze kilka razy włosy palcami i wróci – stwierdziła Mari.

Kelnerka znów zaczęła cicho chichotać. Krótki kontakt z Zośką może nawet bawić człowieka.

Zośka wróciła po piętnastu minutach. Jakby nigdy nic zajęła miejsce i zaczęła jeść chłodnego już łososia w sosie szpinakowo-śmietanowym. Kwadrans wystarczył, aby nasza gwiazda zapomniała o nieprzyjemnej sytuacji i mogła ponownie cieszyć się swoim pięknem, talentem i inteligencją. Będąc na studiach, niejednokrotnie zastanawiałam się, jakim cudem Zośka w ogóle zdała maturę. Czasem myślałam nawet, że specjalnie udaje taką głupiotką, żeby ludzie ją łatwiej zapamiętali, jednak zrozumiałam, że nie da się tak długo udawać. Jej porównania, przeinaczone przysłowia i powiedzenia mogłyby śmiało zdobić

zbiór humoru z zeszytów szkolnych. Gdyby je spisywać, byłyby to w sumie pokaźna księga „mądrości”. Niestety, Zośka miała już dwadzieścia osiem lat, a w jej postrzeganiu siebie i świata niewiele się zmieniło od czasów podstawówki. Bogaty tata był dobrym wyjściem w tej sytuacji, ale po cichu wierzyłyśmy, że pewnego dnia Zośka się ustatkuje, pójdzie do pracy, założy rodzinę.

– Jak idą poszukiwania męża? – ciszę przy stole przerwała Marietta.

– Mam wrażenie, że są większe szanse na wystąpienie opadów śniegu w lipcu niż znalezienie męża w Polsce – wyznałam smutno.

– Poddajesz się? – zdziwiła się Monika.

Zawahałam się chwilę.

– Nie, nie poddaję, ale nie mam pomysłu, co dalej robić.

– Może rozbierz się i przejdź po starówce? – zaproponowała Zośka.

– Ona nie szuka zboczeńca, tylko męża – broniła mnie Baśka.

– Jak męża znaleźć nie może, to dobry i taki zboczeniec – zaśmiała się Jolka, a Zośka kiwnęła na znak, że się z nią zgadza.

Byłam zrozpaczona. O ile Jolka żartowała, o tyle Zośka traktowała sprawę całkiem poważnie. „Ciekawe, co wymyśli, kiedy będzie szukała sobie męża?” – zastanawiałam się.

– Może date of date? – zaproponowała Mari.

– Co to takiego? – zainteresowałam się.

– Szybka randka – odpowiedziała. – Teraz to bardzo modne. Spotykają się single, zazwyczaj robią tak, żeby było tyle samo kobiet, co facetów. Kobiety siedzą przy stolikach, a faceci co kilka minut się zamieniają miejscami.

– Skąd wiesz, próbowałaś? – W głosie Jolki można było wyczuć zdecydowanie więcej niż tylko nutkę ironii.

Marietta udała, że jej nie słyszała, co nie spodobało się Jolce, jednak tym razem odpuściła. Zapewne myślała nad następnym, bardziej uszczypliwym tekstem, którym poczęstuje przyjaciółkę przy kolejnej okazji.

Zjadłyśmy obiad, wyszłyśmy z restauracji, po czym każda udała się w swoją stronę. Moje dwieście pięćdziesiąt metrów tym razem wydawało się znacznie krótsze niż poprzednio. Wiatr nie był już tak silny, a z nieba leciały tylko drobne, lekkie krople.

Dotarłam do domu w trakcie *Wiadomości*, które oglądał Karol, żeby wiedzieć, co dzieje się na świecie. Raz dziennie, zawsze o tej samej godzinie, mój współlokator siadał przed telewizorem i chłonał przekazy czwartej władzy. Nigdy nie rozumiałam, czemu nie może sprawdzić najnowszych wieści ze świata w internecie, ale po latach przestałam o to pytać. Przyjęłam do wiadomości codzienny rytuał Karola i postanowiłam się nie wtrącać. Widocznie miał w tym jakiś cel, skoro oglądał zawsze ten sam kanał, o tej samej porze.

Poszłam do kuchni, zaparzyć sobie herbaty. Czekać na gwizdek czajnika, włączyłam laptop, chcąc dowiedzieć się więcej na temat „date of date”. Wpisałam nieznane mi do niedawna sformułowanie w wyszukiwarce i kliknęłam enter. Wyskoczyło ponad miliard sto milionów wyników. Dopisałam zatem hasło „warszawa” i ponownie kliknęłam enter. Osiemnaście milionów wydawało się wciąż dużą liczbą, ale zdecydowanie mniejszą niż pierwsza, zatem postanowiłam pozostać przy tym wyniku. Czajnik zaczął gwizdać, wstałam, zalałam saszetkę z herbatą wrzątkiem i ponownie zasiadłam do komputera. Kliknęłam pierwszą z wyszukanych stron i zaczęłam zgłębiać temat szybkich randek.

■ Wpisowe: 45 zł + 4 zł za opcję standardową, 25 zł + 4 zł
za opcję student

Następna randka: panie 20–30 lat, panowie 26–35 lat – 22.05.2015 rok, godzina 18:00.

Pierwszy wynik i od razu trafiony. Będę już po zdjęciu gipsu, więc warto spróbować. Kliknęłam

w formularz znajdujący się po prawej stronie, aby zapisać się na „szybką randkę”. Dla towarzystwa postanowiłam wypełnić także dla Karola. Wysłałam i pozostało mi jedynie czekać na miejsce spotkania, które miało przyjść mejlem na dobę przed randką.

Wydrukowałam ofertę date of date, aby pokazać ją Karolowi, po czym udałam się do pokoju współlokatora.

– O, już jesteś. – *Wiadomości* się skończyły i do Karola znów docierało to, co działo się wokół niego.

– Już od jakichś kilkunastu minut. – Zaśmiałam się.

– Wiesz, ta nasza Polska to ma przechlapane. Obiecują nam złote góry i obiecują, a i tak nic z tego nie będzie – powiedział, a ja zrozumiałam, o co mu chodzi. Przecież cała Warszawa obwieszona jest plakatami wyborczymi kandydatów z różnych partii, tych bardzo znanych i tych nieznanymi.

– Daj im szansę – wyznałam, a on tylko smutno kiwnął głową.

Podaliśmy mu wydrukowaną kartkę. Cierpliwie czekałam, aż raczy na nią spojrzeć, po czym na swej twarzy zamontowałam uśmiech mówiący „Proszę”.

– Z nami każda randka będzie udana – przeczytał cicho zdziwionym głosem.

– Zapisaliśmy nas na dwudziestego drugiego maja na szybką randkę.

Karol na moment po prostu oniemiał, wyczekująco wpatrując się we mnie.

– Szybka randka? – zapytał z niedowierzaniem.

– Oj, będzie fajnie. – Klepnęłam go w ramię i odwróciłam się na pięcie, aby wrócić do swojego pokoju.

Karol już nic nie powiedział. Cieszyłam się, że poszło z nim tak łatwo, ale chyba nie dałam mu nawet szans na sprzeciw. Uwielbiałam go za to. On zawsze mnie wspierał, choć wiem, że sam wolałby na date of date rozmawiać z facetami niż z kobietami, ale niestety nie było tam opcji dla homoseksualistów. Widocznie Polska musi jeszcze do tego dojrzeć.

15 maja 2015 roku

Ptaki za oknem radośnie śpiewały „pieśń o szczęściu”, która i w mojej głowie rozbrzmiewała od momentu otwarcia oczu. Dziś nadszedł ten dzień. Dzień, kiedy pojedę ponownie do szpitala, tyle że tym razem zdjąć ten okropny gips. Kto nie miał nigdy nic złamanego, nie zrozumie problemów ludzi, którzy przez sześć tygodni czują się ograniczeni w pełnieniu każdej z ról społecznych. Nie byłam dobrą pracownicą, bo byłam na L4, nie byłam dobrą towarzyszką, bo wolałam siedzieć w domu, a i rola przyszłej panny młodej musiała poczekać, bo gips na pewno nie dodaje uroku (wręcz go odbiera ze zdwojoną lub strojoną mocą).

Kolejka w szpitalu. „Norma” – pomyślałam i zastanawiałam się, na co idą pieniądze zabierane nam z każdej wypłaty na opiekę medyczną, której poniekąd nie ma, a jak jest, to trzeba swoje odstać (nawet zdejmując gips). Zdegustowana, zasiadam na niewygodnym plastikowym siedzisku, wystającym ze ściany. Wyjmuję książkę z nadzieją na umilenie sobie tych długich chwil oczekiwania.

– Już ja was podam do sądu, wy kanalie, wy beczłowieki! – usłyszałam w oddali i powoli zaczęło do mnie docierać, że czytanie musi poczekać.

Starsza pani wyszła z jednego z gabinetów, usiadła na siedzisku obok mnie, wzięła moją dłoń i przyłożyła ją do swojej klatki piersiowej.

– Czujecie pani? – zapytała.

– Nie, nic nie czuję.

– No właśnie. Mówię im, że mam zawał i że serce mi już nie bije, a oni zero zainteresowania. Mówią tylko, że byłam już u nich rano z podejrzeniem złamania biodra.

– Ale ja nic nie czuję, bo ma pani na sobie płaszcz i przykładła moją dłoń po złej stronie – wytłumaczyłam.

– Pani z nimi spiskuje! – wrzasnęła kobieta. – Kanalia, i to z gipsem na nodze!

Wstała i torebką delikatnie uderzyła mnie w ramię.

– Co pani robi? – zapytałam zaskoczona.

– Oprzytomniam panią, zanim i pani przestanie być człowiekiem, jak oni. – Po tych słowach staruszka odeszła.

Wszyscy krytykują polską służbę zdrowia, jednak czy aby na pewno niezasłużenie? Siedziałam na korytarzu już dobrą godzinę, dookoła przechodziły pielęgniarki, salowe, czasem jakiś lekarz. Nikt się nami nie interesował. Recepcjonistka siedziała przed komputerem i spoglądając na swoje paznokcie, odpowiadała leniwie do słuchawki na zadawane jej pytania. Jestem pewna, że gdyby ktoś dałby jej możliwość pójścia do domu, nawet chwili by się nie zawahała.

– Następny – usłyszałam zza drzwi gabinetu.

Rozejrzałam się, ale nikt nie wstał. Nadeszła moja kolej. Weszłam do gabinetu. Za biurkiem siedział szpakowaty mężczyzna po sześćdziesiątce. Przeglądał karty przed sobą. Nie chciałam mu przeszkadzać, dlatego cicho zajęłam miejsce naprzeciw niego.

– Pani godność? – zapytał, wciąż patrząc w papiery.

– Bernadetta Gałązka.

– Gałązka, powiada pani... – Zamyślił się. – Zna pani może Elżbietę Gałązkę?

Zdziwiło mnie jego pytanie, jednak odpowiedziałam:

– Tak, to moja mama.

– A mogłaby mi pani powiedzieć, dlaczego pani mama nie odbiera ode mnie telefonów od miesiąca? – zapytał.

– Niech pan zapyta mojej mamy. – Nie wiedziałam, co mogłabym innego powiedzieć.

– Chętnie bym zapytał – wyznał – tylko jest mały problem...

– Jaki?

– Ona nie odbiera ode mnie telefonu.

Lekarz patrzył na mnie, zdruzgotany. Było mi go szkoda. Nie wiedziałam jednak, co mogę zrobić. Moja mama nie była dzieckiem, choć czasem się tak zachowywała, niestety. Sama decydowała, z kim rozmawia i z kim się spotyka.

– Niestety, nie mogę nic zrobić. – Spuściłam wzrok.

– Niech pani do niej zadzwoni, teraz – prosił. – Niech powie o mnie, że czekam na znak.

– Nie chcę się mieszać... – Spojrzałam na niego.

– A chce pani, żebym zdjął gips? – Użył szantażu i tym wygrał.

Wyciągnęłam z torebki telefon i wybrałam numer mamy. Odebrała po trzech sygnałach.

– No, część, mam, jestem w szpitalu – mówiłam, a ona komentowała wszystko po drugiej stronie. –

Wiesz, spotkałam tutaj twojego znajomego. Jakiego? – Spojrzałam na identyfikator lekarza. – Janusz Kordek, lekarz. – Mama mówiła i mówiła, a ja czekałam na jakieś sensowne zdanie. – Naprawdę powiedział pan mojej matce, że skrzeczy jak papuga? – Tym razem spojrzałam na lekarza.

– Tak, ale to był komplement. Ja kocham papugi. Mam nawet trzy w domu, ale twoja mama, jak to powiedziałem, to odwróciła się i wyszła, a ja chciałem się jej oświadczyć i zapytać, czy najpiękniejsza papużka mojego życia zechce zostać moją na zawsze – mówił szybko, nerwowo.

– Słyszałaś? – zapytałam do słuchawki. – No mogłaś, mogłaś. To co? Zadzwonisz za dziesięć minut? Nie, mam, nie za dziesięć. Musi mi gips zdjąć. OK, przekażę. – Rozłączyłam się.

Spojrzałam na lekarza i zaczęłam się śmiać. On, nie rozumiejąc mojego zachowania, wpatrywał się we mnie, czekając na wieści od mamy.

– Porównać moją mamę do skrzeczącej papugi to naprawdę wielka odwaga. – Zaśmiałam się ponownie. – Ma pan do niej zadzwonić, jak tylko zdejmie mi pan ten cholerny gips.

– Dziękuję pani. – Wstał z krzesła i rzucił mi się na szyję, całując po rękach.

Kto by pomyślał, moja matka i lekarz? Moja mama i ktokolwiek wydawało się dziwnym połączeniem,

a co dopiero z lekarzem.

Gips zdjęty, noga wygląda prawie jak sześć tygodni temu. Zalecenie, aby być ostrożną i omijać wszelkie niebezpieczne ścieżki, uznałam za zbyteczne, bo po przedpokoju muszę chodzić, a omijanie nierównych kafli uważam za niemożliwe.

Z gabinetu doktora Kordka wyszłam zadowolona. Jeszcze nie zamknęłam za sobą drzwi, kiedy lekarz zadzwonił do mojej mamy. Słyszałam jedynie słodkie: „Przepraszam, moja papużko” i czym prędzej zamknęłam drzwi. Nawet życie towarzyskie mojej matki było ciekawsze niż moje. Mimo swojego wieku miała powodzenie, ktoś chciał z nią być. A ja? Co ze mną? Same niepowodzenia. Szukam miłości, a nie mogę znaleźć. I wcale nie jest tak, że idę przed siebie i nic nie widzę. Ja już zaczęłam nawet się schylać, zaglądać w zakamarki, ale miłości nigdzie nie widać. Nie mogę znaleźć mojego jedyne. A przecież wiele nie wymagam...

Do mojej głowy dotarły straszne myśli. Myśli, że nawet moja matka miała ciekawsze życie seksualne niż ja. Myśli, że ona w ogóle miała jakieś życie seksualne, o czym ja już powoli zapomniałam. Czy w jej wieku było to jeszcze możliwe? Nie, nie chcę o tym myśleć. To moja matka. Jej widok w ubraniu wydawał się straszny, a co dopiero bez. Biedny facet z tego Kordka. Nie wie, biedak, na co się pisze. W jego wypadku nie wróżę wiele. Nawet w wyschniętej rzece da się utopić, o czym zapewne niedługo przekona się lekarz.

Szłam powoli w stronę domu. Słuchałam szumu drzew, świergotania ptaków i innych odgłosów natury, których zdarza się nam na co dzień nie zauważać. Nie mając czasu na nic, nie widzimy tego, co najpiękniejsze. Świeże powietrze pobudzało mój mózg do myślenia. „Tak, na date of date znajdę męża” – obiecałam sobie, stawiając coraz pewniejsze kroki.

Świat robi się znacznie piękniejszy, kiedy mu na to pozwolimy.

Sposób 7. Date of date

Ciemna sala, z lekko tłumionym światłem w rogu, kilka okrągłych stolików, pokrytych czarnymi obrusami, oraz stojący przy barze pan z mikrofonem w dłoni to pierwsze, co rzuciło mi się w oczy po wejściu do pubu w centrum miasta. Mężczyzna w dobrze skrojonej garniturze pokierował mnie do jednego ze stolików, Karola zaś w drugą stronę. Czekałam cierpliwie na dalsze wydarzenia. Pan w garniturze zapytał, czego się napiję i po chwili przyniósł zieloną herbatę, o którą prosiłam. Do pubu wchodzili co jakiś czas ludzie. Kilka kobiet, kilku mężczyzn. Punktualnie o godzinie osiemnastej pan z mikrofonem zaczął swoją przemowę:

– Witam państwa na kolejnym date of date, czyli szybkiej randce. – Uśmiechał się niczym hollywoodzki aktor. – Dziś mamy osiem ślicznych pań i ośmiu wspaniałych kawalerów. Każdy z państwa będzie miał siedem minut na spędzenie czasu we dwoje i bliższe poznanie. Zasady są proste. Panie siedzą przy stolikach i co siedem minut, kiedy usłyszycie dźwięk... – Uderzył w dzwon, aby każdy wiedział, o jakim sygnale mówił. – ...panowie wstają i przesiadają się do stolika po swojej lewej stronie. Każdy z państwa ma dodatkowo karteczkę z imionami kandydatów, panie z imionami panów, panowie z imionami pań. Po każdej randce waszym zadaniem jest postawić przy imieniu krzyżyk na TAK lub NIE. Skoro wszyscy już wiedzą, o co chodzi, to życzę miłych i owocnych randek – dodał na zachętę i ponownie uderzył w dzwon, oznajmiając rozpoczęcie wydarzenia.

PIERWSZA SIEDMIOMINUTÓWKA

Nawet przytłumione światło nie pomogło ukryć wad kandydata numer jeden. Ogromna szpara między górnymi jedynekami aż prosiła, by się nie uśmiechał, jednak on nie dostrzegał jej błagań. Szczerzył się, jak gdyby miało mu to pomóc, a było jedynie zniechęcające. Wzrost i budowa ciała – do przyjęcia, jednak szpara między zębami pobudzała moje myśli.

– Waldek. – Podał mi rękę, uścisnął ją zdecydowanie i zasiadł naprzeciw mnie.
– Palisz? – Mój mózg wygenerował to pytanie, zamiast przedstawienia się.
– Nie – odpowiedział, zdezorientowany.
– Bo myślałam, że paląc, wkładasz sobie papierosa między zęby i nie musisz nawet trzymać go ręką – szybciej powiedziałam, niż pomyślałam,
– Typ żartownisi – odburknął. – Czytałem wiele poradników i wiem, jak należy podejść do każdej z was. Typ żartownisi nie wydaje się trudny do zdobycia.
– Są jakieś poradniki, jak mnie zdobyć? – zaciekawiałam się.
– Nie rób z siebie wyjątkowej. – Patrzył mi prosto w oczy, wciąż się uśmiechając. – Wyjątkowe kobiety są już zajęte, a te, które mają o sobie większe mniemanie, niż powinny, siedzą teraz przy okrągłych stolikach i szukają mężów.

Cios został przyjęty prosto na klatę. Nie upadłam, musiałam walczyć dalej.
– A jak nazwiesz facetów, którzy siedzą naprzeciw tych niewyjątkowych kobiet?
Spoglądał na mnie uważnie, nie spodziewając się mojego pytania. Widocznie tego nie wyczytał w tych swoich poradnikach.

– Wyrzutkami społeczeństwa – wyjaśniłam mu. – Patrząc na statystyki, na świecie więcej jest kobiet. Podobno na jednego faceta przypadają aż cztery, a ci tutaj nie mogli zdobyć nawet jednej. Trochę to smutne, bo takie szybkie randki im niewiele dadzą, skoro do tej pory nie znaleźli, to mogą jedynie na wstępie zadawać pytanie, czy kobieta jest desperatką. Tylko takie desperatki są w stanie wytrzymać z takim chodzącym poradnikiem jak ty.

Nie czekając, aż wstanie, wzięłam kartkę i długopis i na jego oczach zaznaczyłam ogromny krzyżyk przy jego imieniu, pod napisem NIE. Delikwent wydawał się nie rozumieć mojego zachowania i wciąż siedział naprzeciwko.

– Typ żartownisi i władczyjni to ciekawe połączenie... – zaczął, ale dźwięk dzwonka nie pozwolił mu dokończyć myśli.

Waldemar wstał i skierował się do stolika po lewej stronie. Ja natomiast postanowiłam czekać na swoje kolejne siedem minut.

DRUGA SIEDMIOMINUTÓWKA

Przystojny, wysoki i dobrze zbudowany brunet w modnej koszuli zbliżał się do mojego stolika. Czekałam, aż usiądzie naprzeciw, aby móc go bliżej poznać. Jego wygląd ukazywał jego atrakcyjność zewnętrzną, ale byłam święcie przekonana, że i wewnątrz okaże się on naprawdę ciekawym kandydatem na męża.

Usiadł i uśmiechnął się szelmowsko, zdradzając tajemnicę, jaka się w nim kryje. „Szczypta łobuza pomieszana z przebiegłością” – to była moja pierwsza myśl o nim.

– Berka. – Podałam mu dłoń na przywitanie, posyłając przy okazji jeden z trenowanych wczoraj przed lustrem uśmiechów.

– Nie obchodzi mnie, jak masz na imię, tylko co chcesz ze mną zrobić. – Skierował wzrok na swoje nabrzmiałe krocze, automatycznie wywołując u mnie ten sam odruch.

„Zboczeniec” – pomyślałam automatycznie. Jednak po chwili stwierdziłam, że może zbyt pochopnie. Może po prostu szukał przygody?

– Noszę majtki Bridget Jones – to było jedyne, co przyszło mi do głowy.

Spojrzał na mnie niechętnym wzrokiem, szelmowski uśmiech nie zdobił już jego męskiej twarzy.

– Mój boa już nie chce wejść do twojej klatki, mamusiu. – Wstał od stolika zdecydowanie wcześniej, niż zadzwieczał dzwonek.

Kolejny kandydat, kolejne zakreślone NIE. Co prawda się nie przedstawił, ale stwierdziłam, że to na pewno był Ariel, którego imię widniało pod Waldemarem. Kogo tym razem los mi przyniesie...

TRZECIA SIEDMIOMINUTÓWKA

Sweterek w figury geometryczne świadczył o zamiłowaniu do nauk ścisłych lub totalnym braku gustu. Widząc go, zasiadającego naprzeciw mnie, przypomniał mi się pan z kabaretu, chodzący w śmiesznych swetrach. Gdyby szukali kolejnego członka do swojego zespołu, mój kandydat już za sam sweter byłby w czołówce.

– Romuald. – Pocałował moją dłoń, jak dawniej kawalerowie mieli w zwyczaju całować damy. – Dla przyjaciół Romek.

Staroświecki, ale w pozytywny sposób. Nawet o sweterku powoli zapomniałam, bo przecież garderobę zawsze można wymienić.

– Bernadetta, dla przyjaciół Berka – przedstawiłam się kokieteryjnie.

– Czym się zajmujesz? – zapytał.

– Jestem kosmetologiem, potocznie mówią kosmetyczka, ale mam więcej uprawnień niż zwykła kosmetyczka – tłumaczę cierpliwie.

– Hm... i trafiliśmy na pustkowie – wyznał, a ja patrzyłam na niego, czekając na ciąg dalszy wypowiedzi. – Podobno tylko kobiety o niskiej samoocenie zajmują się wyglądem innych kobiet.

Czar prysł. Jedno stwierdzenie z użyciem słowa „podobno” wystarczyło, aby z dżentelmena ze staroświeckimi zwyczajami stać się zwykłym próżnym facetem.

– A co ty robisz? – Chciałam mu dopiec, lecz nie wiedziałam jeszcze jak.

– Nie chcę byś popadła w jeszcze większe kompleksy, zatem powiem delikatnie, że jestem dyrygentem jednej z warszawskich orkiestr.

– Dyrygent? Sztywniak znaczy się – wyznałam, rozbawiona. – Nikt cię nie chciał słuchać, to zostałeś

dyrygentem, aby choć przez chwilę móc być kimś ważnym.

Twarz Romualda gwałtownie pobrała, a oczy wypełniły się małymi mieczami, gotowymi do walki.

– Nie będę rozmawiał z taką prostaczką od kosmetyki na temat mojej kariery – oburzył się, a ja wybuchłam śmiechem.

Nie chciało mi się już tłumaczyć mu, że nie ma czegoś takiego jak kosmetyka, wręcz prostakiem powinno nazywać się osobę używającą takiego sformułowania. „Dyrygencik z bożej łaski się znalazł” – pomyślałam, zakreślając ponownie krzyżyk przy NIE.

CZWARTA SIEDMIOMINUTÓWKA

Kandydat numer cztery zbliżał się powolnym krokiem do mojego stolika. Wyraz jego twarzy i mowa ciała świadczyły, że miałam do czynienia z flegmatykiem, lecz nie chciałam go skreślać na wstępie. Ubrany zwyczajnie, w dżinsy i kolorowy T-shirt, usiadł niepewnie na krześle. Wyciągnął rękę w moją stronę i dopiero teraz zauważyłam krople potu na jego czole.

– Berka – odezwałam się pierwsza, aby go ośmielić.

– Janek. – Nawet nie ścisnął mojej dłoni. – Mogę szklanek wody?

Ruchem ręki przywołałam do siebie mężczyznę w garniturze, który przyniósł mi wcześniej herbatę, i poprosiłam go o szklanek wody dla mojego towarzysza. Przyniósł ją szybko i postawił przed Jankiem, a ten delikatnie zamoczył usta.

– To mój pierwszy raz – wyznał. – Wiesz, ja nigdy nie miałem dziewczyny, no wiesz, w tym sensie, że wiesz – tłumaczył, a ja starałam się tylko pohamować śmiech.

– Ja też jestem tu pierwszy raz – powiedziałam, aby go zachęcić.

– Też dziewica? – zapytał szeptem.

– No, prawie jak dziewica.

– Za krótki był, żeby przebić. Też się tego boję, bo wiesz na tych filmach porno to oni mają takie ogromne, a mój to tylko czternaście centymetrów, a nie wiem, jak daleko jest ta cała błona – tłumaczył.

– Sprawdziłaś u wujka Google? – byłam ciekawa.

– Pewnie, ale ja mu nie wierzę. Bo piszą tam, że ona jest zaraz przy wejściu do pochwy, a gdyby tak było, to można by ją przebić nawet podczas zabaw przed całym wydarzeniem. – Jego policzki robią się czerwone.

– Wujek ma rację – stwierdziłam, – Wiesz, ta błona to taka fikcja trochę. Mówią, że jak się ją przebije, to się krwawi, ale wiele kobiet tego nie ma. Nie martw się, czternaście centymetrów na pewno wystarczy. – Sama nie wiem, czemu dodawałam mu otuchy.

– Myślisz, że moglibyśmy? – zapytał z nadzieją, a ja delikatnie pokręciłam głową na znak, że nie ma takiej szansy.

Dzwonek oznajmił zmianę miejsc. Janek, już trochę pewniej, wstał i pocałował mnie w rękę na pożegnanie, mówiąc „dziękuję”, tak cicho, że jedynie ruch jego warg uświadomił mi, że coś powiedział. Kolejny krzyżyk przy NIE nie podsyczał nadziei na udane zakończenie wieczoru.

PIĄTA SIEDMIOMINUTÓWKA

– I jak? – Naprzeciw mnie usiadł uśmiechnięty Karol.

– Załamka, jeden nazywa mnie desperatką, drugiemu chodzi o seks, trzeci... sama już nie pamiętam, a czwarty jest prawiczkim i zastanawia się, jak głęboko tkwi błona dziewicza – wyrzuciłam z siebie.

Karol zaczął się głośno śmiać, a ja razem z nim. Ludzie przy stolikach obok spojrzeli na nas z zazdrością.

– A jak u ciebie? – zapytałam, ciekawa jego doświadczeń na szybkich randkach.

– Podobnie. Jedna szuka ojca dla dwójki dzieci, bo jak będzie dobrym ojcem, to i na męża się nada,

druga chyba nawet podstawówki nie skończyła, bo jej wypowiedzi są tak płytkie jak głębia w piosenkach Behemoth, trzecia zaczęła płakać, że rzucił ją chłopak i nie wie, co ma zrobić, żeby do niej wrócił, a czwarta... czwarta to połączenie twojej matki z Zośką – wyznał.

– Aż tak źle?

– Nie. Kandydatka numer pięć wydaje się interesująca. – Zaśmiał się i postawił obok mojego imienia krzyżyk przy TAK.

– Mój kandydat numer pięć też jest niczego sobie. – Też zaznaczyłam TAK. – Nie musi się nawet specjalnie starać, aby być lepszym od poprzedników.

– Ile jeszcze zmian? – zapytał Karol, a ja wzruszyłam ramionami. – Nie wiem, jak mi się odwdzięczysz za to, że tutaj przyszedłem.

– Myślisz, że ludzie faktycznie mogą tu znaleźć miłość? – Udałam, że nie słyszałam tego, co mówił.

– Gdybyś przeczytała opinie na forum, to wiedziałabyś, że kilka par jest już nawet po ślubie – odpowiedział i w tym samym momencie zadzwonił dzwonek.

Karol wstał od mojego stolika i poszedł dalej, a ja zaczynałam żałować, że jego siedem minut musiało się tak szybko skończyć. Gdyby znalazł się ktoś choć trochę podobny do niego, to byłabym najszczęśliwszą kobietą na ziemi.

SZÓSTA SIEDMIOMINUTÓWKA

Kolejny kandydat, kolejne zdziwienie. Facet podchodzący do mojego stolika trzymał w dłoniach dwie połączone z sobą na końcach pałeczki. Szukałam w myślach skojarzeń. „Feng shui” – przyszło mi do głowy.

Mężczyzna, nawet przystojny, podszedł do mnie i dopiero po chwili zasiadł na krześle naprzeciw.

– Julek. – Podał zdecydowanie dłoń, a pałeczki położył na stoliku.

– Berka.

– Wybacz, ale musiałem zbadać energię, jaka jest w tobie i jaka ciebie otacza, żeby mieć pewność, co do naszej przyszłości – mówił, a ja słuchałam go z otwartymi ustami. – Mój ostatni związek skończył się właśnie przez złą energię, która nas otaczała.

– Rozumiem – jedyne, co przyszło mi na myśl.

– Mieliśmy zamieszkać razem, ale ona nie zgodziła się na rozmieszczenie pomieszczeń według siatki bagua. Zrobiliśmy, jak chciała i trach – po miesiącu nasz związek się rozpadł... Słyszałaś o feng shui? To wszystko jest takie fascynujące, zasada yin i yang, zasada pięciu biegunów i siatka bagua to tylko część tematów, jakie udało mi się zgłębić w tym roku. Nawet nie wiesz, ile wewnętrznego spokoju mam w sobie, od kiedy zacząłem się interesować feng shui. Jak chcesz, to pomogę ci to wszystko zrozumieć – zaproponował z uśmiechem fascynacji.

Dźwięk dzwonka przerwał mówienie Julka, który wstał dość szybko, zabrał swoje pałeczki ze stołu i rzucił: „do zobaczenia”. Fanatyk pozytywnej energii i spokoju podszedł do stolika obok, by swoimi pałeczkami „przebadać” kolejną kandydatkę. Następne niepowodzenie, kolejny krzyżyk mówiący o braku chęci bliższego poznania z mojej strony.

SIÓDMA SIEDMIOMINUTÓWKA

Kandydat numer siedem podszedł zdecydowanym krokiem do mojego stolika. Usiadł naprzeciw mnie i bez zbędnego podawania ręki przedstawił się.

– Paweł.

– Berka.

Żuł gumę i patrzyła na mnie jakoś dziwnie. Siedział wyluzowany na krześle, prawie leżąc, i kiwał głową, jakby słyszał gdzieś w pobliżu muzykę.

– Twoi rodzice lubili bawić się w berka? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziałam, choć nie rozumiałam, skąd takie pytanie.

– No, wiesz, twoje imię nie wzięło się bez powodu. Berek tu, berek tam i wyszłaś ty, Berka. – Śmiał się, ubawiony swoim dowcipem.

Żuł gumę tak głośno i intensywnie, że niemal sama czułam jej smak.

– Zabawni ci twoi rodzice, moi się nie wysilili: Paweł i tyle. Nic oryginalnego.

– Czego tutaj szukasz? – zmieniałam temat.

– Szczerze... to żony. Mam dwadzieścia dziewięć lat, a nadal matka mi gotuje, pierze i marudzi. Trzeba to zmienić. – Uśmiechał się, a ja dopiero teraz zauważyłam u niego brak górnej dwójki.

– I żona ci do gotowania, prania i marudzenia potrzebna?

– Nie tylko. Dzieci trzeba urodzić, niech dobre geny się roznoszą, wiesz, zawsze to lepiej mieć jedną swoją niż kilka niczych – tłumaczył, a mnie wprost ubawiły jego słowa. – Nawet na studia się zapisałem, żeby żonę znaleźć, na pedagogikę, bo tam dużo dziewczuch, ale oni uczyć mi się kazali, a ja to, sama widzisz, mądry, ale prosty chłop jestem.

– I co, na tej pedagogice dziewczuch nie było? – zapytałam.

– Były, i to jakie. Młode szprychy, lalki niezłe, mówiły na mnie „nasz rodzynek”, a ja się wkurzyłem jednego dnia i wytłumaczyłem im trochę za głośno, że nie jestem rodzynek, tylko rodzyn, i potem już się do mnie nie odzywały – posmutniał.

– Przykro mi – powiedziałam poważnie. – Jak mogły nazwać cię rodzynkiem, skoro z ciebie taki rodzyn.

Chłopak uśmiechnął się, ponownie mogłam zauważyć braki w jego uzębieniu. Na dodatek na moim kolanie poczułam jego dłoń.

– Dobrze, że ty, lala, mnie rozumiesz – powiedział. – To może umówimy się na wspólnego berka? – zaproponował.

Zbyłam go obietnicą, że zadzwonię jutro. Na szczęście nie zapytał, skąd będę miała numer. Zdecydowanym ruchem ręki nakreśliłam krzyżyk przy NIE. Dzwonek ponownie zadzwonił, a pan stojący obok niego poinformował, że przed nami ostatnia szybka randka dnia dzisiejszego.

ÓSMA SIEDMIOMINUTÓWKA

Ostatni będą pierwszymi, mawiali uczeni. Chcąc wierzyć w ich słowa, postanowiłam nie nastawiać się negatywnie do ostatniego kandydata. Wysoki, szczupły okularnik zbliżał się do mojego stolika. Wyglądał sympatycznie i co najważniejsze (po Pawle) – inteligentnie. Podał mi rękę na przywitanie i zasiadł naprzeciw.

– I jak ci się podoba? – zapytał, nawet nie mówiąc, jak ma na imię.

Spojrzałam na kartkę i drogą dedukcji wywnioskowałam, że mam przed sobą Szymona.

– No, nie powiem, ale za dużo wrażeń jak dla mnie na jeden dzień – wyznałam szczerze.

– Ja też już jestem zmęczony. Chodzę na szybkie randki od kilku miesięcy i wciąż nic. – Wydawał się zrezygnowany.

– To mój pierwszy raz.

– Zazdroszczę, za pierwszym razem miałem nadzieję, że to jest to, że tu się uda. Moja rodzina cały czas mnie męczy, kiedy się ożenię, a ja po prostu nie mam z kim.

– Znam to – przyznałam.

– Ty masz pewnie gorzej niż ja, ciebie pewnie już niedługo ukamienują za staropanieństwo. – Roześmialiśmy się jednocześnie.

Ostatnie siedem minut upłynęło w zupełnie innym klimacie niż poprzednie szybkie randki. Tym razem mój śmiech wywoływały dowcipy kandydata, a nie jego głupota. Mimo dobrego dogadywania się,

wspólnie z Szymonem przyznaliśmy, że nie ma między nami chemii, która powinna występować w związku, dlatego też obok swoich imion postawiliśmy krzyżyki przy NIE.

* * *

Ostatni dzwonek, podziękowania z ust prowadzącego, oddanie karteczek z imionami i powrót do domu. Zgarnęłam czym prędzej Karola i zaciągnęłam go do wyjścia. W drodze powrotnej rozmawialiśmy o naszych date of date, cały czas się śmiejąc. W doskonałych humorach weszliśmy do mieszkania i każde z nas zamknęło się w swoim pokoju, by odsapnąć po minionych randkach.

Osiem siedmiominutowych randek dobiegło końca. Na prawie godzinne randkowanie jedynie czternaście minut mogłam uznać za warte poświęcenia. Pierwsze date of date zakończone fiaskiem, niezapowiadające ponownej chęci uczestnictwa w podobnych wydarzeniach. Nie udało się, trudno. Ważne, że wrażenia zostaną zapamiętane na długo.

Nadzieja na znalezienie męża za pomocą szybkich randek umarła tak szybko, jak się zrodziła. Mimo iż każdy z kandydatów był inny, do wyjątkowości było im daleko. Godzina szybkich randek ukazała mi jedynie, jak można ocenić człowieka w zaledwie siedem minut. Niby krótkich, ale wystarczająco długich, aby wyrobić sobie pierwsze wrażenie.

Pierwsze (i ostatnie) uczestnictwo w szybkich randkach:

- *Kandydatów na męża: na ośmiu tylko dwóch sensownych, w tym jeden gej, a drugi bez szczególnej chemii*
- *Ciekawie spędzonych minut: jedynie wspomniane wcześniej czternaście (w sumie tyle samo miał też przykrótki członek jednego z kandydatów)*
- *Refleksja na dziś: Faceci są beznadziejni! Albo to ja na takich trafiam.*
- *Plany na przyszłość: nie mieć planów!*

23 maja 2015 roku

Otworzyłam kalendarz i zobaczyłam notatkę oznajmiającą, że o czternastej miałam umówiony w pobliskiej restauracji obiad z Mariettą. Czego ona znów mogła chcieć? Bo, że coś chciała, to pewne, ale co tym razem, to nie miałam pomysłu. Ostatni taki wspólny obiad był w zeszłym roku, kiedy to Mari miała problem, czy w październiku wypada nosić jeszcze letnie ubrania, skoro jest w miarę ciepło na dworze. Ona i jej słynna garderoba, podzielona na pory roku, nie tylko jeśli chodzi o rodzaj ubrań, ale także i o kolory. Beż i szary to idealne barwy na zimę, są neutralne i nawet pod grubym płaszczem wyglądają profesjonalnie. Jesień to odcienie spadających liści, uzupełnione o granat i burgund. Lato nosi się pastelami, a wiosna to zdecydowane ciepłe barwy.

Do umówionej godziny zostało niewiele czasu, zatem pospiesznie wyszłam z domu, aby zdążyć na czas. Marietta nienawidzi osób, które się spóźniają, bo to oznacza, że ktoś nie szanuje jej cennego czasu. W kogo ona się wrodziła? Mama krawcowa, znana na całym osiedlu ze swojej skrupulatności i dobrej ręki, ojciec mitoman, opowiadający o swoich podróżach po świecie, a nawet polskiego morza w życiu nie widział. Jest jeszcze Jędrak, brat Mari, drobny złodziejaszek, który szybko trafił do więzienia. Jedynie z mamą Mari utrzymywała jeszcze kontakt, choć można go nazwać sporadycznym.

Kiedy wpadłam do restauracji, Marietta już siedziała przy stoliku. Z oddali widać było, że się czymś denerwuje. Nerwowo uderzała palcami o blat stołu, jakby pisała na klawiaturze.

– Hej, Mari – przywitałam się, podchodząc do niej.

Marietta wstała, pocałowała mnie w policzek, najdelikatniej jak można, i ponownie usiadła. Zająłam miejsce obok niej, a ona poinformowała mnie, że złożyła już za nas zamówienie. Uczynna Mari, zawsze wie, co chciałabym zjeść. Zresztą nie jest to zbyt trudne, bo zawsze zamawiam to samo.

– Coś się stało, że chciałaś się spotkać? – zapytałam.

Mari wydawała się niepewna siebie, co w jej wypadku było dość dziwne. Zerknęła ukradkiem na boki, po czym cicho wyznała:

– Mam delikatną sprawę i tylko ty możesz mi pomóc.

– A możesz powiedzieć coś więcej? – Także mówiłam szeptem, żeby się nie denerwowała.

– Wyjeżdżam w poniedziałek na szkolenie i chciałabym cię prosić, żebyś wpadała do mnie podlewać kwiaty – wyrzuciła z siebie.

– To na ile jedziesz?

– W czwartek wrócę.

– To kwiaty nie wytrzymają cztery dni bez wody? – zdziwiłam się.

– Kwiaty tak, kot nie.

– Jaki kot? – Szept odszedł w zapomnienie.

Mari uciszyła mnie i ponownie rozglądnęła się, czy ktoś nas nie obserwuje.

– Kupiłam sobie kilka miesięcy temu kota i on musi coś jeść, jak mnie nie będzie – tłumaczyła. – Nie chciałam wam mówić, bo Jolka znów by zaczęła swoje wywody, że kot to oznaka staropanieństwa, a dla mnie kot to wygoda, bo z psem musiałabym wychodzić na spacer.

– Masz ogromny ogród, więc nie musiałabyś z nim spacerować – zauważyłam.

– Ty też masz coś do kotów? Po prostu chciałam kota i mam kota, jasne?

– Jasne, jasne.

– To jak, zaopiekujesz się Napoleonkiem? – zapytała ponownie.

– Nazwałaś kota Napoleon?! A na drugie ma Bonaparte? – Zaśmiałam się, lecz Mari nie było do śmiechu. – Zaopiekuję się nim. Pewnie mam nic nie mówić o nim dziewczynom?

Mari kiwnęła twierdząco głową, uśmiechnęła się promiennie i założyła nogę na nogę. Wiedziałam, że skoro zakłada nogę na nogę, to musi być jeszcze jakieś drugie dno całej sytuacji.

– Wiedziałam, Berka, że na ciebie zawsze można liczyć. – Zaczęła szukać czegoś w torebce. – Tu masz listę rzeczy, które trzeba robić, aby Napoleonek był zadowolony. – Położyła przede mną kartkę, a ja zaczęłam się niepokoić.

– Mam mu śpiewać? – niedowierzałam.

– Oj, kochana, tylko przed snem. Najlepiej by było, gdybyś na ten czas przeniosła się do mojego domu. Napoleonek nie lubi być sam, a ty przecież też nie masz nic lepszego do roboty – zaproponowała, a ja wyczułam w tym nutę zgryźliwości.

Czytałam dalej i własnym oczom nie wierzyłam, że lista dotyczyła opieki nad kotem, a nie nad człowiekiem. Śpiewanie kołysanki, minimum godzinne głaskanie po grzbiecie, zabawa w polowanie, poprawianie poduszki podczas snu, mielenie wołowiny oraz oglądanie ulubionego serialu to tylko kilka z licznych potrzeb Napoleonka. Zapowiadał się ciężki tydzień z wymagającym kocurem. Cztery dni dbania o Napoleonka nie mogły minąć szybko, a szkoda.

Zjadłyśmy obiad, przy którym nasłuchiwałam się jeszcze, jaki Napoleonek jest cudowny, piękny, mądry i w ogóle idealny. Kilkakrotnie próbowałam zmienić temat, ale za każdym razem Mari znów schodziła na temat swojego pupila. Aż dziw, że przez cztery miesiące nawet o nim nie napomknęła. Słuchając jej teraz, wydawało mi się wręcz niemożliwe, że można było choć przez chwilę nie mówić o Napoleonku. Swoją drogą, skąd ona wzięła to imię? Nigdy nie była przesadną miłośniczką historii, za słodyczami też nie przepadała, chyba że chodziło o lody. Dziwne imię, więc i kot musiał być dziwny. Cztery dni z nim już dziś wydawały się dla mnie mordęgą, lecz wolałam zachować te myśli tylko dla siebie.

– A co to za szkolenie? – zapytałam, po raz kolejny podejmując próbę zmiany tematu.

– Teodor chce, żeby jego kadra była wszechstronna, dlatego wysyła nas na szkolenie z projektowania terenów zielonych – mówiła z widocznym niesmakiem.

– Terenów zielonych? – zdziwiłam się.

– Tak, w przyszłości będę może projektowała park Szczęśliwicki, który jest za rogiem – kpiała.

– No, chyba przesadził ten twój Teodor – przyznałam, bo doskonale wiedziałam, że moja przyjaciółka jest specjalistką od wystroju wnętrz i nie w głowie jej nazwy kwiatów, krzewów czy drzew.

– Nie mój, to po pierwsze – zauważyła wyniośle. – A po drugie, to niech sam ruszy swoją starą, spróchniałą dupę na to szkolenie.

– Skąd wiesz, że spróchniała? – Jak zawsze pytałam o najmniej istotne rzeczy.

– Bo myśląc o jego dupie i tych drzewach, jedyny synonim, jaki mi do obydwu pasuje, to „próchno”. – Niemal podskoczyła zadowolona ze swojej „odkrywczej” myśli.

Wolałam już o nic nie pytać. Wciąż myślałam o obowiązkach związanych z kotem i miałam nadzieję, że nie będę musiała robić tych wszystkich rzeczy z listy. Przecież Napoleon na mnie nie naskarzy... Ważne, że jego pani będzie zadowolona, on nie musi.

Sygnal mojej komórki oznajmił nadejście SMS-a. Wyjęłam telefon i odczytałam go.

– Kto to? – zapytała ciekawska Mari.

– To z szybkiej randki – wyjaśniłam.

– Gadaj, jak było! – W jej oczach pojawił się błysk.

– Nijak. Gdybym była żołnierzem, nie miałabym z czego strzelać, bo takie niewypały.

– Wszyscy?

– Nie, nie wszyscy. Jeden był OK, ale nie było chemii, no i Karol – powiedziałam spokojnie, a Mari oczy zabłyśły jeszcze jaśniej.

– Berka, że my wcześniej na to nie wpadłyśmy! – Ponownie prawie podskoczyła, zadowolona ze swojego odkrycia.

– Na co? – Nie rozumiałam, o co jej chodzi.

– Mieszkaś z nim już tyle czasu, pierzesz jego śmierdzące skarpetki ze swoimi majtkami, więc to musi być to – mówiła, uradowana.

– Co mają jego skarpetki do moich majtek?

– No wiesz, ja bym skarpetek byle kogo nie prała z moimi koronkowymi stringami – zauważyła Mari.

– Karol jest gejem – wyznałam.

Mari przez chwilę wyglądała tak, jakby dostała ataku padaczki. Wyrzeszczyła oczy, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Skąd wiesz? – nie wierzyła.

– Powiedział mi.

– Berka, powiedz, że nie pierzesz jego majtek ze swoimi? – zapiszczała błagalnie Mari.

– Piorę, a w czym problem?

– Bożeszcie jedyne, przecież ty nie wiesz, z kim on spał danej nocy i czy tam nie zostało coś po ich igraszkach, a plemniki żyją znacznie dłużej, niż myślisz, i co jeśli ty będziesz w ciąży z sama nie wiesz kim? – wyrzuciła jednym tchem, tak szybko, że ledwie rozróżniałam poszczególne słowa.

– Mari, nie żartuj! Plemniki szybko giną poza organizmem. Poza tym w praniu odpływają daleko, wcześniej podgotowane w pralce. A nawet jeśli jakimś cudem któremuś udałoby się przetrwać, to byłby chyba zbyt wycieńczony, żeby wyruszyć na poszukiwanie mojego jajeczka – tłumaczyłam, jak dziecku w podstawówce.

– Chwała Bogu, bo już się martwiłam o ciebie. Starej panny z dzieckiem bez ojca to już absolutnie nikt nie zechce – powiedziała spokojnie, a ja się zaśmiałam.

Wyszłam z restauracji razem z Mari. Ona wsiadła do taksówki, a ja skierowałam swoje kroki w stronę parku. Chciałam przejść się i na spokojnie pomyśleć. Wiedziałam, że Marietta była zła na Teodora, ale mnie nawet ta perspektywa jej szkolenia trochę się podobała. „Katowała mnie opowieściami o Napoleonie, niech teraz zgłębia tajniki projektowaniu terenów zielonych” – pomyślałam z mściwą satysfakcją. SMS z portalu, z którego brałam udział w date of date, szybko odszedł w zapomnienie. Według nich jedynym idealnym kandydatem dla mnie był Karol, a przecież wiedziałam, że to niemożliwe.

Musiałam zapomnieć o szybkich randkach i pomyśleć o innych możliwościach zdobycia męża.

29 maja 2015 roku

Cztery dni z Napoleonem to zdecydowanie o dziewięćdziesiąt sześć godzin za długo. Ten rozpieszczony pchlarz doprowadził mnie do szewskiej pasji. Nawet telewizor musiał być włączony na kanale, który jemu odpowiadał. Gdyby nie wizja wściekłej Mari, już dawno zabiłabym kocura i jeszcze dodatkowo dobiła go, żeby mieć pewność, że nie wstanie i znów nie zacznie na mnie polować. Jak można mieć coś takiego w domu? Cztery dni zaczynał się na mnie, a kiedy byłem w pobliżu, rzucał się i drapał. Gdy zamykałam się w łazience, żeby mieć choć chwilę spokoju, on stał pod drzwiami i miauczał, jakbym go ze skóry obdzierała. Naiwna, kilka razy dałam się nabrać na te żałosne jęki, ale kiedy tylko otwierałam drzwi, on z nową energią znów rzucał się na mnie. Koci terrorysta. Wszystko musiało być tak, jak on sobie życzył i mimo iż nie potrafi mówić, doskonale wiedziałam, co ma na myśli w danym momencie.

Powrót Marietty był najszcześniejszym, co mnie spotkało podczas czterech dni z Napoleonem. Kiedy przyjaciółka przekroczyła próg domu, kot zmienił się nie do poznania. Tulił się do mojej nogi, a Mari, widząc to, nie miała wątpliwości, że było nam razem wspaniale. Tłumacząc się pilną sprawą rodzinną, zabrałam tylko swoją torbę i wybiegłam z domu Marietty. Marzyłam o kąpieli w mieszkaniu na Ochocie i oglądaniu w telewizji tego, czego ja sobie życzyłam.

Dochodziłam do klatki, kiedy zadzwonił mój telefon. Pewna, że to Mari, postanowiłam nie odbierać, jednak ponowny sygnał przekonał mnie, że może warto poszukać telefonu. Położyłam torbę na ławce, włożyłam do niej rękę i zaczęłam szperać.

– Co jest? – Zdażyłam odebrać dosłownie w ostatniej chwili.

– Witam pięknie. Jeremiasz Poleski, radio Stacja Warszawa, czy mam przyjemność z panią Bernadettą? – zapytał przyjemny głos po drugiej stronie.

Spiker radiowy. Nawet gdyby się nie przedstawił, wiedziałabym, że pracuje głosem.

– Niestety, nie brałam udziału w żadnym konkursie – wytłumaczyłam i chciałam się rozłączyć.

– Ja nie w sprawie konkursu, ja w sprawie osobistej. Pani przyjaciółka, a znajoma z pracy mojej siostry, przez przypadek wygadała się o waszym corocznym konkursie na postanowienia noworoczne – tłumaczył. – Moja siostra, zaciekawiona tematem, pytała o konkurs i konkretne postanowienia, jakie panie wybrały. Ja właśnie w tej sprawie... – Zawahał się na chwilę. – Pani chce w tym roku znaleźć męża... Jak pani idzie?

– Idzie mi gorzej niż ślimakowi bieganie – powiedziałam szybciej, niż przemyślałam konsekwencje swojej odpowiedzi.

Usiadłam na ławce i postanowiłam posłuchać, co ma mi do powiedzenia pan Poleski.

– Wpadłem na pomysł audycji pod tytułem *Mąż potrzebny na już*, w której przedstawilibyśmy panią, aby pomóc pani zrealizować jej marzenie – mówił stanowczo, a zarazem spokojnie.

– Która z tych wywłok wyklepała? – zaciekawilo mnie.

– Nie mogę podać pani mojego źródła. Zastrzegano, że może pani być lekko zdenerwowana i że mam panią uspokajać, bo z czasem te niepowodzenia mogą wywołać u pani depresję.

– Monika, a to wydra jedna! – Zdenerwowałam się.

– Skąd pani wie? To znaczy... zmieńmy temat i porozmawiajmy o naszej audycji. – Przemawiał niczym terapeuta.

– Szanowny panie Jeremiaszku, niech pan powie swojemu źródłu, że jedyna depresja, jaka może mnie spotkać, to ta po stracie przyjaciółki, kiedy ją sama zamorduję. – Słowa wypływały ze mnie same.

– Pani Bernadetto, to może ja zadzwonię jutro? – zaproponował.

– Jutro nie, pojutrze też nie, wcale niech pan nie dzwoni! – krzyczałam. – A tak dla pana informacji to już mi mąż niepotrzebny, bo już go znalazłam.

Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy, co mnie ucieszyło. „Już ja jej pokażę” – myślałam o tym, co zrobię Monice, kiedy tylko ją spotkam. Uduszę własnymi rękoma, a potem poćwiartuję na małe kawałki i schowam do zamrażarki, aby móc co niedzielę robić z jej mięsa rosół. Nie, nie jestem kanibalem. Może wbiję jej nóż w plecy, tak jak ona mi go wbiła, a potem wyjmę i będę patrzyła, jak się będzie wykrwawiać i błagać wzrokiem o pomoc. Nie lubię widoku krwi, więc i to odpada. Pogadam z jej zdemoralizowanymi podopiecznymi, aby się nią zajęli, a w ramach udowodnienia wykonania zadania przynieśli mi jej oko. Oko? Po co mi oko? Może jedną dłoń, którą zamuruję pod wanną, żeby zapach się nie rozniósł.

Poleski rozłączył się, domyślając się zapewne, że nic więcej nie wskóra. Cieszyło mnie to nawet, że nie pytał o mojego rzekomego kandydata na męża, bo nie miałam weny na wymysły. Jeszcze okazałoby się, że stworzyłam faceta idealnego, w którym bym się zakochała, wiedząc, że on nie istnieje. Idealni faceci wyginęli, byli zajęci przez tak samo idealne kobiety lub po prostu woleli mężczyzn.

Ponownie usłyszałam dzwonek mojego telefonu i pewna, że to nie spiker, odebrałam szybko.

– Słucham?

– Wiedziałaś, że odbierzesz od razu, bo nie masz nic innego do roboty. – Głos Agaty już przyprawiał mnie o mdłości.

– Siostrzyczka się stęskniła? – zakpiłam.

– Za tobą? Nigdy. Jednak znaj moje dobre serce i wiedz, że myślimy z Radziem o tobie – wyznała.

– Już musi sobie mnie wyobrażać, żeby chcieć się z tobą kochać? – Szybko odgryzłam się, lecz Agaty to nie ruszyło.

– Pamiętasz, jak babcia mówiła, że poznała dziadka w stodole?

– Tak, takie to romantyczne było... – Rozmarzyłam się.

– Zejdz na ziemię, Berka. Ja i Radzio zabieramy cię jutro do Stodoły, bądź gotowa o dwudziestej i ani minuty spóźnienia, zrozumiano? – rozkazała.

– Ale... – Nie zdążyłam zapytać, gdzie znalazła w Warszawie stodołę, bo już się rozłączyła.

Co za dzień! Rozstanie z wrednym kocurem, telefon od spikera z propozycją audycji o moim nieudacznym poszukiwaniu męża i zaproszenie od siostry do stodoły. „Wystarczy na dziś” – pomyślałam i udałam się do mieszkania, aby wziąć długą, gorącą kąpiel z bąbelkami.

Sposób 8. Stodoła

Piątkowy wieczór z moją siostrą i jej narzeczonym nie mógł być udany. Tym bardziej że siostra sztywniaczka chce zabrać mnie do STODOŁY. Pozostaje mi zaufać jej, choć wolę chyba ufać Radziowi, że wyjdę z tego wszystkiego cało.

Nie wiedząc, jak się ubrać, włożyłam obcisłe, jasne dzinsy i modny topik z motywem sowy, który kupiłam na ostatniej wyprzedaży, uzupełnione o szare błyszczące szpilki. Rozpuściłam włosy, w uszy włożyłam długie, połyskujące kolczyki, poprawiłam makijaż i mogłam wychodzić.

Już przed dwudziestą czekałam przed klatką. Audi wyłoniło się zza bloku i zatrzymało tuż obok mnie. Wsiadłam do niego, spojrzałam na pasażerów i zaśmiałam się.

– Radziu, jak ty wyglądasz bez garnituru... – Zdziwiłam się, bo dotąd widziałam go zawsze pod krawatem.

– Zamknij się, zanim zacznę żałować, że cię zabieramy z sobą – wycedziła przez zęby Agata.

Siedziałam na tylnym siedzeniu, cichutko jak myszka pod miotłą, bojąc się, że kocur Agata zapoluje na mnie, jak jeszcze wczoraj Napoleon. Obserwowałam mijany krajobraz i cieszyłam się, że mogę mieszkać w Warszawie. Piękne miasto, które nigdy nie śpi.

– Oto Stodoła. – Agata wskazała kolorowy budynek po prawej stronie.

Wysiedliśmy z samochodu. Chwilę przyglądałam się niebiesko-pomarańczowemu budynkowi, na dole którego umiejscowiono napis STODOŁA. „Więc moja siostra nie jest aż tak sztywna” – pomyślałam,

tworząc w swojej głowie wizję wyluzowanej Agaty.

– Dziś jest tutaj koncert seminarzystów Radzia i pomyśleliśmy, że skoro już idziemy, to możemy zabrać ciebie, byś spotkała tutaj swojego przyszłego męża – mówiła Agata, a Radzio patrzył na nią, oczarowany.

– Studenta?

– Głupia ty! Owszem studentów tutaj wielu, ale my pokażemy ci, którzy to wykładowcy, i to bez żon – trajkotała, zadowolona z siebie.

– Prawniczy?

– W większości, ale nie wszyscy – odpowiedziała, po czym pchnęła drzwi Stodoły, żebyśmy mogli wejść do środka.

Tłum młodych ludzi, będących już dobrze pod wpływem, kołysał się na niewielkim parkiecie. W rogu sali kilku chłopaków rozkładało swój sprzęt. Radek podszedł do nich, by się przywitać, po czym stwierdziłam, że to są właśnie ci jego seminarzyści. Moja siostra tymczasem zajęła jeden ze stolików i gestem ręki zaprosiła mnie do siebie. Zamówiła nam drinki, bacznie obserwując przechodzących ludzi.

– Zobacz tam. – Wskazała lekko łysiejącego mężczyznę po trzydziestce. – To Borys, rok temu uzyskał tytuł habilitowanego, a wciąż nie ma żony. Lubi podróże, ładne dziewczyny i literaturę, więc masz szansę. – Wypchnęła mnie w stronę mężczyzny.

Kręcąc się koło Borysa, zakładałam, że kiedyś mnie zauważy i zacznie rozmowę. Kobiecie nie wypadało zaczynać podrywu. Kołysząc biodrami tuż przed nim, czułam na sobie jego wzrok. Wiedziałam, że jeszcze chwila i będzie mój. Poruszałam się w rytm muzyki, delikatnie sącząc drinka, gdy nagle na moich pośladkach poczułam czyjaś dłoń. Odwróciłam się i ujrzałam zadowolonego Borysa. „Doktor habilitowany, a taki łasy na kobiety” – pomyślałam.

– Borys jestem, a ty? – zagadnął.

– Bernadetta, dla przyjaciół Berka.

– Bernadetta? Takie niespotykane imię. Napijesz się czegoś? – zapytał, a ja pokazałam mu niemal pełną szklankę z drinkiem.

Borys uśmiechnął się, wziął mnie za rękę i zaprowadził do baru. Usiadł na jednym z krzeseł, ja zajęłam drugie. Zamówił whisky z colą i dopiero kiedy barman nalał mu trunek, zaczął opowiadać.

– Nieczęsto bywam w takich klubach, ale gdybym wiedział, że są tu tak piękne kobiety, to byłbym tu stałym bywalcem.

– Ja też jestem tutaj po raz pierwszy – odpowiedziałam kokieteryjnie.

– A co cię tu sprowadza? Bo mnie ci, tam. – Pokazał na grupę chłopaków, z którymi witał się niedawno Radzio. – To moi studenci. – Powiedział to z ogromną dumą.

– Ja jestem tu z siostrą i jej narzeczonym. – Wskazałam na Agatę i Radzia.

Borys spojrzał w ich stronę badawczym wzrokiem.

– Agata to twoja siostra? – nie dowierzał, zupełnie jak wszyscy, którzy znali nas obydwie.

Byłyśmy jak dwa odmienne żywioły. Ona – spokojna woda, której lepiej nie wyprowadzać z równowagi, bo każdy, kto to zrobi, może w niej zatonać, i to nie w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Ja – niczym powietrze, które było niezdecydowane, nie wiedziało, czy wiać lekko, może mocniej, jednak kiedy ktoś nadepnął mi na odcisk, musiał wiedzieć, że zaraz wskaźniki pokażą dziesięć w skali Beauforta. Dwie siostry z tych samych genów, będące tak różne, że bardziej się nie dało.

– Też się dziwię. – Roześmialiśmy się oboje.

– Ale pasują do siebie z Radziem. Ona lubi rządzić, on lubi, jak nim rządzą – zauważył spostrzegawczo.

– Czasem mi go szkoda – wyznałam szczerze. – Ale koniec o nich, pomówmy o nas.

Zalotny głos, słodki uśmiech i trzepotanie rzęsami jak najbardziej działały na Borysa. Miałam wrażenie, że jeszcze kilka słodkich słów i ten doktor habilitowany prawa będzie jadł mi z ręki.

– Czym się interesujesz? – zagadnęłam.

– Najbardziej prawem, choć to chyba to, co chcą ode mnie usłyszeć inni, a nie to, co ja bym chciał powiedzieć – wyznał.

– A gdybym nie chciała słyszeć tego, co myślą inni, lecz to, co myślisz ty, to co by to było?

– Kocham podróże i dobre książki, choć na czytanie, niestety, coraz rzadziej mam czas.

– Ja też jestem książkoholikiem – zauważyłam słodko.

– A co czytają piękne kobiety?

– To samo, co przystojni mężczyźni. – Musiałam trochę podkoloryzować sytuację.

Borys nie ukrywał zadowolenia. Zespół na scenie zaczął grać, a my wciąż sączyliśmy trunki przed nami. Rozmowa się nie kleiła, ale wymiana uśmiechów zdawała się wystarczać Borysowi.

– Masz faceta? – zapytał, a ja pokręciłam przecząco głową.

Poczułam, że zaraz zacznie się nowy rozdział mojego życia. Już otwierałam nową stronę w mojej księdze istnienia, aby zapisać na niej kaligrafowanymi literami *Bernadetta i Borys*, kiedy on zaczął opowiadać o swojej eks.

– Dominika była moją miłością, mieliśmy wziąć ślub, a ona wyjechała na staż z tym czarnym typem z medycyny. Kochałem ją, ona mnie też, ale ten lekarzyna musiał to zepsuć. Naobiecował jej złotych gór, a pewnie nawet, biedna, małego pagórka nie dostała. Jeszcze do mnie wróci, szmata jedna. Będzie błagała o wybaczenie, a ja będę z niej kpił, jak ona ze mnie, kiedy ją ostatnio widziałem – wyznał, a moja książka zamknęła się, nim zaczęłam ją pisać.

– To po co ze mną rozmawiasz, skoro kochasz Dominikę? – zapytałam, sama nie wiem dlaczego.

– Do seksu nie trzeba miłości. – Złapał mnie mocno za udo.

Wstałam z krzesła, wzięłam drinka i odeszłam od baru. Kiedy byłam kilka kroków od Borysa, postanowiłam zawrócić i tak też zrobiłam. On, pewny, że się zgadzam na jego propozycję, uśmiechnął się łobuzersko, a ja wprost na ten jego uśmiech wylałam resztkę drinka. Mina Borysa jasno mówiła o tym, że nie spodziewał się tego, co zrobiłam, a ja nie miałam nawet krzty wyrzutów sumienia. Należało mu się, zbrojeńcowi habilitowanemu.

Agata, widząc sytuację, podniosła się ze swojego miejsca i ruszyła w moją stronę. Złapała mnie za rękę, po czym wyprowadziła na zewnątrz.

– Co ty robisz, idiotko! – To nie było pytanie.

– Proponował mi seks – próbowałam się bronić.

– I...? Co w tym złego? – zapytała.

– Jak to? Agata, zlituj się.

– Berka, chociaż byś seksu zaznała, bo z tego, co widzę, to już dawno zapomniałaś, jak to jest go mieć – powiedziała wyniośle, a ja odwróciłam się na pięcie i poszłam przed siebie.

Agata nie była nigdy typem opiekuńczej siostry, zatem nie spodziewałam się nawet, że mnie dogoni, jak pewnie zrobiłaby inna siostra. Ona odwróciła się tylko i ponownie przekroczyła próg Stodoły, udając, że sytuacja nie miała miejsca.

Szłam ulicami Warszawy, zastanawiając się, dlaczego faceci się tacy płytycy. Tylko seks im w głowie, a nie romantyczne motyle w brzuchu, jak pokazują w komediach romantycznych. Dlaczego nie mogę mieć takiego Noaha z *Pamiętnika*? W czym Allie była lepsza ode mnie? Tak, to tylko książka, a życie to życie. Tutaj nie możemy usunąć niewygodnych scen lub powtórzyć ujęcia. Tutaj ciągle jesteśmy aktorami, bez przerwy, bez dubli, bez możliwości wzięcia wolnego dnia, gdy jest nam źle.

Szłam powoli przed siebie. Nie zastanawiałam się, gdzie i po co. Chciałam tylko czuć na plecach delikatny powiew wiatru, który prowadził mnie ku lepszej drodze.

1 czerwca 2015 roku

Dzień Dziecka. W Warszawie pełno wszelakich atrakcji dla najmłodszych i jednocześnie najbardziej wymagających klientów. Galerie handlowe wręcz prześcigają się w planowaniu tego wielkiego dnia,

wiedząc, że dla rodziców szczęście dziecka jest najważniejsze. Maluchy będą się bawiły na dmuchanych placach zabaw, losowały nagrody przy basenie z piłkami, a ich rodzice w spokoju będą mogli pozostawić część swoich pieniędzy w kasach sklepowych.

Dla mnie Dzień Dziecka także jest wyjątkowy. Moja mama już dawno przestała kupować mi z tej okazji prezenty, a nawet nie liczyłam już na telefon z życzeniami. Nie o to chodzi... Dla mnie pierwszy dzień czerwca to taka mała rocznica. Rocznica mojego wspólnego dzielenia mieszkania z Karolem. Pamiętam, jak stanął w moich drzwiach i zapytał, czy ogłoszenie jest nadal aktualne. Niechętnie spojrzałam na niego i było mi go chyba żal, więc dałam mu szansę. Miał zostać na miesiąc, a dziś mijają kolejny rok naszej wspólnej przyjacielskiej drogi.

W drodze do pracy postanowiłam kupić dobre wino, choć wiedziałam, że i Karol przygotowuje coś specjalnego na tę okazję. Dziś postanowiłam rzucić na bok myśli o moim zamążpójściu, rozmowy o mężczyznach i plany przyszłych randek. Dziś miało być tak, jak co roku: kolacja, wino, luźne pogaduchy na każdy temat. Wystarczyło jeszcze pomyśleć nad kolacją, która podkreśli wyjątkowość tego wieczoru. Pulpeciki babci Stasi, choć pyszne, odpadały, bo chciałam, aby to było coś mojego. „Może coś z makaronem, przecież obydwójce jesteście w nim zakochani. Spaghetti? Zbyt typowe. Lasagne? Nie, to tylko trudniejsza wersja spaghetti. Wiem, zrobię makaron z sosem śmietanowo-brokułowym, z pieczarkami i kurczakiem” – byłam dumna ze swojego pomysłu.

Po szybkich zakupach wpadłam do pracy, jak burza. Nie widziałam nic dookoła, liczyła się tylko lodówka i ułożenie w niej moich zakupów. Nagle za moimi plecami poczułam oddech szefowej.

– Witam, kochaniutka. – Już wiedziałam, że czegoś chce. – Od dziś mamy nową praktykantkę i chcę, abyś to ty jej pokazała, jak tutaj pracujemy.

Wiedziałam. Znów dołożyła mi pracy, a sama będzie siedziała na kanapie, patrząc na swoje świeżo pomalowane paznokcie. Taki los szefowej, z bogatym mężem w domu. „A kto spełni moje zachcianki?” – pomyślałam, nie chcąc odpowiadać na to pytanie.

Włożyłam fartuch, by wyglądać profesjonalnie przed nową praktykantką, i poszłam do głównego pomieszczenia salonu, by poznać „nową”.

– Zapraszam, to pani – zaczęła szefowa, lecz ja nie musiałam słyszeć więcej, aby dopasować te włosy do człowieka.

– Zośka! Co ty tu robisz? – zapytałam, a ona przeczesła swoje włosy palcami.

– Okazało się, że zapomniałam zaliczyć praktyki na piątym roku i pomyślałam, że fajnie będzie nam tak razem pracować. – Słysząc było wyraźne podekscytowanie w jej głosie.

– Nie wątpię – rzuciłam sucho, pewna, że wynikną z tego jakieś kłopoty.

Wszędzie, gdzie pojawiała się Zośka, pojawiały się wraz z nią problemy. Była moją przyjaciółką, ale wspólna praca to zdecydowanie za dużo. W mojej głowie już rodziły się możliwe scenariusze wypadków. Wiedziałam, że jedyną słuszną decyzją będzie niedopuszczanie Zośki do niczego, absolutnie niczego, żeby nie mogła nic zepsuć.

Zośka trajkotała, jaka to jest szczęśliwa, że może tutaj odbyć praktyki, a szefowa obrastała w piórka, myśląc, że to za sprawą renomy. Zapewne w jej głowie rodziły się już widoki najlepszego salonu w Warszawie, wygrana plebiscytu na kobietę biznesu, a może i nagroda z rąk prezydenta za innowacyjny projekt, zachęcający młodych do realizacji swoich marzeń.

– Berka, to może mi paznokcie zrobisz? – zaproponowała wesoło Zośka.

Wzięłam ją dyskretnie na zaplecze.

– To my tu mamy robić innym zabiegi, a nie same korzystać – tłumaczyłam, kiedy usłyszałam dźwięk oznajmiający przyjście klientki.

Wyszłam z zaplecza, uśmiechnęłam się promiennie i czekałam, aż klientka zasiądzie na fotelu. Pierwsza klientka, pierwsze akryle.

– Witam, więc co robimy? – zapytałam dla pewności.

– Delikatny, neutralny kolor, może coś w beżu lub lekkiej szarości – tłumaczyła, a ja wstałam po wzorniki, aby mogła wybrać kolor dla siebie.

Wybrała, a ja poprosiłam Zosię, aby przyniosła mi dany lakier. Tego chyba nie mogła zepsuć.

– Proszę, oto lakiery. – Zosia położyła przed klientką kilka flakoników.

– Ale to nie jest ten kolor, który wybrałam – rzuciła zniesmaczona klientka.

Zośka spojrzała na nią, przeczesła włosy, po czym powiedziała, jak gdyby była specjalistką:

– Wie pani, beże i szarości są nudne, takie nijakie, a kobieta musi czuć się pięknie i pewnie – trajkotała radośnie. – Mam dla pani kilka propozycji, które na pewno się pani spodobać. Oto pastelowy róż. Pastele są hitem tego sezonu, są dyskretne, ale jak ktoś już spojrzy na paznokcie, to nie będzie mógł od nich oderwać oczu. Tutaj ma pani jeszcze pastelową zieleń i pomarańcz... Ja sama najchętniej maluję paznokcie na zielono, niech pani zobaczy. – Z dumą zaprezentowała jej swoje paznokcie. – Idealnie komponuje się z kolorem moich włosów, kiedy je przeczesuję palcami. – I po swoim przeczesaniu włosów palcami.

– Niech będzie zielony – zdecydowała klientka, a Zośka aż podskoczyła z wrażenia.

Szefowa pokiwała z uznaniem głową, a ja pomyślałam, że może nie będzie aż tak źle z tą Zośką.

Dzień w salonie należał do spokojnych, zleciał dość szybko. Zośka nie wtrącała się więcej, zajęła się przeglądaniem w lustrach oraz przeczesywaniem swoich kruczoczarnych włosów. Szefowa spoglądała na nią bacznie, ale Zośka nic sobie z tego nie robiła. To ona była gwiazdą, szefowa także musiała według niej to zrozumieć.

Wraz z wybicciem godziny zamknięcia salonu spakowałam swoje zakupy z powrotem do torby i czym prędzej pobiegłam w stronę domu. Do powrotu Karola miałam jedynie godzinę, a mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Karol był punktualny, przyszedł w momencie, kiedy nakładałam makaron na talerze.

– O, jakie zapachy – pochwalił mnie.

– Nic nie zdążyłam przypalić, miałam za mało czasu. – Zaśmiałam się, przypominając sobie wielkanocne spalone jajka.

Karol wyjął ze swojej torby butelkę czerwonego wina, którą zaraz schowałam do lodówki. Podał mi także niewielki kartonik z tortem oraz paczuszkę z prezentem.

– Śliczny. – Z papierowej torby wyjęłam kubek z napisem: „Dla najwspanialszej kobiety na świecie”. – Ja też mam coś dla ciebie.

Karol bacznie obserwował małe pudełeczko, po czym zdjął z niego niebieską wstążkę.

– Jest cudowne, lepsze niż to, które zgubiłem podczas delegacji.

– I ma grawer. – Wskazałam napis znajdujący się na piórze.

– Karol Hass – przeczytał, dumny.

Podałam mu paragon, by mógł na nim sprawdzić nowe pióro. Jego duża męska dłoń zapisała pięknym pismem moje imię. Uśmiechnęłam się ciepło na ten widok. Karol zawsze wiedział, jak sprawić, żebym się uśmiechnęła. Zasiadliśmy do stołu, Karol nalał wino, a ja polałam makaron sosem. Siedzieliśmy, jedliśmy i gadaliśmy o wszystkim, prócz mężczyzn. Dziś nie było stresujących tematów, zapomnieliśmy na ten jeden wieczór o naszych miłosnych niepowodzeniach i zajęliśmy się pielęgnowaniem naszej przyjaźni. Ja opowiadałam mu o Zośce, która miała praktyki w moim salonie, on mówił o nowej aplikacji, jaką tworzyli w firmie, dla miłośników biegania.

Makaron się skończył, wina też pozostały już resztki, ale tematy do rozmów wciąż były. Jak przed laty, tak i dziś nie mieliśmy siebie dość. Gdybym przyjaźń miała określić jednym słowem, użyłabym jego imienia. Mimo lat przyjaźni z dziewczynami nigdy nie było między nami takiej bliskości i szczerości, jak między mną i Karolem. Może to zasługa jego orientacji, a może miałam szczęście, trafiając na takiego współlokatora. Kiedyś powiedziano, że przyjaźń między mężczyzną a kobietą jest wymysłem, który i tak zaprowadzi ich do łóżka. Nam to, niestety, nie groziło.

3 czerwca 2015 roku

– Berka, pani na masaż przyszła! – krzyknęła Zośka.

– To zrób pani masaż, tyle to chyba potrafisz – odburknęłam, zła, że przerywa mi podczas mojej przerwy śniadaniowej.

Zadowolona Zośka zaprosiła klientkę na łóżko do masażu. Podśpiewując pod nosem, szykowała potrzebne kosmetyki, a ja cieszyłam się, że mam chwilę wytchnienia. Zośka zamknęła się za szklanymi drzwiami, a ja w spokoju mogłam dokończyć sałatkę z kurczakiem. Delektowałam się specjałem kupionym w pobliskim barze, kiedy usłyszałam dźwięk nadchodzącego SMS-a. „Marietta” – odczytałam na wyświetlaczu i kliknęłam ikonkę koperty: „Skype PILNE!!!”. Mari jest bez wątpienia jedyną osobą nadużywającą wykrzykników, jaką znam. Nawet mówiąc, na końcu wypowiedzi swoim tonem zaznacza obecność wykrzykników. Czasem jeden, czasem trzy. Otwierałam aplikację w telefonie, kiedy na zaplecze wbiegła Zośka.

– Czytałaś? – zapytała, a w tym momencie na ekranie mojej komórki pojawiły się cztery przyjaciółki.

– Zabiłam Teodora! – Z kolejnym wykrzyknikiem w głosie wyznała Marietta.

– W końcu – burknęła zadowolona Jolka.

Widząc nasze zdziwione miny, Mari kontynuowała wypowiedź:

– Karola, наша sekretarka, robiła mu kawę i wtedy... – Na chwilę zawiesiła głos. – ...i wtedy zadzwonił do niej narzeczony. Odeszła na bok, a ja ukradkiem wsypałam do filiżanki tabletkę nasenną.

– Tabletkę? – zapytała z powątpiewaniem Baśka, która najwyraźniej wyczytała w jej twarzy więcej niż my.

– No dobra, chyba pięć lub sześć... góra siedem.

– Cholera! – Tylko tyle przyszło mi do głowy.

– Mari, obiecaj, że nie będziesz szukała dla niego trumny przez firmowy komputer, bo cię znajdą, jak mamę Madzi z Sosnowca – poradziła błyskotliwa jak zawsze Zośka, stojąca po mojej lewej stronie.

Miałam ochotę uderzyć ją w tą pustą głowę, lecz głos Moni mnie otrzeźwił:

– Może wyjdź z firmy i udawaj, że nic się nie stało?

– Ja tam nie widzę problemu – stwierdziła Jolka. – Przecież sama mówiłaś w Nowy Rok, że...

– Jolka! – Mari nie pozwoliła jej dokończyć.

– Zamknijcie się, a ty, Mari, słuchaj! – rozkazała Baśka. – Idź pod jakimś pretekstem do jego gabinetu. Zobaczysz, że śpi, zaczniesz go budzić, a kiedy się nie ocknie, to zrobisz panikę, jaką Zośka zrobiłaby, gdyby ojciec zabrał jej kasę, i zostaniesz bohaterem.

– Nie kracz, Bacha – dobiegł mnie zdenerwowany głos z lewej strony.

Wyszliśmy z konferencji i w tym samym czasie usłyszałyśmy z Zośką głośny krzyk, dochodzący zza szklanych drzwi.

– Cholera! – Zośka spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem.

– Co zrobiłaś? – zapytałam spokojnie.

– Nie zdjęłam jej gorących kamieni, zanim przyszłam do ciebie, ale Mari pisała, że to pilne – tłumaczyła, robiąc słodkie miny.

Pobiegłam do klientki, a moim oczom ukazała się przypalona wielka czerwona plama między łopatkami. Zośka wpadła za mną do salki masażu, próbując ratować sytuację.

– Niech się pani nie martwi, też tak miałam, tyle że z zakwasami. Tak strasznie się nadwreżyłam, niosąc torby z zakupami, że dostałam zakwasów na plecach – mówiła słodko. – Właśnie tam, między łopatkami, znaczy się na kręgosłupie.

Klientka spojrzała na nią, przestraszona, po czym skierowała wzrok na mnie.

– Niech mi pani powie, że ona żartowała z tymi zakwasami na kręgosłupie – prosiła.

– Nawet pani nie wie, jak bardzo bym chciała powiedzieć, że to żart – szepnęłam.

– Ale szybko minie. Moje kręgosłupowe zakwasy minęły po kilku dniach, tylko musiałam dużo balsamu z kasztanów nakładać, żeby łagodzić nadwerężone mięśnie kręgosłupa – szczebiotała wesoło.

– Czy ja mogę rozmawiać z szefową? – poprosiła klientka, a ja wskazałam Zośce ręką, aby zawołała panią Wandę.

Szefowa przyszła, niezadowolona, wiedząc już z góry, że jak klient chce z nią rozmawiać, to na pewno nie po to, aby nas chwalić. Zaprosiła zdenerwowaną klientkę do swojego gabinetu, aby wysłuchać skarg na nas. Stałam pod drzwiami, zestresowana, i zastanawiałam się, czy i ja poniosę konsekwencje głupoty Zośki, czy może klientka powie, że ja nie miałam z tym nic wspólnego. Zośka wydawała się rozluźniona, nie docierało do niej widocznie, co działo się w tym momencie za drewnianymi drzwiami w kolorze wenge.

Kiedy drzwi się otworzyły, klientka szybkim krokiem, bez zbędnego „do widzenia”, wyszła z salonu. Szefowa uśmiechnęła się chłodno i zaprosiła nas obie do siebie.

– Pani Berko, czy to prawda, co powiedziała klientka? – zapytała pani Wanda.

– Nie wiem, co dokładnie powiedziała, ale tak, to prawda – wydusiłam z siebie.

– A pani co ma na swoje usprawiedliwienie? – zwróciła się do Zośki.

Ta przeczesła włosy palcami, popatrzyła na mnie, zdziwiona, po czym odpowiedziała:

– Pani Wandeczko – zaczęła wesoło – przyjaciółka napisała SMS-a z dopiskiem „pilne”, drukowanymi literami i z wykrzyknikami, więc to nie mogło czekać. Poszłam na zaplecze, aby móc spokojnie z nią porozmawiać i po prostu zapomniałam o tym nieszczęsnym kamieniu. Zagoi się – dokończyła.

Szefowa spojrzała na nią niepewnie, sądząc, że Zośka żartuje, jednak chyba zdała sobie sprawę, że ona tak na poważnie.

– Zagoi się? – chciała się upewnić, czy dobrze słyszała.

– Zagoi. Niech pani pomyśli, że nasza przyjaciółka właśnie zabiła swojego dyrektora, to znaczy chyba zabiła, bo pewna nie była, więc co jest gorsze: śmierć czy mały czerwony placek na plecach?

Miałam ochotę ją zabić, a potem dobić, aby mieć pewność, że już więcej nie powie nic głupiego.

– Pani Zofio... – zaczęła szefowa, lecz Zośka jej przerwała.

– Tylko nie Zofio, OK?

– Pani Zosiu, sędzę, że będzie musiała pani opuścić nasz salon. Salon jedynie traci, mając panią w swoim składzie, jedyne, co pani wychodzi, to ciągłe przeczesywanie włosów przed lustrem i trenowanie uśmiechów, a to nie o to chodzi w pracy tutaj. – Moim zdaniem szefowa i tak była delikatna.

Zośka spojrzała na nią wrogo, a ja byłam pewna, że zaraz stopień zagrożenia lawinowego osiągnie najwyższy stopień.

– Ja nic nie robię? Niech pani spojrzysz na siebie. Siedzi pani na tej kanapie, ogląda swoje paznokcie, które i tak są tragiczne, a jak tak dalej pójdzie, to będzie pani wyglądała jak Hela z teledysku Kukiza! – wykrzyzczała.

– Słucham? – Szefowa wciąż była spokojna.

– Pani jest tak prosta, jak droga na zakręcie i nikt nawet nie chce z panią rozmawiać – ciągnęła Zośka.

Szefowa zaczęła się śmiać, a ja, choć bardzo chciałam, nie mogłam zrobić tego samego.

– Zosia, droga na zakręcie nie jest prosta – chciałam ją uświadomić.

– Berka, ty też? Też jesteś tak głupia? – zapytała Zośka. – Idziesz prosto, idziesz, obracasz się i znów prosto, gdzie tam jakaś krzywa?

Postanowiłam zachować swoje zdanie dla siebie i nie wypowiadać go na głos. Nie chciałam stracić przyjaciółki. Była, jaka była, ale jednak wiele razem przeżyłyśmy.

– A co z moimi praktykami? – zapytała Zośka.

– Ja je pani zaliczę, no może nie na piątkę, ale zaliczę, tylko proszę już więcej tu nie przychodzić.

Zadowolona z negocjacji Zośka wzięła swoją torebkę i wyszła z salonu tanecznym krokiem. Jestem pewna, że gdyby wiedziała, że tak się wszystko skończy, to już pierwszego dnia wywinęłaby jakiś numer.

Nie ma się jej nawet co dziwić. Po trzech dniach zaliczyła miesięczne praktyki i to nie z racji swoich umiejętności, lecz dzięki ciętemu językowi, a może po prostu dzięki własnej głupocie.

Jednak były i zalety praktyk Zośki w naszym salonie. Dzięki nie, szefowa doceniła moje staranie i dała mi podwyżkę w zamian za to, że następnym razem ją uprzedzę przed swoimi przyjaciółkami.

Wracałam do domu lekka jak piórko. Czułam, jak niósł mnie delikatny wiatr, a słońce otulało moją twarz. Nic nie mogło zepsuć tak cudownego dnia. Nic prócz telefonu od mojej mamy.

– Cześć, kochanie, jutro masz randkę w tej restauracji, gdzie zamiast sufitu są parasole. O dziewiętnastej, bądź punktualna – powiedziała, po czym się rozłączyła.

I tak zaczął się nowy etap poszukiwań męża. Etap swatania.

Sposób 9. Swatki

Kiedy nic nie pomaga, tonący brzytwy się chwyta, a ja zaczynałam zabawę w chodzenie na umówione randki. Swatka. Skąd wzięło się to słowo? Kojarzyło mi się bezpośrednio ze średniowieczem, które już dawno mamy za sobą. Albo i wcześniej. Antyk. Tak, to wtedy były już pierwsze swatki. Chociaż, patrząc na Amora, to mamy do czynienia ze swatami, nie swatkami. To on wyszukiwał ludzi, którzy będą z sobą szczęśliwi, trafiał ich magiczną strzałą, a potem... potem było już tylko piękniej. Zauroczenie, zakochanie, miłość. Tak to chyba wszystko wygląda. Wielu dodaje jeszcze przywiązanie, ale ja wolę nazywać to cały czas miłością. Rolą swatki jest zapoznanie z sobą dwóch osób i pokierowanie ich losów w jednym, wspólnym kierunku. Rola swatki wyjaśniona, ale rola mojej matki, jako swatki, wciąż pozostawała niewiadomą.

Randka z kandydatem mamy nie mogła się udać. Obojętnie, jakby wyglądał, jaki by był, już miał ogromny minus, bo moja matka go lubiła. Ona lubiła tylko dziwne osoby, szczególnie jeśli mowa o facetach, bo jak inaczej nazwać doktora od papuzek czy Radzia Agaty. Gust mojej matki od zawsze był niewybredny, nie oczerniając przy tym mojego ojca, oczywiście. Brak większych wymagań, pospolitość, banalność, tuzinkowość. Nic szczególnego. Byle miał dwie ręce, nogi, głowę i czasem coś powiedział, chociaż z braku laku i kandydata bez rąk pewnie przygarnełaby dla mnie.

Będąc w pracy, dostałam SMS-a, że na spotkanie mam założyć białą bluzkę, a on będzie czekał z czerwoną różą. Niewiele mi to dało, jedynie zawęziło możliwość wyboru garderoby do koloru bluzki. To był na pewno pomysł mojej rodzicielki, która niekoniecznie była miłośniczką kolorów. Przeczesałam więc szafę w poszukiwaniu czegoś białego.

Karol na wieść o randkach w ciemno tylko się zaśmiał i zaproponował zabawę w opisywanie kandydatów piosenkami. Po każdej takiej randce (tak, będzie ich więcej, już to wiedziałam) miałam na drzwiach mojego pokoju przywiesić kartkę z tytułem piosenki i ewentualnie wykonawcą, jak będzie to jakaś bardziej wyszukana piosenka. Oby to nie okazało się lepszą zabawą niż te całe swatkowe randki.

KANDYDAT MAMY

Z duszą na ramieniu przekroczyłam próg restauracji. Parasole wiszące nade mną fascynowały mnie tak samo, jak wtedy, kiedy byłam tutaj pierwszy raz. Poszukałam wzrokiem kandydata mamy. Przystojny blondyn przy ostatnim stoliku wydawał się interesujący. Przyglądał mi się, a ja się uśmiechnęłam, pewna, że to on. „Może mama nie ma aż tak złego gustu” – pomyślałam, powoli idąc w jego stronę. Nagle ktoś z prawej strony puknął mnie w ramię.

– Bernadetta? – zapytał rudzielec w okularach z niemodnymi oprawkami.

Wizja mnie stojącej przed ołtarzem z blondynem, siedzącym przy ostatnim stoliku, pękła niczym bańka mydlana. Tyle że dotkliwiej. Wizja upadła, ale muszę być silna i podnieść się z gracją, udając, że nic się nie stało.

– Tak. – Uśmiechnęłam się promiennie, mimo iż nie miałam na to najmniejszej ochoty.

On skierował się do jednego ze stolików, a ja podążyłam za nim, jakbym bała się go zgubić.

W myślach przeklinałam gust mojej mamy, ale postanowiłam dać mu szansę, bo przecież nie ocenia się książki po okładce.

– Amadeusz. – Rudzielec podał mi rękę.

– Jak Mozart? – Chciałam brzmieć inteligentnie.

– On miał na imię Wolfgang, Amadeus to było jego drugie imię – wyjaśnił.

– Jednak film nazwano *Amadeusz*, a nie *Wolfgang* – zauważyłam sprytnie, co wcale nie spodobało się rudzielcowi.

Kelnerka przyjęła od nas zamówienia. Rudzielec chciał średnio wysmażony stek z sosem z rabarbaru i surówką, ja grillowanego łososia z frytkami. Kiedy kelnerka odeszła, rudy wyjął ze swojej aktówki zeszyt oraz długopis i położył na stoliku.

– Twoja mama mi trochę o tobie mówiła, ale wiesz, jak to matki, lubią podkoloryzować wszystko, więc mam do ciebie kilka pytań. – Otworzył zeszyt. – Chodzisz co niedziela do kościoła?

Pokręciłam przecząco głową.

– Da się zmienić – rzucił. – Nosisz sukienki za kolano czy przed?

– Przed.

– Kupi się nowe – mówił i jednocześnie zapisywał. – Jesteś dziewicą?

Znowu pokręciłam głową, spoglądając, czy ludzie dookoła nas nie przypatrują się temu przedstawieniu.

– Hm... udam, że nie słyszałem. Wy, dziewczyny dwudziestego pierwszego wieku, puszczaście się zaraz po ukończeniu dwudziestu lat.

– Sądzę, że nawet szybciej – uzupełniłam jego myśl.

– Wybacz, Jezu, że musisz na to wszystko patrzeć. – Przeżegnał się. – Ile chcesz mieć dzieci?

– Nie wiem... jedno, może dwójkę.

– Minimum trójka, kochana – powiedział i zapisał obok pytania 3+. – Czy uważasz, że mieszkanie razem przed ślubem wpływa pozytywnie na związek?

Kiwnęłam twierdząco, ciesząc się, że choć na jedno pytanie jestem w stanie odpowiedzieć „tak”.

– Mieszkanie, bez seksu, rozumiem? – Ponownie zaznaczył coś w swoim kajecie. – Na razie tyle. Więcej będę pytał, kiedy będziemy sobie smacznie pałaszowali nasze zamówione dania. A ty masz do mnie jakieś pytania?

Zdziwiona, spojrzałam na niego uważnie, dopuszczenie mnie do głosu mogło nie być najlepszym rozwiązaniem, ale on o tym się jeszcze nie przekonał.

– Skąd znasz moją mamę?

– Poznaliśmy się na spotkaniach żywego rózańca. Jeszcze ci nie mówiłem, ale jestem przewodniczącym tego stowarzyszenia na terenie nie tylko Warszawy, ale i całego województwa – powiedział z dumą. – W tym roku, dokładnie w grudniu, będę pomagał przy organizacji urodzin Radia Maryja. Obchody co prawda nie będą miały miejsca w Warszawie, ale weźmiesz sobie tydzień lub dwa wolnego i wspólnie zwiedzimy Toruń. O nocleg się nie martw, Dom Pielgrzyma nas chętnie przyjmie.

– Aha – tylko tyle zdołałam z siebie wydusić, bo dosłownie mnie замуrowało.

– Jeśli sprawdzę się w grudniu, to powołają mnie także do komitetu organizacyjnego przy Światowych Dniach Młodzieży, które będą w Polsce za rok. Rozumiesz to, będziemy mogli dotknąć papieża – ekscytował się.

– Ekstra – zakpiłam, jednak on tego nie zauważył.

– Wiedziałem, że córka pani Elżbiety musi być wyjątkowa. I to twoje imię! Bernadetta... – Zamyślił się. – A dzieci nazwiemy równie dostojnie, jak nas obdarzono.

– Może Mufasa, jak ten lew z *Króla Lwa*? – zaproponowałam.

– Bernadetto, proszę cię o powagę – zwrócił mi uwagę, a ja jak na komendę spoważniałam. – Co powiesz na Leokadię lub Walerię, a dla chłopców Euzebiusz lub Krzesimir?

Kelnerka położyła przed nami talerze. Rudzielec zajął się swoim stekiem, kiedy ja delektowałam się grillowanym łososiem.

– Czy znasz zasady planowania ciąży według kalendarzyka? – O mało się nie zakrztusiłam, słysząc to pytanie.

– Znam inne metody. – Zaśmiałam się.

– Daj telefon – poprosił i, sama nie wiem czemu, podałam mu swoją komórkę.

Kilka razy kliknął ekran, poczekał chwilę i podał mi telefon.

– Zainstalowałam ci pomocną aplikację. Przypomina o mierzeniu temperatury i sprawdzaniu śluzu. Wklepujesz wyniki tutaj, a ona wylicza ci szansę na zapłodnienie. Genialne, prawda? – ekscytował się.

Pogryzałam frytkę i z niedowierzaniem wpatrywałam się w ekran mojej komórki. Aplikacja do planowania ciąży, tego jeszcze nie było. Jak w transie, próbując otrząsnąć się z szoku, podbierałam frytki rękoma, lecz Amadeusz podał mi widelec i szeptem zwrócił mi uwagę:

– Jesteśmy w restauracji, Bernadetto.

Przeżuwał swój średnio wysmażony stek, a ja obserwowałam parasole nad nami. Były one zdecydowanie ciekawsze niż towarzysz, siedzący naprzeciw mnie. Liczyłam parasole, zastanawiałam się nad ich logicznym ułożeniem, kiedy znów usłyszałam głos rudzielca:

– Jak myślisz, zabrakło im pieniędzy przy budowie, że powiesili te parasole?

– Sądzę, że to tak specjalnie – odparłam.

– Po co ktoś miałby specjalnie wieszać parasole nad głowami ludzi, zamiast typowego sufitu? – Nie rozumiał i wcale mnie to nie dziwiło.

Z planów romantycznej randki pozostały tylko niespełnione marzenia. Kandydat mamy okazał się takim, jakim wiedziałam, że się okaże. To była porażka, w której wygląd adoratora stanowił tylko nikły element.

Kiedy skończyliśmy jeść, Amadeusz nie zaproponował nawet, że mnie odprowadzi, bo gdyby to zrobił, nie zdążyłby na ważną audycję w TV Trwam o dwudziestej pierwszej. Każde poszło w swoją stronę. Ja w kierunku Ochoty, on w kierunku, w którym gwiazda go poprowadziła, niczym mędrców ze Wschodu po narodzeniu Dzieciątka.

Droga do domu wydawała się krótsza niż zwykle. Cały czas w myślach przywoływałam piosenki, jakie mogłyby pasować do Amadeusza. Pierwsza na myśl przyszła mi symfonia Mozarta, ale to zbyt piękne. Jeszcze Karol mógłby pomyśleć, że to wielbiciel klasyki, ktoś z wyższych sfer.

Weszłam do domu, znalazłam kartkę, by markerem napisać na niej drukowanymi literami: ABBA, OJCZE. Już oczyma wyobraźni widziałam minę Karola, kiedy to przeczyta.

„Do Kościoła na lewo ☺” – odczytałam rano odpowiedź od współlokatora. To jedno zdanie dało mi więcej radości niż nieszczęsny wieczór z „Panem Pielgrzymką”.

Randka z kandydatem mamy

• Szanse na drugą randkę: 0

• Nawiązane ciekawe tematy: 0

• Ocena ogólna kandydata (w skali od 0 do 10): –15

* * *

Kandydat mamy odszedł w zapomnienie. Jedyne, co mi po nim zostało, to aplikacja w telefonie, którą mi ściągnął wczoraj. Dziś był nowy dzień, nowa randka. Tym razem z kandydatem ojca. Matka już oceniła, że to na pewno jakiś oszust, jak i mój ojciec, lecz ja postanowiłam dać mu szansę. Tym razem nie zobaczę parasoli, ale może za to kandydat okaże się wart zachodu. Kierunek: nowa restauracja pod gołym niebem, gdzie stoliki i siedziska wykonane są z palet, a całą scenerię wzbogaca masa świec i poduszek. „Klimatycznie” – pomyślałam, zafascynowana pomysłem.

KANDYDAT TATY

Widziałam go już z daleka. Tata mówił, że będzie miał na sobie niebieską koszulę i różę w dłoni. „Przystojny” – stwierdziłam, spoglądając na dobrze zbudowanego bruneta z lekko przyszyżonymi, gęstymi włosami. Siedział na niebieskich poduszkach, wyraźnie na kogoś czekając. Chciałam, aby mnie zauważył, żeby zapragnął mnie poznać i zdobyć. Przyspieszyłam kroku, delikatnie kręcąc biodrami, a moje piersi w skąpym topie falowały wraz z ruchem bioder. Czułam się zniewalająco, kobieco. Wiedziałam, że i brunet na mnie patrzył. W myślach dziękowałam ojcu za tak wspaniały wybór. Okładka jego książki zachęcała do czytania, nie tak jak u kandydata mamy.

– Czekasz na mnie? – zapytałam zalotnie.

– Mam nadzieję, że właśnie na ciebie... Bernadetta?

– Miło mi. – Uśmiechnęłam się promiennie, będąc pewną, że dla niego wygląd kobiet miał wielkie znaczenie.

Zasiadłam naprzeciw niego, na niebieskich poduszkach, i zarzuciłam dyskretnie nogę na nogę. Zauważyłam, że był wrażliwy na tego typu gesty. Patrzył na mnie rozanielonym wzrokiem, co – nie powiem – mile polechtało moją kobiecą próżność. Wyczuwałam pożądanie i byłam przekonana, że on nie zapyta mnie o kalendarzyk planowania rodziny.

– Jestem Michał. – Chwycił moją dłoń i trzymał ją zdecydowanie za długo. – Zamówiłem wino i przekąski, bo dań głównych jeszcze nie serwują.

– No szkoda, bo jestem głodna – wyznałam, zawiedziona.

– Możemy zmienić miejsce – zaproponował, lecz atmosfera pod gołym niebem była piękniejsza.

To musiała być idealna randka. Idealna sceneria, idealny facet i nawet głód nie był w stanie tego popsuć.

– Twój tata mówił, że szukasz męża – zaczął rozmowę.

– Widzę, że mój ojciec nie należy do najbardziej dyskretnych. – Zaśmiałam się. – Chociaż ma to i swoje plusy, bo najwyraźniej powiedział ci, że kocham kolor niebieski. – Zmierzyłam wzrokiem jego koszulę i poduszki, na których siedział.

– No, muszę przyznać, że dobry z niego informator. – Zarumienił się, co dodało mu tylko uroku.

– Tak, szukam męża. Lata lecą, a staropanieństwo mi się nie uśmiecha – wyznałam.

– Myślałam, że teraz mówi się „singielka”, a nie „stara panna”?

– Zwał, jak zwał. To tylko taka delikatniejsza nazwa, pozwalająca nie tak od razu spojrzeć prawdzie w oczy, że jesteś już stara i nikt cię nie chce.

– Mistrzyni samokrytyki – skwitował moją wypowiedź, a ja się ukloniłam.

– A ty kogo szukasz?

– Żony. I to w trybie pilnym – zaakcentował ostatnie słowa.

– Taki polecony na pocztę? – zapytałam żartobliwie.

– Raczej telegram – podchwycił mój dowcip.

Wydawał się trochę onieśmielony sytuacją. Siedział lekko przygarbiony, widać było kilka kropel potu na jego czole.

– Muszę znaleźć żonę do piątego września – rzucił ciężko.

– O, szybciej niż ja męża, ja mam czas do sylwestra. Dlaczego akurat do września?

– Na piątego września mam zamówioną salę weselną, zaliczka już wpłacona, zespół w połowie opłacony, nawet kamerzysta już dostał swoją dolę – wyliczał.

– Zamówiłeś wszystko, nie mając żony? – zdziwiłam się.

– Kandydatka była, nawet byliśmy zaręczeni, ale nie wyszło, a szkoda, żeby zaliczki przepadły. Razem to jest prawie pięć tysięcy.

– A dlaczego się rozstaliście?

Michał spojrział na mnie niechętnie. Widać było, że nie chce odpowiadać na to pytanie.

– Nazwała mnie sknerą i poszła przed siebie. Czekałem, aż mnie przeprosi, ale, cóż, dłużej czekać nie mogę, bo wszystko przypadnie – mówił bez entuzjazmu. – Ty szukasz męża, ja żony... idealnie do siebie pasujemy. Ja moje pięć tysięcy już wpłaciłem, kolejne dziesięć dorzucę z kopert po weselu, garnitur mam, więc teraz ty musisz dać swoje piętnaście tysięcy, chyba że chcesz więcej osób, no to musisz dołożyć, bo ja za twoją rodzinę płacić nie będę. No i sukienka. Kaśce nawet kupiłem sukienkę, była piękna, biała z takimi... wiesz... – Gestykulował rękoma.

– Falbanami.

– O właśnie, z falbanami, a ona ją pocięła nożyczkami, kiedy powiedziałem jej, że kupiłem ją okazjnie w second-handzie, za sto złotych. Niewdzięczna – podsumował.

– A jak z obrączkami? – Ciekawiło mnie, jakie podziały jeszcze wprowadził.

– Ty płacisz za swoją, ja za swoją. Widziałem idealne za czterysta pięćdziesiąt złotych, ale sądzę, że jak się pogada, to zjadą do czterystu albo i trzystu osiemdziesięciu.

– A wódka? – zapytałam.

– Ja na moją rodzinę kupiłem już pięć półlitrówek i powiedziałem im, że jak chcą pić więcej, to niech sobie przyniosą, ale żeby nam z kopert nie odjęli, bo wszystko dokładnie przeliczę. – Nie krył zadowolenia z siebie.

– Nie wierzę – powiedziałam cicho i wstałam, chcąc iść do toalety.

Michał złapał mnie za ramię, kiedy byłam już w drodze do łazienki.

– O nie, kochana, nie idziesz nigdzie, póki nie zostawisz swojej części pokrycia rachunku. Już niejedna takie cyrki robiła i musiałem płacić sam za wszystko.

Nie chciałam jeszcze iść do domu, ale po jego słowach nabrałam takiej ochoty. Wyjęłam z portfela banknot pięćdziesięciozłotowy i położyłam na blacie. Może i okładka była piękna, lecz wewnątrz okazało się nad wyraz skąpe.

Wróciłam do domu szczęśliwa. Szczęśliwa, że są ludzie, którzy mają mniej czasu niż ja na znalezienie partnera i wcale się z tym nie kryją.

Kartka w dłoń, marker i tytuł na dziś to: ZABIJ MNIE – Varius Manx.

„Szkoda by było. Jeszcze tyle swato-randek przed Tobą” – odpisał Karol i wsunął liścik pod moje drzwi.

Randka z kandydatem taty

• Szanse na drugą randkę: 0

• Nawiazane ciekawe tematy: 0,5 (póki nie zaczął wyliczać kosztów i podziaków)

• Ocena ogólna kandydata (w skali od 0 do 10): mocne 8 za wygląd, za całość góra 2–.

* * *

Druga szansa, drugi zatopiony masztowiec. Randki są jak gra w statki: albo od razu się zatopi, albo potrzeba jeszcze kilku randek, by statek utonął. Moje statki zatapiały się niczym Titanic wpadający na górę lodową. Uderzenie było dość mocne, ale do końca pozostawała nadzieja. Moja orkiestra grała do samego końca, czekając na fajerwerki, zamiast których tonęła w lodowatej wodzie.

Podejście trzecie. Kandydat mojej siostry, zatem spodziewałam się kogoś pokroju pamiętnego Borysa, którego poznałam w Stodole. Miała być wielka miłość, jak u babci i dziadka, a wyszła jedynie propozycja niechcianego seksu.

KANDYDAT AGATY

Bez wątpieniato kolejny naukowiec. Mówiło o tym miejsce spotkania, czyli stołówka na Wydziale

Prawa na UW. Idealne miejsce na randkę dla studentów, ale nie dla wykładowcy i jego potencjalnej przyszłej żony. Spodziewałam się następnego szalonego doktora z habilitacją albo i profesora, który zacznie mi rzucać kolejno artykuły w pierw prawa cywilnego, potem karnego, aż po Kodeks pracy.

Weszłam do prawie pustej stołówki i od razu go zauważyłam. Bez umawiania znaków rozpoznawczych wiedziałam, że on to on. Czytał „Wyborczą”, nie wyglądał jakby na kogoś czekał. Podeszłam bliżej i czekałam, aż zauważy, że ktoś nad nim stoi, lecz on wciąż pochłonięty był artykułem dotyczącym jakiegoś morderstwa sprzed roku.

– Hej – zaczęłam głupio i jeszcze głupiej pomachałam ręką, kiedy już na mnie spojrzął.

– Berka? – Chciał się upewnić, a ja ucieszyłam się, że się nie pomyliłam. – Adrian. – Podał mi dłoń.

Powiedział przepaszająco, że musi dokończyć artykuł, więc czekałam. Dosiadłam się i bacznie go prześwietlałam. Wiek: jakieś trzydzieści pięć do trzydziestu siedmiu lat, brak obrączki na palcu, ciemne, gęste włosy, wyraźne rysy twarzy, jak u Greków, i delikatne okulary z oprawkami w modnym kolorze czekolady z mlekiem.

– Wybacz, ale wciąż nie wierzę, że to się stało. – Mówił o artykule.

– A co się stało, bo nie jestem na bieżąco? – zapytałam, zainteresowana.

– Morderstwo na Białołęce sprzed roku, zamordowano trzydziestoletnią kobietę i jej dwoje dzieci, chłopca, cztery lata, i dziewczynkę, sześć lat. Kilkanaście ciosów nożem w klatkę piersiową oddanych na kobiecie, a dzieci zaduszone poduszką – opowiadał.

– Straszne. – Moje myśli już tworzyły wizualizację przedstawionych scen.

– Straszne, straszne, a dopiero po roku sprawca dostał wyrok. I to nie dożywocia, bo podobno był nieświadomy swoich działań – tłumaczył.

– Dlaczego? – Nigdy nie rozumiałam tej całej poczytalności i niepoczytalności.

– Biegli psychiatrzy ocenili, że działał pod wpływem emocji i impulsu, nie kontrolował swoich czynów. Jego obrońca wnioskował o uniewinnienie, ale sąd nie był aż tak łaskawy.

Wydawał się sympatyczny, nie okazywał swojej wyższości w wiedzy dotyczącej prawa karnego.

– Może coś zamówimy? – zaproponował, a ja spojrzałam na tablicę za nim, na której wypisane były dania serwowane w stołówce wydziałowej.

Powiedziałam Adrianowi, co chcę, a on poszedł do baru przekazać nasze zamówienia pani za ladą.

– Będiesz kosztowała mnie siedem trzydzieści, więcej niż myślałem. – Zaśmiał się, a ja zaczęłam się bać, że znów mam do czynienia z panem Sknerusem.

– Następnym razem ty zamówisz droższe o te siedem złotych – zaproponowałam.

– O siedem trzydzieści, nie o siedem – poprawił mnie.

W jednej chwili Adrian przestał mi się podobać. Z elokwentnego, empatycznego naukowca stał się nędznym księgowym własnego budżetu.

– Jesteś desperatem, że szukasz żony? – zapytałam, wiedząc, że właśnie na znalezieniu żony mu najbardziej zależy.

Agata zachwalała go przez godzinę, mówiąc, że jest zupełnie inny niż Borys, że nie zależy mu na przygodach, lecz stałym związku. Dodała coś o mozolnych staraniach Adriana o dziecko z byłą partnerką oraz plotkach na temat jego bezpłodności, ale to było nieistotne. Liczyła się tylko jego chęć do ustabilizowania. I oto jestem. Ja – poszukująca męża i on – poszukujący żony. Dwa podobne pragnienia, lecz złe wibracje między nimi.

– Ja nie, ale ty powinnaś – odpowiedział na moją zaczepkę. – Moje plemniki zawsze będą sprawne, a twoim komórkom jajowym zostało niewiele czasu. Najlepszy wiek na rodzenie dzieci to dwadzieścia do trzydziestu lat, a przypomnij mi, ile ty masz?

– Dwadzieścia osiem – burknęłam.

– Badania mówią swoje. Słyszysz? – zapytał cicho, a ja próbowałam usłyszeć to, co on. – To twój tykający zegar biologiczny, mówi, że musisz się spieszyć.

Wściekłość, złość, zdenerwowanie targają mną jednakowo równo. „Już ja mu pokażę” – pomyślałam i tworzyłam wizję odwetu.

– A czytałeś najnowsze badania WBC, dotyczące plemników? – zapytałam.

– Nie, a co to WBC, bo mam to gdzieś na końcu oka, ale nie pamiętam, co to dokładnie?

„Mrugnij” – pomyślałam, ale cieszyłam się, że nie odkrył mojego kłamstwa.

– WBC to Międzynarodowa Klinika Biologiczna – wytłumaczyłam. – Według ich najnowszych badań plemniki z roku na rok są coraz gorszej jakości, a sam wiesz, że planując dziecko, kobieta chce pięknego i inteligentnego bobaska, a ze starych plemników mogą wyjść jakieś dziwne zespoły chorobowe – zmyślałam.

– Serio?

– No, z nimi nie jest jak z kobietami i winem, one z roku na rok są coraz gorsze i mniej atrakcyjne – powiedziałam smutno.

Adrian zamyślił się na chwilę.

– A pisali, gdzie można sprawdzić atrakcyjność plemników?

Omiał się nie zakrzusiałam.

– Pisali o tym trochę – rzuciłam lekceważąco.

– Berka, no powiedz – prosił.

– Pisali, że podczas ejakulacji u płodnego mężczyzny liczba plemników wynosi od dwustu do sześciuset milionów – wyliczałam dane statystyczne poznane na studiach, na jednym z przedmiotów, kiedy to Zośkę ciekawił temat wytrysku. – U mężczyzny do dwudziestego piątego roku życia jedynie co tysięczny jest wadliwy, jednak po trzydziestym piątym roku życia zaledwie co tysięczny jest zdolny do zdrowego zapłodnienia.

– Boże, Berka, ja za dziewięćdziesiąt sześć dni skończę trzydzieści pięć lat – rzucił smutno.

– Słyszysz? – zapytałam.

Pokręcił przecząco głową, wciąż mając smutek na twarzy.

– Twój zegar sprawnych plemników tyka. – Zaśmiałam się i wyszłam z wydziałowej stołówki, zostawiając Adriana ze swoimi myślami.

Pozostało mi jedynie bać się Agaty, kiedy Adrian przekaze jej opowieść o naszej randce. Ona doskonale wiedziała, że nie czytam pism naukowych i całe moje wyliczenia to jeden wielki fałsz. Malutkie łgarstwo w podziękowaniu za wyliczenia prawnika Adriana.

Uśmiech ponownie gościł na mojej twarzy, kiedy przekroczyłam próg mieszkania. Sięgnęłam po kartkę papieru oraz marker i zapisałam na niej tytuł: DŁUGOŚĆ DŹWIĘKU SAMOTNOŚCI. I nie chodziło tu o zwątpienie we mnie. W siebie przestanę wierzyć na samym końcu. Moje zwątpienie dotyczyło facetów, tych monstrów, które my, kobiety, nazywamy mężczyznami.

Odpowiedź Karola nadeszła błyskawicznie. Zapisane starannym pismem: „Nie daj się” mogło odnosić się do piosenki Dody lub po prostu dodawać mi otuchy przed kolejnymi próbami poznania kogoś wyjątkowego.

Randka z kandydatem Agaty

• Szanse na drugą randkę: 0

• Nawiązane ciekawe tematy: 2 (zarówno morderstwo sprzed roku, jak i pogaduszka o plemnikach i komórkach jajowych były interesujące)

• Ocena ogólna kandydata (w skali od 0 do 10): 7 za wygląd, 8 za elokwencję, 3+ średnia za całość (wiem, jak się liczy średnią, lecz ta ma dodatkowe współrzędne).

* * *

Trzeci zatopiony okręt. Kilka szybkich, chybionych strzałów, by móc zadać pierwszy celny pod nazwą

operacyjną: „siedem trzydzieści”, po którym nastąpił następny celny pseudonim operacyjny: „stara komórka”, by na koniec zadać pamiętny cios pod nazwą: „niesprawny plemnik”. Kilka chwil wystarczyło, by kolejne nadzieje odeszły w zapomnienie. A mówią, że nadzieja umiera ostatnia. Moja jeszcze nie umarła, moja nadzieja po prostu się zagubiła.

KANDYDAT „DOKTORA PAPUŻKI”

Gdyby nie przypadek, nawet nie wiedziałabym, że moja matka się z kimś spotykała, a tu, proszę, „Doktor Papużka” miał dla mnie kandydata na męża. Kandydata lekarza, co jeszcze lepsze. Przydałby się, gdybym po raz kolejny przewróciła się o wystającą płytkę lub zapomniałabym ponownie podnieść nogi, wychodząc z wanny, co skończyło się jedynie guzem na czole. O spadnięciu z muszli nie wspomnę, ale też mógłby być wtedy w pobliżu, kiedy podczas robienia siusiu odlatuję wraz z ptakami do ciepłych krajów, tyle że ja ląduję na łazienkowych kafelkach.

Po niesmaku pozostawionym przez Amadeusza z żywego różańca i kazanie telefoniczne mamy, nazywającej mnie bezwstydnicą, „Doktor Papużka” postanowił wkupić się w moje (a może bardziej mamy) łaski, proponując swojego kolegę po fachu na przyszłego męża dla mnie, a zięcia dla swojej ukochanej „papuziej królowej”, jak miał w zwyczaju nazywać moją mamę.

Randka inna niż wszystkie dotychczas. Byliśmy umówieni przed Teatrem Buffo, by iść na jedno z obleganych przedstawień. Musiał się postarać, żeby zdobyć bilety, lub nie szczędził pieniędzy na randkę ze mną. Stałam przed teatrem w eleganckiej, skromnej sukience w groszki i czarnych klasycznych szpilkach, czekając, aż zjawi się on. On (dość przystojny, w granatowym garniturze i modnej w tym sezonie muszce) podszedł do mnie z różą, nie jedną, a całym bukietem pięknych czerwonych róż. Szarmancko pocałował mnie w dłoń, po czym wręczył kwiaty.

– Miłosz – mówił spieszenie i zaciągnął mnie do wnętrza teatru.

Miałam prawie dwie godziny, żeby móc się przyjrzeć z boku mojemu towarzyszowi. Zasiadł po mojej lewej stronie, zatem darzył mnie szacunkiem, bo ponoć osoba ważniejsza (przyjęło się, że kobieta) powinna być po prawej stronie mężczyzny (tak gdzieś kiedyś wyczytałam).

Podczas przedstawienia śmiałyśmy się w tych samych momentach. Teatr Buffo – jak zawsze niezawodny. Mogłabym ich oglądać bez przerwy, wciąż zachwycając się dobrze znanymi mi już scenami.

Wyszliśmy, kiedy na sali słychać było jeszcze brawa. Wziął mnie za rękę, jakbyśmy się znali od dawna, i poprowadził w stronę pobliskiego parku. Znaleźliśmy ustronną ławkę, na której usiedliśmy, wtuleni w siebie.

– Podobało ci się? – zaczęłam rozmowę.

– Yhy – usłyszałam z lewej strony i czekałam na więcej, lecz odpowiedziała mi cisza.

– Kocham ich przedstawienia, są warte każdej ceny – trajkotałam, żeby zachęcić go do rozmowy.

– Yhy.

– Widziałeś już jakieś ich przedstawienie?

– Yhy – usłyszałam ponownie i postanowiłam, że na następne pytanie nie da rady odpowiedzieć tym swoim „yhy”.

– A jakie już widziałeś?

– Yyy... dawno.

„To sobie pogadaliśmy” – pomyślałam i postanowiłam czekać, aż on zacznie rozmowę. Podziwiałam gwiazdy na niebie, a on zdawał się robić to samo, co jakiś czas spoglądając na mnie. Jego dłoń delikatnie muskała moje ramię, głaszcząc je. Dreszczyk przyjemności otulał moje ciało, jednak to nie wystarczy, aby być szczęśliwym. Ze względu na jego śmiałość w stosunku do mojego ciała, postanowiłam po raz kolejny się odezwać.

– Czasami, jak mi smutno, patrzę w gwiazdy i szukam tej najjaśniejszej – zwierzyłam mu się, kiedy

patrzył na mnie.

W ciszy spoglądaliśmy w niebo. Zauważył Gwiazdę Polarną szybciej niż ja i nakierował moją dłoń w jej stronę, po czym delikatnie musnął swoimi ustami moje. Było mi przyjemnie, choć czułam się onieśmielona narzuconym przez niego tempem.

– Myślisz, że gwiazdy naprawdę mogą spełniać marzenia? – zapytałam naiwnie.

– Yhy – usłyszałam ponownie i wiedziałam już, że żaden pocałunek nie jest mi w stanie tego wynagrodzić.

Wstałam gwałtownie, a on zdawał się nie rozumieć sytuacji. Po chwili jednak podbiegł, by mnie zatrzymać. Patrzył mi w oczy, po czym złożył na mych ustach pocałunek. Tym razem nie był już tak delikatny, ale zdecydowanie bardzo namiętny, czuły. Chwila wystarczyła, abym znów chciała dać mu szansę. Każda kobieta pragnie poczuć się podczas pocałunku tak, jakby fruwała. Może nie byłam ptakiem, ale Miłosz na pewno sprawił, że byłam jesiennym liściem unoszącym się przez jakich czas nad ziemią.

– Wstydzę się... przed kobietami – to była najdłuższa jego wypowiedź.

Ucieszyłam się. „Zaczął mówić, teraz już będzie łatwiej” – pomyślałam.

– Chciałabym cię poznać lepiej, bo że dobrze całujesz, już wiem – wyznałam.

Miłosz popatrzył mi głęboko w oczy i już miałam nadzieję, że tym razem jego słowa mnie nie zawiodą. Kolejne „yhy” wystarczyło, abym odeszła na dobre. Miłosz znów próbował biec za mną, lecz ja odwróciłam się i kręcąc głową, powstrzymałam go. Zdawałam sobie sprawę, że jego pocałunek znów da mi nadzieję na coś więcej, co nigdy nie nastąpi.

Dotykając swoich warg, szłam oświetlonymi ulicami Warszawy. Nie ma piękniejszego widoku niż Warszawa nocą. Miasto, które tak wiele dla mnie znaczy, które nauczyło mnie „lokalnej miłości” i pod światłami którego Miłosz skradł mi najcudowniejszy pocałunek w tym roku.

* * *

Kartka, marker i tym razem dłuższa chwila zastanowienia, abym mogła napisać odpowiedni tytuł. Zauroczona jego wargami, chcę napisać: DOTYKAJ DELIKATNIE, KOBRANOCKI, lecz trzeźwość umysłu podpowiada mi, bym na kartce zapisała słowa: ONA TAŃCZY DLA MNIE.

„Karol zrozumie moje przesłanie” – pomyślałam i przyczepiłam kartkę do drzwi, pewna, że jego komentarz ponownie mnie rozśmieszy.

„Niech żyje wolność...” – przeczytałam rano, uśmiechając się do siebie. Karol zdecydowanie był jedynym wytrwale wspierającym przyjacielem, jakiego miałam.

Randka z kandydatem „Doktora Papużki”

• Szanse na drugą randkę: 0

• Nawiązane ciekawe tematy: 0

• Ocena ogólna kandydata (w skali od 0 do 10): 8 za wygląd, całowanie 10, charakter 1 (niech ma za „yhy”), średnia: wystarczająco za mała.

Kandydat „Doktora Papużki” okazał się papużką niemową. Może dlatego tak się lubili? Jeden milczał, drugi gadał, więc się zgrali. Ja w każdym razie nie wyobrażałam sobie związku bez rozmowy, nawet z kimś, kto miał tak delikatne usta, jak Fabian. Nadzieja na znalezienie męża jest zauważalna, jedynie kiedy spojrzysz na nią przez lupę lub profesjonalny mikroskop.

KANDYDAT KAROLA

Karol to moja ostatnia deska ratunku. Prosił, aby jego kandydat był ostatnim w tej całej batalii chętnych do mojej ręki. Jego tajemniczość sprawiała, że trochę się obawiałam, ale byłam też pewna, że przyjaciel nie wpakuje mnie w kolejne bagno.

Moja ulubiona restauracja z lampionami oświetlającymi ciemne wnętrza, wygodne sofy i urokliwe okrągłe stoliki skradły moje serce już podczas pierwszej wizyty w tym miejscu. Znakomity makaron i inne pozycje z menu jedynie utwierdziły mnie w przekonaniu, że warto tam częściej bywać. Niestety, knajpka, uznawana za romantyczną, nie za bardzo nadawała się na spotkanie z przyjaciółkami, bo przy stolikach obok wszędzie siedziały zakochane pary w różnym wieku.

Ubrałam się w moją ulubioną błękitną letnią sukienkę, która idealnie podkreślała moje zgrabne ramiona, modyfikując niedostatki w okolicach klatki piersiowej. Jeszcze białe sandały na koturnie i ruszam pewnie przed siebie. Karol nie powiedział, kogo mam szukać. Podobno on mnie zauważył, jak wyraził się mój współlokator.

Weszłam do restauracji i w delikatnym świetle dostrzegłam Karola. Zdziwił mnie jego widok, ale ruszyłam w jego stronę. „Może ten kolega to jakiś psychol i Karol wolał mieć go na oku?” – zastanawiałam się, przechodząc między stolikami.

Karol uśmiechnął się na mój widok i wskazał mi krzesło, abym usiadła.

– Pięknie wyglądasz – powiedział, a ja lekko się zarumieniłam.

– Jest tutaj? – zapytałam.

Karol pokiwał głową, a ja zaczęłam rozglądać się po sali. Chciałam być dyskretna, ale nigdy nie była to moja mocna strona.

– Gdzie?

– Naprzeciwko ciebie – odparł wesoło, a ja wypatrywałam kogoś za jego plecami.

Jest. Trochę młodszy ode mnie. Siedział za plecami Karola i nerwowo uderzał palcami w stół. Chciałam wstać i iść do niego, jednak w chwili, kiedy podnosiłam się z krzesła, do jego stolika podeszła drobna brunetka i czule pocałowała go w usta.

– On jest z kimś – zwróciłam uwagę Karolowi.

– Kto? – zapytał, zdziwiony.

– No on. – Wskazałam głową na chłopaka za nim.

Karol wybuchnął śmiechem, a ja nie rozumiałam, o co chodzi.

– Berka, twoim kandydatem na męża jestem ja. Ja, Karol – wyznał.

To się nazywa mieć prawdziwego przyjaciela. Przyjaciela, który jest w stanie ożenić się ze mną mimo tego, że sam woli mężczyzn.

– Karol, te pięć tysięcy nie jest tego warte – zauważyłam ze smutkiem.

– Nie rozumiem...

– Ja naprawdę chciałam mieć męża, który będzie mnie kochał, który zechce mieć ze mną kiedyś dziecko, a może i dwoje – tłumaczyłam cierpliwie.

– Ale ja cię kocham, Berka. Kocham cię, od kiedy cię pierwszy raz ujrzałem... Kocham w tobie wszystko.

Moje oczy wpatrywały się w punkt, którego nie znałam.

– Karol, przecież ty jesteś gejem – przypominałam mu.

– Co? – zdziwił się ponownie, a ja w końcu zrozumiałam swoją pomyłkę.

– Okłamałeś mnie! – krzyknęłam i wybiegłam z restauracji.

Skończyły się marzenia o wspaniałym makaronie, jedzonym w delikatnym świetle lampionów. Szłam przed siebie, udając, że nie słyszę wołania Karola. „Jak on mógł mnie okłamać?” – pytałam samą siebie. Karol dogonił mnie i złapał stanowczo za ramiona, aby mnie zatrzymać.

– Ja ciebie okłamałem? Kiedy?

– Powiedziałeś mi, że jesteś gejem – wytknęłam mu.

– Ja? – zdziwił się.

– Nie, święty Tymoteusz z Azerbejdżanu – burknęłam, a on zaczął się śmiać.

Do mnie też dotarła głupota, jaką powiedziałam, i na mojej twarzy na chwilę zagościł uśmiech.

– Kiedy ci powiedziałem, że jestem gejem?

– A więc jesteś! – krzyknęłam.

– Berka... – uspokajał mnie.

– Jak pytałam o to, czy masz w pracy jakichś potencjalnych kandydatów dla mnie – przypomniałam mu naszą rozmowę.

– I ja powiedziałem ci wtedy, że jestem gejem i wolę zostawić moich kolegów dla siebie? – zgadywał.

– No, dałeś mi to do zrozumienia. Ja wiem, że o takich rzeczach trudno mówić, dlatego nie dopytywałam i czekałam, aż sam się na to zdobędziesz – tłumaczyłam się przed nim, a on zamknął mi usta pocałunkiem.

Staliśmy tak, całując się, i czekałam tylko na deszcz z nieba, który zazwyczaj pojawia się przy takich scenach w komediach romantycznych, abym mogła zalotnie podnieść jedną nogę, jak też wielokrotnie widziałam.

– I jak całuje gej? – Zaśmiał się, a ja delikatnie walnęłam go torebką.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś wcześniej? – zapytałam.

– To twoje postanowienie nawet mnie rozbawiło, czekałem więc, co się wydarzy.

Pocałował mnie po raz kolejny, jeszcze śmieiej niż za pierwszym razem. Krople deszczu wciąż nie leciały z nieba, ale i bez nich było cudownie.

– A gdybym znalazła kogoś?

– Miałem plan awaryjny.

– Jaki?

– Jak widać, był niepotrzebny, bo nikt z tobą nie dotrwał do drugiej randki. – Łobuzerski uśmiech ozdobił jego twarz.

– To ja z nimi nie wytrzymałam do drugiej randki – oburzyłam się.

Wtuliłam się w Karola i zastanawiałam się, dlaczego nie pomyślałam o nim wcześniej. Przecież wielokrotnie powtarzałam, że jest moim ideałem, ale gdzieś zrodziła się jego wizja z innym mężczyzną... Łatwiej było udawać, że wszystko jest w porządku, niż zapytać.

– Karol, ale jak to możliwe, że mnie kochasz, jak ze mną nie spałeś? – Sama nie wiem, dlaczego nasunęło mi się to pytanie.

Karol uśmiechnął się i pociągnął mnie za rękę, by iść w stronę domu. Nie odzywaliśmy się, nie było nam to teraz potrzebne. Chwytałyśmy chwilę, aby już żadna nam nie uciekła. Zbyt wiele w życiu nas omija, byśmy mogli pozwolić sobie na zapomnienie tych ważnych momentów.

Przekroczywszy próg mieszkania, zaczęliśmy się całować. Delikatnie, czule, zachłannie, coraz łapczywiej. Zdjęłam z niego koszulę, on rozpiął suwak sukienki.

– U mnie czy u ciebie? – zapytał.

– Dziś ja cię zapraszam, jutro twoja kolej.

Karol wziął mnie na ręce i wniósł do mojego pokoju. Położył mnie na łóżku i nawet się nie zorientowałam, kiedy byliśmy niemal nadzy. Kiedy Karol rozpinał mój biustonosz, wyskoczyłam z łóżka, jak oparzona.

– Co jest? – zdziwił się.

– Daj mi chwilę – powiedziałam i pobiegłam po kartkę oraz marker.

Szybkim ruchem ręki nabazgrałam na niej: RAZEM ZESTARZEJMY SIĘ, po czym przykleiłam kartkę do drzwi.

– Co ty robisz?

– Mój przyjaciel kazał mi po każdej randce napisać tytuł piosenki, która odzwierciedla kandydata. – Zaśmiałam się, a on puknął mnie palcem w czoło.

Powróciliśmy do poprzednich scen. Biustonosz poleciał na podłogę, a Karol zdejmował właśnie skarpetki, kiedy przypomniały mi się słowa Marietty.

– Mari miała rację – powiedziałam na głos, choć nie chciałam.

– Z czym? – Nie przestawał całować moich piersi.

– Że musi być między nami coś więcej, skoro piorę twoje śmierdzące skarpetki z moimi majtkami – rzuciłam złotą myśl przyjaciółki.

Karol niepewnie spojrzał na mnie i zmrużył lekko oczy.

– Moje skarpetki nie śmierdzą. – Ponownie zaczął mnie całować.

Postanowiłam nie myśleć o niczym innym niż o tym, co miało zaraz nastąpić. Chwile dzieliły nas od połączenia się w jedność. Wyczuwałam już... ogrom jego uczucia. Karol zaczął delikatnie zębami zdejmować moje koronkowe majtki.

– Berka, no nie! – krzyknął, zdumiony, a ja spojrzałam na niego i zaraz zrozumiałam, o co chodzi.

– No co, zapuszczam... – Spojrzał na mnie krzywo. – ...do depilacji.

– No cóż, zrobimy to jak w średniowieczu. – Zaśmiał się i wszedł we mnie.

Kochaliśmy się niespiesznie, chcąc cieszyć się tym, co ominęło nas przez wspólne lata mieszkania razem. Do miłości brakowało jeszcze cząstki, jednak mieliśmy dobrą bazę, bazę przyjaźni, która na pewno zamieni się w gorące uczucie. Bo czym jest miłość, jak nie przyjaźnią, zaufaniem i wzajemnym pożądaniem. Brakowało jedynie przyzwyczaić się do tej myśli. Myśli, że to, czego szukaliśmy, cały czas było blisko, na wyciągnięcie ręki.

Randka z kandydatem Karola

• Szanse na drugą randkę: 10000000000000000000000000000000

• Nawiązane ciekawe tematy: każdy nasz temat jest ciekawy

• Ocena ogólna kandydata (w skali od 0 do 10): 9+ (żeby nie było za idealnie)

• Rada na przyszłość: zanim stwierdzisz, że facet jest gejem, prześpij się z nim, by dowiedzieć się, czy to prawda.

20 czerwca 2015 roku

Moja bajka trwa. Obchodziliśmy już nawet swoją tygodnicę czy tygodniówkę, choć to drugie to bardziej z kieszonkowym się kojarzy niż z czasem trwania związku. Zwał jak zwał, tydzień oficjalnego bycia razem. Na razie przyzwyczajaliśmy się do tego, że byliśmy razem inaczej niż do tej pory. Nasze ciała znosiły to o wiele lepiej i łatwiej niż nasze umysły. Wciąż mieliśmy dylemat, w którym łóżku śpimy, jeśli w ogóle o spanie nam chodzi. Poznawaliśmy każdy zakątek naszego domu od nowa. Stół w kuchni, który rzecz jasna dokładnie zdezynfekowałam po owym „poznawaniu”, wannę, szafkę w przedpokoju i podłogi we wszystkich pomieszczeniach. Swoją drogą, jacy ludzie są głupi, kochać się na twardej i zimnej podłodze, kiedy obok stoi łóżko. Wtedy jednak człowiek nie myśli logicznie, liczy się tu i teraz, nie ma nic ważniejszego.

Nasz związek trzymaliśmy w tajemnicy. Chcieliśmy najpierw sami w niego uwierzyć, dopiero potem dać innym radość z niego.

Dziś wielki dzień dla Jolki: sławetny trening z Ewą Chodakowską, na którym miałam szukać męża. No cóż, trzeba będzie jednak poćwiczyć, skoro partnera już znalazłam. Strój skompletowany, motyle w brzuchu fruwały, zatem mogę ruszać z butelką wody na Skwer Kahla, położony w pobliżu mostu Świętokrzyskiego, który mimo lat mieszkania w stolicy wciąż kojarzył mi się ze sceną z filmu *Nigdy w życiu*, połączonej z doskonałym głosem Edyty Bartosiewicz, śpiewającej:

*Przemoknięte serca miast
I tylko ty i ja, szczęśliwi tym dniem
Bo choć zapomniał o nas świat
Mokrzy od stóp do głów, nie tracimy nadziei.*

Telefon oznajmił, że Jolka i Monia były już przed moim blokiem. Mari miała zabrać z sobą Baśkę, a Zośkę miał przywieźć ojciec. Szybko zbiegłam po schodach, traktując to jako rozgrzewkę. Jolka siedziała za kierownicą, Monia zajmowała zaś miejsce obok.

– Hej, dziewczyny – przywitałam się wesoło. – Monia, jak twój kurs?

W lusterku widziałam kpiący uśmiech Jolki, który nie wróżył nic dobrego.

– Rozbiłam samochód – wyznała cicho Monia.

– Na kursie? – dopytywałam się.

– Tak, instruktor kazał mi cofać i ja cofałam... na ręcznym – powiedziała smutno.

– A jak inaczej miałaś cofać? – zapytałam, a Jolka o mało nie padła ze śmiechu.

– Myślałam, że tylko Zośka nie zrozumie, ale widzę, że nie tylko ona nie wie, że od cofania jest wsteczny, a nie ręczny – wycedziła wrednie Jolka.

– Wsteczny, ręczny, jedna cholera! – skwitowałam jej słowa, co rozbawiło Monię.

* * *

Na miejsce dotarliśmy czterdzieści minut przed czasem, jednak już o tej godzinie na Skwerze był tłum. Ogromna scena, przed którą ustawiali się ludzie, była miejscem przeznaczonym dla Ewy i jej drużyny. Jolka patrzyła z zazdrością na rozgrzewające się na scenie dziewczyny.

– Za rok i ja tam będę – rzuciła, a my wiedziałyśmy, że jest zdeterminowana i będzie robiła wszystko, aby jej marzenie się spełniło.

Pokiwałyśmy jedynie głowami na znak, że się z nią zgadzamy. W oddali słyszałam głos Mari, która znów nadużywała interpunkcji wykrzyknikowej. Wraz z Baśką dobiegły do nas, rzucając swoje torby na ziemię. Baśka, wyraźnie zmęczona krótkim biegiem, zdawała się już myśleć, jak wytrzyma godzinny trening. Nie była ona zwolenniczką ćwiczeń, swoją figurę zawdzięczała jedynie genom i szybkiej

przemianie materii, którą Jolka wolała ładniej nazywać metabolizmem.

– Nie wiem, czy dam radę. – Baśka już wątpiła w swoje możliwości.

Jolka poklepała ją po ramieniu, chcąc okazać wsparcie.

Stałyśmy niedaleko sceny, wyczekując na zaginioną Zośkę. Musiała wiedzieć, że tu jesteśmy, specjalnie wybrałyśmy miejsce na wprost kamer, aby była zadowolona. Wypatrywałyśmy jej w tłumie i Mari jako pierwsza ją ujrzała.

– Widzicie?!

Nasze oczy powędrowały za wzrokiem Mari, by zobaczyć ostatnią z naszej szóstki. Szła powoli, zarzucając rozpuszczonymi, kruczoczarnymi włosami, raz na prawą, raz na lewą stronę.

– Smerfetka. – To mnie pierwszej wyrwało się określenie, które chyba każda z nas miała w myślach.

Zośka, cała w błękicie, zaczynając od butów, skarpetek, spódniczki, topu, a kończąc na opasce z ogromnym kwiatem.

– Te spódniczki są dla tenisistek, nie do fitnessu – nieśmiało zauważyła Jolka, lecz Zośce to nie przeszkadzało.

– Nie obchodzi mnie, dla kogo i dla czego są, ważne, jak w niej wyglądam, a musisz przyznać, że wyglądam zjawiskowo – powiedziała, jak zawsze pewna siebie, i przeczesła palcami swoje włosy.

Nasze spojrzenia były aż nadto wymowne, lecz Zośka się tym nie przejmowała. Przyzwyczailiśmy się, że to ona jest gwiazdą, a my jedynie tworzymy nędzne tło.

Godzina zero wybiła, a na scenie pojawiła się Ewa Chodakowska. Przywitała się z nami, a tłum podskakiwał z radości, widząc ją przed sobą, nawet Jolka wykazała trochę emocji, krzycząc: „Kocham cię, Ewka”, które niknęło w tłumie. Nasze guru fitness opowiadało, że zaczniemy od rozgrzewki i kiedy poczujemy, że już dalej nie damy rady, to wystarczy na chwilę przystanąć, by znów nabrać sił. Kilka ruchów rękoma, dołożyłyśmy trening nóg i już całe nasze ciało pracowało. Tłum na skwerze wykonywał ćwiczenia pokazywane przez Ewę, a kamery nagrywały to wszystko. Zazdrościłam tym, którzy oglądali nas w telewizji, że mogą widzieć, jak tysiące ludzi wykonują ten sam ruch w tym samym czasie. Ogromne układy synchroniczne – wyglądało to rewelacyjnie. Widzowie przed telewizorami, zajadając przy tym kolejną paczkę chipsów lub czekoladowego batonika, zapewne zazdrościli nam, że możemy ćwiczyć z tak wyjątkową trenerką.

Czułam całe moje ciało, dosłownie każdy mięsień, nawet ten najmniejszy, dobrze ukryty. Przypominałam sobie ćwiczenia z Ewą sprzed pół roku i jej słowa motywacji, które dodawały mi sił. Zerknęłam na Jolkę i zdziwiłam się, czemu nie widać u niej nawet kropli potu. Była jak robot – wykonywała ćwiczenia z taką łatwością, jakby oddawała się czynności leżenia. Poszukałam wzrokiem Zośki. Ta mizdrzyła się do kamery, co jakiś czas robiąc seksowny przysiad, nie zerkając nawet w stronę sceny, tylko wpatrując się jak zahipnotyzowana w obiektyw. Z lewej strony usłyszałam cichy jęk – Baśka była już tak spocona, że nie było na niej zapewne ani milimetra suchego miejsca. Monia i Mari, stojące z tyłu, co jakiś czas przerywały ćwiczenia, aby napić się wody, chociaż wcale jej im nie ubywało. Każdy powód był dobry, aby choć na chwilę przerwać terror fundowany przez Ewę.

Trening trwał dłużej, niż się spodziewałam, a może to moje mięśnie myślały, że minuty wleką się w nieskończoność. Ewa podziękowała wszystkim za przybycie, zrobiliśmy sobie grupowe selfie i byłam pewna, że najdalej za godzinę będę we własnej wannie. Zaczęłam pakować wodę do torby, kiedy usłyszałam radosne piski:

– To teraz do kolejczki. – Jolka aż klasnęła z radości.

– Po co? – uprzedziła mnie Mari.

– Ewa będzie robiła sobie zdjęcia z każdym, kto do niej podejdzie – wytłumaczyła Jolka, a my spojrzaliśmy po sobie.

– Serio? Mamy stać tutaj godzinami, bo chcesz zdjęcie z Ewą? – chciała się upewnić Baśka.

– Tam też są kamery i to wszystkie te, co tu były. – Spojrzała błagalnie na Zośkę.

– Słyszałyście, co mówi Jolka. – Kamery jednak wygrały. – Idziemy stać w kolejce do Ewy.

– Chyba do kamer – wymknęło się Mari.

– Każdy stoi po to, co chce zdobyć – skwitowała Zośka, znów przeczesując włosy palcami.

Ulokowałyśmy się w długaśnej kolejce, z nadzieją, że do obiadu się wyrobimy z tymi zdjęciami.

Podeksytowanie Jolki, spowodowane spotkaniem ze swoją mentorką, udzieliło się i nam. Jedyne Zośka zdawała się żyć w swoim świecie, trenując do ekranu swojego iphona wszystkie znane sobie uśmiechy.

– Biedny telefon. – Baśka zerknęła na szczerzącą się Zośkę. – Widział zdecydowanie za wiele, jak na jeden mały sprzęt.

– Ponoć iphony są wytrzymałe. – Jolka zaśmiała się, spoglądając bacznie na Mari.

– Ja się do mojego nie szczerzę! – syknęła jadownicie Mari.

– Tylko całujesz, myśląc, że to twój kochanek. – Jolka nie pozostała jej dłużna. – A jak twoje poszukiwania męża, Berka?

Nawet oczy Zośki zwróciły się w moją stronę, wyczekując odpowiedzi na pytanie. Pustka w głowie nie pozwalała mi stworzyć sensownego zdania.

– OK – rzuciłam obojętnie.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia sugerujące jasno, że mi nie wierzą. Dla nich już samo moje postanowienie stawiało mnie na straconej pozycji, szczególnie że była już połowa roku.

Kolejka zmniejszyła się powoli. Stawiałyśmy małe kroczki, aby z każdą minutą być bliżej namiotu Ewy. Podeksytowanie Jolki sięgało zenitu, widoczne były błyszczące światełka w jej oczach, które na co dzień dość dobrze kamuflowały się w źrenicach.

– Bożeszczu, jeszcze chwila. – Wszystkie z nas już chyba dodały słowo „Bożeszczu” do swojego słownika. – Zaraz dotknę Ewy.

– I co jej powiesz? – zapytała Monia.

– Powiem, że startowałam w wyborach miss, a w przyszłości będę znaną aktorką, piosenkarką lub modelką. – Zośka wciąż trenowała uśmiechy do iphona.

Monia spojrzała na nią spod byka, lecz nic nie powiedziała. Nie była typem awanturnicy, zostawiła to dla innej z nas.

– Nie ciebie pytała. – Jolka była wyraźnie wzburzona. – Opowiem Ewie naszą historię.

– O nie, zero mówienia o naszych postanowieniach! – krzyknęłam. – Monia, dzwonił do mnie pan Jeremiasz, kojarzysz? – Przypomniałam sobie rozmowę ze spikerem radiowym.

Monia poczerwieniała, spuściła głowę i ewidentnie chciała zniknąć mi z pola widzenia. Nie spodziewała się, że domyślę się, kto na mnie nasłał radio i pewnie tak by się stało, gdyby nie niefortunna wzmianka o depresji, w którą popadam z powodu chronicznej samotności.

– Opowiem jej naszą historię – powtórzyła Jolka. – Moją i jej, wam nic do tego.

Zgryźliwość była jedną z jej największych wad, chociaż ona lokowała ją bardziej w swoich zaletach. Według niej obrona jest najlepszym sposobem radzenia sobie przed atakiem nieprzyjaciela, lecz ja nie nazwałabym tego obroną. To ona atakowała niczym wygłodniały lew, zanim ktoś zdołał cokolwiek powiedzieć, a może nawet i pomyśleć. Jolka od zawsze miała mocny charakter. Dominująca, nigdy niezdominowana. Właśnie to sprawiało, że najczęstsze kłótnie w naszej paczce były między nią a Mari, która także kochała kłaść wisienkę na torcie. Jednak tort był jeden, więc któraś musiała odpuścić.

Byłyśmy już przy Ewie, kiedy kilka nastolatek wepchało się przed nas, tłumacząc, że koleżanka zajęła im miejsca. Gdyby wzrok mógł zabijać, Jolka właśnie zamordowałaby pięć Bogu ducha winnych dziewczyn.

– O, witam was, dziewczyny – powiedziała w końcu Ewa do nas.

– Ewa... – Etap podniecenia u Jolki sięgnął maksimum.

– Chcecie zdjęcie? – zapytała, a my ustawiliśmy się dookoła niej.

Tylko Zośka rozglądała się cały czas, co nie wydawało się taktowne.

– A gdzie są kamery? – zapytał w końcu.

– Za namiotem – powiedziała spokojnie Ewa.

Zośka wyszła z namiotu, na poszukiwanie kamer.

– Ja z tobą schudłam już dwadzieścia sześć kilogramów – wyznała speszona Jolka.

– Wow – uradowała się trenerka i przybiła piątkę Jolce. – Podeślij mi na Fejsie swoją przemianę, to pokażę ją innym. Napisz do mnie w wolnej chwili i powiedz więcej o sobie, bo teraz, sama widzisz, nie mamy za dużo czasu. – Cmoknęła Jolkę w policzek.

Ewa pomachała nam radośnie. Jolka cały czas gładziła swój policzek, a ja miałam nadzieję, że nie odbije jej aż tak, aby nie myć twarzy, bo takie sytuacje prowadzą do trądziku i pęknięcia naczynek.

* * *

– I jak było? – zapytał Karol, kiedy zmęczona rzuciłam się na łóżko.

– Cudownie ciężko – miałam wrażenie, że zaraz zasnę.

Karol uśmiechnął się, zdjął mi adidas i zaczął masować moje stopy. Błogość, idylla i rozkosz ogarnęły moje zmęczone ciało. Moje mięśnie rozluźniały się, umysł chłonał świeże powietrze płynące z otwartego okna.

– Mam dla ciebie niespodziankę...

– Jaką? – Zerwałam się z łóżka.

Ostatnimi czasy słowo „niespodzianka” nie kojarzyło mi się dobrze. Minione półrocze było przykładem splotu nietrafionych niespodzianek. Każdy pomysł traktowałam wówczas jak prezent od losu, który okazał się pustym jajkiem niespodzianką.

– Jutro cię gdzieś zabieram, a twoim zadaniem będzie skojarzenie miejsca z filmem – powiedział wesoło, zadowolony z siebie.

– Hm... mam się bać?

Skinął głową.

– Przyjmujesz wyzwanie? – Wyciągnął rękę w moim kierunku.

– Przyjmuję, ale mogę też szukać w literaturze? – domagałam się, podając mu swoją dłoń.

Tradycyjne przecięcie zakładu zostało zamienione na przyjemny pocałunek. Mięśnie zuchwy i wargi były jedynymi, które chciały jeszcze dzisiaj pracować.

Randka 1. Trafieni maskotką

Przygotowania do wyjścia nie mogły zająć mi wiele czasu, zważywszy na to, jak późno zwlekłam się z łóżka. Karol od rana podśpiewywał pod nosem piosenkę Kancelarii, która na nic mnie nie naprowadziła. Postanowiłam poczekać, aż on zacznie się szykować, aby wiedzieć, jaki strój będzie odpowiedni. Na krześle w jego pokoju ukradkiem zauważyłam T-shirt i džinsy, zatem postanowiłam wyszukać coś wygodnego, niekrępującego ruchów, ale podkreślającego moje atuty w okolicach bioder. Włosy związane w luźny kok i lekkie, płaskie sandały idealnie pasowały do zwiewnego topu i jasnych džinsowych spodenek. Wyglądałam młodo i – co mało skromnie przyznałam, stojąc przed lustrem – pięknie.

Nie znając szczegółów wyjścia, czekałam na Karola, który pojawił się tylko na chwilę, aby powiedzieć, że wychodzimy. Zarzuciłam torebkę na ramię i byłam gotowa na niespodziankę. Wsiadliśmy do samochodu, gotowi na spotkanie z przygodą.

W oddali migotały miliony, a nawet miliardy światełek, zmieniając co jakiś czas kolory. Moje usta automatycznie dostały jednoczesny sygnał od mózgu i serca, by zmienić swój kształt w szczęśliwą podkowę.

– *Oszukać przeznaczenie 3!* – krzyknęłam, uradowana.

– Chyba nie chcesz, aby nasza pierwsza randk zakończyła się tak, jak w ich wypadku? – Zrobił zdziwioną minę.

Szukałam w głowie innych możliwości randek w wesołym miasteczku, lecz nic nie przychodziło mi do głowy. Pustka. Jedna, wielka pustka.

– *Zakłęte serce*? – strzelałam, przypominając sobie scenę z filmu, kiedy dwoje aspergerowców poszło na randkę właśnie do wesołego miasteczka.

– Ciepłej, ale wciąż nie to. – Zaśmiał się słodko. – Nie chcę, żebyś zaczęła krzyczeć, jak główna bohaterka – dodał szeptem.

– Wiem, wiem, wiem. – Podskakiwałam z wrażenia.

Karol rzucił mi pytające spojrzenie.

– Tylko oni nie poszli na randkę do wesołego miasteczka, ona była tam wtedy na randce z innym – dogryzłam mu przekornie.

– Cholera, wiedziałem. Tyle razy katowałam mnie tym *Pamiętnikiem*, a tu poległem na pierwszym zakręcie. – Udał, że się denerwuje. – Ale było wesołe miasteczko? Było, więc cicho. – Zamknął mi usta pocałunkiem.

Pamiętnik oglądałam setki razy, czytając go przy okazji parokrotnie. Miłość Allie i Noaha była czymś wyjątkowym, czymś, o czym marzył chyba każdy. Była czymś tak nierealnym, że aż fascynowała swoim oddaniem drugiej osobie. Książkowe miłości zupełnie nie przypominają tych, które spotykają nas w życiu. Tam zawsze jest jeden upadek, a w realnym świecie upadki zdarzają się, niestety, zdecydowanie częściej. Może to wina wydawnictw, że nie pozwalają na przedstawienie w książce całej historii miłości, z upadkami oraz wzlotami, a może autorzy wolą przedstawiać romanse w pozytywnych barwach?

– Od czego zaczynamy? – zapytał radośnie Karol.

– Zawsze bałam się młota – wyznałam.

On złapał mnie pewnie za rękę i poprowadził w kierunku karuzeli. Dziś się nie bałam, wiedziałam, że mam obok siebie kogoś, kto mnie kocha, a i moje serce było zdecydowanie mocniej niż wcześniej. Przyspieszony rytm serca, wieczny uśmiech na twarzy i fruujące w brzuchu motyle to tylko nieliczne z wyczuwalnych objawów zakochania. Zakochania przemieniającego się w miłość, która nie ma już tak widocznych symptomów, jest spokojniejsza, ale i trwalsza.

Zasiadamy w fotelach, trzymając się cały czas za ręce, pan sprawdza zabezpieczenia i wiem, że za chwilę nastąpi to, czego bałam się od zawsze – polecimy wysoko, zdecydowanie wyżej, niż wydaje się stojącym na dole gapiom. Nasze ciała będą w bezruchu, lecz włosy rozwieje silny wiatr. Do góry i na dół, do góry i na dół, by jeszcze kilkakrotnie zrobić to samo. Okrzyki radości słyhać zapewne w promieniu kilometra. Mimo strachu, który siedział we mnie od lat, moje usta zastygły w uśmiechu, a serce przyjemnie dudniło milion razy szybciej. Ekscytacja wygrała ze strachem. Rzuciłam się na szyję Karolowi, aby móc złożyć na jego ustach dziękczynny pocałunek.

– Może samochodziki na rozluźnienie? – zaproponował Karol.

– OK, a potem diabelski młyn, na którym będziemy się cały czas całować.

– Kusisz, oj kusisz.

Kolejka do samochodzików była jak zawsze długa. Od kiedy sięgam pamięcią, samochodziki w wesołych miasteczkach cieszyły się największym powodzeniem. Pięć minut bycia piratem drogowym kusiło nie tylko najmłodszych. Taki berek na magnetycznej tafli.

Niebieski samochód sprzątnęłam sprzed nosa jakiemuś nastolatkowi, który już w kolejce mówił, że będzie jego. Byłam pierwsza, wygrałam tę bitwę. Karol wszedł do żółtej „karocy” i ruszyliśmy. Z początku stukaliśmy się autami we dwoje, lecz inni szybko pozazdrościli nam frajdy z zabawy. Przyjemny odrzut, kiedy ktoś w ciebie uderzy, równać się może jedynie z pulpecikami babci Stasi, podawanymi na obiad. Pięć minut minęło szybko, zdecydowanie za szybko.

Następną atrakcją był diabelski młyn. Daleko mu do London Eye, ale dla mnie był ogromny. Powoli sunęliśmy ku górze, aby wypełnić wszystkie krzeselka. Karol objął mnie ramieniem, przytulił do siebie, bym czuła jego przyjemne ciepło. Diabelski młyn ruszył. Obietnica musiała zostać spełniona. Przechyliłam głowę w lewą stronę, szukając ust Karola. Całowaliśmy się, zapatrzeni w siebie, nie widząc panoramy Warszawy ani zaciekawionych spojrzeń ludzi wokół nas. Dopiero obsługujący karuzelę mężczyzna oderwał nas od siebie, obwieszczając, że to już koniec przejażdżki.

– I jak ci się podoba?

– Jak dostanę jeszcze maskotkę i sorbet, to będzie najlepsza randka w moim życiu. – Zaśmiałam się.

– Widzę, że moi poprzednicy nic się nie wysilili. – Puścił do mnie oko. – Woleli pisać listy do Tolkiena, niż troszczyć się o kobietę.

Wybuchłam śmiechem, przypominając sobie wspomnianą przez Karola sytuację. Ileż w tym było prawdy. Nietrafione pomysły na prezenty, randki w miejscach typowych i nuda to wspólny mianownik moich niedoszłych związków.

– Poproszę dwa sorbety, tylko z tą palmą, co ta pani miała – powiedział Karol do młodej dziewczyny przy stoisku z popcornem i sorbetem.

– Jaki smak: truskawkowy, bananowy czy mieszany? – zapytała dziewczyna.

– Mieszany – zdecydował za nas oboje.

Nie miałam mu tego za złe – wybrałabym to samo. I tu w głowie powstaje teoria o dwóch połówkach pomarańczy lub też jabłka. Teoria tak samo trafna, jak i mylna. Połówki idealnie do siebie pasują, bo są identyczne, lecz czy taki związek ma szansę na przetrwanie? Kto uspokajałby kłótliwego, denerwował flegmatyka, pocieszał płaczką, skoro druga osoba byłaby podobna? W mojej teorii on jest dojrzałym jabłkiem, a ja soczystą pomarańczą, które mimo inności przyklejają się do siebie za pomocą wypuszczonych soków.

Jedliśmy powoli sorbety, kręcąc się po wesołym miasteczku. Mijaliśmy rodziny z dziećmi z balonikami przywiązanymi do dłoni, aby się nie zgubiły. Mijaliśmy innych zakochanych, będących na pierwszej, drugiej, może dziesiątej lub setnej randce, czule trzymających się za ręce, zerkających co chwilę na partnera, czy aby na pewno wciąż jest obok. Słodko-kwaśny smak soczystych, świeżych truskawek skąpanych w letnim słońcu opanowuje moje zmysły. Połączenie z egzotycznym smakiem dojrzałego banana tworzy spójną całość, godną pozazdroszczenia. Dla takich smaków ludzie skłonni są oddać wiele, a ja mam to wszystko w sorbecie z wesołego miasteczka.

– Kierunek: strzelnica – zarządził Karol, widząc, że kończę pić.

Joja z odpustu, małe lalki, maskotki różnej wielkości i te największe, ponadmetrowe pluszaki aż się uśmiechały, kiedy do nich podeszliśmy. Pan w pirackiej czapce i opasce na oku wytłumaczył Karolowi zasady. Trzy strzały w środek – nagroda główna, dwa – nagroda z numerem dwa, jeden – nagroda z numerem trzy, pudła – nagroda pocieszenia. Dla dodania otuchy dodał, że nikt nie odchodzi z pustymi rękoma, co wcale nie podbudowało Karola. Buziak na szczęście i trzy szybkie strzały padły z wiatrówki.

– Przykro mi – powiedział pirat i podał nam jojo na gumce.

– Jeszcze raz. – Dla Karola była to najwyraźniej kwestia męskich ambicji i honoru.

Stałam z boku i lekko chichotałam z jego postawy. Pirat naładował wiatrówkę, oddał ponownie Karolowi i znów padły trzy strzały. Wolniej, znacznie wolniej niż poprzednio, jakby były bardziej przemyślane. Pirat podeszedł do tablicy i zobaczył trzy celne strzały w środek tarczy. Niechętnie ściągnął gigantyczną maskotkę, by podać ją Karolowi.

– To była tylko rozgrzewka – szepnął mój chłopak do pirata, odbierając nagrodę.

Pluszak wylądował w moich ramionach. Pocałunek wydawał się tylko formalnością, jednak ogromny miś przeszkadzał mi w wykonaniu zadania. Karol, śmiejąc się, wziął ode mnie miśka i sam skradł mi całusa. Jednego, drugiego i kolejne. Staliśmy na środku wesołego miasteczka, całując się i śmiejąc na zmianę. Wyglądaliśmy zabawnie: on trzymał ogromnego pluszowego misia, a ja stałam na palcach, aby

sięgnąć jego ust. Nie dostrzegaliśmy nikogo, jakbyśmy byli tylko ja, on i miś. Trzy wzajemnie wpływające na siebie elementy, zamykające okrąg miłości.

Wróciliśmy do domu w radosnych nastrojach. Pełni wrażeń minionego dnia, wyczerpani znaczną dawką śmiechu, jaką zostawiliśmy w wesołym miasteczku. Padłam na łóżko, marząc, aby zamknąć oczy i przenieść się w inny świat. Świat spokojnego snu, gdzie ponownie będę mogła przeżywać dostarczone dziś emocje.

– Nie planuj sobie nic na weekend – powiedział Karol, całując mnie w czoło.

Słyszałam jeszcze dźwięk zamykanych drzwi, po czym odpłynęłam w nieznane.

Randka 2. Na jeziorze wielka burza...

Lato w pełni opanowało nawet najbardziej odległy zakątek Warszawy. Ciepłe powietrze i promienie słońca docierały już wszędzie. Dodawały ludziom radości, odwagi i nadziei, że w ich życiu lato zagości na dobre.

Weekend. Letni, piękny weekend, który miałam spędzić nie wiadomo gdzie i nie wiadomo jak, ale najważniejsze, że z nim. Powiedział, żebym spakowała kilka sweterków, płaszcz (na wszelki wypadek), pełne obuwie i coś do spania. Kosmetyki mają zajmować minimum, zaś ciuchy maksimum mojej torby. I bądź tu mądry! Seksowność ukryta pod swetrem średnio pasowała do idealnej randki. Karol chyba tym razem nie trafił, lecz postanowiłam dać mu szansę i zobaczyć, co planuje.

Pobudka przed piątą, aby skoro świt opuścić mieszkanie i po raz kolejny dać się ponieść przygodzie. Długa jazda samochodem kierującym się na północ Polski była męcząca o tej godzinie. Trasa pusta, słońce dopiero wstawało znad horyzontu, na trawie widoczne wciąż były delikatne krople rosy. Wpatrując się w krajobraz za oknem, rozmarzyłam się, myśląc o tym, że chętnie pobiegałabym bosą po łące.

Wyszukałam we wspomnieniach cudowne wakacje, spędzane z dziewczynami przed blokiem, na zabawie w podchody, grze w gumę czy też klasy. Jakże biedne są współczesne dzieci. Trzepaki świecą pustkami, jak już się ktoś w pobliżu nich pojawia, to tylko po to, aby faktycznie wytrześć dywan. My siedziałyśmy tam całe dnie, na czerwonej ławeczce, przy naszym niebieskim trzepaku, gdzie ludzie trzepali dywany jedynie wczesnym rankiem lub wieczorem, kiedy nas nie było w pobliżu. Dzisiejsze dzieciaki, zatopione w monitorach komórek, tabletów i komputerów, nie wiedzą, co znaczy zabawa. Mają problem z nawiązaniem kontaktów społecznych, nie używając innych słów niż „lol”, „hehe” czy „nara” i dodając do nich głupawe buźki lub nic nieznaczące hashtagi, wzbudzające w innych jedynie zażenowanie. Dziś świat jest inny: technicznie lepszy, społecznie spada na dno. Powoli wpada w wielką otchłań, z której nie ma już powrotu. Technologia staje się współczesną apokalipsą.

Drogowskaz z napisem „Gdańsk 48” spowodował, że na twarzy Karola pojawił się uśmiech. „A więc morze” – pomyślałam i zastanawiałam się, dlaczego zapomniał wspomnieć o zabranii bikini do opalania. Pogoda za oknem zapowiadała rozpieszczanie roznegliżowanego ciała, leżącego na piaszczystej plaży, a moja walizka zaopatrzona była w swetry, grube skarpety, kilka letnich bluzek, skrzętnie ukrytych przed Karolem.

Kiedy ja ostatni raz byłam w Gdańsku? To chyba czasy liceum. Wycieczka szkolna, zdjęcia przy Neptunie i domki w pobliżu morza. Szum fal, błękit wody i latające nad głowami mewy. Polskie morze nie należy do najpiękniejszych, ale tutejszej atmosfery mogą pozazdrościć nam Hiszpanie czy też Włosi. Choć woda była zimniejsza niż w większości mórz świata, wydmy nie porastały bujne palmy i nie można było liczyć na urokliwą kąpiel z delfinami, żadne inne wybrzeże nie przywoływało na mojej twarzy tak błogiego uśmiechu.

– Jeszcze jakieś dwadzieścia minut i będziemy w Gdyni – radośnie zakomunikował Karol.

– W Gdyni?

– Tak, w Gdyni. – Zerknął na mnie uważnie. – I nie myśl, że będziemy leżeć na plaży.

Czar prysł. Bańka mydlana znów pękła, tyle że tym razem nie chodziło o faceta. O nie, nie o niego. Facet wciąż był niczego sobie. Dotrwał do drugiej randki, to w sumie rekord. Tylko plany legły w gruzach, a moja cierpliwość została wystawiona na próbę.

W końcu zatrzymaliśmy się na parkingu. Karol zabrał nasze bagaże i poprowadził mnie wąskimi uliczkami. Za którymś z kolei zakrętem moim oczom ukazał się ogromny biały statek z niebieskim napisem „Stena Line”. Choć byłam zdumiona i niedowierzałam temu, co widzę, szalałam z radości z powodu otrzymanego prezentu. Podróż po morzu to chyba marzenie każdego, kto nie odkrył w sobie choroby morskiej i chce choć przez chwilę poczuć się niczym piraci, tyle że w zdecydowanie bezpieczniejszych warunkach. Bez haków na ręce czy noży ukrytych za paskiem.

– Gdzie płyniemy? – Zżerała mnie ciekawość.

– Do Szwecji, dokładnie do Karlskrony.

– Jaka to część Szwecji? – Nie potrafiłam ulokować geograficznie miejscowości.

Karol sięgnął po mapę, schowaną w torbie.

– Południowa część Szwecji, niestety dość daleko stamtąd do Fjällbacki. – Zaśmiał się, mając zapewne przed oczyma moją półkę z książkami królowej szwedzkiego kryminału.

Wchodząc na prom, czułam się jak Kate Winslet, żałowałam jedynie, że nie zabrałam z sobą kapelusza, aby moje wejście było równie efektowne, dystyngowane oraz owiane nonszalancką gracją.

– Titanic. – Cieszyłam się jak dziecko, że Karol nie musiał mi przypominać o naszych potyczkach randkowo-filmowo-skojarzeniowych.

– Berka, tak krótko jesteście razem, a ty już chcesz mnie utopić – westchnął.

Moja wyobraźnia podsunęła mi obraz dryfującego w lodowatej wodzie Jacka, a serce dudniło sto razy mocniej na dźwięk słów „jesteście razem”. Niby nic wielkiego, ale dla mnie było nowym rozdziałem, który chciałam zapisywać powoli. Niespiesznie, dokładnie, jak najdłużej.

– Czyli coś innego? – dopytałam.

Skinął głową. Moje myśli szukają filmu z promem lub statkiem, na którym była dwójka zakochanych w sobie osób. Pustka wypełnia wszystkie wolne luki w moim mózgu i to ona odgrywa teraz pierwsze skrzypce. Karol, widząc mój problem, zanucił dobrze znaną mi piosenkę, której nie da się zapomnieć. *Wouldn't it be nice* Beach Boys od razu przywołuje skojarzenia z konkretnym obrazem.

– *Pięćdziesiąt pierwszych randek*. – Rzuciłam mu się na szyję, by skraść buziaka.

– Pomyśl, że to dopiero nasza druga pierwsza randka. – Zaśmiał się. – Choć mam nadzieję, że pamiętasz poprzednią.

Zajęliśmy miejsce przy balustradzie, bym mogła machać nieznanym ludziom, którzy na weekend zegnali swoich bliskich.

– Do kajuty marsz – zarządził wreszcie Karol, zabierając nasze bagaże.

Potulnie podreptałam za nim. Ledwo odpłynęliśmy od brzegu, a ja już czułam się niemal jak wilk morski pośrodku oceanu.

– Zapraszam damę do środka. – Otworzył przede mną drzwi.

– Dziękuję panu, zaraz zostawię jakiś napiwek za niesione bagaże – zażartowałam i dałam mu całusa.

Karol oblizwał wargi.

– Aż tak dużo się po paniencie nie spodziewałem.

– To proszę zwrócić mi połowę – zapowiedziałam, a on cmoknął mnie w usta. – To była góra jedna czwarta, a miała być połowa. – Znów dał mi całusa.

Roześmiałam się. Oczy Karola błyszczały tak pięknie, że miałam ochotę się w nich przejrzeć. Były moim lustrem rzeczywistości, które zapowiadało najpiękniejsze rzeczy, jakie miały się stać w moim życiu. Patrząc w oczy mojego partnera, czułam całą gamę pozytywnych uczuć. Czułam, że kocham i jestem kochana, czułam bezpieczną przystań, jaką były jego ramiona, zaufanie, którym mnie darzył i sam przyjmował z moich rąk, oraz pożądanie, którego wcześniej nie chciałam lub bałam się dostrzegać.

– Jakie mamy plany? – zapytałam, wyglądając przez małe okienko kajuty.

Łobuzerski uśmiech, miliony wirujących myśli w jego głowie.

– Mamy dwie godziny do pierwszego posiłku, a jakieś jedenaście do miejsca docelowego – powiedział. – W Szwecji wynajęłam dla nas hotelik, żebyśmy mogli się przespać i rano ruszyć na zwiedzanie miasta. Niestety, nie będziemy mieli na to wiele czasu, ale zabrałem z sobą aparat, by zatrzymać tamtejsze widoki na dłużej – ciągnął dalej. – I jeszcze jedno: rozmawiałem z panią Wandą i poniedziałek masz wolny, więc się nie stresuj. Tylko w zamian pracujesz jedną sobotę więcej w sezonie ślubnym.

Pomyślał o wszystkim. Niespodzianka niespodzianką, ale on naprawdę był mistrzem organizacji. „Ślepcem jest ten, który nie widzi uczuć innych, nie ten, który nie dostrzega obrazu” – pomyślałam.

– To jak mamy tyle wolnego czasu, to może go konstruktywnie wykorzystajmy... – Pchnęłam go na łóżko i zaczęłam całować.

Nie protestował, a wręcz przejął inicjatywę. Bo chwili byliśmy już kompletnie nadzy, a ja czułam na sobie przyjemny ciężar. Oplotłam jego biodra nogami, czekając na moment spełnienia.

– Auuuuaa! – Wyskoczyłam z łóżka, jak oparzona.

– Przepraszam, chciałem być delikatny. – Zrobił smutną minę.

Zaczęłam śmiać się i podskakiwać delikatnie.

– Skurcz, kurka wodna, skurcz! – krzyczałam, wciąż podskakując.

Skurcz minął, a ja wskoczyłam ponownie na łóżko.

– Na czym skończyliśmy? – Zaśmiałam się, zaczepnie przygryzając wargę.

* * *

Nasytzeni miłością, spełnieni, naładowani energią, leżeliśmy nago, wpatrując się w sufit. Nie potrzebowaliśmy słów, nasze szybkie oddechy uspokajały się powoli, wciąż pozostawiając na naszych twarzach uśmiechy. Jedno muśnięcie dłonią może oznaczać więcej niż miliony wypowiedzianych niepotrzebnie słów. Czułości nie da się nauczyć, jej nie wywoła się zwykłą chęcią. Czułość to coś więcej niż splecione dłonie, głębokie spojrzenia czy gładzenie włosów. Czułość to język. Język dwojga bliskich sobie ludzi, niekoniecznie pary. Czułość rodzi się w ludziach już od najmłodszych lat, uczą jej nas mamy, nosząc nas pod sercem, rodzice, kiedy jesteśmy już na świecie, i wszyscy inni, dla których jesteśmy ważniejsi, niż myślimy.

– Idziemy coś zjeść – zaproponował Karol, niespiesznie zbierając porozrzucane po podłodze ubrania.

– A potem spalimy kalorie? – zapytałam zalotnie.

– Owszem, nawet nie wiesz, jak wiele – odpowiedział z szelmowskim uśmieszkiem niegrzecznego chłopca.

Wyobrażałam sobie powtórkę tego, co stało się w kajucie kilka chwil wcześniej. Musieliśmy przecież nadrobić stracone lata.

* * *

Siedzieliśmy przy okrągłych, białych stolikach, zajadaliśmy apetyczne przekąski ze szwedzkiego stołu, rozmawialiśmy i jednocześnie obserwowaliśmy otaczających nas ludzi. Od zawsze kochałam przypatrywać się innym, udawać, że czytam w ich myślach, cieszyć się z ich uśmiechów. Czasami próbowałam zaklinać rzeczywistość, odgonić od ludzi smutki. Nie mogłam być wyrocznią, ale chciałam czuć się potrzebna.

Najedzeni wróciliśmy do naszej kajuty. Pełna radości czekałam, aż Karol zacznie mnie całować, by powtórzyć przyjemne uczucie, jakie ośwładnęło moje ciało kilka godzin temu. Tymczasem Karol, nucąc jakąś piosenkę, zawzięcie szperał w swojej torbie i nie zwracał uwagi na mnie, mimo iż zdjęłam już

bluzkę oraz spodnie. W samej bieliźnie czekałam na łóżku, kiedy on wciąż czegoś szukał.

– Tadam! – wykrzyknął, wydając coś czerwonego z torby.

Patrzyłam na niego, patrzyłam na małe zawiniątko w jego dłoni i nie rozumiałam, co go tak cieszyło. Szmata jak szmata, tyle że czerwona.

Karol rzucił czerwone zawiniątko w moją stronę i dopiero mając je przed sobą, ujrzałam w nim moją sukienkę.

– Hm... a to co? – zapytałam, ciekawa.

– Idziemy tańczyć, kochana – rzucił radośnie, poruszając biodrami. – Opanujemy parkiet i pokazemy wszystkim, jak tańczą gwiazdy.

– I zdobędziemy Kryształową Kulę. – Odpłynęłam myślami zbyt daleko.

– Jak mam tańczyć z tobą... – Spojrzał na mnie badawczo. – ...to wróżę bardziej nagrodę za liczne potknięcia. Może nazwijmy to Gipsową Nogą?

Zmierzyłam go wzrokiem.

– Chciałam zdobyć coś kryształowego – zażartowałam.

– Niech stracę. – Zaśmiał się, po czym wziął do ręki dezodorant i poważnie powiedział do niego. – Laureatką pierwszej Kryształowej Gipsowej Nogi jest... – Udawał fanfary. – ...Bernadetta Gałązka.

Ukloniłam się, następnie przejęłam dezodorant.

– Oraz jej partner, Karol Hass, wielbiciel kulawych, zagipsowanych Gałązek.

Karol uklonił się w pas.

Założyłam sukienkę. Z magicznej torby Karola dostałam także czarne szpilki oraz czerwony lakier do paznokci, abym nie narzekała, że nie wyglądam elegancko. Karol znał mnie jak nikt inny i doskonale pamiętał moją panikę, kiedy podczas kolędy w zeszłym roku wybiegłam z pokoju szybko pomalować paznokcie, nie chcąc, aby ksiądz zapamiętał mnie jako zaniedbaną pannę na wydaniu.

Karol, w ciemnych dżinsach, koszuli i półbutach, prezentował się elegancko i klasycznie. Cieszyłam się, mając u swojego boku takiego mężczyznę.

Zeszliśmy do sali tanecznej, gdzie grała już orkiestra, a parkiet wypełniony był prawie po brzegi. Przyjemne, skoczne melodie idealnie współgrały z miejscem i nastrojem chwili. Krzątający się kelnerzy roznosili przystawki na tacach i proponowali odwiedzinę w barze.

Pierwszy taniec nazwałabym techniką deptaną. On po mnie, ja po nim, aż udało się znaleźć jeden wspólny rytm. Drugi taniec, niestety szybszy, to była słabo opanowana technika szarpania, która zamieniła się w taniec bezdotykowy, czyli wariant zdecydowanie bezpieczniejszy. Trzeci taniec – technika dopasowania, zastosowana po dwóch wcześniejszych, które okazały się nietrafione. Krążyliśmy razem po parkiecie, udając, że właśnie o taki ruch nam chodziło.

– Aż miło patrzeć na tak zakochanych ludzi – zaczęła nas starsza pani.

Ten komplement jakby nas wyzwolił, wirowaliśmy jak szaleni, w rytmie własnych serc – jak się okazało – lepiej dostrojonych niż nasze stopy. Prom płynął, a my cieszyliśmy się jak dzieci, mogąc choć przez kilka chwil poczuć się jak pasażerowie dalekomorskich rejsów, trwających czasem tygodniami.

* * *

Punktualnie o dwudziestej dopłynęliśmy do celu. Zabrawszy bagaże, pojechaliśmy do hotelu. Nie było późno, a czasu mieliśmy niewiele, zatem zaraz po kolacji wyszliśmy pozwiedzać okolice. Ubrani w swetry i kurtki, chodziliśmy ulicami Karlskrony, fotografując niezwykłe widoki i prosząc przechodniów o zrobienie nam wspólnych zdjęć. Otaczająca miasto woda wydawała się wszechobecnym tłem wszystkiego, doskonale współgrała z małymi kolorowymi domkami, zdobiącymi miasto. Krótki spacer przerodził się w dłuższą wędrówkę, wyznaczającą plany zwiedzania na jutrzejszy dzień.

Zmęczeni, padliśmy na hotelowe łóżko, zapominając o kąpieli. Poranna podróż samochodem, rejs

promem i wieczorna przechadzka zmęczyły nas do tego stopnia, że ciepła kąpiel, która jeszcze kilka godzin temu była marzeniem, teraz stała się planem na jutro.

* * *

Pobudka, szybki prysznic i wyruszamy. Pierwszy punkt zwiedzania to Muzeum Marynarki, z którego słynie miasto. Następnie usytuowane przy morskim brzegu więzienie, w którym, jak mi się kojarzyło, odsiadywał wyrok któryś z literackich bohaterów. Ratusz, położony w centrum miasta, jest jednym z piękniejszych budynków, nie można go pomylić z żadnym innym. Antyczne filary, ogromny zegar i przybrudzony pomarańczowy kolor nie mogły pozostać niezauważone przez turystów. Miasto bez wątpienia z duszą. Miasto ciche, spokojne i zjawiskowe. Swoją prostotą podbiło moje serce, szczególnie z powodu licznych przystani, gdzie cumowało mnóstwo łodzi. Mieszkańcy słynęli z rybołówstwa, morze było ich największą potęgą, głównym źródłem zarobku.

Dzień minął szybciej, niżbyśmy chcieli. Prom czekał na nas, gotowy do powrotu do kraju. Nikt nie stał przy balustradzie obok mnie i Karola, nikt nas nie żegnał, nie machał ochoczo. Byliśmy sami, kiedy reszta turystów uciekła na pokład, chowając się przed kroplami deszczu. Po wypłynięciu ze Szwecji dopadła nas burza. Grzmoty trafiły wprost do uszu, błyskawice oświetlały drogę ku Gdyni. Nie chcąc martwić się walką z żywiołem, poszliśmy spać, spokojnie kończąc miły weekend na morzu.

Randka 3. Do trzech razy...?

Poniedziałek po rejsie spędziłabym pewnie w łóżku, gdyby nie spontaniczny pomysł Karola na typową randkę w kinie. Tym razem nie szukałam filmu, który opowiadał o spotkaniu zakochanych w kinie, gdyż wiedziałam, gdzie i na co się wybieramy. Cieszyłam się, że Karol zrezygnował z tej zabawy w tym momencie, bo jedyny film, jaki kojarzył mi się z kinową randką, to *Flinstonowie*, którzy wydawali się raczej śmieszni, a nie romantyczni, z tym swoim „jabadabadiuuu”.

Tym razem obyło się bez niespodzianek, co bardzo mnie cieszyło. Jedno z małych kin, funkcjonujących nadal na terenie stolicy, zaskoczyło nas swoim repertuarem. W czasach, kiedy każdy łąnie do wielkich kompleksów kinowych z licznymi salami i kolejkami po popcorn, małe, stylowe kina muszą starać się o klienta bardziej niż zawsze, bo klimat, niestety, nie dla każdego ma znaczenie.

Prócz nas w sali było tylko kilkanaście osób, które jak my ceniły zapewne atmosferę tego miejsca i ludzi, którzy je stworzyli, z zamiłowania, nie dla zarobku, na jaki nastawione są multipleksy. Usiedliśmy w wysłużonych fotelach. Wpatrzeni w ekran, trzymaliśmy się za ręce. Dzięki tej bliskości czułam się kochana. Bliskością nie jest tylko seks, gdy zjednoczenie dwóch ciał następuje w sposób nieunikniony. Bliskością jest także więź ducha, coś pozacielesnego, coś trwalszego. Czułe gesty są przykładem ciągłego dążenia do splotu dusz, który jest głównym źródłem miłości. Gesty te pozwalają nam każdego dnia czytać w ludzkich sercach.

Reklamy, jedno ze źródeł utrzymania kina, trwały co najmniej kwadrans. Zapowiedzi filmowe i optymistyczny napis: „Zapraszamy na wyjątkowy film” przyciągały mój wzrok o wiele bardziej niż obraz czekolad czy kosmetyków. W końcu światła zgasły, a na ekranie pojawił się napis: „Krótka historia naszej miłości”, a później dobrze mi znane zdjęcia, wzbogacone o muzykę z *Pięćdziesięciu twarzy Greya*, która mimo kiepskiego filmu i kiepskiej książki wybroniła się według mnie swoim rytmem. Ellie Goulding śpiewała *Love me like you do*, a ja wpatrywałam się jak zahipnotyzowana. Nasza pierwsza domówka, zdjęcia w łazience, robione po alkoholu, wspomnienia świąt i wspólnych wypadów na narty, wesołe miasteczko i wypad do Szwecji. Moje oczy, wypełnione łzami, nie były już w stanie utrzymać ich dłużej pod powiekami. Uśmiech wypełnił moje serce i moją twarz. Zdjęcia wciąż się zmieniały, czasem byłam na nich sama, czasem z grupą znajomych. Piosenka dobiegała końca, a na ekranie ukazało się zdjęcie, na którym się całujemy. „Nasze lunaparkowe selfie” – przypominałam sobie. Dopiero wtedy

spojrzałam w lewą stronę i dostrzegłam, że obok nie ma Karola.

Nagle światła rozjaśniły salę kinową, a ja zobaczyłam go stojącego pod ekranem, z mikrofonem w dłoni.

– Przepraszam państwa za taki wstęp do filmu, ale chciałem, aby ta chwila była wyjątkowa, aby moja ukochana na trwałe zapisała ją w swojej pamięci. – Przerwały mu brawa. – Jeszcze nie pora na aplauz – uspokoił ich i kiwnął do kogoś stojącego za drzwiami. – Bernadetto, moja kochana, pokaż się wszystkim, niech cały świat, albo chociaż zgromadzeni tutaj, mogli mi ciebie zazdrościć.

Wstałam i, nie wiedząc, co mam robić, machałam głupio, jak amerykańska miss.

– Bernadetto, znamy się od lat, a dziś jest nasza trzecia randka. – Powoli ruszył w moją stronę. – Mówią, że do trzech razy sztuka, dlatego dziś chwytam wiatr w żagle i chcę zadać ci jedno z ważniejszych pytań w moim życiu. – Klęknął przede mną i otworzył małe, czerwone pudełeczko. – Bernadetto Gałązko, czy zechcesz zostać moją żoną?

Łzy strużkami spływały po moich policzkach, nie mogłam nad nimi zapanować. Dosłownie oniemiałam, więc tylko kiwnęłam energicznie głową, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. W lawinie braw Karol nałożył na mój serdeczny palec pierścionek oraz dał mi kwiaty, które wniósł pan stojący wcześniej za drzwiami.

– Gorzko, gorzko! – krzyczeli ludzie na sali.

Karol nie dał się długo przekonywać i pocałował mnie czule.

– A teraz przeproszę państwa, ale zabiorę moją narzeczoną na świętowanie tego dnia, aby miała siłę od jutra planować nasze wesele – mówił wesoło Karol. – I jeszcze raz dziękuję za wyrozumiałość w tak ważnym dla mnie dniu.

Pracownik kina zrobił nam jeszcze kilka zdjęć, chcąc je dodać na stronę internetową. Pozowaliśmy z kwiatami, pokazywałam pierścionek, całowaliśmy się, a potem wyszliśmy z sali, żegnani brawami.

Dzień z typową randką, bez niespodzianek, okazał się największym zaskoczeniem z wszystkich moich życiowych zaskoczeń. Byłam pod wrażeniem, ileż chęci i pracy Karol musiał włożyć w organizację tak wyjątkowych oświadczyń. Idealny facet dla nieidealnej kobiety to połączenie dwóch światów, które chcą wzajemnie się poznawać, wspierać i tworzyć nowe planety.

Moje serce wariowało, biło szybciej niż kiedykolwiek indziej. Karol zdobył je już dawno, małymi krokami. Nie musiałam mu dawać klucza do mojego serca, wystarczyło, że je przed nim otworzę, a on będzie wiedział, jak je skraść. Bezszalestnie, niezauważalnie, ale skutecznie.

Zazwyczaj o miłości wypowiadają się ci, którzy nic o niej nie wiedzą. Na przykład, księży cytuja zapisane wcześniej kazania, tłumacząc nam, jak być dobrym mężem, żoną, ojcem, matką, kiedy sami nigdy tego nie zaznali. O miłości napisano już chyba wszystko. Jednak ten, kto jej nie doświadczył, nie jest w stanie zrozumieć potęgi zawartej w jednym słowie, opisywanym czasem przez zbyt wiele słów. Miłości nie da się poznać, ucząc się na pamięć jej definicji, lecz tylko jej doświadczając. Miłość daje nam możliwości, jakich wcześniej w sobie nie odkryliśmy, pozwala frunąć wyżej, niżbyśmy byli skłonni chcieć polecieć.

Oświadczyńy są nowym początkiem nie tylko dla związku, ale i dla miłości. One pozwalają utwierdzić się w przekonaniu o wspólnej przyszłości. Po jednym wypowiedzianym przez kobietę słowie następuje cała seria myśli o białej sukni, domu z ogrodem, tupocie dziecięcych stópek i merdającym wesoło ogonem psie. Jedno słowo pobudza wyobraźnię, przenosząc nas w przyszłość, w której jedyne, co jest pewne, to że jesteśmy szczęśliwi. Szczęśliwi, mogąc dzielić swój czas we dwoje. Łącząc dwie dotąd obce planety w jeden wspólny świat, zwany miłością.

– Jesteś szalony – powiedziałam do Karola, wychodząc z kina.

On uśmiechnął się promiennie, szukając w ciemności nocy mojej dłoni.

– To nie szaleństwo, to miłość – wyznał z przekonaniem.

– Głupcem jest ten, kto kocha. – Roześmiałam się.

– Nawet będąc nazywanym głupcem, nie zmienię swoich uczuć do ciebie.

Szliśmy ciemną ulicą, trzymając się za ręce. Nie trzeba nam było słów, wystarczy ciepło przekazywane przez delikatny uścisk.

– Cholerka. – Potknęłam się.

Karol nie zdążył mnie złapać. Przewróciłam się. Pochylił się nade mną i oglądał moje kolano, z którego pociekła strużka krwi.

– Masz chusteczkę? – zapytał.

– Mam wodę utlenioną w torebce, Zośka włożyła mi kiedyś i tak ją noszę – przypomniałam sobie.

Karol szukał w mojej ogromnej torebce wody, co, zważając na zgromadzony tam arsenał rzeczy potrzebnych i mniej potrzebnych, nie było wcale łatwe.

– Klucz francuski? Przecież to waży z tonę! – dziwił się, wciąż szperając w mojej torbie. – Po co ci to?

– Mówili, że na osiedlu grasuje gwałcieciel. Nie słyszałeś?

Zaprzeczył.

– Nie prościej byłoby kupić gaz? To chyba idealny środek do samoobrony, a nie jakiś klucz...

– Daj mi tę torbę. – Zaczęłam się denerwować. – O widzisz, jest woda i gaza do przemycia. –

Wyjęłam je szybko z torebki, a on patrzył z niedowierzaniem.

– A masz może i plaster?

– Już, chwilę.

Karol zrobił wielkie oczy, lecz już o nic nie pytał. Otworzył wodę utlenioną i polał nią ranę na moim kolanie.

– Kurczaki mielone, paliiii! – krzyknęłam, nie mogąc opanować drżenia nogi.

Wzięłam buteleczkę do ręki, chcąc sprawdzić na etykiecie termin ważności.

– Cholera, spirytus salicylowy! – wyjąkałam, byłam wściekła.

– Mogłam się tego spodziewać, jak powiedziałaś, że dostałaś to od Zośki. – Zaśmiał się.

– Zabiję ją, zabiję! I zdepczę, jak mrówki na chodniku! – złorzeczyłam Zośce, nie tylko w myślach.

– Ona, nawet zabita i zdeptana, wstanie, aby przeczesać ponownie włosy.

Wybuchłam śmiechem, wiedząc, że ma rację. Nawet eksplozja bomby w jej pobliżu nie zdołałaby zmienić przyzwyczajęń Zośki, co nie było pokrzepiające. Wciąż wyzywając w myślach Zośkę, starałam się wstać, byśmy mogli iść dalej.

– To od czego zaczniemy planowanie ślubu? – Karol zmienił temat.

– Może od listy gości i daty? – zaproponowałam.

Karol zerknął na mnie bacznie.

– Mam lepszy pomysł... – Wpatrywałam się w niego, czekając na ciąg dalszy. – Kupimy ci nową pościel. Tak mało męsko czuję się wśród lawendy.

– A ja mało seksownie czuję się w pościeli z Batmanem – zauważyłam.

– Pierwsza zasada zdrowego związku to?

– Wymiana pościeli? – zgadywałam.

– Prawie, chodziło o kompromis – wytłumaczył, a ja poczerwieniałam, bo na to nie wpadłam. – Jutro po pracy pojedziemy na zakupy i kupimy dwa komplety pościeli, tak na początek, by pożenić twoją seksowną kobiecość i moją próżną męskość.

Zaskoczył mnie. Faceci! Nawet najwięksi filozofowie nie są w stanie ich pojąć. A może to był fragment mówiący jednak o kobietach? Zapewne pisał go jakiś szowinistyczny gbur bez perspektyw znalezienia żony lub porzucony przez narzeczoną niedoszły samobójca, bijący się w myślach ze swoimi wspomnieniami. Kobiety wymyśliłyby coś znacznie mądrzejszego. Coś w rodzaju: „Jedynie kobieta jest skłonna zrozumieć swoje myśli, a jeśli ich nie rozumie, to ma do tego najświętsze prawo”. Może i ja będę kiedyś kosmetologicznym filozofem?

30 czerwca 2015 roku

Nowy rozdział pisało się zaskakująco dobrze. Bycie narzeczoną to stan przyjemny, choć wciąż dziwny. Zdążyłam przyzwyczać się do bycia singlem czy staropanieństwem, jak kto woli, a tu nagle, w ciągu kilkunastu dni, takie zmiany.

Nowy podrozdział, pisany dziś, miał swój wyjątkowy podtytuł – zakupy. Wybranie pościeli okazało się prawdziwą próbą dla związku. Te wszystkie kompromisy wydają się przereklamowane, ale jakże skuteczne. Lawendowa pościel z mojej sypialni została zastąpiona przez klasyczną, białą-czarną, z serii „dla niej i dla niego”. Na wszelki wypadek kupiliśmy dwa komplety, jakby za jakiś czas Karolowa pościel z kolorowymi cyframi, którą kupiłam mu na zeszłoroczne święta, okazała się nieodpowiednia.

Wycieczka do sklepu była dopiero początkiem naszej podróży. Karol miał dla mnie kolejną niespodziankę, co z każdą sekundą radowało mnie bardziej. Zaskoczona, a zarazem zadowolona, nie chciałam pytać o dalsze plany. Postanowiłam dać się zaskoczyć. Obiecałam też sobie, że już nie będę nawet w żartach popychać Karola, choć w dotrzymanie obietnicy średnio wierzyłam.

Wsiedliśmy do samochodu, by w milczeniu ruszyć w drogę. Słońce wciąż było dostatecznie wysoko, by móc oblewać ziemię jasnym światłem i przyjemnym ciepłem. Niezbyt długą, trzydziestokilometrową trasę pokonaliśmy dość szybko, jak na słynne w kraju warszawskie korki.

– Wsiadamy – zarządził Karol, gasząc silnik.

Otworzyłam drzwi, a moim oczom ukazało się malownicze miejsce. Ogromny drewniany budynek, w tle którego widoczna nawet z oddali była woda, zapewne jezioro. Szerokie schody wręcz zapraszały do środka.

– Wchodzimy? – zapytał Karol, a ja jeszcze raz spojrzałam na ogromny budynek, na którym widniał z boku żółty napis PARASOL.

Wziął mnie za rękę i poprowadził do wejścia. Z promiennym uśmiechem Karol siedł przed siebie, wyraźnie kogoś szukając.

– Przepraszam, gdzie znajdę właściciela? – zapytał kobietę w czarnej spódnicy i białej koszuli, będącej tutaj zapewne kelnerką.

Młoda, ładna brunetka wskazała dłonią kierunek, w którym mieliśmy się udać. Karol pewnie kroczył przed siebie, a ja podążałam za nim, odrobinę z tyłu. Drewniane drzwi zdobiła złota tabliczka z napisem „dyrektor”. Karol zapukał i nie czekając na „proszę”, wszedł do środka. Podał rękę siedzącemu za biurkiem mężczyźnie, po czym usiadł na skórzanym krześle. Przycupnęłam obok niego, coraz bardziej zaintrygowana celem naszej wizyty.

Mężczyzna za biurkiem spojrzał na zegarek i pokiwał głową z niezadowoleniem.

– No, Karolku, dwadzieścia minut spóźnienia, to nie w twoim stylu – zaczął mężczyzna.

Karol zmierzył go wzrokiem, który przeniósł potem na mnie. Mężczyźni wyraźnie się znali i musieli być sobie dość bliscy, skoro zrezygnowali z grzecznościowego „pan” przed imieniem.

– Wiesz, Lochu, nie mogliśmy dojść do porozumienia, która to prawa ręka. – Uśmiechnął się do mnie.

Lochu nie próbował zgłębiać tematu.

– To kiedy ten wasz ślub? – zapytał, spoglądając na nas.

– I właśnie tutaj mamy problem... – zaczął Karol.

– Ona chce z „r”, a ty nie – przerwał mu Lochu i zaczął się śmiać.

Mój wzrok parzył, Lochu wyraźnie to poczuł.

– Więc jaki problem?

– Nie mamy jeszcze daty – wyznał Karol, łapiąc mnie za rękę.

– Sala jest najważniejsza, chłopie – upomniał go Lochu. – Podajesz mi datę, a ja mówię, że jest wolne lub nie. Jak nie, to szukamy dalej, a jak tak, to cieszymy się, że się udało. Wiesz, jak trudno dziś o terminy?

Wzrok Karola wyraźnie mówił, że nie ma o tym bladego pojęcia.

– Lochu, słuchaj, zaręczyliśmy się wczoraj, a dziś chcemy ustalić termin – powiedział Karol.

Lochu wstał z krzesła, ominął biurko i podszedł do nas. Z radością wyściskał nas oboje, po czym powiedział:

– Moje gratulacje, żuczki. Może najpierw nacieszcie się zaręczynami, a potem na spokojnie planujcie dalsze kroki. To taki świeży temat jeszcze – przyjaźnie zauważył właściciel.

– Nie mamy czasu – stwierdziłam cicho.

Lochu spojrzał na moją twarz, by powoli spuścić wzrok na mój brzuch.

– Moje gratulacje – powiedział ponownie – choć nie wyglądasz na ciężarną.

– Bo nie jestem – oburzyłam się.

Karol puścił moją dłoń, by móc położyć ręce na biurku właściciela. Wyraźnie nie chciał mu tłumaczyć, skąd pośpiech w naszej decyzji.

– Chcemy pobrać się jeszcze w tym roku – rzucił Karol.

Lochu na moment wytrzeszczył oczy. Chwila ciszy wpłynęła jednak na okiełznanie myśli właściciela, nakazując wyjęcie kalendarza imprez.

– Zobaczcie. – Podał nam zeszyt z napisem „2015”. – Wszystko zajęte.

Kartkując kalendarz, przeglądaliśmy każdą z dat. Omijając adwent, szukaliśmy wolnego terminu na nasz wymarzony dzień. Im mniej kartek, tym mniej nadziei. Dopiero ostatnia z kart obudziła uśpiony uśmiech na naszych twarzach.

– Dwudziesty piąty grudnia brzmi idealnie – zaśmiał się Karol, biorąc długopis z biurka kolegi i zapisując przy dacie nasze imiona.

– W święta zawsze jeżdżę na narty, należy mi się odpoczynek od tego wszystkiego. – Lochu był nieprzejednany.

Karol dostrzegł smutek w moich oczach.

– No cóż, będziemy mieli jednego gościa mniej na weselu – zaczął. – Jak chcesz, to jedź, a twoja załoga zrobi nam wesele.

Lochu wyraźnie nie był zadowolony z tej propozycji, lecz wiedząc, że Karol nie odpuści, zgodził się przełożyć narty na sylwestra. Karol musiał być mu bliski lub Lochu miał jakiś dług wdzięczności, że tak łatwo odpuścił walkę.

– To może pokażesz nam swoje włości, skoro już mamy termin – zaproponował Karol.

Lochu podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu, kliknął kilka klawiszy i poprosił niejaką Sylwię, aby przysłała do jego gabinetu.

– Zadzwońisz w tygodniu, to omówimy szczegóły i liczbę gości, a Sylwii przekazacie uwagi w kwestii wystroju. Menu ustalimy miesiąc przed weselem, tyle na pewno wystarczy – powiedział Lochu. – Stawiam ci skrzynkę Jacka, jak uda wam się zorganizować wesele w pięć miesięcy – dodał.

Sylwia zapukała do drzwi, cierpliwie czekając na słowo „proszę”, nim weszła do środka. Niewiele starsza ode mnie dziewczyna, w garniturze w stylu Agaty, stała przed nami, czekając, aż wstaniemy, by iść za nią.

Karol uścisnął dłoń Locha, ja uśmiechnęłam się w geście pożegnania oraz podziękowania, a Sylwia otworzyła drzwi i skierowała się do sali weselnej. Gustowne wnętrze w odcieniach brązu, z drewnianymi filarami pasującymi idealnie do całości. Beżowo-czekoladowe płytki tworzyły przepiękny, połyskujący chodnik. Wnętrze doskonale komponowało się z zewnętrznym widokiem ośrodka. Sylwia poszła po coś do recepcji, a my rozglądaliśmy się dookoła, próbując wyobrazić sobie nasz wyjątkowy dzień w tym miejscu.

– Tutaj mam zdjęcia z dekoracjami weselnymi. – Sylwia podała nam album. – Teraz sala wygląda goło, ale już za kilka dni znów nabierze królewskiej scenerii. Proszę państwa, byście sobie oglądali album, a ja będę opowiadała o naszym ośrodku i zapisywała wszelkie uwagi.

Profesjonalnie otworzyła kalendarz i zapytała nas o datę ślubu.

– Dwudziesty piąty grudnia – powiedziałam, szczęśliwa, choć dopiero docierało do mnie, że to naprawdę się dzieje.

– Piękna data. – Zamyśliła się. – Państwa imiona?

– Bernadetta i Karol – odpowiedział mój narzeczony.

Zaczęliśmy przeglądać album, co było znakiem dla Sylwii.

– Chcemy, aby wasz ślub był taki, jakim go sobie wymarzyliście. Jesteśmy otwarci na wasze propozycje i liczymy się z każdym waszym słowem. To od was zależy wystrój tej sali. Pierwszy krok to wybór stołów i ich ustawienia. Mamy modne w Ameryce okrągłe stoły, gdybyście chcieli właśnie tak usadzić gości, ale możecie też wybrać model tradycyjny, z długimi stołami, których ilość zależy od liczby gości. Jeden stół, ustawiony centralnie, o tutaj... – Pokazała ręką. – ...jest dla was i dla świadków z osobami towarzyszącymi.

Karol spojrział na mnie, jakby z moich oczu chciał odczytać wizję ustawienia stołów.

– Tradycyjnie – zdecydował trafnie.

Sylwia zapisała w zeszycie.

– Kolejną sprawą jest kolor wystroju. Widzicie w albumie, że potrafimy dopasować się do wszystkiego, a chcę wam powiedzieć, że aranżacja wesela w konkretnej gamie kolorystycznej to teraz hit sezonu. Panny młode mają kolorowe buty, dobrane do nich kwiaty, kolczyki, a pan młody już nie szczyli się białym krawatem, lecz muchą dopasowaną do stroju ukochanej. My zdobimy krzesła wstążeczkami z satyny różnej szerokości, zależy, czy chcecie delikatnie udekorować wnętrza czy zaszaleć. – Pokazała nam zdjęcia z kolorowymi wstążkami różnej szerokości, zdobiącymi białe pokrowce krzesel. – Do tego dobieramy kompozycje kwiatowe, jest możliwość dopasowania do bukietu panny młodej, tylko musimy wcześniej o tym wiedzieć. Możemy dorzucić oświetlenie ledowe pod obrusami, w kolorze wystroju, które dodaje klimatycznego charakteru. – Na potwierdzenie swoich słów pokazała nam kolejne zdjęcie. – Jeśli chcecie państwo, możemy też zająć się dodatkami, takimi jak winietki, kieliszki czy podarunki dla gości, ale zazwyczaj młodzi sami chcą bawić się takimi pierdołkami. Ślub jest w grudniu, zatem odpada nam pomysł ogródka z grillem.

Przytaknęliśmy głowami.

– Macie jakieś koncepcje kolorystyczne?

– Chcielibyśmy niebieskie dodatki – rzucił Karol, a mnie zrobiło się ciepłej na sercu.

Sylwia zanotowała w kalendarzu informację o kolorze.

– Jaki odcień? Niebieski ma ich, niestety, wiele, a chcemy trafić w wasze gusta. – Sylwia wciąż się uśmiechała, jakby był to wymóg jej pracy.

– W przyszłym tygodniu przywieziemy wstążkę w wybranym kolorze – zaproponowałam, a Sylwia znów zapisała coś w zeszycie.

Kilka słów o dodatkowo płatnych możliwościach, takich jak: stół wiejski, czekoladowa fontanna, poncz, pokaz sushi, płonący udziec, faszerowane kurczaki czy występy taneczne. Padła jeszcze propozycja wynajęcia szrudlarzy oraz barmanów dla uatrakcyjnienia wesela, a nawet możliwość zainstalowania fotobudki. Sylwia w samych superlatywach opowiadała o nadchodzącym dla nas dniu, który za ich sprawą miał być jeszcze piękniejszy, niż sobie wyobrażaliśmy. Potem pokazano nam pokoje dla gości oraz gratisowy pokój dla nowożeńców, gdzie miał czekać na nas szampan i podarunek od restauracji. Spacer po ogrodzie z dojściem do jeziora i placem zabaw dla dzieci zakończył naszą wizytę w podwarszawskim Parasolu, gdzie już za kilka miesięcy miało odbyć się nasze wesele.

Zaskoczona wydarzeniami tego dnia, zasnęłam w drodze do domu. Karol obudził mnie przed blokiem, mówiąc, że to ostatnie moje beztroskie chwile snu, bo od jutra zaczynamy na całego planować wesele.

Sto siedemdziesiąt siedem dni – tylko tyle dzieliło nas od jednej z najważniejszych decyzji w życiu człowieka. Sto siedemdziesiąt siedem dni, aby zorganizować wesele i upewnić się, że obydwójce na

pewno tego chcemy. Tyle czasu było nam trzeba, aby stanąć przed Bogiem i wypowiedzieć doskonale każdemu znaną formułkę przysięgi małżeńskiej.

1 lipca 2015 roku

Czekało mnie pracowite lato.

– Kochana, to jakie plany na dziś? – zapytał Karol, wchodząc do domu, prosto z pracy.

Zamyśliłam się na chwilę, chcąc poszukać odpowiedzi w moich biegających zbyt szybko myślach.

– Nie wiem, to mój pierwszy ślub – wyznałam, a Karol wyciągnął do mnie dłoń.

Ścisnęłam ją energicznie.

– Witaj w klubie, mój też pierwszy. – Zaśmiał się lekko.

– Myślisz, że co jest najważniejsze? – zapytałam.

Karol zerknął na mnie, mrużąc oczy.

– Narzeczoną już mam, ty narzeczonego też, więc chyba najważniejsze za nami – powiedział całkiem poważnie.

Włączyłam laptop. Wiedziałam, że on jest doskonałym doradcą w każdej sytuacji. Jeszcze nie spotkałam się z możliwością braku odpowiedzi z jego strony. Wklepałam szybko tajemnicze hasło, blokujące mój komputer przed niechcianymi gośćmi.

– Co mam wpisać? – zapytałam, kiedy komputer był już gotowy do współpracy.

Karol podrapał się po głowie.

– Zadanie odpowiedniego pytania to kluczowa sprawa w uzyskaniu prawidłowej odpowiedzi.

– Wiem coś o tym – przypomniałam sobie poszukiwanie w internecie pomysłów na znalezienie męża.

– Wpisz „planowanie wesela krok po kroku”. – Stukałam w litery na klawiaturze, pisząc to, co dyktował.

Wyniki wyszukiwania dość skromne, niecałe czterdzieści tysięcy wątków na ten temat. Otwieram pierwszą z brzegu stronę, zaczytując się w słowach organizatorki ślubów.

– Karol, tu piszą, że trzeba zacząć od planowania kosztów. – Całkowicie zapomniałam, że wesele to ogromny wydatek.

– No dobra, idę po zeszyt, a ty pomyśl, ile masz.

Ruszył do swojego pokoju, a ja w swojej głowie wyszukiwałam wszystkich funduszy, które mogą zostać przeznaczone na szczytny cel wesela. Konto, książeczka od babci, sukienka obiecana przez tatę.

Karol podzielił kartkę w zeszycie na dwie, w miarę równe części. Po jednej stronie zapisał moje imię, po drugiej swoje.

– To ile masz? – ponowił pytanie.

– Na książeczce babci jakieś siedem do dziesięciu tysięcy. Babcia odkładała pieniądze na nasze wesela od dnia naszych narodzin. Nie chciała nam ich dać wcześniej, mówiła, że dopiero kiedy będziemy ślubować, da każdej z nas jej część – wyznałam. – Tata obiecał mi kupić sukienkę, kiedyś, jak się nieźle wstawił na imprezie rodzinnej, ale jak mu przypomnę, to uniesie się honorem i kupi ją. No i moje konto. –

Wzięłam telefon i kliknęłam w mobilną aplikację. – Mam dwa tysiące dwieście czterdzieści siedem złotych i sześćdziesiąt osiem groszy.

Karol zapisał przy moim imieniu wskazanie przeze mnie sumy.

– Tylko odejmij sześćset złotych za wynajem, siedemdziesiąt telefon, dwieście media... i muszę sobie kupić nowe spodenki, i buty, więc jakiś dwieście złotych też na to pójdzie. A i muszę coś jeść do dziesiątego. – Uśmiechnęłam się.

– Zostaje nieco ponad tysiąc na życie i wesele – podsumował Karol.

Wstałam energicznie z łóżka, przypominając sobie o jeszcze jednej skrytce z pieniędzmi.

– Świnka skarbonka? – zdziwił się.

– Kompletnie o niej zapomniałam – przyznałam się.

Mina Karola sugerowała, że nie spodziewała się wiele. Skoro zapomniałam o śwince, znaczy, że i nie zasilalam jej zbyt często.

– Trzysta szesnaście złotych i trzydzieści siedem groszy – powiedziałam z dumą po przeliczeniu pieniędzy.

Karol dopisał sumę do poprzednich, znajdujących się obok mojego imienia.

– Mamy zatem niecały tysiąc czterysta złotych plus fundusze z babcinej książeczki – wyliczył.

Cieszyłam się, że jestem oszczędna. Mogłam przecież żyć jak większość osób, od wypłaty do wypłaty, i wtedy zapewne na moim koncie nie byłoby nic. A tak nawet skarbonka posiadała przystępną kwotę, jakiej się nie spodziewałam.

– Teraz ty, cwaniaczku. – Byłam pewna, że mnie nie przebije.

– Babcia Stasia nie ma dla mnie nic na książeczce, ale mama zapewne wyśle coś ze Stanów, jak się dowie, że jej najstarszy syn się żeni. Powiedzmy, że to, co nam wyśle, pójdzie na podróż poślubną, a pieniądze z koperty ślubnej włożymy w mieszkanie – zaczął głupio, a mnie było go żal, że nie ma tak wiele oszczędności, jak ja. – Nie mam, co prawda, świnki skarbonki, jak ty, ale moje konto to jakieś dwanaście tysięcy, plus premia za projekt, który skończyłbym już wczoraj, gdybyśmy nie spędzili pół dnia w sklepie. – Puścił do mnie oko. – Czyli jakieś trzy, cztery tysiące. Do tego lokata, gdzie powinno być... – Wziął kalkulator. – ...trzydzieści sześć tysięcy osiemset siedemdziesiąt pięć złotych i dziewięćdziesiąt cztery grosze.

Mówił spokojnie, jakby wygłaszał referat. Moje oczy robiły się coraz większe ze zdumienia, że zdołał odłożyć tyle pieniędzy. Zawsze dobrze ubrany, często robił zakupy dla naszej dwójki, nie wspominając o innych wydatkach, o których zapewne nie miałam pojęcia.

– Zatem mamy razem jakieś sześćdziesiąt tysięcy plus sukienka od twojego ojca – wyliczył Karol. –

Czytaj dalszy krok, jak już mamy wyliczony budżet.

Zerknęłam ponownie na ekran, szukając punktu drugiego.

– Liczba gości – przeczytałam.

Karol wyrwał jedną kartkę i podał mi ją wraz z długopisem, drugi komplet zostawił sobie.

– Pisz swoich, ja swoich – polecił.

Zaczęłam szukać od najbliższej rodziny. Mama, zapewne z „Doktorem Papuzką”, tata z Mileną i dzieckiem, babcia, Agata z Radziem, ciocia Halinka z wujkiem Romkiem, kuzyni z Anglii – osiem osób, wujek Mirek i ciocia Krysia z dziećmi, siostrzenica mamy z Holandii i jej kolejny narzeczony. Nie mogłam zapomnieć o przyjaciółkach z osobami towarzyszącymi.

– Będzie koło czterdziestki – wyznałam, pewna, że mama na pewno jeszcze kogoś zechce zaprosić.

– OK, dolicz jeszcze twoje przyjaciółki, to będzie czterdzieści pięć.

– Już je liczyłam, tylko że każdą razy dwa.

Karol spojrzał na mnie, zdziwiony.

– Nie, nie wierzę, że one się klonują, każdy, tylko nie one. – Zaśmiał się.

– Nie klonują, tylko przyjdą z kimś, głuptasie. – Popukałam się w czoło.

– Hm... optymistka – wyznał. – Ja bym został jednak przy pięciu. Wątpię, żeby przyszły z kimś. Nie one.

– Napiszę im, że mają potwierdzić obecność – burknęłam, zła.

Karol przytulił mnie, chcąc udobruchać. Nie chciałam znów ulec, lecz moje ciało w ogóle ze mną nie współpracowało, nie chciało słuchać moich myśli, wołało czuć dotyk Karola.

– Ja też mam jakieś czterdzieści osób, plus nasza dwójka rzecz jasna. Razem daje nam osiemdziesiąt dwa minus partnerzy twoich dziewczyn, to będzie między siedemdziesiąt siedem a osiemdziesiąt dwa.

– Nie wiem, czy kuzyni z Anglii wpadną – zauważyłam smutno, bo od dawna nie utrzymywaliśmy z sobą regularnych kontaktów. Prócz życzeń na Facebooku nie było innych rozmów. Zapewne, gdyby nie przypomnienia ze strony portalu o obchodzonych urodzinach, to i ten kontakt by zanikł.

– Kolejny punkt? – zapytał Karol.

– Sala. – Ucieszyłam się, że choć jedną rzecz mamy już za sobą. – A potem kościół, jeśli chcemy ślub kościelny.

– Chcemy, prawda? – Karol chciał się upewnić.

Skinęłam głową.

– To w przyszłym tygodniu pójdziemy do księdza – zrobił w zeszycie adnotację o odwiedzeniu kościoła.

– Kamera, orkiestra, fotograf – wyliczałam dalsze kroki planowania wesela.

Karol zamyślił się na chwilę.

– Może podzielmy się tym – zaproponował cicho.

– Jak to? – zdziwiłam się.

– Czego wolisz szukać?

– Chyba wolę kamerę i foto, bo z muzyką to wiesz, że u mnie różnie – zdecydowałam.

– To dajmy sobie maks dwa tygodnie. Ty najpóźniej piętnastego lipca pokazujesz mi, co znalazłaś, a ja wtedy zaprezentuję ci kilka zespołów. Nie opierajmy się na jednym, bo mogą mieć zajęty termin – słusznie zauważył Karol.

Zapisał w zeszycie, że ma znaleźć orkiestrę, a ja kamerzystę i fotografa. Wielką czcionką nakreślił datę 15 lipca, którą dodatkowo podkreślił, aby nadać jej ważność.

– Co dalej?

– Zaproszenia, suknia, garnitur, obrączki, dodatki – czytałam.

– Dobra, a chcesz jakieś atrakcje, o których mówiła Sylwia? – zapytał.

Spojrzałam na niego podejrzanie, przypominając sobie, że zapomniałam go wczoraj o coś zapytać.

– Dlaczego powiedziałaś, że chcemy niebieskie dodatki?

Zdziwiona mina Karola okazywała, że nie spodziewał się tego pytania.

– Bo gdybym powiedział inny kolor, to i tak byś zadzwoniła do niej za kilka dni, mówiąc, że zmieniliśmy decyzję – rzucił lekko, patrząc mi w oczy.

Znał mnie doskonale. Miał rację. Zapewne tak bym zrobiła, ale wolałam głośno nie przyznawać mu racji. Moje rozważania przerwał dźwięk telefonu. Na ekranie widniała twarz Zośki.

– Berka, błagam, jedź ze mną na policję – powiedziała, nim zdążyłam zapytać, o co chodzi.

– Co się stało? – zmartwiłam się.

– Okradli mnie – szlochała. – Bestialsko mnie okradli.

Karol, słysząc głos Zośki, tylko kiwnął głową, abym jej pomogła. Zapytałam, gdzie jest i obiecałam być przed komendą za piętnaście minut.

– Spiszę listę potrzebnych dodatków, a ty leć ratować świat Zośki. – Pocałował mnie w policzek, kiedy pędem wybiegałam z domu.

* * *

Zapłakana Zośka stała przed komendą, wciąż pociągając nosem. Podałam jej chusteczkę i o nic nie pytając, wzięłam pod rękę, aby zaprowadzić ją do środka.

Znalezienie zainteresowanego funkcjonariusza policji było niemal tak trudne, jak znalezienie zainteresowanego chorym lekarza w szpitalu.

– Przepraszam, przyjaciółkę okradziono – zaczęłam przechodzącego policjanta, lecz nawet na mnie nie spojrzał.

Zrezygnowane, przycupnęłyśmy na krzesłach w poczekalni, gdzie przesiedziałyśmy dobry kwadrans. Zaczynałyśmy już wpadać w czarną rozpacz bezsilności, kiedy podszedł do nas funkcjonariusz.

– Proszę. – Wskazał ręką drzwi.

Udałyśmy się za nim. On ulokował się w wygodnym obrotowym krześle, a my miałyśmy zająć drewniane krzesła, stojące naprzeciw niego.

– Słucham? – powiedział ponuro.

– Przyjaciółkę okradli – wypaliłam.

Zośka wciąż chlipała, trzymając mocno moją dłoń.

– Co pani ukradziono? – zapytał, patrząc na Zośkę.

– Zośka, no mów, co ci ukradli – poganiałam ją.

Zośka wydmuchała nos w chusteczkę, którą jej dałam przed komendą. Podniosła powoli głowę do góry i ze smutnymi, szklistymi oczami wyznała:

– Ukradli mi mnie, moją torsamość, wszystko, co moje. – Znów chlipnęła. – Bestie jedne.

– Tożsamość, Zosiu, nie torsamość – poprawiłam przyjaciółkę, nie zastanawiając się nad tym, co powiedziała.

Policjant zanotował coś na kartkach leżących przed nim, po czym znów spojrzął na Zośkę.

– Może pani powiedzieć więcej?

– Bo ja nazywam się Zosia, a właściwie Zofia Majer – wyznała. – Mój tata jest...

– Wiem, kim jest pani tata – przerwał jej policjant.

– Właśnie, więc pan rozumie, jak ważne jest dla mnie bycie sobą. – Smarknęła głośno w chusteczkę. –

I ja dziś patrzę, a na Facebooku jest jeszcze jakaś Zofia Majer, też z Warszawy. Ktoś się za mnie podaje, tworzy mi fikcyjne profile.

Policjant spojrzął tym razem na mnie. Wzruszyłam ramionami, żałując w myślach, że nie spytałam Zośki wcześniej, o jaką kradzież chodzi.

– Czy było tam pani zdjęcie? – zapytał, cierpliwy.

– Nie, jeszcze nie, ale to pewnie tylko kwestia chwili – oburzyła się Zośka.

Policjant spokojnie notował paplane przez Zośkę głupoty, śmiejąc się pod nosem. Nie trzeba być orłem, żeby wiedzieć, co zaraz powie, lecz Zosia wydawała się nie wiedzieć.

– Pani Zofio, na świecie jest zapewne więcej kobiet o takim samym imieniu i nazwisku, co pani. Posiadanie konta na portalu społecznościowym nie jest czynem karalnym, a kradzieżą nie można nazwać opisanej przez panią sytuacji – przemawiał jak do dziecka. – Gdyby na tamtym profilu było pani zdjęcie, moglibyśmy interweniować, lecz, niestety, policja nie może zrobić nic w pani sprawie – zakończył i podał nam dłoń na pożegnanie.

Wstałam pierwsza, popędzając Zośkę. Chciałam jak najszybciej opuścić komisariat, pewna, że funkcjonariusz przekaze dalej głupoty wygadywane przez córkę jednego z najbogatszych warszawiaków.

– Zatrudnię detektywa – wymyśliła Zośka.

– Zosia, ale to nic złego, że ktoś ma takie samo imię i nazwisko jak ty. – Próbowałam ją jakoś uspokoić.

– Masz rację – powiedziała, a ja się ucieszyłam. – Powiem tacie, żeby wykupił mi prawa własności do nich, a wtedy będzie to już czyn karalny, jak ktoś poda się za mnie. Bo wiesz co, Berka, jest najgorsze?

Spojrzałam na nią pytająco.

– Niech okaże się, że jakaś Zosia Majer jest strasznie brzydka, gruba jak wieloryb na fast foodach i głupia jak gimnazjalista po maturze, a ktoś weźmie ją za mnie – rzekła smutno.

Powtarzałam w myślach słowa przyjaciółki, próbując je zanalizować i przełożyć na język polski.

– Zośka, wieloryb nie je fast foodów – zauważyłam.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Aż strach pomyśleć, na czym innym tak się roztył, biedaczek – rzuciła.

– A gimnazjalista nie ma matury – ciągnęłam, dalej analizując jej wypowiedzi.

– Żartujesz, Berka? – zdziwiła się. – A potem się dziwić, że taka głupia ta młodzież, jak już do

gimnazjum bez matury przyjmują. – Pokiwała smutno głową.

Wolałam nie drażyć tematu. Zdecydowanie moja głowa przyjęła dziś za dużo wiadomości z ust Zosi. Przyda się gruntowna regeneracja mojego mózgu przed kolejnym spotkaniem z Zośką, które zapewne niedługo nastąpi.

9 lipca 2015 roku

Wizyta w pobliskim kościele musiała trochę poczekać. Natłok pracy nie pozwalał nam na wcześniejsze wyjścia, by móc spotkać się z duchownym.

Ogromny kościół, podobny do innych znanych mi, wydawał się mniej ponury niż zawsze. Kolejka do kancelarii parafialnej ciągnęła się za drzwiami, licząc jakieś osiem osób. Cierpliwie czekaliśmy na swoją kolej, która nastąpiła dopiero po czterdziestu minutach.

– Szczęść Boże – powiedział ksiądz.

– Amen – rzuciłam, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Karol lekko się zaśmiał, spoglądając na mnie czule.

– Z czym do mnie przychodzicie? – zapytał młody ksiądz.

Mógł mieć góra trzydzieści pięć lat, ciemne włosy zdobiły jego głowę, czarne oczy wpatrywały się w nas z zaciekawieniem, a przyjazny uśmiech jakoś mi nie pasował do koloratki pod szyją.

– Chcemy się pobrać – wyznał Karol, a ja tylko skinęłam głową.

Ksiądz wstał po ciężkie księgi z pozólkłymi kartami.

– Kiedy ślub? – zapytał.

– Dwudziestego piątego grudnia – powiedziałam.

– Tego roku? – chciał się upewnić.

Skinęłam głową.

– Czy zdajecie sobie sprawę, że dziecko nie jest dobrym powodem, aby zawierać związek małżeński? – zapytał ksiądz.

– Oczywiście, że to wiemy. – Uśmiechnęłam się.

– Więc czemu to robicie?

– Kochamy się – wyznał Karol z radością.

Ksiądz patrzył na nas z dziwnym uśmiechem.

– Wiecie, ilu ja już takich widziałem, co niby się kochali, a potem to nawet dziecko na świat nie zdążyło przyjść, a oni już z sobą nie byli – mówił. – Jak długo się znacie?

– Już dość długo – powiedziałam, nie chcąc liczyć czy to trzy, a może już cztery lata.

– Jak długo jesteście z sobą? – Ksiądz nie odpuszczał.

– No, będzie już jakieś trzy tygodnie – powiedziałam z dumą.

Ksiądz zerknął na szczęśliwego Karola, lecz sam się nie uśmiechnął.

– Nie chodzi mi o to, od kiedy jesteście zaręczeni, tylko od kiedy jesteście parą – tłumaczył ksiądz.

– Nam też, proszę księdza – przytaknął Karol.

Ksiądz patrzył na nas dziwnym, błędnym wzrokiem. Nie wiedziałam, że tak trudno będzie z tym ślubem, przecież chodziło tylko o wpis do księgi, a ten zadawał jakieś podchwytliwe pytania.

– Jesteście razem trzy tygodnie i już jest pani w ciąży? – dopytywał.

– Co wy wszyscy tak uparliście się na tę ciążę? – Zdenerwowałam się, przypominając sobie, że Lochu też o to pytał.

Karol ścisnął moją dłoń.

– Proszę księdza, ale narzeczona nie jest w ciąży. Chcemy się pobrać, bo się kochamy, a szkoda marnować czas, skoro już tyle go zmarnowaliśmy – tłumaczył Karol księdzu.

– Zmarnowaliście? – zdziwił się. – Trzech tygodni nie można nazwać marnotrawstwem.

– Jakich trzech tygodni? – zapytał Karol, nie wiedząc, o co chodzi duchownemu.

Ksiądz wyraźnie był już niechęcony rozmową z nami, lecz postanowiliśmy nie wychodzić od niego, póki nie ustalimy wszystkiego, co trzeba. Dzielnie siedzieliśmy na krzesłach, naprzeciw jego biurka, ignorując jego niechętną minę.

– Proszę księdza, my znamy się od kilku lat, lecz dopiero teraz dotarło do nas, że łączy nas coś więcej. Musimy pobrać się jak najszybciej, nie zostało nam wiele czasu – tłumaczył Karol.

– W obliczu tragedii ludzie zawsze stają się sobie bliżsi. – Byłam pewna, że to jakiś cytat z Pisma Świętego, powiedziany tak, aby pokazać nam mądrość duchownego. – A do grudnia wytrzymacie?

– Narzeczona ma właśnie czas do grudnia – odpowiedział Karol, a duchowny zapisał nasze nazwiska pod wspomnianą przez nas wcześniej datą.

Poprosił, abyśmy przyszli trzy lub dwa miesiące przed ślubem z papierami z USC, byśmy mogli wypisać protokół przedślubny. Dał nam kartkę z numerem do pani od dekoracji kościoła i ścisnął nasze dłonie na pożegnanie. Trzymając dłoń Karola, ksiądz nachylił się ku niemu i szepnął mu coś do ucha. Wyszliśmy z kancelarii parafialnej i dopiero wtedy Karol wybuchł śmiechem.

– Co ci powiedział? – byłam ciekawa.

– Żebym się nie martwił, bo po twojej śmierci będę mógł ponownie się ożenić, jako wdowiec nie będę miał z tym problemu – wyznał wesoło. – I powiedział, że mnie podziwia i że jestem dzielny.

Spojrzałam na niego, zdziwiona, nie rozumiejąc słów księdza, skierowanych do mojego narzeczonego.

– Ale ja nie umieram. – Byłam wściekła.

– Ale on myśli inaczej. – Wskazał głową na drzwi kancelarii, z których niedawno wyszliśmy.

Patrzyłam na Karola, czekając, aż wyjaśni mi całą sytuację, lecz on wciąż się śmiał. Mnie wcale nie było do śmiechu. Owszem, może nie spodobałam mu się za bardzo, mówiąc „amen”, kiedy weszłam, ale żeby zaraz mnie uśmiercać?

– On chyba pomyślał, że masz czas do grudnia, bo jesteś chora, Berka – tłumaczył, wciąż się śmiejąc.

– To się zdziwi, przychodząc na kolędę. – I mnie udzielił się w końcu nastrój.

Data w kościele zapisana w pozółkłych księgach. Musiałam poszperać jeszcze u wujka G., by wyjaśnić, o co chodziło księdzu z tymi papierami z urzędu stanu cywilnego oraz czego dotyczyć miał wspomniany protokół. Priorytetem na najbliższe dni byli jednak kamerzysta i fotograf.

22 lipca 2015 roku

Kamerzysta, fotograf i zespół zamówieni. Nie obyło się bez większych problemów i kolejnego robienia ze mnie ciężarnej, choć chyba lepsze to niż przedwczesne uśmiercanie, jak u księdza. Mimo kilku spięć wszystko szło w dobrą stronę. Nasze ścieżki połączyły się i podążały jednym torem.

Na dziś mój kalendarz przewidywał rozmowę z rodzicielką. Jedynym plusem było to, że Karol zgodził się, aby była ona jedynie telefoniczną wymianą informacji. Zapowiedzenie się na kawę z narzeczonym brzmiało dumnie, jeśli się nie znało mojej matki. Jej lamentsy zapewne po chwili zmieniają się w wybuch radości, by znów powrócić do fazy użalania się, że ona, jako najbliższa mi, nosząca mnie pod sercem przez dziewięć miesięcy, dowiaduje się o wszystkim ostatnia. Niejednokrotnie słyszałam o udrękach ciężarnej mamy, noszącej mnie w brzuchu. Wymioty od zapachu ukochanej zupy pomidorowej, alergia na truskawki, które tak bardzo chciała jeść, i rozstępy, pozostające do dziś na każdej partii ciała. Dodatkowe kilka kilogramów tu i ówdzie też mi wypominała, jakbym to ja jadła za ośmiu w tym czasie. „Tylko cycki na tym nie skorzystały” – przypominałam sobie słowa mojej matki, która zawsze, wypowiadając to zdanie, nieświadomie dotykała swoich niewielkich piersi.

Sięgnęłam po telefon, wiedząc, że są rzeczy, których nie da się odwlekać w nieskończoność. Miałam pół godziny do następnej klientki, ale mama nie musiała o tym wiedzieć. Zawsze mogłam szybko zakończyć rozmowę, tłumacząc, że właśnie ktoś przyszedł. Wybrałam numer i po chwili usłyszałam głos po drugiej stronie.

– Nie przeszkadzam? – zapytałam spieszenie, słysząc śmiechy w tle.

– O, Berunia... – Wciąż się podśmiewywała. – Jestem właśnie u doktora.

– Co się stało?

– Nic, kompletnie nic, kochanie. – Ponownie zaczęła chichotać, a ja dopiero teraz zrozumiałam, że chodzi jej o „Doktora Papużkę”, czyli przeszkadzałam.

– Januszek, przerwijmy na chwilę – powiedziała mama do doktora, a on wydał z siebie skrzekliwy okrzyk, po którym mama znów zaczęła się śmiać. – Mów, kochanie, co się stało. – Tym razem to słowa skierowane do mnie.

Nadsłuchiwałam odgłosów w słuchawce, zastanawiając się, co robiła moja mama z „Doktorem Papużką”. Moja wyobraźnia pracowała na przyspieszonych obrotach, lecz widok mamy i pana Janusza przed oczyma od razu wyeliminował kilka możliwości.

– Co wy robicie? – nie wytrzymałam w końcu i zadałam głośno pytanie, które nurtowało mnie od początku tej rozmowy.

Mama zachichotała jak dziecko.

– No właśnie Januszek uczy mnie, jak być lekarzem.

Oprócz śmiechu do moich uszu z oddali dotarł też inny dźwięk:

– Twój tygrys czeka na jedzenie... – Ryk. – Jeszcze chwila i zje ciebie całą.

– Mamo, przeszkadzam? – zapytałam ponownie, lekko zażenowana.

– Nie, kochanie, Januszek jest głodny.

– Mamo, czy wy... no, wiesz? – Nie wiedziałam, jak zapytać, żeby jej nie obrazić.

Mama znów zachichotała i powiedziała coś szeptem do swojego towarzysza, tak cicho, bym nie mogła usłyszeć.

– Beruniu, nawet nie wiesz, ile kalorii można spalić w ten sposób, a jakoś muszę się pozbyć nadmiaru ciała po tobie. – Wiedziałam, że to powie. – Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciała, żebyś miała takie życie seksualnie jak ja... żebyś w ogóle miała jakieś życie seksualne.

– Mamo... – próbowałam dojść do głosu.

– Ile ty już seksu nie uprawiałaś, biedaczko? – zastanawiała się. – Toż to już lata całe. Zaraz, zaraz... ostatnio chyba z Marcinem – ciągnęła dalej. – Nawet całowanie działa na naszą skórę i duszę lepiej niż

niejeden kosmetyk. Myślisz, że sobie wymyślam, ale nawet nie wiesz, jak po ostatnich... wyczynach... – Zaśmiała się, przypominając sobie scenę, o której mówiła. – ...zmieniła się moja cera. Jest taka gładka, jędrna i... wciąż czuję dreszcze podniecenia.

Nie chciałam słuchać tego dalej. Bałam się, że zaraz zacznę opowiadać z detalami o swoim pożyciu, a to mogłoby doprowadzić jedynie do wymiotów. Dzieci, bez znaczenia, ile mają lat, wolą myśleć, że ich rodzice uprawiali seks tylko wtedy, kiedy ich poczęli. Zdecydowanie ta teoria bardzo mi się podobała i chciałam ją utrwalić w mojej głowie na zawsze.

– Wczoraj – powiedziałam, czując, że to jedyny moment, aby jej przerwać.

– Ale co „wczoraj”? – zaciekała się.

– Wczoraj uprawiałam seks – wyznałam tak cicho, że ledwo słyszalnie.

Mama ucichła, ta chwila ciszy nie wróżyła nic dobrego.

– Biedactwo ty moje – użalała się nade mną, nie wiem czemu. – Już doszło do tego, że musisz płacić za seks, aby nie zapomnieć, jak to się robi... Niby zwykle góra–dół czy przód–tył, a jednak to nie jest jak z jazdą na rowerze...

Nie rozumiałam. Milczałam, chcąc przetworzyć w myślach jej słowa.

– Gdybyś potrzebowała kiedyś pieniędzy, no, wiesz na co... – Tym razem doskonale wiedziałam, o co jej chodziło. – ...to daj znać. W twoim wieku trzeba od czasu do czasu uprawiać seks, nawet jeśli trzeba za niego słono płacić. Tylko, błagam, zabezpieczaj się, bo tyle chorób się przenosi w ten sposób.

Postanowiłam zakończyć jej wywód. Nie mogłam słuchać tego, co mówiła. Nie mogłam, a może nie chciałam.

– Mamo, dobrze, że mówisz o pieniądzach – zaczęłam – przydadzą się. Wychodzę za mąż – powiedziałam radośnie.

Mama przekazała zapewne informację „Doktorowi Papużce”, po czym wspólnie o czymś przez chwilę rozmawiali.

– Kochanie, Januszek ma kolegę, który jest dobrym psychiatrą – zaczęła spokojnie. – Sądzymy, że te twoje omamy to już początkowa faza schizofrenii.

– Mamo, w sobotę będę o siedemnastej u ciebie. Z narzeczonym! – krzyknęłam. – Nie jestem wariatką!

– Januszk, ona upiera się, że to prawda – powiedziała mama do swojego partnera. – Beruniu kochana, daj sobie pomoc. Kiedy byłaś mała i wymyśliłaś yeti, to udawaliśmy, że on istnieje, żeby cię nie urazić, nie zabić twojej dziecięcej fantazji. Teraz widzę, że twój obecny stan psychiczny to po części nasza wina. Mogliśmy zabić to, zanim zaczęło kiełkować, zdusić w zarodku, nie pozwolić wejść w ciebie tak głęboko.

Słowa mamy były niczym monolog, nie miałam ochoty zmienić go w dialog, bo ona przez całą naszą rozmowę ani sekundy nie poświęciła na słuchanie, co do niej mówię.

– Mamo, będziemy w sobotę o siedemnastej – dodałam, rozłączając się.

Faza lamentu, radości i ponownego lamentu dziś nie została osiągnięta. Zabrakło w niej drugiego, jakże ważnego elementu. Uznana za osobę przejawiającą początkową fazę choroby psychicznej, zastanawiałam się, gdzie w mojej rodzicielce dozgonna wiara w możliwości własnego dziecka.

25 lipca 2015 roku

Sobota. Niby zwykły, jeden z siedmiu dni tygodnia, dziś miał okazać się zupełnie innym. Spotkanie rodzinne, zaplanowane na godzinę siedemnastą, zbliżało się wielkimi krokami. Karol w eleganckiej koszuli, dobrze skrojonych garniturowych spodniach, czekał z dwoma bukietami kwiatów i butelką wytrawnego wina, siedząc na moim łóżku i słuchając moich żalów. Po ostatniej rozmowie z matką wciąż miałam zszargane nerwy. Nie mogłam się doczekać miny mamy, kiedy ujrzy Karola.

– I niech ją gęś kopnie – powiedziałam, wyjmując z szafy szarą sukienkę.

– Gęsi nie kopią – zauważył Karol.

– W *Kaczce-dziwacze* kopały – przypomniałam sobie bajkę z dzieciństwa.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale tam było więcej dziwnych zdarzeń – rzucił Karol. – Niekaczkowych.

Założyłam sukienkę, a on pomógł mi zapiąć suwak na plecach. Jego dłonie delikatnie muskały moją skórę, usta zbliżyły się, aby złożyć na niej pocałunek.

– Myślisz, że w wieku mojej matki naprawdę jeszcze można uprawiać seks? – zastanawiałam się.

– I ochota przeszła. – Ponownie usiadł na łóżku. – A czemu nie?

– Z „Doktorem Papużką”? Ty go widziałeś?

– Pomyśl, jak sobie razem wesoło skrzeczają podczas tych zabaw. – Zaczął naśladować dźwięki doskonale znane mi z wizyt w sklepie zoologicznym.

* * *

Punktualnie o siedemnastej zapukaliśmy do drzwi mieszkania babci i mamy. Otworzył nam „Doktor Papużka”, zapraszając wesoło do środka. „Już czuje się panem domu” – pomyślałam.

– Kochani, to jest Karol, mój narzeczony – przedstawiłam.

– Kochanie, przecież my znamy Karola – odezwała się mama. – To twój współlokator, córeczko.

– Szanowna pani... – Karol postanowił mnie ratować. – ...współlokator, narzeczony i przyszły mąż.

Zaręczyliśmy się kilka tygodni temu.

Mama opadła ciężko na kanapę.

– Zapłaciła mu, żeby się z nią ożenił! – krzyknęła, trzymając się za głowę. – Januszek, przynieś no mi okład, migrena mnie dopadła.

Januszek posłusznie pobiegł do łazienki, nalać wodę do miski.

– Nie zapłaciłam mu za nic! – Zdenerwowałam się.

– Co sąsiedzi pomyślą, jak się dowiedzą... Chociaż lepsze to, niż gdyby był wyimaginowany – mówiła, nie zwracając uwagi na moje słowa.

Babcia spojrzała na mnie i Karola, uśmiechnęła się ciepło, po czym podeszła do kanapy i zaczęła okładać mamę kuchenną ściereczką, leżącą na jednym z krzeseł.

– Auuu! – Mama była wyraźnie zaskoczona.

– Ty flądrowa jedna! Berka ci mówi, że ślubować będzie, a ty lamenty odstawiasz! – krzyknęła babcia. –

Tylko kwiczeć potrafisz, a ślepa jak w kapturce jesteś i nie widzisz, że ci młodzi od dawna byli sobie pisani.

Karol ścisnął moją rękę. Wzburzona mama podniosła się z łóżka, wciąż wpatrując się w babcię. Milczała. Po raz pierwszy zabrakło jej słów, by móc się bronić. Podeszłam do babci i wyściskałam ją serdecznie. Czy to możliwe, aby ona od dawna wiedziała, że coś nas łączy?

Zasiedliśmy do stołu w ciszy. Mama jeszcze trawiła informacje usłyszane od babci, zapewne wciąż denerwując się ponownym porównaniem do świni. Babcia przyniosła świeżutką, jeszcze ciepłą szarlotkę, którą nałożyła każdemu na talerz.

– No, kochani, to kiedy ten ślub? – zapytała babcia.

– Dwudziestego piątego grudnia – powiedział wesoło Karol.

– Toż to mało czasu. – Mama odzyskała głos. – Tyle rzeczy do zrobienia, a to raptem pięć miesięcy! Szaleństwo, Januszeku, szaleństwo.

„Doktor Papużka” pogładził mamę po włosach. Ona, niczym spragniony czułości szczeniaczek, przybliżyła swoją głowę w jego stronę, chcąc, aby wciąż ją gładził.

– Beruniu, ty pamiętasz, że ja mam dla ciebie fundusze na wesele?

Babcia wstała z krzesła, by udać się do swojego pokoju. Przyszła po chwili, trzymając w dłoni niewielką książeczkę.

– Powinno być jakieś dziesięć tysięcy, może trochę więcej. – Podała mi ją do rąk.

Wyściskałam babcię serdecznie, ciesząc się, że chociaż ona myślała o moim zamążpójściu jako o realnej części życia.

– Boże, Tadeusz! – Matka wstała i rzuciła się do telefonu.

Patrzyliśmy na nią z niedowierzaniem, zastanawiając się, po co dzwoni do swojego „świętej pamięci” męża. Przecież niejednokrotnie mówiła nam, że dla niej ojciec umarł.

– No, to ja – rzuciła, kiedy ktoś odebrał telefon. – Jaka ja? Twoja była żona – krzyknęła. – Ale nie czas na kłótnie z umarłymi – dodała spokojnie, nie dając ojcu dojść do słowa. – Moja córka, Bereczka, wychodzi za mąż, a ty, chałowaty baranie, obiecałeś jej kupić sukienkę na ten wyjątkowy dzień – przypomniała mu dość dotkliwie. – I nie myśl, że ominie cię podarowanie młodym pieniędzy w kopercie, jak jej tę suknię kupisz. Sama sprawdzę, ile dałeś, a jak uznam, że za mało, to ci z gardła resztę wyjmę – rzuciła i rozłączyła się.

Zasiadła ponownie do stołu, za wszelką cenę starając się uspokoić.

– W przyszłym tygodniu ojciec przeleje ci pieniądze, a jak uznasz, kochanie, że to za mało, to zadzwoń i ja już sobie z nim porozmawiam. – Mama dotknęła czule mojej ręki.

Przez chwilę czułam się lepszym dzieckiem, czułam, że po raz pierwszy od dwudziestu ośmiu lat nie zawiodłam mamy. Czułam, że lamenty o rozstęпах i trudnościach wynikających z urodzenia mnie odłoży na jakiś czas na bok, by móc cieszyć się naszym szczęściem.

– Zaraz wezmę kartkę i zacznę się planowanie. – Mama była wręcz rozanielona.

– Nie trzeba, już wszystko załatwione – rzucił Karol.

Mama zerknęła na nas spod byka.

– Wesele będzie w Parasolu. Kamerzysta, fotograf i zespół są już po części opłaceni – wyliczał mój narzeczony.

– A kościół? – zapytałam mama.

– Bierzemy ślub w naszym kościele.

Mama posmutniała troszkę.

– Znam proboszcza Lesława, porozmawiam z nim, żebyście mieli piękne kazanie.

Skinęliśmy chętnie głowami, pamiętając ostatnią rozmowę z księdzem w kancelarii parafialnej. Mama, obeznana w świecie warszawskich kościołów i posługujących w nich księży, na pewno doskonale sprawdzi się w tym zadaniu. Przy okazji nie poczuje się odrażona, wręcz stwierdzi, jak zawsze, że bez niej ślub by się nie odbył. Karol zerkał na mnie z uśmiechem, wiedząc, co myślę. Znał moją mamę, zapewne zdawał też sobie sprawę, że kościół i rozmowy z księdzem to jedyna rzecz, jakiej mama może nie zepsuć, a i to do pewnych nie należało.

W przyjemnej atmosferze monologów mamy na temat wyjątkowości kazań proboszcza Lesława osiągnęliśmy zamierzony cel. Mama była szczęśliwa, nawet kilka razy pochopnie powiedziała, że od zawsze wiedziała, iż to ja szybciej wyjdę za mąż niż moja siostra, co rozśmieszyło nie tylko mnie, ale i resztę zebranych.

Spotkanie, którego tak się obawiałam, zapiszę do tych udanych. Pozostało jeszcze powiadomić dziewczyny, a to wydawało się znacznie trudniejsze. Przecież ich było aż pięć, a każda z nich była do mojego projektu zamążpójścia równie sceptycznie nastawiona, co moja mama. „One jeszcze muszą poczekać” – pomyślałam z uśmiechem na ustach. Zaplanowałam wyjątkowy sposób na przekazanie im tej informacji.

13 sierpnia 2015 roku

Zaproszenia na ślub, zamówione dwa tygodnie temu, przyszły dziś z samego rana. Kurier był tak miły, że przywiózł wyczekiwaną paczkę do mojej pracy. Korciło mnie, aby otworzyć karton, lecz wcześniej obiecałam Karolowi, że zrobimy to wspólnie w domu. Zerkając kilka razy, może nawet kilkadziesiąt, na karton, próbowałam wzrokiem przebić opakowanie i spojrzeć na jego zawartość. Żałowałam, że nie mam

w oczach rentgena, który pomógłby mi przejrzeć przesyłkę na wylot.

Karol przyjechał, kiedy zamykałam salon. Spakował leżący u moich stóp karton do bagażnika, a mnie zrobiło się smutno, że znika on z moich oczu.

– Jedziemy na obiad. – Na pewno nie było to pytanie.

Wsiadłam posłusznie do samochodu, myśląc wciąż o zaproszeniach.

Pospieszny obiad w restauracji, gdzie „umówiliśmy się” po raz pierwszy. Przyjemne światło płynące z lampionów i okrągłe stoliki wciąż robiły na mnie wrażenie, jak za pierwszym razem. Dziś nie musiałam rozglądać się za kandydatem na męża, dziś wiedziałam, że jest nim na pewno ten, którego miałam przed sobą.

Karol zamówił mój ulubiony makaron, a dla siebie ten z grillowanym łososiem, wiedząc zapewne, że trochę od niego skubną. Kiedy kelnerka przyniosła zamówienie, za jej plecami ujrzałam dobrze znaną mi sylwetkę. Gorączkowo zaczęłam zastanawiać się, co powiemy Zośce, gdy nas zauważy. Wtedy nas dostrzegła i radośnie nam pomachała, idąc w naszym kierunku.

– Jaka niespodzianka – rzuciła, całując mnie w policzki. – Nie chciało się obiadu gotować? – Przerzuciła się z całowaniem na Karola, którego mina ewidentnie sugerowała niezadowolenie.

– No, tak jakoś wyszło – odpowiedziałam.

Zośka rozejrzała się bacznie po sali, wyraźnie kogoś szukając.

– Szkoda, że jestem umówiona... – Przeczesała nerwowo włosy palcami. – ...byśmy sobie pogawędkowali.

– Pogawędzili chyba – poprawił ją Karol.

– Oj, Karol, a ty jak zawsze taki drobnoustkowy. – Spojrzała na niego słodko.

Nie poprawił jej, wiedział, że ona i tak nic nie zrozumie z jego uwag.

– Lecę, dzióbki wy moje, bo mam ważne spotkanie. – Ponownie zaczęła nas całować, tym razem na pożegnanie. – Show-biznes nie może czekać.

Odeszła od naszego stolika, radośnie machając starszemu mężczyźnie przy wejściu. Podbiegła do niego, szepnęła coś do ucha, po czym wyszli z restauracji. Show-biznes widocznie nie mógł być omawiany wśród zwykłych śmiertelników, takich jak my. Musieli zmienić miejsce na bardziej dostojne, wyrefinowane, godne gwiazdy.

Dźwięk telefonu przerwał romantyczny klimat obiadu w restauracji.

– Tak, mam? – zapytałam, odbierając telefon.

– Kochanie, nie uwierzysz, byłam dziś u księdza Lesława. – Głośno przełknęłam kawałek kurczaka. – Ty jesz? Więc nic nie mów, nieładnie tak, ja będę mówiła. Byłam dziś u księdza Lesława...

– Mówiłaś już – przypomniałam jej.

– Nie mów, jak jesz, ja cię błagam – rzuciła ponownie. – Ksiądz mówił, że tego dnia ma ślub jeszcze jedna para. Jakaś biedna schorowana dziewczyna, której dają czas do grudnia. Oby dożyła ślubu, biedactwo – mówiła. – Ksiądz Nikodem, ten, co ich przyjmował w kancelarii, był pełen podziwu dla jej narzeczonego. Pewnie bierze z nią ślub, żeby jako stara panna nie umarła – zauważyła mama, a ja robiłam się coraz bardziej czerwona. – Proboszcz powiedział jednak, że ksiądz Nikodem pocieszył biedaka, że jak tamta umrze, to będzie mógł ponownie wziąć ślub w kościele, tym razem z miłości.

Nerwy sięgnęły zenitu, a wskaźnik ciśnienia pofrunął wyżej, niż byłoby to możliwe przy badaniu barometrem.

– A może oni biorą ślub z miłości? – zauważyłam, chcąc choć trochę zmienić zdanie mamy.

– Kochanie, za dużo się filmów naoglądałaś. Ty i te twoje romanse... – skwitowała.

Karol patrzył na mnie, nie wiedząc, o co chodziło. Widział jedynie moją wciąż zdenerwowaną minę i skórą nabierającą już koloru buraczkowego.

– Mamo, nikt prócz nas nie bierze ślubu w ten dzień – zaczęłam. – Ksiądz Nikodem mówił o nas, to z nami rozmawiał.

Po drugiej stronie nastąpiła niezręczna cisza, po której nastąpił głośny, przeraźliwy wręcz szloch.

– Ja wiedziałam, wiedziałam – chlipała. – Dlaczego mi nie powiedziałaś? Ja muszę się jakoś do tego przygotować. Pochować córkę zaraz po ślubie... nigdy nie myślisz o mnie.

Dosłownie odjęło mi mowę.

– Trzeba pomyśleć nad miejscem na cmentarzu. I ubezpieczenie sobie dodatkowe wykupię, aby mnie na pomnik stać było, za śmierć dziecka coś się dostaje, ale to i tak nie odda straty, jaką poniosę. – Wciąż chlipała do słuchawki.

– Mamo, nie jestem chora. – Chciałam jej wszystko spokojnie wytłumaczyć.

– Planujesz samobójstwo?! – krzyknęła, zdziwiona. – A Karol o tym wie i się zgadza? Niech ja go tylko dorwę! – groziła.

Nabrałam powietrza, wiedząc, że muszę jej przerwać, bo inaczej pochowa mnie za życia. Już pewnie zastanawiała się, czy będę ładnie wyglądać, leżąc w trumnie, ubrana w suknię ślubną. A może nawet myślała, co każe napisać kamieniarzowi na moim nagrobku?

– Mamo, posłuchaj mnie, tylko nie przerywaj – powiedziałam tak głośno, że część ludzi spojrzała na mnie badawczo. – Nie jestem chora, nie umieram, nie chcę się zabić. Ksiądz Nikodem źle nas zrozumiał i nie mieliśmy czasu mu tłumaczyć wszystkiego, zresztą on chyba nawet niespecjalnie chciał nas słuchać. Bierzemy ślub, bo się kochamy, to jedyny powód – zakończyłam.

Mama zamilkła.

– Czyli nie muszę wykupić dodatkowego ubezpieczenia? – zapytała po chwili.

– Nie, nie musisz – powiedziałam smutno.

– I chwała Bogu, bo tu pięćdziesiąt złotych, tam pięćdziesiąt złotych, a moja emerytura to sama wiesz, jaka jest. – Wróciła moja mama, wiecznie niezadowolona, marudząca, ale moja.

Rozłączyła się, dodając, żebym na siebie uważała, bo drugi raz wieści o mojej śmierci nie znieś.

– Skąd ona to wszystko bierze? – zastanawiał się Karol.

– Tak to jest, kiedy usta pracują szybciej niż mózg – rzuciłam wrednie.

– To chyba rodzinne – zażartował, zerkając bacznie na moją minę.

Dokończyliśmy obiad i udaliśmy się do domu. Rozpakowanie przesyłki wydawało się jedyną radosną rzeczą, jaka miała mnie dziś spotkać.

Kuchenny stół idealnie pasował wielkością, by położyć na nim karton. Karol sięgnął po jeden z kuchennych noży, aby zerwać taśmę zabezpieczającą tak, by nic nie ucierpiało. Kilka zwiniętych gazet miało zapewne chronić zaproszenia w razie upadku. Karol cierpliwie wyjmował gazety, by zobaczyć nasze wyjątkowe zaproszenia.

– Czarne! – krzyknęłam z niedowierzaniem i zaniósłam się płaczem.

Nawet drukarnia już słyszała o mojej niby-śmierci. Ostatnia możliwość spędzenia przyjemnego wieczoru legła w gruzach. Została zakopana niczym moja trumna, wybrana w myślach przez mamę kilka godzin temu. Zaproszenia były jedynie garstką czarnej ziemi rzuconej wprost na nią. Dosłownie czarnej.

21 sierpnia 2015 roku

„Pogrzebowe” zaproszenia w ekspresowym tempie wróciły do drukarni. Właściciel przez telefon tłumaczył Karolowi, że musiała zajść fatalna pomyłka, lecz mnie to nie wystarczało. Zwykle „przepraszam” to zdecydowanie za mało.

Dziś przyszła nowa przesyłka. Specjalnie wzięłam dzień wolny, aby móc przyjąć ją w domu. Patrzyłam na nią jak na największego wroga. Na nieprzyjaciela, jakich, niestety, wciąż w życiu więcej niż przyjaciół.

Karol zastał mnie beznamiętnie wpatrującą się w pudło i wiedział, że nie jest ze mną dobrze.

– Co jest? – zapytał z przygnębioną miną.

– Przynieś mi okład – poprosiłam. – Głowa mi pęka.

Poszedł do łazienki, słyszałam, jak szuka czegoś w szafkach i nalewa wodę do miski.

– Co ci, kochanie?

– Przyszły zaproszenia.

– I dlatego głowa cię boli?

– No, a jeśli okażą się porażką? Jak zawsze? – użalałam się.

– Od kiedy ono tu jest? – Wskazał ręką „nieprzyjaciela”.

– Jakieś trzy godziny – wyznałam cicho, chcąc, aby pudło mnie nie słyszało.

– Berka, masz gorączkę? – Dotknął mojego czoła. – Pudło stoi tutaj trzy godziny, a ty do niego nie zerknęłaś? Musisz być chora...

– Chora to zaraz będę, jak go nie otworzysz. – Połączyłam krzyk, furię i panikę w jedno, choć wcale nie byłam zadowolona z efektu.

Karol zerkał na mnie niepewnie. Nie dziwiłam mu się, nawet dla mnie to nie było normalne zachowanie. W jego oczach pojawiła się nutka strachu, strachu przed szaleńcem. Zdecydowanym ruchem otworzył pudło, wyrzucał energicznie niepotrzebne gazety i podał mi małe pudełko. Pudełko, które było takie, jak miało być. Małe, skromne, z szafirową wstążką w kropeczki. Otworzyłam je jak najpiękniejszy prezent. „Udało się” – pomyślałam i podałam Karolowi nasze „prezentowe” zaproszenia.

– Nawet ładny ten niebieski. – Wskazał ręką wstążkę.

Gotowałam się, powoli zaczynałam wrzeć, temperatura rozsadzała mnie od środka.

– To szafir, kochanie – powiedziałam, jednak spokojnie.

– Szafir nie szafir, ale niebieski – uniósł się.

– Szafir, nie niebieski, takiego koloru są morza w swej głębi – tłumaczyłam, rozmarzona, przypominając sobie wakacje na Rodos, spędzone z dziewczynami.

Karol uważnie przyglądał się wstążeczce na pudełku. Obracał pudełko kilka razy, jakby zaklinając, by kolor się zmienił, kiedy spojrzy na niego pod innym kątem.

– Faktycznie masz rację – przyznał, wciąż wpatrując się w pudełeczko. – Pamiętam, jak lata temu byłem z babcią Stasią nad morzem i właśnie taki kolor miało.

– Babcia Stasia była za granicą? – zapytałam, zdziwiona.

Karol zerknął na mnie niepewnie, widziałam, że nie miał pojęcia, o co mi chodzi.

– Nie wiem, skąd to pytanie, ale babcia była w Czechosłowacji, jak jeszcze istniała, i w Austrii, ale o tym pewnie posłuchasz niejedną raz, więc ominę ten fragment teraz.

– To oni mają morze? – zdziwiłam się jeszcze bardziej.

– Oni nie – mówił – chodziło mi o Bałtyk, kiedy mówiłem o tym twoim szarfirze.

– Szafirze – poprawiłam go.

Nie rozumiałam toku myślenia Karola. Bałtyk i szafir? To jak porównanie gęsi z kaczką albo i gorzej.

– Jeżeli ty Bałtyk nazywasz szafirem, to wybacz, kochanie, ale...

– Ale co? – nie dał mi dokończyć.

– Ale musisz iść do okulisty, bo jesteś daltonistą – skończyłam myśl.

Karol podszedł do mojej szuflady z lakierami i wyjął kilka flakonów. Ustawił je przede mną i prosił o nazwanie widzianego koloru. „Też mi test na daltonizm” – pomyślałam i z dumą mówiłam kolejno: seledynowy, pistacjowy, miętowy i limonkowy.

– Widzisz? – zapytał, kiedy skończyłam nazywać.

– Właśnie widzę, taka jest między nami różnica – tłumaczyłam mu delikatnie. Już nie chodziło o pokazanie, że mam rację, ja zaczęłam się naprawdę martwić.

– Dla ciebie to są seledyny. – Podniósł jeden flakon. – Pistacje. – Pokazał drugi. – Limonki. – Sięgnął po trzeci. – I mięta.

– Pomyliłeś limonkę z miętą, Karolku – zauważyłam, najdelikatniej jak potrafiłam.

Wkurzył się, zaczął machać rękoma, co nie wróżyło nic dobrego. Pamiętałam niejedną taką sytuację,

kiedy machał i machał, aż sobie wymachał... kłótnię. A teraz nie mieliśmy czasu na kłótnie, machanie musi poczekać. Złapałam jego rozpedzone już ręce i powiedziałam:

– Razem przez to przejdziemy, pomogę ci – pocieszyłam go.

– Berka, ja nie jestem daltonistą! – krzyknął, a mnie nasunął się na myśl motyw wyparcia, o którym często mówiła nam Monia odnośnie do swoich chorych psychicznie podopiecznych. – Ja jestem po prostu mężczyzną.

Zbił mnie z tropu. Cholera, miał rację. Wszyscy faceci to daltoniści. Róż z amarantowym, fiolet z wrzosem... Gdyby każdy miał chodzić do okulisty, to z NFZ-etem już dawno byłoby gorzej niż teraz, choć zdaje się, że gorzej być nie może. Karol wniósł do mojego życia wszystkie barwy tęczy, nawet jeśli dla niego były one jedynie innymi odcieniami szarości.

Przełknęliśmy każde z zaproszeń, patrząc, czy na pewno dobrze wydrukowano na nich nazwiska zaproszonych gości. Podzieliliśmy zaproszenia na dwie grupy: do wysłania i do rozdania.

– Kiedy powiesz dziewczynom? – Karol zdawał sobie sprawę, że to będzie ciężka przeprawa.

Pięć lwich głów, dla których będę jedynym jedzeniem. Najpierw zawyją, by pokazać swą moc, a potem rzucą się na bezbronne zwierzę z zaproszeniami.

– Najpierw inni, one są na miejscu – tłumaczyłam wymijająco.

– To pamiętaj, że jutro wysyłamy paczki do tej grupki, a resztę zawozimy – mówił wolno. – Zahaczmy babcię Stasię, twoją mamę i babcię, a może i Agata będzie – wyliczał. – Aaa... i pamiętaj, że muszę zadzwonić do orkiestry, umówić pierwszą piosenkę i podziękowania dla rodziców.

Położyłam się ponownie na łóżku i miałam wrażenie, że moja głowa znów przeżywała eksplozję. Wulkan wiadomości do zapamiętania wybuchł, lawa myśli wypłynęła z mojego przegrzanego mózgu, gubiąc istotne rzeczy. Karol położył się obok mnie, przytulił się do moich pleców, myśląc zapewne, że jestem zmęczona. Zmęczenie wygląda inaczej, ono nie eksploduje. Ono opanowuje i pozwala paść. Jest inne niż lawina wytworzona w mej głowie.

– Karol, jaką pojemność ma ludzki mózg? – zapytałam.

– Nie wiem, na informatyce nas o tym nie uczyli – wyznał ze śmiechem.

– Bo przecież musi mieć jakąś pojemność, nie może być tak, że pamiętamy wszystko na zawsze. Są wiadomości zajmujące więcej miejsca i te, co zajmują go mniej, jak w komputerze. Bo mózg to chyba taki głowowy komputer czy jak to inaczej nazwać.

– Może po prostu „mózg”? – powiedział z rezygnacją.

– Mózg bluzg – próbowałam rymować na znak niezadowolenia z odpowiedzi. – Ktoś musi to badać, może są na świecie mózgolodzy, tylko my o tym nie wiemy, żeby się nie bać, że i nas dopadną.

Karol wybuchnął śmiechem.

– Chcesz znać pojemność mózgu?

Energicznie kiwnęłam głową i oczekiwałam na odpowiedź.

– Twój ma gigabajt, a mój terabajt. – Uśmiechnął się.

– A ten bajcoś mój to ile ma? – zapytałam.

– Mój to tyśiąc twoich – wyznał spokojnie.

Analizowałam w myślach jego wypowiedź i nagle dotarł do mnie przerażający fakt.

– To czemu ja mam pamiętać o wszystkim, jak ty masz ten...? – Szukałam nazwy w głowie. – No, wiesz, co masz.

– Ty masz gigabajt, a ja terabajt – powtórzył.

Podniosłam się gwałtownie z łóżka, po czym wskoczyłam na Karola.

– Już wiem. – Podskakiwałam na nim, co chyba nie sprawiło mu przyjemności. – Ja mam teragigabajt, że każesz mi tak wszystko pamiętać.

Karol patrzył na mnie z przerażeniem w oczach. Monia mówiła nam kiedyś o takim szaleńczym wzroku schizofreników. Ale że Karol? Nie mogę się poddać, miłości nie można porzucić, nawet w chorobie.

7 września 2015 roku

Nadszedł czas. Czas walki z lwami będącymi na wolności. Karol zazdrościł mi, że będę mogła ujrzeć ich miny. Pięć ściętych głów. Ściętych informacją o moim zamążpójściu. Zapewne powstaną spekulacje przekupstwa, bez tego się pewnie nie obędzie.

Pięć małych pudełeczek, zdobionych szafirową wstążką leżało teraz w mojej torbie. Prośba Karola o nagranie sytuacji była jak najbardziej kusząca, jednak nierealna.

Umówiłam się z nimi na kolację w jednej z małych i przytulnych warszawskich restauracji. O takie miejsca dziś trudno. W zatłoczonej, zabieganej stolicy są one niedoceniane. Każdy myśli, że tutaj ludzie są inni, chcą czegoś innego, lecz to nieprawda. To nie od miejsca zależy, ale od ludzi. Ja cenię spokój, klimat i atmosferę, o które trudno w zatłoczonych klubach.

Postanowiłam przybyć ostatnia. Niech myślą, co się stało, że zwołałam pilne spotkanie. Tak, pilne. Tak samo pilne, jak rozmowa o rzekomej śmierci Teodora, po której Zośka straciła praktyki. A może ich nie straciła? Chyba nawet wygrała dzięki temu więcej, niż przypuszczam.

Zobaczyłam je zaraz po wejściu do restauracji. Pięć lwich głów, które jeszcze nie ryczą. Dziesięcioro oczu cieszących się z mego przyjścia. Nie żeby tak mnie kochały, to ciekawość je zżerała. Usiadłam przy stoliku, badając wzrokiem każdą z nich kolejno.

– Co ci? – spytałam Jolkę, która wyraźnie nie miała nastroju.

Nie tylko mina o tym świadczyła. Przecież nie rzuciła na mój widok swojego „no wreszcie”.

– Miałam dziś ciężki dzień – wyznała ponuro.

Zaskoczyła mnie. Ona nigdy się nie skarżyła. Tłumaczyła, że wszystko, co zsyła nam los, trzeba brać na klatę z podniesioną głową. Ciężki dzień Jolki jest tak rzadkim przypadkiem, jak mądre słowa z ust Zośki.

– Co się stało? – Mari pytała o to z ciekawości, troska nie wchodziła w grę.

– Miałam dziś lekcję wychowania do życia w rodzinie w jednej z licealnych klas. Chciałam pogadać o zabezpieczeniach przed nieplanowaną ciążą i samym przebiegu ciąży, więc zaprosiłam znajomego ginekologa.

– I co on zrobił? – przerwałam Jolce, nie mogąc doczekać się końca opowieści.

– On nic. Ale jedna z uczennic zapytała, czy narodził na jej udzie to ciąża pozamaciczna, bo trzy tygodnie temu uprawiała seks bez zabezpieczenia.

Zacząłyśmy się śmiać. Tylko Zośka była poważna.

– Bożeszczę, biedna dziewczyna – wzdychała Zosia. – Jak ona urodzi to dziecko? Przecież stopą jej nie wyjdzie.

– Nie słyszałaś? – Już po tonie zadanego przez Mariettę pytania wiedziałam, że miała ona cudowny plan pogrążenia Zosi. – Ostatnio kobieta urodziła właśnie stopą. Dziecko wyszło jej między palcami.

Zosia odruchowo spojrzała na swoje stopy, gładkie od peelingu i tysiąca kremów wygładzających, okryte jedynie zgrabnymi sandałkami.

– Żeby tylko moje dziecko tak nie zrobiło, bo już nigdy nie założę sandałek ani japonek, a to musi być straszne.

Zacząłyśmy się śmiać, a Zosia przeczeswała włosy palcami, nie rozumiejąc, o co nam chodzi.

– Ty głupia krowo! – Mari musiała to powiedzieć, chyba do końca miała nadzieję, że głupota Zośki nie jest aż w tak zaawansowanym stadium.

– Mari, nie obrażaj krów, błagam – poprosiła Baśka, na co Zośka pokazała język.

– Dziewczyny, mam dla was prezenty. – Chciałam przerwać batalię na temat głupoty Zośki i krów.

Ich wzrok świadczył, że na chwilę zapomniały, po co się tutaj spotkałyśmy, lecz moje słowa ponownie obudziły ich ciekawość. Patrzyły to na mnie, to na siebie wzajemnie, szukając odpowiedzi, a ja sięgnęłam tylko po przygotowaną skrupulatnie reklamówkę z prezencikami. Na każdym z nich nakleiałam z Karolem samoprzylepną kartkę z imieniem, aby nie musieć otwierać zaproszenia w celu sprawdzenia adresata.

Każdej z nich podałam po jednym pudełku.

– Co to? – Monia zapytała pierwsza, jeszcze zanim zdążyły otworzyć pudełka.

Zaśmiałam się lekko i pokazałam, aby otworzyły. Jak na znak zrobiły to wspólnie i wspólnie zaczęły czytać wypisaną formułkę:

*Trzy czwarte z miłości, dwie piąte z rozsądku,
ciut z wyrachowania, trochę dla porządku,
kapkę dla tradycji, tyci dla reklamy,
oświadczamy wszystkim, że się pobieramy!!!*

Bernadetta Gałązka i Karol Hass

*serdecznie zawiadamiają,
że dnia 25 grudnia 2015 roku o godz. 17.00
obraczki sobie założą i Mendelssohna wysłuchają
podczas Mszy Świętej w kościele Opatrzności Bożej w Warszawie.*

*Po uroczystości Zaślubin
zapraszamy serdecznie W.P.
na przyjęcie weselne, które odbędzie się
w restauracji Parasol, Nieporęt.*

– Nie wierzę – jako pierwsza skomentowała wszystko Monia.

– Przekupiła go, toż to pewne, jak bum cyk-cyk – rzuciła Jolka.

– Karol nie może wziąć z tobą ślubu. – Głos Mari uciszył myśli każdej z nich.

Spojrzały na nią pytająco i czekały na uzasadnienie jej tezy.

– Karol jest gejem – powiedziała cicho Mari.

– Geje nie ślubują z kobietami – zauważyła Baśka.

– Bo to jest jak w tym przysłowiu... – zastanawiała się Monia.

– No, tym... no wiem jakim. – Jolka dołączyła do wspólnego spekulowania.

Siedziałam i cierpliwie patrzyłam, jak w ich głowach odgrywa się wielka burza myśli.

– Jak się lubi, co się lubi, to się to lubi – wpadła na pomysł Mari.

– Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma – postanowiłam im pomóc.

Kilka chwil wymieniały uwagi na temat trafności przysłowia w dzisiejszych czasach, po czym znów wbiły wzrok we mnie.

– Desperat? – Sama nie wiem, czy Jolka zapytała, czy stwierdziła.

– My się kochamy – próbowałam tłumaczyć, lecz pięć lwów mi nie pozwoliło.

– Kochamy, sramy! – rzuciła Zośka. – Chociaż to naturalna czynność filologiczna.

– Fizjologiczna – poprawiła ją Monia.

Czułam się coraz mniejsza i mniejsza, musiałam czekać, aż zmęczą się gdybaniem i dopuszczą mnie do głosu. Spekulacje trwały. Baśka powiedziała, że skoro Karol jest tak zdesperowany, że chce się ze mną ożenić, to ona ma kolegę geja i może umówić ich na randkę. Nie mogłam dłużej tego słuchać.

– Milczeć! – krzyknęłam w końcu, co zwróciło uwagę nie tylko moich przyjaciółek, lecz wszystkich gości restauracji.

Lwy wróciły do klatek ze spuszczonej głowami.

– Karol nie jest gejem – zaczęłam. – To był błąd, że tak myślałam, i sama miałam z tym wiele problemów. My naprawdę się kochamy, tylko musieliśmy dojrzeć, aby to zauważyć – wyznałam.

Ich oczy patrzyły w moją stronę, wciąż niedowierzając.

– Mówiłam, że to вина tych śmierdzących skarpet – skwitowała Marietta.

- Jakich skarpet? – zapytała Jolka.
- Tych, co je z gaciami pierze. – Mari wzruszyła ramionami.
- Berka, nie masz antyperspirantu do stóp? – zdziwiła się Zosia.
- Nie jej śmierdzących, jego – oburzyła się Mari.

Dziewczyny postanowiły nie drażnić tematu, co z jednej strony mnie cieszyło, lecz z drugiej wydawało się podejrzane. Nie spodziewałam się po nich odpuszczenia niewyjaśnionego tematu.

Przez kilka chwil przeglądały swoje pudełka, chcąc oswoić się z wiadomością o moim zamążpójściu.

– Bożeszce! – wykrzyknęła nagle Zosia.

– Co jest? – z lekko kpiącym uśmiechem zapytała Monia.

– Mamy mało czasu. – Zosia złapała się za głowę. – A suknie trzeba wybrać i wieczór paniński zrobić.

– Zośka, nie myślałam, że to kiedykolwiek powiem, ale masz rację. – Jola była wyraźnie zdziwiona mądrą myślą przyjaciółki.

I tak oto ustalono mój grafik na najbliższy tydzień. Najpierw przechadzka po wszystkich warszawskich salonach, które uda się Mari znaleźć w internecie. Przymierzanie minimum jednej sukienki, jaką wybierze każda z nich, to zdecydowanie za dużo, ale co ja mogłam, kiedy lwy znów opuściły klatkę. Jednak tym razem nie byłam dla nich pożywieniem, byłam małym lwiatkiem, któremu trzeba pomóc, aby nie zginęło na wolności.

– A wieczór paniński zrobimy pod jakimś hasłem przewodnim, to teraz modne – zaproponowała Zosia.

– Jakim? – zapytała ciekawa pomysłu Baśka.

– Właśnie nie wiem... Króliki są głupie, my musimy mieć coś wyjątkowego – zastanawiała się Zosia.

Nie było pary nad jej głową, bo nie było w niej nic, co mogłoby się przypadkiem przegrzać.

– Wyjątkowo będzie, jak ciebie na nim zabraknie – burknęła Jola, wyraźnie wracając do formy.

– Wiem! – Zosia nie zważała na słowa Jolki. – To będzie wieczór paniński z Myszką Miki.

– Miki był chłopcem, chyba o Minnie ci chodziło – poprawiła ją Monia.

Zosia aż przyklasnęła swojemu pomysłowi i już zaczęła planować, jak będzie wyglądał ten dzień. Ja w czerwonej sukni w białe grochy, z różową szarfą i uszami Myszką Miki czy tam Minnie. One w różowych sukienkach w białe kropki, bez szarf, ale także z uszami. Przejazdźka zabytkowym tramwajem, choć lepiej byłoby zapewne limuzyną, ale obiecały, że wezmą wszystko na siebie. Obiecały zaprosić także Agatę. Agata w stroju Myszką Minnie to dopiero będzie widok. Już się nie mogłam doczekać.

8 września 2015 roku

I kto by pomyślał, że tak entuzjastycznie przyjmą wiadomość o ślubie? Miały mnie zagryźć lub chociażby poszarpać, a one chciały szukać dla mnie sukni ślubnej i organizować mi wieczór paniński. Jednak przyjaciółki z nich wspaniały. Można na nie liczyć w każdej sytuacji.

Dziś pierwszy dzień wędrowki po warszawskich salonach. Marietta sporządziła wczoraj wieczorem listę salonów wraz z ich rozkładem na mapie miasta i przesłała mejlem każdej z nas w celu zaznajomienia z tematem. Liczba salonów nawet jak na Warszawę była według mnie zdecydowanie za długa. „Obym nie musiała zwiedzać wszystkich” – myślałam, szykując się do wyjścia z domu. Kop na szczęście od Karola i ruszyłam w drogę.

Pierwszy przystanek to dzielnica naszego dzieciństwa, Mokotów. Salon niewielki, ściany, pomalowane na pastelowy róż, idealnie pasowały do sukien ślubnych, znajdujących się dosłownie wszędzie. Niska

brunetka o bujnych kształtach i jeszcze bujniejszej fryzurze uśmiechnęła się promiennie, pytając, która z nas wychodzi za mąż. Nieśmiało podniosłam rękę, a ona chciała poznać moją wizję sukni. Opowiadałam o śnieżnobiałej syreniej sukni z trenem, chodzącej po mojej głowie od zawsze.

Stojąc za bezową kotarą, rozebrałam się do bielizny, jak prosiła ekspedientka. Czekałam cierpliwie, aż przyjdzie z sukniami, jakie jej opisałam. Zza zasłony słyszałam sprzeczki przyjaciółek, jednak postanowiłam się nimi nie przejmować, dziś to ja byłam najważniejsza, nie one. Brunetka wniosła cztery suknie, niewyglądające na wieszaku zbyt okazale. Pomagając włożyć mi pierwszą z nich, tłumaczyła, że na wieszaku żadna suknia nie wygląda atrakcyjnie, bo są one szyte, by zdobić kobietę, nie wieszak.

Kotara odsłoniła się powoli. Ekspedientka z zachwytem patrzyła na mnie, jakby była przekonana, że ta pierwsza suknia była tą moją jedyną (w jej mniemaniu oczywiście). Dziewczyny patrzyły uważnie, a ja czekałam na ich uśmiechy czy łzy wzruszenia, które nieraz widziałam w amerykańskich programach o poszukiwaniu sukien ślubnych.

– Berka... – Zośka mierzyła mnie od stóp do głów. – ...syrena nie jest dla ciebie, to nie na twoje biodra.

– Biodra? – zdziwiła się Jolka.

– No, zobacz, opina się na nich – tłumaczyła Zosia.

Jola z resztą dziewczyn wpatrywała się w okolicę moich bioder.

– Zocha, zastanów się, zanim coś powiesz – powiedziała Marietta.

– Wy nie widzicie? Ona ma ogromne biodra w tej sukni – bulwersowała się, przeczesując włosy.

– Ogromną to ty masz pustkę w miejscu mózgu – odpowiedziała Jolka.

– No do figury modelki to jej brakuje. – Zośka żarliwie broniła swojej opinii.

– Bo ona jest kobietą, nie kościotrupem – zauważyła Monia.

– Monia, byś się wstydziła wyzywać ją od trupa, i to jeszcze z samych kości, jak ona ma... hmmm... –

Zosia zamyśliła się na chwilę. – ...ogrom słoninki, może więc lepiej powiedz na nią słoniotrup lub tłuszczotrup.

Monia pozostawiła to bez komentarza, był on zdecydowanie zbędny.

– Ja to się martwię, że ona cycków nie ma. – Baśka z moich zbyt dużych według Zośki bioder zeszła na temat moich piersi.

Zośka okrążyła mnie kilka razy, wpatrując się w mój biust.

– Można wypchać, z góry nikt nie zobaczy – stwierdziła dumnie Zośka, zapewne mając wprawę w wypychaniu stanika watą.

– Nikt nie zauważy, ale jak się Karol po weselu zdziwi – zaśmiała się Jolka. – Były cycki, nie ma cycków.

Dziewczyny wybuchły śmiechem, a ja, mając dość ich komentarzy, weszłam za kotarę, by włożyć kolejną suknię. Ekspedientka szeptem wyznała mi, że najważniejsze jest moje zdanie, że nie da się zadowolić wszystkich, a to ma być mój dzień. Kolejna suknia, kolejna śnieżnobiała syrena do ziemi.

– Wow! – Monia wydawała się zadowolona z mojego wyglądu. – Wyglądasz jak...

– Jak księżna Diana – dokończyła Jolka, a Monia tylko skinęła głową.

– Bożeszczu, przecież ona umarła na weselu – błysnęła Zosia.

Nawet ekspedientka zdawała się zaskoczona mądrościami mojej przyjaciółki.

Sukienka numer trzy okazała się „ptysiem”, a czwarta była kompletną porażką kolorystyczną, według Marietty. Śnieżna biel miała być śnieżnobiała, a nie tylko biała, jak tłumaczyła zdziwionej ekspedientce. Zdegustowane brakiem empatii oraz znajomości tematu sukien ślubnych u ekspedientki, moje przyjaciółki postanowiły natychmiast wyjść z salonu. Wiedziałam, że będzie ciężko, ale żeby aż tak? Pięć specjalistek od mody ślubnej, pięć starych panien kontra ja, biedna przyszła panna młoda, chcąca spełnić swoją wymarzoną wizję ślubu ze snów.

Kolejny salon, zupełnie inny niż poprzedni. Wyraźne kolory na ścianach były znakiem wyrazistej myśli

pracowników, jak stwierdziły dziewczyny. Młoda blondynka, może dwudziestoletnia, zapewne ledwo zdała maturę (jeśli w ogóle ją zdała przy takiej niskiej zdawalności w ostatnich latach). Nawet nie pytała o moje sugestie. Skierowała się do manekina i zdjęła z niego suknię, podając mi ją bez słowa. Nie chcąc jej urazić, że to nie mój styl, założyłam suknię i pokazałam się przyjaciółkom.

– Połączenie ptasiego mleczka z bezą, zacznę rzygać – rzuciła Jolka, symulując odruchy wymiotne.

Marietta delikatnie uderzyła ją w plecy, chcąc uspokoić sytuację.

– Gdzie ty tu ptasie mleczko widzisz? – zapytała zniesmaczona Baśka.

Przeglądałam się w ogromnym lustrze i widziałam... widziałam wielką bezę, stworzoną z ohydnej sukni. Salon numer dwa zaliczony ekspresowo. Jedna suknia wystarczyła, abyśmy wyszły dalej poszukiwać tej jedynej.

Salon numer trzy miał być ostatnim na dziś. Przystojny mężczyzna w garniturze podszedł do nas i pocałował każdą w dłoń. Zapytał, która z nas wychodzi za męża, po czym wyraźnie zachwycony wyglądem Zosi, zabrał ją na przeszukiwanie wieszaków. Rozbierałam się w przymierzalni, czekając w strachu na suknie stylizowane przez Zośkę. Mężczyzna przewiesił suknie nad moją głowę i poprosił, bym założyła wpieryw jedną z nich, a on pomoże mi ją zapiąć. Wykonałam prośbę dość mozolnie. Nie miałam wprawy w zakładaniu tak ciężkich sukni i w myślach chwaliłam poprzednie dwa salony za pracujące w nich kobiety.

Przystojniak wszedł na mój znak pomógł mi w wiązaniu sukni. Kotara odsłoniła się, a ja zobaczyłam błysk w oczach Zosi. Niestety, tylko w jej oczach.

– Piękna – zachwycała się.

Reszta dziewczyn milczała. „Musi być bardzo źle” – pomyślałam, bojąc się odwrócić, by spojrzeć w lustro.

– Tylko te twoje nogi wyglądają jak te... – Zosia szukała w myśli skojarzenia. – ...no, te słupy w Turcji.

– Kolumny, kretynko, kolumny – upomniała ją Marietta.

Przypominam sobie zdjęcia z tureckich wakacji dziewczyn, na które nie mogłam pojechać z powodu cofnięcia mojego urlopu. Spakowana walizka, opłacona rezerwacja i marzenia o drinkach nad basenem legły w gruzach, kiedy mąż szefowej zadzwonił, że jego żona miała ciężką operację i nie może pracować. Przeglądając w myślach kalendarz umówionych wizyt, widziałam przed sobą twarze przyszłych pań młodych, umówionych na ślubny makijaż, którego miało nie być. Nie miałam serca, nie mogłam im tego zrobić. Odwołałam wakacje, by klientki były zadowolone. Szefowa zwróciła za opłaconą rezerwację, dała trochę premii, lecz kiedy okazało się, że jej poważna operacja to zmiana wielkości miseczki z B na D, to oszalałam z wściekłości.

– Berka, wyglądasz komicznie w tych trampeczkach i skarpetkach w paski – śmiała się Baśka.

– Karol mi kupił skarpetki – pochwaliłam się, lecz, sądząc po ich minach, one nie doceniły wyjątkowości jego prezentu.

Nie zdawały sobie sprawy, że mój przyszły mąż miał tylko pasiaste skarpety, jakby miał jakiś fetysz na tym punkcie. Zakup pasiastych skarpet dla mnie na pewno sprawił mu radość, a widok ich na moich stopach na pewno zaostrzał mu apetyt na seks.

Odwróciłam się do lustra. Nie wierzę! Nie wierzę, że ona coś takiego nazwała pięknym. Śnieżnobiała suknia z długim trenem z tyłu, przykrótkim przodem, rzeczywiście ukazującym moje nogi jako dwa ogromne filary, i te cekiny czy inne świecące tandety przyczepione do gorsetu, charakteryzowały mnie bardziej na tirówkę w odświętnym stroju, nie przyszłą mężatkę. Moje trampeczki, znad których wylaniały się pasiaste skarpety, były zdecydowanie najpiękniejszym elementem mojego ubioru. Sądząc po minach czterech moich przyjaciółek, ich zdanie było podobne.

11 września 2015 roku

Czternaście lat temu, wpatrzona w telewizor, oglądałam wiadomości, w których jedynym tematem był zamach na World Trade Center. Cały świat jednoczył się w cierpieniu osób zza oceanu, zastanawiając się, dlaczego tak musiało się stać. Dziś w wiadomościach królowały inne tematy, ale temat zamachu był traktowany niczym obowiązkowa wzmianka, której nie wypadało pominąć.

Wyłączyłam telewizor, chcąc się zrelaksować.

Siedziałam po turecku na podłodze, kiedy do mieszkania wszedł Karol.

– Co robisz? – Zdziwił go mój widok na podłodze.

– Trenuję jogę!

– Jogę? – Zdziwiło go to jeszcze bardziej.

– Nie widzisz? Teraz koncentruję myśli i wysyłam je do fazy uspokojenia. – Pokazałam mu ściśnięte z sobą kciuki z palcami wskazującymi.

Karol badawczo mi się przyglądał. Nie chcąc tracić czasu, zamknęłam oczy, aby faza uspokojenia została osiągnięta.

– Wyciszasz się, słuchając Evanescence? – przerwał mi ponownie. – Berka, według mnie to twoje myśli zamiast koncentracji dostają potężnej wibracji, a faza uspokojenia ma więcej wspólnego z pobudzeniem. – Wyłączył radio.

– Co robisz? – Chciałam być spokojna, lecz zamierzony efekt nie został osiągnięty.

– Teraz skoncentruj myśli – polecił.

Ponownie zamknęłam oczy, złożyłam palce i zaczęłam medytację.

– Cholera, uciekły! – denerwowałam się, wstając z podłogi.

– Nie uciekły – śmiał się Karol – ich nigdy tam nie było.

Wciąż zdenerwowana, postanowiłam napić się zielonej herbaty. Poszłam do kuchni, by zagrzać wodę, czując na sobie wzrok Karola. Nie pytał o nic, czekał, aż pęknę. Czułam na sobie jego spojrzenie i wtedy nie wytrzymałam – rzuciłam mu się na szyję i zaczęłam szlochać.

– Mam ich dość...

– Wiedziałem, wiedziałem, że to one stoją za tą nieudaną jogą. – Słowa Karola jeszcze bardziej wyprowadziły mnie z równowagi.

Nie ma nic gorszego niż słowa: „a nie mówiłem” czy „wiedziałem, że tak będzie”. Moja mama od zawsze nadużywała tych stwierdzeń, stosując je naprzemiennie dosłownie w każdej sytuacji. Nawet podczas pogrzebu jednego z wujków nie potrafiła jego żonie powiedzieć nic innego, jak swoje słynne: „a nie mówiłam”. Dodawała do tego oczywiście drugie człony typu: „że nie dociągnie do świąt” czy „że zdradzi z pierwszą lepszą” (to drugie wypaliła do kuzynki w zaawansowanej ciąży).

– Co zrobiły? – Karol chciał jak najwięcej ze mnie wyciągnąć.

Przytuliłam się do niego mocniej, chcąc wtopić się w jego ciało. Pociągnęłam nosem, zostawiając niewielki ślad na błękitnej koszuli.

– Z nimi nigdy nie wybiorę sukni ślubnej – pożałowałam się.

– Aż tak źle?

– Jestem bezą, ptysiem, moje nogi to tureckie kolumny z antycznego Side, śnieżnobiały jest biały, a nie śnieżny – zaczęłam wyliczać – w tej się potknę, w tej widać boczek, a ta za bardzo opina biodra, których ponoć nie mam. Już nie wspomnę o mojej słabej skórze, niepasującej do bieli czy écru, a w koronkach wyglądam jak ladacznica, bezwstydnica i jakoś tam jeszcze.

– Wywłoka? – zgadywał Karol.

– Skąd wiesz?

– Jakoś tak mi to do Zośki pasowało. – Zaśmiał się, a ja razem z nim.

Tulił mnie mocno, chcąc uspokoić mój płacz.

– Może ze mną pójdziesz na polowanie? – zaproponował nieoczekiwanie.

– Karol, ja szukam sukienki na nasz ślub, a ty mnie na polowanie chcesz zabrać? Co ja mam jelenia

sobie na wesele założyć czy sarnę, a może biednego królika?

Zerknął na mnie niepewnie.

– Chodzi mi o polowanie na suknię ślubną – wytłumaczył.

Natchniona nową nadzieją, pobiegłam do pokoju, by włączyć laptop. To był ten moment, by pokazać mu wybrane suknie. Niech spojrzy na nie swoim męskim okiem. Zawołałam go i ułożyłam się wygodnie na poduszce, uważając, że lepiej przeglądać ponad dwieście zdjęć, leżąc. Włączyłam pokaz slajdów, z ekscytacją wpatrując się w wybrane suknie. Co jakiś czas zerkałam na reakcję Karola. Za trzecim razem jego oczy nie patrzyły już na wybrane przeze mnie suknie, nie patrzyły już na nic. Zatrzymałam pokaz slajdów.

– Karol, nie śpij – denerwowałam się.

– Przecież nie śpię – odparł cicho.

Zagotowałam się.

– Widzę, że śpisz. Masz zamknięte oczy – zauważyłam.

– Oglądam powieki od środka, kochanie – wyznał, po czym z jego ust wydobyło się lekkie chrapnięcie.

– I pewnie wołasz świnię w chlewie – powiedziałam, bardziej do siebie, zdając sobie sprawę, że on już na dobre odpłynął.

Polowanie na sukienkę w zbiorze dwustu zdjęć zaliczyłam do nieudanych. A do wesela zostało już tylko sto pięć dni. Sto pięć dni, a drugie tyle spraw do załatwienia. Planowany koniec świata, spełnienie apokalipsy, wyznaczam na 25 grudnia, kiedy to przyjadą weselni goście, a zamiast wesela zastaną panną młodą w worku, młodego w starym, wysłużonym garniturze i brudnej od smarków koszuli. Wesele się zbliżało, oddalając marzenia o jego idealnej organizacji.

21 września 2015 roku

Ślub i wesele zbliżały się niczym nieprzyjaciel podczas wojny. Karol wydawał się wyluzowany i zrelaksowany, co jeszcze bardziej mnie dysharmonizowało. Suknia ślubna wciąż była dostępna jedynie w mojej wyobraźni, goście powoli zaczęli potwierdzać swoje przybycie i pytać, co chcemy: prezent czy pieniądze.

Karol przyjechał po mnie do pracy zdecydowanie za szybko. Uśmiechnięty, ogolony i wypachniony, nie mógł pozostać niezauważony, wchodząc do salonu. Zapytał, ile jeszcze mam pracy na dziś, a ja spojrzałam błagalnym wzrokiem na szefową, która wydobyła z siebie w końcu magiczne słowa: „Idź, dam sobie radę”.

Szczęśliwa, chłonełam ciepłe powietrze z zewnątrz, zdając sobie sprawę, że już niedługo jesień zawita na dobre. Skończą się przyjemne słoneczne dni, kiedy kurtka była jedynie ozdobą naszych stylizacji, by na ich miejsce mogły przyjść dni ponure, deszczowe i depresyjne. Szybciej zapadać będzie zmrok, później wschodzić będzie słońce, o ile w ogóle jeszcze zaświeci.

– Co tak szybko? – zapytałam, wsiadając do samochodu.

Pocałował mnie delikatnie w usta, zapalił silnik i ruszył przed siebie, nie odpowiadając na moje pytanie. „Niespodzianka” – pomyślałam, czując dreszcz ekscytacji.

Zatrzymaliśmy się przed okazałym budynkiem na Nowolipiu, w oknach którego widać manekiny ubrane w suknie ślubne. Patrzyłam na narzeczonego, dziękując mu uśmiechem za tak miłą niespodziankę. „Jednak chce ruszyć ze mną na polowanie” – pomyślałam z radością, przyglądając się sukniom w witrynie.

– Nie wyjdziemy stąd bez ubrań weselnych – zapowiedział, ciągnąc mnie za rękę do środka.

Nogi same prowadziły mnie w kierunku drzwi. Karol niczym dżentelmen otworzył przede mną duże szklane drzwi, aby przepuścić mnie pierwszą do środka. Bordowo-beżowy wystrój wydawał się odważny, lecz nie przytłaczał. Ekspedientka w czarnym kombinezonie uśmiechała się do nas już od progu. Pozwoliła nam spokojnie przejrzeć wystawione suknie, a potem podeszła, by miłym głosem zapytać:

– Kiedy ma odbyć się ślub?

– Dwudziestego piątego grudnia – wyznałam.

Młoda ekspedientka patrzyła czujnie na Karola.

– Pan Hass, prawda?

Skinął głową, a ona udała się na zaplecze. Przyszła po chwili z kilkoma sukienkami, przewieszonymi przez ramię, i gestem zaprosiła mnie do przymierzalni.

– Skąd pani zna mojego narzeczonego? – zapytałam, kiedy kobieta czekała, aż rozbiore się do bielizny.

– Znam to za dużo powiedziane. – Uśmiechnęła się. – Pani narzeczoney wysłał nam w zeszłym tygodniu kilka zdjęć sukienek, prosząc o sprowadzenie ich dla pani.

Kobieta pomogła mi włożyć przez głowę pierwszą suknię, zawiązała ją aksamitną wstążką z tyłu, po czym zerknęła z uśmiechem i odsłoniła beżową kotarę.

– No, no, no – zachwycał się Karol. – Idealna suknia na idealnej kobiecie.

Odwróciłam się w stronę lustra i zobaczyłam przed sobą... piękną kobietę. Nie mogłam uwierzyć, że to ja. Piękna, taka elegancka, skromna i delikatnie połyskująca. Poznałam suknię, którą widziałam miliony razy na zdjęciu w moim komputerze. Na jednym z tych dwustu, przy których zasnął Karol, a dziś miałam ją na sobie, i to dzięki niemu. „Kiedy on to zrobił?” – zastanawiałam się, wpatrując się z podziwem w swoje lustrzane odbicie.

– Podać welon? – zapytała ekspedientka.

– Poprosimy o ten krótki – polecił Karol, tonem znawcy ślubnych dodatków.

Kobieta podeszła do wieszaków i zdjęła z nich kilka welonów, by kolejno przypiąć je na moich włosach. Pierwszy, z delikatnymi koronkowymi obszyciami w stylu hiszpańskim, widząc moją minę, szybko zdjęła, by na jego miejscu zaczepić krótki welon z drobnymi kryształkami, znajdującymi się na jego końcach.

– To ten. – Byłam zachwycona.

Czułam, że błyszczę teraz jeszcze bardziej niż kilka chwil temu. Spojrzałam na Karola i zobaczyłam jego promienny uśmiech, mówiący, że i jemu się podobało. Śnieżnobiała syrena z odpinanym trenem i kryształkami Swarovskiego na gorsecie była spełnieniem moich marzeń.

– A inne sukienki? – zapytałam Karola.

– Pan Hass prosił, abyśmy zaczęli od tej, bo on chciałby jeszcze dziś kupić smoking. – Ekspedientka zaśmiała się, pozwalając mi po raz ostatni spojrzeć w lustro na swoje odbicie. – Nie trzeba przeróbek?

– Nie, nie, żadnych, absolutnie – odpowiedziałam z radością.

Ponownie udałyśmy się za kotarę, by tym razem zdjąć moją wymarzoną suknię. Zapytałam jeszcze sprzedawczynię, czy mogę rzucić okiem na pozostałe modele, a ona z uśmiechem pokazała mi suknie, które także były w moim folderze. Byłam mile zaskoczona, że Karol zadał sobie tyle trudu, aby mi pomóc. Już możemy iść polować na jelenie, sarny, króliki, a nawet dziki, zaczynając oczywiście od polowania na smoking.

– Teraz ja, a ty dzwoń do Tadka, żeby kasę szykował – śmiał się Karol, wchodząc za kotarę.

Kobieta poszła w stronę męskiego działu, by przynieść z niego kilka modeli smokingu w różnych odcieniach granatu. Słyszałam śmiech dobiegający z przebieralni i byłam delikatnie zazdrosna, że to ekspedientka ujrzy pierwsza mojego narzeczonego w smokingu. Kotara odsunęła się powoli, by w końcu ukazać moim oczom odmienionego Karola. Eleganckiego, szykownego i dostojnego. Kolor był za ciemny, ale krój odpowiedni.

– Wolałbym jaśniejszy. – Karol wydawał się czytać w moich myślach.

– Ale pięknie leży, do tego mucha i będziesz perfekcyjny – westchnęłam.

– Będę cię od dziś dotykał w białych rękawiczkach, skoro tyle we mnie perfekcji. – Uśmiechnął się i wszedł ponownie za kotarę.

Cierpliwie czekałam na ponowne uchylenie beżowego skrawka materiału, próbując podsłuchać rozmowy w środku.

– Tadam! – Karol z radością uchylił kotarę, by pokazać mi siebie w idealnym odcieniu atramentowego granatu.

– Ten kolor to hit sezonu, do tego proponuję muszkę, która będzie kolorystycznie się odróżniała – mówiła kobieta.

Wpatrywałam się w narzeczonego, coraz bardziej pewna swojej decyzji o ślubie i coraz bardziej zawiedziona, że nie dostrzegałam wcześniej tego, co nas musiało już od dawna łączyć. Ogniki w moich oczach nie mogły pojawić się dopiero teraz, były tam pewnie od dłuższego czasu.

– Czerwona – zaproponowałam.

Ekspedientka ruszyła w kierunku lady, za którą znajdowały się muszki. Wróciła z kilkoma, dając nam możliwość wyboru odpowiedniej.

– Ta będzie pasowała do moich butów, kwiatów i w ogóle jest piękna. – Wskazałam czerwoną muszkę z niebieskimi, ledwo zauważalnymi kwadracikami na niej.

Ekspedientka założyła muszkę Karolowi, a ja zaczęłam chichotać. Przypominał mi teraz jednego ze znanych polskich polityków, od lat noszącego ogromne muchy. Karol zrozumiał, o co mi chodzi i sam także zaczął się śmiać. Zdezorientowana ekspedientka zastygła w pół kroku, nie wiedząc, czy nasze rozbawienie świadczy o dokonaniu wyboru, czy wręcz przeciwnie.

– Bierzemy wszystko – rzucił wesoło Karol, wchodząc za kotarę.

Czekając, aż się przebierze, chodziłam po salonie, przypatrując się ślubnym dodatkom.

– Cholera jasna! – krzyknęłam nagle.

Zza kotary wyłoniła się ekspedientka, a zaraz za nią Karol bez koszuli.

– Coś się stało? – Kobieta w okamgnieniu była przy mnie.

– Nie wybrałam bolerka – rzuciłam smutno.

Karol wrócił do przymierzalni, wcześniej pokazując ekspedientce, aby się mną zajęła. Kobieta przeglądała wieszaki i w końcu podała mi jeden z nich.

– Bolerko zapinane na plecach, wygląda jak część sukni, a dość gruba koronka pozwala uniknąć dziurawienia przez kryształki. Przymierzamy?

– Bierzemy – zdecydowałam. – Będziemy mieć choć jedno zaskoczenie w dniu ślubu.

– Oby jedyne – wymamrotała pod nosem kobieta, myśląc, że jej nie słyszę.

Karol uregulował rachunek i zapytał, czy możemy odebrać rzeczy na kilka dni przed ślubem. Ekspedientka zgodziła się, przyczepiając do wszystkich rzeczy karteczki z napisem HASS i chowając je na zapleczu. Zadowoleni opuściliśmy salon, mając załatwione dwie ważne sprawy. Ubiór weselny to wręcz najważniejszy akcent tego wydarzenia. Już nie pójdę w worku, a on w znoszonym garniturze. Nasze królewskie stroje czekały, aby przybrać nasze ciała w jednym z najpiękniejszych dni życia.

– Dwudziestego dziewiątego weź sobie wolne – powiedział Karol, kiedy wsiedliśmy do samochodu.

– Po co?

– Urząd stanu cywilnego – rzucił.

Krótkie godziny urzędowania, długie kolejki i częste picie kawy podczas zbyt częstych przerw – na to zdecydowanie potrzeba dnia wolnego. Aż dziw, że urlop okolicznościowy na wypadek ślubu nie przewidywał dodatkowego dnia wolnego na stanie w urzędowej kolejce, wydającej się często nie mieć końca.

Urzędem jeszcze zdążę się pomartwić. Dziś nadszedł czas świętowania udanych weselnych zakupów. „Jak tak dobrze nam idzie, to może namówię Karola na wybór kilku dodatków?” – pomyślałam, układając w głowie długą listę rzeczy, które musimy jeszcze zakupić.

29 września 2015 roku

Nienawidzę urzędów, nienawidzę i już! Polska biurokracja może wykończyć każdego, nawet najbardziej spokojny i cierpliwy człowiek będzie zmęczony godzinnym oczekiwaniem na swoją kolej,

która może nastąpić albo i nie. Pamiętam, jak kilka lat temu poszłam po skrócony odpis mojego aktu urodzenia. Czekałam i czekałam, a kiedy w końcu byłam na tyle blisko, by czuć zapach starych drewnianych drzwi, kobieta wesoło oznajmiła, że godziny pracy urzędu właśnie się skończyły i interesantów zapraszają jutro od godziny ósmej. Jej wesoły głos odbił się smutnym echem w mojej głowie, które do dziś tam pobrzmiwa i powtarza: „Nienawidzę urzędów!”.

Kolejki rodem z tych z opowieści mojego taty, kiedy to stało się, bo coś przywieźli, mimo iż nikt nie wiedział co. Wszystko było potrzebne, więc nie istniał problem, co zrobić z niechcianym towarem. Urząd to taka komuna z opowieści taty, której mogę zaznać na własnej skórze. Jedyna różnica była taka, że tu nic nie przywieźli, a ja wiedziałam, na co czekam.

Przed nami pięć par. Pierwsza to mężczyzna z motoru i jego równie motocyklowa kobieta. Ich ubrania idealnie opinały ciała, a kaski w dłoniach jedynie potwierdzały moją tezę. Druga para – para milczków. Siedzieli obok, nic do siebie nie mówiąc, nawet na siebie nie patrząc. Jedynym, co świadczyło o ich wspólnym czekaniu, było równoczesne podniesienie się, kiedy motocykliści opuścili pokój numer siedem. Trzecia para to młoda kobieta z widocznym już brzuszkiem i jej zdecydowanie starszy, szpakowaty partner. Ona – zapatrzona w niego, pewnie zakochana w nim po uszy, on – zdecydowanie zdenerwowany czekaniem. Czwarta para to dwoje młodzików, może dopiero osiągnęli pełnoletność i chcąc pokazać swoją dorosłość, postanowili wziąć ślub. I para piąta, najdłużej czekająca przed nami. Ona – ewidentnie rządząca w tym związku i on – potulny baranek. Z ich rozmów można było wywnioskować, że ślub to jej pomysł, bo miała dość wiecznych pytań o męża i dzieci. Mężczyzna uśmiechał się głupkowato, by mogła pogłaskać go po głowie, jak małego szczeniaczka.

Kiedy z pokoju numer siedem wyszedł „szczeniaczek” i jego pani, podnieśliśmy się z Karolem, by czym prędzej wejść do środka. Zapukaliśmy do drzwi i nie czekając na „proszę”, weszliśmy do pokoju.

Siedząca za biurkiem kobieta z wyraźnie niezadowoloną miną, wskazała nam dwa krzesła przed sobą. Siedliśmy na nich, czekając, aż kobieta poświęci nam swój czas. Ubrana w tanią koszulę, kupioną zapewne na ostatniej z wyprzedaży kobieta siedziała, wklepując coś jednym palcem do komputera. Ewidentnie widać było, że klawiatura nie jest jej najwierniejszym przyjacielem.

– Dowody poproszę. – Przeniosła wzrok na nas.

– Dowody? – zapytałam, mało przytomnie.

– A co, z drzewa spadła? Chce wziąć ślub, co bez dowodów nie jest możliwe – powiedziała, a z każdym wypowiedzianym słowem wydawała się coraz bardziej naburmuszona.

Uważnie oglądała nasze dowody, po czym dodała:

– A jednak z tym drzewem to miałam rację. – Zaśmiała się, co sprawiało nieco upiorne wrażenie. – Gałązka się urwała.

– Narzeczona się zestresowała i stąd jej zachowanie – wziął mnie w obronę Karol.

Urzędniczka jednym palcem wklepywała nasze dane do komputera, co jakiś czas zadając pytania o nazwiska panieńskie matek, nasz stan cywilny czy powody zawarcia związku małżeńskiego. Cierpliwie czekaliśmy aż skończy pisać, rozumiejąc w końcu, skąd tak długi czas oczekiwania na wejście do pokoju numer siedem.

– Nazwisko? – Zerknęła na mnie.

– Gałązka – odpowiedziałam niepewnie, bo przecież już wcześniej je znała.

– Nazwisko po ślubie. – Przewróciła oczyma.

W panice spojrzałam na Karola, zdając sobie sprawę, że nie rozmawialiśmy na ten temat. Pochodziłam ze staroświeckiej rodziny, więc naturalne wydawało się przyjęcie nazwiska męża, ale dopiero teraz uświadomiłam sobie, że niełatwo pożegnać się z Gałązką, która towarzyszyła mi przez dwadzieścia osiem lat.

– Hass – powiedziałam z wahaniem w głosie, a urzędniczka wklepała to do komputera.

– Dzieci? – Zerknęła na nas ponownie.

– Brak – odparł Karol, zgodnie z prawdą.

– Nazwisko dzieci, jak już będą – wytłumaczyła, wyraźnie tracąc już cierpliwość.

– Hass – powiedzieliśmy jednocześnie.

Kobieta wpisała w odpowiednim miejscu naszą decyzję, po czym kliknęła przycisk „drukuj”.

– Przeczytać i podpisać – nakazała, podając nam papiery.

Potem postawiła kilka pieczętek i zapytała, czy uiściliśmy już opłatę za akt, na co Karol skinął głową.

Podana nam białą kopertę i poprosiła o dostarczenie księdzu. Pokrótce przedstawiła nam dalsze kroki i ledwie ściskając nasz dłoń, życzyła nam szczęścia na trudnej drodze życia we dwoje.

Z ulgą opuściliśmy pokój numer siedem. Ubożsi o sześć spędzonych w urzędzie godzin, bogatsi o kopertę dla księdza, ruszyliśmy w kierunku kościoła, aby jeszcze dziś pozbyć się dokumentów.

– Rozwódka, na pewno – podsumowałam urzędniczkę.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Karol.

– Życzę szczęścia na tej trudnej drodze życia we dwoje – przedrzeźniałam.

– Może po prostu wypalona zawodowo – zasugerował Karol.

– Zwał jak zwał, męża nie ma na pewno – kończę rozmowę.

Kolejna kolejka, tym razem w kancelarii, zdecydowanie szybciej przybliżała nas ku spełnieniu planu na dziś. Po przekazaniu koperty ksiądz zaprosił nas w październiku na spisanie przedślubnego protokołu.

„Cholera, co to?” – pomyślałam, obiecując sobie, że jak tylko dotrę do domu, to sprawdzę, na czym on polega. Nie chciałam niespodzianek.

W doskonałych nastrojach opuściliśmy kancelarię. Głupio mi pytać Karola, czy bał się protokołu. Spekulowałam w myślach, co może on zawierać. Nawet Kościół chce ingerować w nasze życie po ślubie i już zawczasu ustalić, kto zmywa, a kto wynosi śmieci czy prasuje? Ciekawe czy będą pytać, ile stosunków seksualnych w miesiącu będziemy uprawiać?

15 października 2015 roku

Do ślubu pozostało siedemdziesiąt jeden dni, a my byliśmy zdecydowanie bliżej odniesienia spektakularnego sukcesu niż miesiąc temu. Zagrożenie apokalipsą chwilowo ustąpiło, lecz na wszelki wypadek stopień zagrożenia nie zostanie uznany za wyeliminowany. Zawsze lepiej się miło zaskoczyć niż niemile zawieść.

Internet dużo mówił o przedślubnym protokole, kiedy to ksiądz pyta o długość związku, narzeczeństwo, znajomość i zgodę rodziców oraz inne przedziwne tematy. Nieuwzględnienie kwestii prasowania, prania i sprzątania wyraźnie mnie uspokoiło. Perfekcyjną kurą domową to ja nigdy nie byłam i raczej nie będę, ale po co zaraz wtajemniczać w to duchownych.

Ksiądz, widząc nas w poczekalni, poprosił, abyśmy weszli jako ostatni, gdyż będzie musiał nam poświęcić najwięcej czasu. Kiedy przyszła nasza kolej, weszliśmy do środka i zaczęliśmy odpowiadać na dobrze mi już znane pytania. Ksiądz zapisywał skrupulatnie nasze odpowiedzi, po czym poprosił Karola o wyjście na zewnątrz. „Cholera, nie doczytałam do końca” – pomyślałam, bo w przeczytanym przeze mnie w Internecie fragmencie nie było mowy o spotkaniach sam na sam z księdzem.

– Teraz kilka pytań na temat przeszkód zawarcia małżeństwa – zaczął, a ja pożałowałam, że nie chciało mi się czytać dalej artykułu.

Skinęłam głową.

– Czy ma pani wątpliwości, co do stanu swojego zdrowia? – zapytał.

W tym momencie cieszyłam się, że nie rozmawiał ze mną ksiądz Nikodem, który już mnie przypadkowo pochował, a może i nieprzypadkowo. Wtedy to by dopiero była trudna sytuacja.

– Jestem zdrowa, wykluczając kilka alergii i przechodzoną grzybicę... – Spuściłam wzrok na krocze. – ...która może powrócić, ale to dotyczy ponoć siedemdziesięciu pięciu procent kobiet.

Ksiądz skrupulatnie zanotował wszystko, co powiedziałam, łącznie z odsetkiem kobiet mających grzybicę pochwy.

– Czy będzie pani mogła mieć dzieci? – Kolejne pytanie, kolejne zaskoczenie.

– Nie wiem. Nigdy nie badałam się w tym kierunku – wyznałam.

– Czyli nie ma pani pewności, że może, ale nie wie pani też na pewno, że nie może?

– No nie – potwierdziłam, choć zgubiłam się już w połowie tego, co mówił.

Kolejne pytania dotyczyły poprzednich małżeństw, więc nie mnie.

– Czy jesteście państwo ze sobą spokrewnieni?

– Jejku, mówią nam, że jesteśmy do siebie podobni, ale żeby zaraz pokrewieństwo? Minimum do dziesiątego stopnia nie.

– Czemu do dziesiątego? – zaciekawił się.

– Nie wiem, tak mi się powiedziało – przyznałam. – Niech ksiądz pisze, że nie.

Uśmiechnął się lekko.

– O podobieństwie też napisałem. Muszę odnotować wszystko, co pani mówi, aby nie było potem roszczeń.

„Berka, zamknij się” – powtarzałam sobie w myślach, żałując po raz pierwszy, że najpierw mówię, potem myślę, co może źle wpłynąć na ocenę naszego związku.

– Czy w rodzinie występują przypadki chorób psychicznych?

Chciałam ugryźć się w język, ale nie wyszło.

– Oficjalnie nie, ale na pewno kilka osób powinno mieć takowe oświadczenia – wyznałam. – Zaraz, zaraz... „orzeczenie” się chyba mówi, nie „oświadczenie”, niech ksiądz dobrze zapisze, żeby nie było, że jestem niedouczona. – Wskazałam w protokole miejsce, gdzie miał poprawić.

– Czy jest pani przekonana o swoim zdrowiu psychicznym?

– I to jest pytanie, proszę księdza. – Rozsiadłam się wygodnie, zapominając, w jakim celu tam byłam.

– Moja przyjaciółka pracuje z takimi, co, wie ksiądz, są odchyleni. Ona wie dużo, ale to takie też zбочzenie zawodowe, jak na nas patrzy. Według niej każdy z nas ma jakąś chorobę psychiczną, tylko dobrze skrywaną, a przynajmniej co czwarty z nas powinien mieć ją definitywnie stwierdzoną. Księdzu też by pewnie coś wynalazła. – Zerknęłam na niego litościwie. – Ale przechodząc do sedna sprawy, to mam problem, bo ponoć schizofrenia i inne cięższe choroby psychiczne ujawniają się dopiero po trzydziestym roku życia. I ja tu dziś księdzu powiem, że jestem zdrowa, a za dwa lata będę za Karolkiem z siekierą latać, i co? – Duchowny wyraźnie się przestraszył. – Ale serio to niech ksiądz pisze, że jestem zdrowa, bo przecież wystarczy spojrzeć i już wiadomo, że nie mam tych oczu szaleńca – skończyłam z uśmiechem.

Ksiądz zaczął notować moją wypowiedź, zdecydowanie wykraczającą ponad przeznaczone na nią miejsce.

– Naprawdę po trzydziestce jest najgorzej? – dociekał.

– Ponoć tak – wyszeptalam. – Psychiatria ma swoje różne przedziały wiekowe, ale nie wiem dokładnie, jak to wygląda. A na miejsce w szpitalu trzeba czekać, choć ksiądz, jako duchowny, pewnie po znajomości dostanie miejsce. – Uśmiechnęłam się ponownie, a protokolant był coraz bardziej przybity.

Kolejne pytania nie były już tak ciekawe. Czy ktoś nas zmuszał do ślubu, czy mamy nałogi i takie tam mało ważne sprawy. Kończymy wypisywanie protokołu, ksiądz podał mi go do podpisu, prosząc raz jeszcze o sprawdzenie danych.

– Drugie imię też trzeba podać? – zapytałam cicho.

– Jeśli było dane na chrzcie świętym, to oczywiście – odpowiedział, a ja podałam mu swój dowód

osobisty.

Wyszłam z kancelarii, aby ustąpić miejsca narzeczonemu.

– Jak było? – zapytał, kiedy mijaliśmy się w drzwiach, lecz nie zdążył usłyszeć odpowiedzi.

Ksiądz zamknął za nim drzwi, a ja wyjęłam książkę z torebki. Szykowałam się na nasiadówkę, skoro mnie zajęło to jakieś pół godziny. Nawet nie ukończyłam jednego rozdziału, a on już wychodził z środka. Rzucił szybkie „Szczęść Boże” i wyszliśmy z kancelarii, trzymając się za rękę.

– Co ty tam tyle robiłaś? – zapytał.

– Odpowiadałam na pytania księdza.

– Właśnie widziałem, że na pytania na „tak” lub „nie” odpowiadałaś trzema pełnymi zdaniami, lecz nie mogłem doczytać, co dokładnie. – Zaśmiał się.

– Może to i lepiej – skwitowałam.

Rozległ się dźwięk mojego telefonu. Nerwowo zaczęłam przeszukiwać torebkę, bezskutecznie. Stałam na środku chodnika i wściekła wyrzuciłam całą zawartość torebki na szare płyty chodnika. Książka, pomadki, lakiery, śrubokręt, gaza, chusteczki, portfel, długopisy, cukierki to tylko nieliczne z rzeczy, które znalazły się na chodniku, prócz telefonu.

– Co jest? – rzuciłam wściekle, nie patrząc na to, kto dzwonił.

– Bożeszce, Berka, co to za ton? – zdenerwowała się Zosia. – Ja dzwonię w pilnej sprawie, a ty tu wrzeszczysz.

– Co to za pilna sprawa?

– Wieczór paniński ustaliśmy na trzynastego listopada i musi ci pasować – trajkotała.

– I...?

– I nie słuchaj Baśki, kiedy powie ci, że to piątek trzynastego – mówiła wesoło. – Ona ma omamy przesadnościowe, sama wiesz.

– Przesadnościowe chyba – poprawiłam ją, nie zdając sobie sprawy, że to, co mówię, też nie ma sensu.

– Srał jak stał, ja mówię po swojemu. – Zaśmiała się.

– Zauważyłam – przyznałam smutno.

Zosia wyraźnie była z siebie dumna, zapewne podczas naszej rozmowy już kilkakrotnie przeczesła swoje kruczoczarne włosy.

– Najpierw będzie tramwaj, potem zabawimy się w domu Mari – opowiadała, zachwycona.

– Jednak tramwaj? – Marzenia o limuzynie rozwiał wiatr.

– Tak, kochana, wiesz, jak oni się cenią. Muszę od tatusia dziesięć tysięcy śmignąć na godzinną rundkę tramwajem. – Zosia nie zauważyła, że cena była wyraźnie zbyt wysoka.

– Powiedziałaś im, że jesteś z TYCH Majerów?

– Ależ oczywiście, kochana, to moja wizytówka. – Zrozumiałam już, skąd cena wynajmu tramwaju.

Pod pretekstem spotkania z księdzem zakończyłam rozmowę, a Karol patrzył na mnie wrogo.

– Biedna Zosia – rzucił smutno. – Nawet przyjaciółki nie chcą z nią gadać.

– Daj mi spokój. – Sprzedałam mu kuksańca.

I dał spokój, choć tylko chwilowy. W domu, widząc moje pasiaste skarpety, wynurzające się spod spodni, zabrał mnie pędem do sypialni. Fetysz pasków w przypadku Karola został jak najbardziej potwierdzony. Żaden protokół i żadna Zośka już nam nie mogli przeszkodzić. Gorące pocałunki, pospieszne rozbieranie, pożądliwe spojrzenia i... dźwięk mojej komórki.

Karol z miną skazańca podał mi telefon. „Mama” – odczytałam i niechętnie przeciągnęłam zieloną słuchawkę w prawo.

– Tak, mamó? – zapytałam, starając się zapanować nad drzeniem głosu, bo usta Karola właśnie całowały moje piersi.

– No w końcu. Za chwilę u was będziemy – oznajmiła.

– Za jaką chwilę? – Moje pożądanie sięgało zenitu i wiedziałam, że Karol też czekał na dalszą część zabawy.

– Właśnie wsiadamy do windy – rzuciła wesoło, rozłączając się.

Wyskoczyliśmy z łóżka, pospiesznie zakładając na siebie ubrania. Karol wyglądał tak, jakby właśnie wydano na niego wyrok śmierci. Z seksu nici. „A potem zacznij mnie pouczać, jakie to zdrowe dla ciała i duszy” – ze złością wspomniałam jedną z rozmów z mamą.

Niezapowiedziana wizyta musiała być spowodowana czymś ważnym. Moja mama musiała sobie przecież zdawać sprawę z tego, że jej towarzystwo nie jest najlepszym, jakie sobie mogę wymarzyć.

7 listopada 2015 roku

Do wielkiego dnia coraz mniej czasu, a pracy wciąż dużo. Pierwsza z niezapowiedzianych wizyt mamy dotyczyła wyboru serwetek w odpowiednim odcieniu niebieskiego, kolejna – ustalenia koloru hortensji, następna miała na celu zauważenie, że Agata postanowiła zostać wegetarianką, a ostatnia... ostatnia była jeszcze gorsza niż poprzednie. Mama nieświadomie stała się ekspertem od psucia wyjątkowych chwil. Gdyby istniała Nagroda Nobla przyznawana w dziedzinie najgorszych momentów na niespodzianki, moja mama nie miałaby żadnej konkurencji. Przerwanie nam zabaw łóżkowych było niczym w porównaniu z wparowaniem do naszego mieszkania w chwili, gdy dochodziliśmy właśnie do kulminacyjnego momentu seksu w wannie, a Karola i mój oddech były jednakowo szybkie. I pomyśleć, że wystarczyło tylko zamknąć drzwi.

Dziś chciała popsuć kolejny ważny moment, a najgorsze było to, że my wyraziliśmy na to zgodę. A raczej nie sprzeciwiliśmy się, kiedy to proponowała. Ustalanie menu weselnego miało być przyjemnym spotkaniem w Parasolu. Miało być, dopóki mama nie wpadła na pomysł, że nam w tym pomoże. Spojrzenie Karola na mnie, moje na niego, zero słów sprzeciwu i właśnie siedzieliśmy w trójkę w samochodzie. Mama opowiadała o zaangażowaniu „Doktora Papużki” w marsz protestacyjny przeciw tresurze papug, który miał mieć miejsce za kilka dni. Przepraszała, że właśnie dlatego doktor nie mógł jechać z nami, ale ślub można brać kilka razy, czego ona niedługo będzie przykładem, a taki marsz może okazać się jedynym.

W progu restauracji powitała nas Sylwia, mówiąc, że Locha dziś, niestety, nie ma. Dziewczyna nie ukrywała swojego zdziwienia widokiem mojej mamy, lecz nasze porozumiewawcze spojrzenia wystarczyły jej, aby zrozumieć sytuację. Zaprosiła nas do głównej sali, a sama poszła po karty dań.

– Sądzę, że pierwsze danie będzie jakoś po dziewiętnastej, może nawet bliżej dwudziestej, co zależne jest niewątpliwie od pogody – zauważyła Sylwia, podając każdemu z nas menu.

– Możemy dać znać, jak wyjedziemy z kościoła – zaproponował Karol, lecz Sylwia wyraźnie nie chciała go w to angażować.

– Zacniemy tradycyjnie, od rosołu z makaronem? – zapytała dziewczyna.

Trzy głowy jednocześnie przytaknęły, ale byłam przekonana, że to zapewne ostatnia z jednogłośnych decyzji.

– Dania mięsne na pierwszy rzut to sześć rodzajów z tych tutaj. – Wskazała nam listę kilkunastu dań głównych.

– Co to „schab pod parasolem”? – zapytała mama.

– To schab z ananasem i serem – odpowiedziała Sylwia.

Mama zmierzyła ją wzrokiem.

– Widziała pani kiedyś parasol z ananasa i sera? – zakpiła.

– Widziałam. – Dziewczyna popukała w nazwę dania w karcie.

– I mama też zobaczy – powiedziałam radośnie, a Sylwia zapisała pierwsze z dań na karcie „Menu Bernadetty i Karola”.

Karol kopnął mnie delikatnie w nogę, lecz posłałam mu tylko uśmiech zwycięstwa. Mama wyglądała

na niezadowoloną i zamilkła na chwilę. Zbyt krótką chwilę.

– A dla wegetarianów coś macie? – zapytała uprzejmie. – Bo moja druga córka właśnie stwierdziła, że zacznie żyć zdrowo i świadomie, choć ja tego nie rozumiem, bo świnia to jednak świnia.

– Bo kwiczy jak mamusia – powiedziałam szybciej, niż pomyślałam.

Sylwia zdusiła w sobie śmiech, Karol również, a mama zrobiła się wpięrczynie delikatnie czerwona, po chwili przechodząc w przerażającą purpurę. Saper pilnie potrzebny, wybuch bomby gwarantowany.

– Beruniu, ja cię nie poznaję w tym stresie! – rzuciła z wyrzutem.

Wybór kolejnych mięsnych i niemięsnych dań obył się bez większych zgrzytów. Dopiero przy kolejnych daniach weselnego menu mama zabrała głos.

– Zupa serowa? – zdziwiła się wyborem Karola. – Nie może być wesela bez flaczków. Każdy kocha flaczki, każdy!

– Ja nie – zauważyłam.

– Bo ty tylko jadasz ten makaron, a potem ci w boki idzie. Aż strach pomyśleć, jak się rozrośniesz po ciąży, będziesz jak drożdżówka, i to smażona. – Mamę wyraźnie ponosiła wyobraźnia.

– Mamo, drożdżówek się nie smaży.

– Właśnie, właśnie, bo wiadomo, że będą zbyt ciężkie do strawienia, jak te twoje makarony po ciąży, zobaczysz. – Mama zawsze musiała mieć ostatnie słowo.

– Pomidorowa? – szepnęła do mojego ucha Sylwia, a ja skinęłam głową.

Stańto jednak na „powszechnie lubianych” flaczkach, jak chciała mama. Karol skapitulował, bojąc się zapewne wyводу, jak źle ser wpływa na sylwetkę i spalanie tłuszczu w organizmie.

Menu ustalone, nawet deser wybrany. Mama, choć niełatwa do okiełznania, nie wygłaszała już więcej kulinarnych tyrad. Może te flaczki ją nieco obłaskawiły?

Powrót do Warszawy miał odbyć się w ciszy i spokoju, lecz Karol niechcący wspomniął o obrączkach, które musimy zamówić.

– Zamówić? – zdziwiła się mama, po czym wyjęła telefon.

Wystukała numer z pamięci i czekała na połączenie.

– To ja – rzuciła do słuchawki. – Oddawaj, złodzieju, obrączkę ślubną. Berusia z Karolkiem sobie ją stopią i będą mieli na swoje dwie. Co? – zdziwiła się. – Złodzieju jeden, jak mogłeś zabrać dziecku posag?! – krzyczała do telefonu. – Jaki posag?! To mój ojciec kupił te obrączki, nie miałeś do nich żadnego prawa!

Rozłączyła się i rzuciła telefon na siedzenie.

– Co u taty? – zapytałam niewinnie.

– Stopił swoją obrączkę na dwie nowe. Dla niego i tej całej parszywej Milenki! – wrzeszczała, gestykulując żywiołowo. – Rosyjskie złoto zmarnował, złodziej jeden!

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie chciałam zezłościć mamy jeszcze bardziej, wyglądała jak ktoś bliski zawału.

– Kupimy nowe – powiedziałam spokojnie.

Oczy mamy ciskały gromy, które zaraz miały uderzyć z całą siłą.

– Na policję go podam, do sądu pójdę – mówiła ze złością. – Jak nie z gardła to z dupy mu wyjmę te jego obrączki z mojego rosyjskiego złota.

– Mamo... – Chciałam ją uspokoić.

– I będziecie mieli je dla siebie – powiedziała wesoło.

Karol w milczeniu prowadził samochód, obserwując dyskretnie moją reakcję. Mama wygodnie ulokowała się na tylnym siedzeniu z komórką w dłoni, sprawdzając pewnie, jaki warszawski adwokat jest najlepszy, żeby wygrać dla niej sprawę. Wiedziałam, że jedyne, co może ją powstrzymać przed założeniem sprawy ojcu, to stanowczość „Doktora Papużki” w tej sprawie. Marnie to widziałam. Już miałam przed oczyma widok mojej mamy wyciągającej ojcu z tyłka dwie obrączki z rosyjskiego złota.

13 listopada 2015 roku

Piątek trzynastego. Jeśli coś pójdzie nie tak, jest na co zwalić. Niepotrzebny czarny kot przebiegający drogę czy przejście pod drabiną. Piątek trzynastego sam w sobie jest najbardziej pechową okolicznością, jaka może spotkać człowieka. A ja w ten jakże pięknie pechowy dzień miałam mieć swój wieczór paniński.

Karol wybył z domu już o piętnastej, na planowany przez swoich kolegów z pracy wieczór kawalerski przy konsoli i wymyślnych trunkach, bym mogła wraz z dziewczynami przygotować się do wielkiego wieczoru – świętowania ostatków mojej wolności. Zakupione przez Zośkę stroje Myszki Minnie były fascynujące. Ja w czerwonej sukience w duże białe grochy, sięgającej przed kolana, i one w identycznych, tyle że różowych. Zosia, Baśka, Mari, Monia, Jolka i niezadowolona Agata wyglądały wręcz słodko w swych strojach. Na głowę założyłyśmy zamówione przez Zosię uszy z ogromnymi kokardami w kolorach naszych sukienek. Ostatnim elementem dekoracji były szarfy, moja różowa, z napisem: „Ostatnie dni wolności”, ich białe, z napisem: „Berkowy paniński”.

– Zastanawiałam się, czy Minnie miała ogon – powiedziała Zośka, wkładając mi przez głowę szarfę.

– Myszy mają ogon – zauważyła z niezadowolaniem Agata.

– Myszy tak, ale Minnie nie – stanowczo stwierdziła Zosia.

Agata sięgnęła po swojego nowego iphona, by udowodnić swoją rację Zośce. Wyszukała na YouTube filmik z Myszką Minnie, by pokazać jej, że nie ma racji. Zosia oglądała filmik z niedowierzaniem, cały czas nerwowo przeczesując włosy.

– Może ze wstążki zrobimy ogon? – zaproponowała w końcu Zosia, nieco zbity z tropu filmikiem instruktażowym.

– Będzie bez ogona. – By uniknąć kłótni, jak najszybciej postanowiłam zakończyć batalię o ogon Minnie.

Ubrane jak na bal przebierańców, wyszłyśmy z mieszkania. Tramwaj miał podjechać za piętnaście minut. Zaopatrzone w kilka butelek wina i szampana, czekałyśmy na przyjazd zabytkowego tramwaju, mającego zabrać nas na przejażdżkę po Warszawie, zakończoną w pobliżu domu Marietty.

Motorniczy, ubrany w elegancki garnitur, otworzył nam drzwi – nasza siódemka sama w zabytkowym tramwaju. Może to nie limuzyna, ale miało to swój urok, co doceniła nawet Agata. Zajęłyśmy miejsca i podziwiając nocne widoki stolicy, otworzyłyśmy wina. Piłyśmy z gwinta, przekazując sobie butelki z rąk do rąk. Sześć win – tyle zajęła droga z Ochoty. Wsiadłyśmy z tramwaju, pewne, że na długo zapamiętamy tę najdroższą przejażdżkę komunikacją miejską, i tanecznym krokiem ruszyłyśmy do domu Marietty.

Motyw Myszki Minnie pojawiał się wszędzie. Począwszy od balonów, poprzez kubeczki, talerzyki, a nawet poduszki na kanapie w salonie. Marietta musiała odchorować tę lawinę kiczu, byłam jej wdzięczna za takie poświęcenie.

Zasiadłyśmy do stołu, czekając na kolejną porcję alkoholu, kiedy rozległ się dzwonek.

– O, moja niespodzianka przysłała. – Zosia pobiegła do drzwi.

Zastanawiałyśmy się, co tym razem wymyśliła nasza przyjaciółka, lecz usłyszałyśmy tylko: „Ale jak to?”, „To pomyłka”, „Nie, niemożliwe”, po czym naszym oczom ukazała się tandetnie umalowana lala w stroju Myszki Minnie, zdecydowanie bardziej skąpym niż nasze.

– Kto to? – zapytała zdziwiona Mari.

– To Alex – przedstawiła Zosia. – Byłam pewna, że Alex to facet. Miał być seksowny striptiz, a wyszło...

– Uważa pani, że nie jestem seksowna? – Dziewczyna zalotnie zakręciła biodrami.

– Co to za wieczór paniński z rozbierającą się kobietą? – rzuciła Zośka.

– Nawet pani nie wie, jak ludzie lubią odmianę. To nie mój pierwszy wieczór paniński, niech mi pani

wierzy, że będziemy się razem dobrze bawić. – Uśmiechnęła się i zaczęła wyjmować przyniesiony z sobą sprzęt.

Włączyła radio i zwinnymi, kocimi ruchami zachęciła nas do wspólnej zabawy. Tańczyliśmy, klejąc się do siebie, wciąż popijając wino. Alex zaczęła powoli zdejmować z siebie sukienkę, a my, ośmielone morzem wypitego alkoholu, robiłyśmy to, co ona. Nawet nie zauważyłyśmy, kiedy zostałyśmy w samej bieliźnie.

– Potrafisz tańczyć na rurze? – zapytał Agata, a Baśka, słysząc to, z wrażenia wypluła wypite przed chwilą wino.

Moja Agata chciała tańczyć na rurze? Moja mała siostra, sztywna niczym kij od szczotki, ceniąca ponad wszystko swoje dobre imię?

Alex skinęła głową i zapytała, czy chcemy się nauczyć pin-upa. Ochocho zgodziłyśmy się, zastanawiając się, skąd wziąć rurę do nauki.

– Mam! – krzyknęła Zośka. – W kuchni jest rura, przy blacie stołu do sufitu.

– Ale ona ma raptem dwa metry – zauważyła Marietta.

– Starczy i dwa metry – zapewniła Alex.

Impreza przeniosła się do kuchni. Alex wskoczyła na stół i w rytmie muzyki wyginała się na kuchennej rurze. Agata chciała być następna i już po chwili mozolnie naśladowała pokazane przez Alex ruchy. Radzio będzie ze mnie dumny, że dodam do ich sztywnego życia łóżkowego kilka rurowych wygięć. Agata naprawdę wczuwała się w rolę. Tańczyła, tuląc się do rury. Była już na tyle pijana, że musiała robić częste przerwy na rurowe pocałunki, myśląc pewnie, że to Radzio. Wiła się na rurze i z każdym kolejnym łykiem wina szło jej to coraz zgrabniej. Zdenerwowana Zośka postanowiła jednak przerwać jej zabawę i zrzuciła Agatę na podłogę, zajmując miejsce na stole. Wyglądała, jakby robiła to od zawsze i nie było to tylko moje zdanie, sądząc po zachwyconych spojrzeniach pozostałych przyjaciółek. „Może pin-up jest jej przeznaczeniem, a ona o tym nie wie” – pomyślałam, lecz byłam już zbyt pijana, aby to powiedzieć. Kuchenna rura Mari nigdy nie miała takiego brania jak dziś. Każda z nas chciała jej dotknąć choć na chwilę.

– Wino się skończyło! – krzyknęła Zosia, wciąż wpatrując się w półki w lodówce.

– Niemożliwe – wtrąciła Mari i dla pewności sama zaczęła szukać. – Idziemy na spacer do monopolowego – oznajmiła po chwili, zakładając sukienkę Minnie.

– To tobie, Alex, już dziękujemy, masz tu premię i leć. – Zosia wypchnęła striptizerkę za drzwi, wkładając jej w dłoń dwustuzłotowy banknot.

Wesoło wkroczyłyśmy w siódmkę do pustego sklepu całodobowego, rzucając się na dział z alkoholem.

– Ja chcę słodkie – zawołała Baśka.

– Jesteś tak pijana, że dam ci wodę i nie poczujesz – dogryzła jej Jola.

– A ty to co, trzeźwina jesteś? – Baśka się zachwiała.

– Nietrzeźwa, ale trzeźwiejsza niż ty – przekomarzała się Jolka.

Każda wzięła po dwie butelki wina, aby znów nie zabrakło, i podeszłyśmy do kasy. Zaskoczona naszym wyglądem ekspedientka nie zwróciła nam nawet uwagi, że nietrzeźwym nie sprzedaje się alkoholu. Zosia wyjęła kartę, zapłaciła i głośno czkając, pożegnała się ze sprzedawczynią.

– Wy tak zawsze? – zapytała Agata.

– Tak, czyli jak? – dociekała Monia.

– Tyle pijecie – wytłumaczyła moja siostra.

– Nie, tylko dziś nam brakło, bo nie sądziłyśmy, że ty tak ciągniesz. – Jolka i Agata równocześnie wybuchły śmiechem.

Dotarłyśmy do domu Mari z dwiema butelkami mniej. Nie udało się im wytrzymać tej długiej drogi.

– To czas na *Króla Lwa!* – krzyknęła radośnie Baśka.

Wszystkie opadłyśmy na kanapę, oczekując na ukochaną bajkę z dzieciństwa. Przypomniał mi się sylwester, bo zawsze wtedy oglądaliśmy Disneya, lecz dzisiaj, inaczej niż wtedy, było grubo po północy, a ja wciąż wszystko pamiętałam. Film jeszcze się kręcił, bo taśma się nie zerwała.

Jeśli można ocenić wieczór panieński mianem najlepszego wieczoru, to ja to chętnie zrobię. Bałam się, że Agata zamieni go w sztywną, prawniczą imprezę, ale ona mnie zaskoczyła. Tańczyła na rurze, piła do oporu, rozbierała się, a nawet śpiewała *Krąg życia*. Własna siostra też potrafi zaskoczyć. I to całkiem pozytywnie.

Wszystkie świetnie się bawiłyśmy i byłam pewna, że zapamiętamy ten wieczór na długo. Na pewno do następnego panieńskiego, tylko która będzie pierwsza? Agata jako jedyna miała faceta, ale nie sądzę, by zapraszała moje przyjaciółki na swój wieczór panieński. Mimo jej dzisiejszej przemiany wciąż bardziej kojarzyła mi się z wizją sztywnego posiedzenia na sali sądowej. Pozostałe były singielkami, więc marne szanse na kolejny wieczór panieński w najbliższym czasie. Chociaż, kto wie, przecież ja sama do niedawna byłam panną, a teraz pozostały mi jedynie czterdzieści cztery dni do ślubu.

3 grudnia 2015 roku

Wesele już za dwadzieścia dwa dni. Spokojnie patrzyłam na zaznaczoną sercem w kalendarzu datę, pewna, że wszystko się jednak uda. Po deszczu zawsze wychodzi słońce i my byliśmy tego żywym przykładem. W szafach coraz więcej ślubnych dodatków i gadżetów, z istnienia których do niedawna nie zdawałam sobie sprawy. Bańki mydlane w podziękowaniach dla gości, szklane ledowe figurki z naszym zdjęciem dla rodziców, karykatury 3D dla świadków, strzelający balon oraz kolorowe tuby z płatkami róż. Wszystko niby nieważne, ale jakże potrzebne, aby urozmaicić i wzbogacić ten dzień.

Na trzy tygodnie przed ceremonią stres, który mi towarzyszył do niedawna, powoli zniknął, aby ustąpić miejsca podekscytowaniu. Karol wydawał się wciąż spokojny, jakby miał ogromne doświadczenie w organizacji ślubów. Wszystko drobiazgowo planował, dlatego obiad u babci Stasi, na dodatek w środku tygodnia, nie mógł być dziełem przypadku. Za tą wizytą musiało się coś kryć, lecz jeszcze nie wiedziałam co. Już wczoraj, kiedy Karol mi powiedział o zaproszeniu od babci, byłam pewna, że staruszka coś kombinowała. Pozostało jedynie pytanie, co tym razem wymyśliła.

Punktualnie zjawiliśmy się w mieszkaniu babci. Zdziwił nas widok czterech nakryć na stole w pokoju. Babcia krzątała się po kuchni, nucąc coś pod nosem.

– Myślisz, że się zakochała? – zapytałam cicho Karola.

– Wiesz ile ona ma lat? – Popukał się w głowę.

– Pewnie ze sto – zgadywałam.

– No, prawie. – Zaśmiał się.

Babcia Stasia, w doskonałym humorze, zaczęła nakrywać do stołu. Karol patrzył uważnie na rozkładane przed nami półmiski i czekał, aż babcia wyjdzie ponownie do kuchni, aby mi coś powiedzieć.

– Jest źle... Nie ma pulpecików.

Faktycznie brakowało popisowego dani babci Stasi.

– Jedzcie, kochani, bo wystygnie – powiedziała staruszka, zasiadając do stołu.

– Nie czekamy na gości? – Karol wskazał na puste miejsce.

– Gość będzie za... – Babcia spojrzała na zegarek. – ...jakiś pięćdziesiąt cztery minuty.

Pod czujnym wzrokiem babci Stasi nałożyliśmy sobie solidne porcje.

– Jak przygotowania do wesela? – zapytała.

– Chyba już bliżej niż dalej – odpowiedziałam, przełykając sałatkę.

– A jakie plany na podróż poślubną? – padło kolejne pytanie.

– Nie mamy, Berka nie dostanie urlopu – tłumaczył ze smutkiem Karol.

Babcia z radością klasnęła w ręce. Wstała dziarsko z krzesła, podeszła do jednej z szuflad i wyjęła mały świstek, przypominający widokówkę.

– W Zgodzie z Naturą – przeczytał Karol na podanej przez babcię ulotce.

– Wykupiłam wam weekend w pensjonacie pod Warszawą, to pensjonat siostry stryjecznej mojej przyjaciółki – oznajmiła z radością. – Jedzcie zaraz po weselu. Zobaczcie, jaką mają bogatą ofertę.

Przeglądaliśmy ulotkę, próbując domyślić się, co kryło się pod nazwami zabiegów. Sceptycznie podchodziliśmy do pomysłu babci, ale wiedzieliśmy, niestety, że nie możemy odmówić przyjęcia prezentu.

– Cow mach? – dziwiłam się, gdyż ja, kosmetolog, nigdy nie słyszałam o podobnym zabiegu.

– A o fish spa Berczka słyszała?

– Słyszała – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– No właśnie – zauważyła babcia. – To takie fish spa, tylko że z krowami.

Spojrzałam niepewnie na Karola, nie mogąc sobie wyobrazić, że zamiast ryb w akwariach miałyby znajdować się krowy.

– No, ale jak krowy do akwarium? – podpytałam babcie.

– Nie krowy, tylko to, co od nich najlepsze. – Babcia zacierała ręce z radości. – Krowi nawóz z dodatkiem olejków eterycznych.

Już sama myśl spowodowała u mnie odruch wymiotny. Krowie odchody, a w nich moje stopy? Nawet najmocniejsze olejki nie są w stanie zabić tego zapachu. Kto to w ogóle wymyślił?

– To doskonale działa na skórę, eliminuje możliwość wystąpienia grzybicy, kochana – zachwalała babcia.

– Nawet grzyby nie chcą rosnąć na gównie – skwitowałam cały ten krowi zabieg. – No, chyba że pieczarki...

Karol delikatnie mnie szturchnął. Nie chciał zrobić przykrości babci, pewnie bardzo się postarała przy załatwianiu tej niespodzianki.

– Dobra, zobacz inne zabiegi. – Chciałam dać szansę pensjonatowi W Zgodzie z Naturą i ponownie zerknęłam na ulotkę. – Kąpiel w kozim mleku... to brzmi przyjemnie.

Babcia Stasia posłała mi promienny uśmiech.

– A zobacz tutaj... maseczka ze świeżych jaj i joga z marchewką.

– Co ma joga do marchewki? – zdziwił się Karol.

– Oj, dużo, Karolku, dużo. – Babcia ucięła temat, bo rozległo się głośne pukanie do drzwi.

Staruszka, cała w skowronkach, pobiegła otworzyć, a my czekaliśmy na wejście amanta babci, zastanawiając się, ile ten człowiek musi mieć lat. Z przedpokoju dobiegły tylko odgłosy głośnego cmokania, a mnie, choć wstyd się przyznać, powrócił odruch wymiotny.

– Kochani, zobaczcie, kto przyszedł – radośnie zawołała babcia Stasia, a zza jej pleców wyłania się...

– Babcia?! – niedowierzałam.

– We własnej osobie, Beruniu – oznajmiła radośnie.

Usiadła przy stole, jakby była tu stałym bywalcem, i nie czekając na zachętę gospodyni do jedzenia, nałożyła sobie pieczeń na talerz. W milczeniu czekaliśmy z Karolem na dalszy rozwój wydarzeń.

– Lodziu, powiemy im! – zaproponowała babcia Stasia, gdy nieoczekiwany gość już dokładnie przeżuł każdy kęs mięsa, co wszyscy obserwowaliśmy i – co gorsza – słyszeliśmy wyraźnie.

Babcia Lodzia skinęła tylko głową, najwyraźniej polując na kolejny smakołyk.

– Skoro wy nie możecie jechać w podróż poślubną, to my zrobimy to za was – zaczęła babcia Stasia. –

Wy pojedziecie na zabiegi do pensjonatu, a my lecimy na Kanary, żeby pić drinki nad basenem i opalać się do upadłego.

– W waszym wieku? – zdziwiłam się.

– A co, my gorsze? Bo stare? – oburzyła się babcia Lodzia.

– Nie, babciu, gdzieżby znowu. Ale podróż samolotem mężczy – próbowałam się tłumaczyć.

– Czy młodych, czy starych tak samo mężczy, a myśmy wojnę przeżyły, to samolocik nam niestraszny. – Ich argument okupacyjny zdecydowanie wygrywał z każdym, który mogłabym wymyślić.

– To my mamy taplać się w krowim gównie, a w będziecie moczyć nogi w oceanie? – zaśmiał się Karol. – Też mi sprawiedliwość, cholera!

Babcie wybuchły głośnym śmiechem. Widok rozbawionych staruszek był tak niesamowity, że i nam udzielił się ich humor. A może to i dobrze, że chcą korzystać z uciech w jesieni życia?

– Mama wie? – zapytałam cicho babcie, która z ogromnym łobuzerskim uśmiechem pokręciła przecząco głową.

– I wy jej też nie mówcie – poleciła. – Dowie się z listu, który jej zostawię.

Moja kochana, psotna babcia. Kto by podejrzewał, że zaprzyjaźni się z babcią Stasią i razem wyjadą na wakacje ich życia. „Biedna mama” – pomyślałam, wyobrażając sobie minę mamy, kiedy przeczyta list

od babci. Trzeba będzie wyłączyć telefon, a gdyby później marudziła, że nie ma ze mną kontaktu, to powiem, że w pensjonacie nie było zasięgu. Przecież w miejscu, gdzie krowy dupami pracują, nie może być zasięgu.

25 grudnia 2015 roku

Wczorajsza Wigilia była inna niż zwykle: krótkie życzenia w mieszkaniu babci, szybkie rozdanie nietrafionych jak zawsze prezentów, spowodowane natłokiem obowiązków przed jutrzejszym ślubem. Nie zjedliśmy nawet dobrze kolacji, a już trzeba było jechać na salę, zobaczyć, jak idą przygotowania. Nawet Radio, mimo niezadowolenia zaborczej Agaty, mocno się zaangażował. Pomógł nam zawieźć na salę napoje, owoce i oczywiście alkohol, którego nie mogło zabraknąć. Wyczerpani przygotowaniami, dosłownie padliśmy zaraz po powrocie do domu, każdy do swojego łóżka.

Rankiem obudziło mnie słońce, wpadające przez stare żaluzje. Za oknem była wiosna. Zero śniegu, mróz też zdawał się zapomnieć, że już koniec grudnia. Spojrzałam w okno i pomyślałam, że to będzie piękny dzień. Na szafie wisiała zapakowana w pokrowiec wymarzona suknia ślubna, pod którą stały cudowne niebieskie buty, kupione z błyskiem w oku mówiącym: „Muszę je mieć”. Za ścianą smacznie pochrapywał mój najlepszy przyjaciel, precudowny mężczyzna, mój przyszły mąż.

Bez marudzenia wstałam z łóżka i radosna niczym Kopciuszek na balu popędziłam do łazienki, wziąć ostatnią panięńską kąpiel. Odkręciłam kurek nad wanną i wlałam trochę płynu, by powstały bąbelki. Wróciłam do pokoju, by zabrać z sobą nową koronkową bieliznę, która na pewno urzeknie Karola podczas naszej nocy poślubnej. Wróciłam do łazienki, rozebrałam się i chcąc wejść do wanny, zauważyłam najgorszy z możliwych widoków.

– Karol! – krzyknęłam tak głośno, że usłyszało mnie pewnie pół bloku, a może i pół osiedla.

Karol, zaspany, po chwili stanął w progu, spojrzał na mnie jednym okiem i delikatnie uśmiechnął się.

– Jak chciałaś się kochać, to trzeba było przyjść do mnie, do łóżka, a nie wołać do łazienki – powiedział, a ja zorientowałam się, że faktycznie mógł tak pomyśleć, bo przecież byłam naga.

– Woda – zwróciłam mu uwagę.

– Nie wiem, co wczoraj robiłaś, kiedy ja zasnąłem, ale takiej brudnej wody po kąpieli nie mają pewnie nawet górnicy. – Śmiał się ze mnie.

– Ale ja jeszcze do niej nie weszłam. – Klepnęłam go w ramię za naśmiewanie się ze mnie.

– To mamy mały problem. Zadzwońię do spółdzielni – powiedział spokojnie, a ja cieszyłam się jak dziecko, że mam w domu takiego bohatera, przynajmniej przez moment. – Zaraz... spółdzielnia jest zamknięta. Przecież są święta. – Mój bohater upadł z wysokości, której nie przeżył, i znów stanął przede mną Karol.

– Zawieź mnie do mamusi – błagałam go.

Nie mając wyjścia, Karol zawiózł mnie na Mokotów, bym wzięła ostatni panięński prysznic (babcia nie miała wanny). Sam też skorzystał z okazji ochlapania się czystą wodą i wróciliśmy do naszego wynajmowanego mieszkanka na Ochotę. Za godzinę miał być fryzjer, potem kosmetyczka, a na koniec wpadną dziewczyny, żeby pomóc mi się ubrać. „Za dużo jak na jeden dzień” – pomyślałam.

Fryzjerka stworzyła z moich włosów identyczną fryzurę, jaką znalazłam z dziewczynami na jednym z fanpage'ów dotyczących ślubów. Kosmetyczka dopasowywała makijaż do moich niebieskich butów, kolczyków i kwiatów. Nie miała ze mną łatwo, bo przecież doskonale znałam się na najnowszych makijażowych trendach.

– Czemu pani sama się nie umaluje? – zapytała, lekko zniecierpliwiona moimi uwagami.

– Bo ślub jest tylko raz i trzeba zaszaleć – wyznałam, mając na myśli wydawanie pieniędzy, a nie mój

wygląd.

Odczytała moje słowa jako komplement i starała się jeszcze bardziej. Nie wyprowadzałam jej z błędu.

– Berka, dziewczyny przyszły! – krzyknął Karol z przedpokoju, kiedy makijażystka kończyła nakładać mi tusz na rzęsy.

W przedpokoju słychać było śmiechy o różnym natężeniu decybeli. Każdy z nich mogłam bez problemu rozpoznać. Znałam je od podstawówki, a niektóre nawet i dłużej.

– I jak? – zapytała makijażystka, kiedy dziewczyny weszły do pokoju.

– Wow. – Rozpoznałam głos Baśki.

– No, no, no, po raz pierwszy ktoś wygląda trochę lepiej niż ja. – Nie trzeba znać głosu Zośki, aby wiedzieć, że to jej słowa.

– To ja już lecę, a paniom życzę udanej zabawy. A pani... pani życzę szczęścia na nowej drodze życia.

– Dziewczyna ucałowała mnie w oba policzki.

Patrząc na zegarek, zabrałyśmy się za rozpakowanie mojej wymarzonej sukni. Została tylko godzina do najpiękniejszego ślubu, jaki można sobie wymarzyć. Rozsunęłam zamek pokrowca i ponownie zakochałam się w mojej sukni. Śnieżnobiała, długa, w kształcie syrenki, z milionami delikatnych kryształków Swarovskiego na gorsecie, wyciętym w serduszko.

– Najpierw buty – poleciła Jolka, a ja posłusznie wsunęłam na białe pończochy moje niebieskie szpilki.

– No dobra, to ty stój, podnieś ręce do góry, a my ci narzucimy suknię. – Nawet dziś Marietta musiała dyrygować.

– Dziewczyny! – zawołał Karol z pokoju obok.

– Pójdę. – Zośka wyrwała się na ochotnika.

– Zapinamy! – zarządziła Mari, a Monia cierpliwie zaczęła przekładać wstążkę na moich plecach.

Jedna dziurka, druga, piąta, dziesiąta, dwudziesta i w końcu można ścisnąć. Wszystkie cztery ciągnęły za wstążkę i nagle...

– Ups. – Cichy głos Baśki był ledwie słyszalny, mniej niż pęknięcie wstążki.

– Karol jedzie po kwiaty na samochód i dla ciebie. – Zośka wróciła do pokoju. – O kurwa! – dodała, widząc moje plecy.

– Co robimy? – trzeźwo zapytała Monia.

– Pójdę do pasmanterii i kupię nową. – Jola już wychodziła z pokoju, kiedy zatrzymała ją Baśka.

– Dziś wszystko jest zamknięte – stwierdziła przytomnie.

Dziewczyny szeptały coś między sobą, a ja starałam się nie rozplakać, żeby chociaż makijaż był wciąż piękny.

– Co by zrobił MacGyver? – zastanawiała się Zośka, jednak żadna z dziewczyn nie chciała iść jej tropem. – Wiem! – wykrzyknęła i wybiegła z pokoju jak burza.

Stałyśmy w osłupieniu, czekając na jej kolejny głupi pomysł. Przybiegła po chwili z uśmiechem na ustach i powiedziała:

– Będziecie musieli kupić nowe żaluzje do pokoju Karola.

Podawała Jolce śnieżnobiały sznurek, a ja miałam ochotę ją wycałować. Baśka wyjęła z sukni pękniętą wstążkę i zaczęła wkładać sznurek od żaluzji. Jedna dziurka, druga, piąta, dziesiąta, dwudziesta i w końcu można ponownie ścisnąć. Nauczzone na błędach, postanowiły, że tylko Baśka ściągnie mi sznurek i dopasuje suknię idealnie do mojej figury.

– Cholera, Berka, schudłaś – powiedziała Baśka, widząc, jak odstawała mi suknia pod pachami.

– Mam agrafkę – powiedziała Zośka i wyjęła ze stanika metalową zapinkę.

Spojrzałyśmy na nią zdziwione.

– No co, noszę ją, żeby ścisnąć bardziej piersi. Wtedy są optycznie większe – wyznała Zośka, a my zaczęłyśmy się śmiać.

Baśka przypięła mi agrafkę od spodu sukni i pozwoliła spojrzeć w lustro. Marietta dopięła do moich włosów krótki welon, sięgający delikatnie za ramiona, a Monia podała koronkowe bolerko zapinane na plecach.

– Jesteś piękna – wzruszyła się Monia.

– Gdzie ten Karol? – Zaczęłam się powoli denerwować.

Zośka spojrzała w okno i zaczęła się śmiać.

– On jeszcze biega przed ślubem, żeby odreagować – powiedziała.

– On nie biega, idiotko! – krzyknęła Jolka. – On goni kwiaty, które rozwiały wiatr. Lecimy! – zdecydowała i wszystkie wypadły z mieszkania.

Zostałam sama w moim pokoju, ubrana w najpiękniejszą suknię, jaką miałam kiedykolwiek na sobie. Czułam się jak księżniczka. Wyglądałam pięknie i miałam cudownego rycerza, który w granatowym smokingu gonił kwiaty rozwiane przez wiatr, między huśtawkami na placu zabaw. Wyglądał komicznie, a zarazem pięknie, bo z prawdziwym poświęceniem próbowałam opanować sytuację. Po chwili zobaczyłam obok pięć kolorowych postaci goniących Karola. Jedna z nich się potknęła w za wysokich szpilkach, ale dzielnie wstała i pędem ruszyła dalej. „Zośka” – powiedziałam sama do siebie, widząc, jak jej czerwona, długa suknia zahaczyła o krzaki. Już wyobrażałam sobie jej ponowny upadek, lecz jakoś udało jej się utrzymać na nogach. Karol z miną zwycięzcy podniósł do góry cały bukiet. Dziewczyny dopadły do niego i każda z nich rzuciła mu się na szyję, jakby uratował świat. „Może świata nie uratował, ale nasz idealny ślub na pewno” – pomyślałam, wzięłam puchową kurtkę i zesłam na dół.

– W tym idziesz do ślubu? – zapytała Mari, widząc moją kurtkę.

– Tylko do samochodu – wyznałam i zerknęłam na kwiaty znajdujące się na masce wypożyczonego sportowego bmw Z4.

Florystka z pewnością załamałaby się, widząc, jak wiatr zniweczył jej artystyczną wizję, ale ja byłam dumna. Dumna, mimo iż kilka białych róż straciło główki, a niebieskie hortensje miały wyraźne prześwity. Dla mnie wszystko wciąż było idealne.

– Obrączki? – Jola postanowiła się jeszcze upewnić, a Karol poklepał się po kieszeni spodni.

– Mam. – Uśmiechnął się, cudownie, jak to tylko on potrafi, a ja zastanawiałam się, jak to się stało, że wcześniej go nie dostrzegłam.

Karol, jak prawdziwy dżentelmen otworzył przede mną drzwi samochodu i pomógł w miarę wygodnie się usadowić. Zamknął drzwi i poszedł wsiąść z drugiej strony.

– Jesteś pewna?

– Jak niczego innego – wyznałam, dotykając jego ciepłej dłoni.

– Wyglądasz jeszcze piękniej niż zwykle, księżniczko – powiedział, po czym przekreślił klucz w stacyjce.

Ruszyliśmy do kościoła, by złożyć sobie najpiękniejszą z obietnic miłosnych. Przed kościołem byli już chyba wszyscy goście. Mama, w złotej sukience za kolano, trzymająca za rękę „Doktora Papużkę”; Agata, ubrana jak kobieta, a nie jak zawsze w szarawy garnitur; babcia z kokiem wielkości piłki, w sukni w równie wielkie grochy; i tata, tata z Martyną i śpiącą smacznie w wózku Helenką. Byli wszyscy, którzy byli dla mnie ważni. Karol też wydawał się zadowolony, widząc swoją mamę, mieszkającą od lat w Stanach, i babcię Stasię, która zapewne w małej kopertówce miała jakiś tajemny trunek na wieczną miłość.

Goście weszli do kościoła, a my, Agata i brat Karola, Marek, czekaliśmy cierpliwie na księdza, który miał nas poprowadzić do ołtarza. Zjawił się po chwili i widząc nas, posłał nam przyjazny uśmiech, gestem wskazując, byśmy poszli za nim. Zajęliśmy swoje miejsca i słuchaliśmy słów księdza. Marek odczytał 1 List do Koryntian, podczas którego patrzył cały czas na nas. Nikt nie miał wątplenia, że słowa: „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą, nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego, nie cieszy się

z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą” Marek kierował w naszą stronę. Po czytaniu Agata wstała i zamieniła się z nim miejscami. Zgłosiła się na ochotnika do śpiewania psalmu, co mnie niezmiernie zdziwiło. Nie wiedziałam, że moja siostra potrafi śpiewać. Agata odchrząknęła, a potem z jej ust wydobył się najpiękniejszy głos, jaki mogłam chcieć usłyszeć na naszym ślubie. Ze łzami w oczach słuchałam jej i zastanawiałam się, czemu nigdy wcześniej nie zdradziła się ze swoim talentem. Karol spojrzął na mnie, zapewne myślał podobnie. Potem ksiądz odczytał ewangelię i zaczął kazanie.

– Zazwyczaj w tym miejscu mówię o miłości, która łączy dwoje siedzących przed ołtarzem narzeczonych, którzy za chwilę mają stać się nierozzerwalnie mężem i żoną. Dziś jednak nie chcę zacząć od miłości. Tych dwoje... – Pokazał na nas. – ...to doskonały przykład tego, że prawdziwa miłość nie bierze się od tak z nieba. Miłość nie jest niewidzialnym dotykiem anioła, jak mawia wielu. Miłość opiera się na przyjaźni i zaufaniu, o czym doskonale wiedzą Bernadetta i Karol. Ich miłość zrodziła się zdrowo, poznali się, zaprzyjaźnili, a potem zrozumieli, że to, co ich łączy, to nierozzerwalna więź, którą chcą przypieczętować przysięgą małżeńską. Od przyjaźni do miłości wiodą dwie drogi: droga bezpieczna, oparta na przywiązaniu, i droga trudna, oparta na wzajemnym szacunku i zrozumieniu. Oni wybrali tę drugą, trudną drogę. Nie stoją przede mną tylko dlatego, że wygodnie im razem iść przez życie. Stoją tutaj, bo wiedzą, że zawsze mogą na siebie liczyć. Niech ich miłość będzie dla was znakiem, że Bóg nie zawsze daje nam proste rozwiązania. Miłości się nie znajduje, idąc ulicą. Miłość to takie małe ziarenko drzewa, kiedy się o nie dba i pielęgnuje, ono rośnie i kwitnie, kiedy się nie dba, usycha, lecz będące pod ziemią korzenie wciąż silnie trzymają je przy życiu i czekają na moment, kiedy znów któreś z was je podleje. Drodzy Bernadetto i Karolu, pielęgnujcie waszą miłość – zakończył, a ja po raz kolejny tego dnia poczułam pod powiekami łzy wzruszenia.

Ksiądz zaprosił nas bliżej siebie, byśmy mogli złożyć przysięgę małżeńską.

– Powtarzajcie za mną – powiedział z uśmiechem ksiądz, a ministrant zbliżył do ust Karola mikrofon. – Ja, Karol Leopold...

– Leopold? – zapytałam zdziwiona i zaczęłam się cichutko śmiać.

Karol spojrzął na mnie poważnie i powtarzał za księdzem słowa przysięgi, patrząc mi prosto w oczy. Powiedział swoje, teraz nadeszła moja kolej. Ministrant zbliżył mikrofon do moich ust, a ja czekałam na słowa księdza.

– Ja, Bernadetta Pelagia...

– Pelagia? – szepnął Karol. – I ty się z mojego Leopolda śmiejesz? Chyba wygrałaś, kochana. – Wybuchnął śmiechem, a cały kościół razem z nim.

Miał rację. Mama nadała mi to imię dlatego, że kiedy była ze mną w ciąży, czytała *Mitologię* Parandowskiego i chcąc mieć córkę piękną niczym Afrodyta, nadała mi na drugie imię jej przydomek – Pelagia. Wstydziałam się tego imienia i miałam nadzieję, że podczas ślubu ksiądz poda tylko pierwsze. Niestety.

– Mogę prosić o ciszę. – Ksiądz próbował opanować sytuację, bym mogła dokończyć przysięgę.

Czekaliśmy na znane z filmów: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”, by zaraz po nim usłyszeć standardowe: „Idźcie w pokoju Chrystusa”, po którym ruszyliśmy ku wyjściu z kościoła.

Miliony kolorowych płatków róż wyfrunęło prosto ze strzelających tub na nasze głowy. Ktoś rzucił w nas ryżem, a ja przypomniałam sobie piosenkę *Winda do nieba*. Próbując sobie przypomnieć tekst, zrozumiałam, że to nie jest piosenka o nas: „My się kochamy, mój piękny panie”.

Po życzeniach szczęścia na nowej drodze życia udaliśmy się do sali weselnej, aby zrelaksować się przy dźwiękach muzyki. „Jeszcze tylko pierwszy taniec” – pomyślałam, wciąż zastanawiając się, jaką piosenkę na ten dzień wybrał dla nas Karol. Wspomnienie mojego „randkowego tournée”, kiedy to za sprawą przeboju określałam potencjalnych kandydatów na męża, sprawiło, że Karol wolał wziąć to na siebie.

Usłyszałam doskonale znane mi dźwięki i roześmiałam się, a Karol złapał mnie za rękę i wspólnie

z panią z orkiestry zaśpiewał do mego ucha:

– Przecież nie tak miało być... Ja chyba zwariowałam z tobą, oszalałeś ze mną ty... – ciągnął, a ja, nie patrząc na otaczających nas ogromnym kołem gości, pocałowałam mojego męża.

Natalia Kukulska, śpiewając *Zakochanych*, musiała wiedzieć, że gdzieś niedaleko jesteśmy my. „Przecież nie tak miało być” – dźwięczało w moich uszach tak głośno, że serce biło ze zdwojonym tempem. Jak widać, los lubi płatać figle, a my mu możemy jedynie za to dziękować.

Epilog

Wymknęcie się ukradkiem z własnego wesela było nie lada wyzwaniem. Każdy chciał nagle z tobą tańczyć, jakbyś wygrała wczoraj Kryształową Kulę w *Tańcu z gwiazdami*. Magiczna czwarta nad ranem, kiedy połowa gości już ulotniła się do domu, a druga połowa była w takim stanie, że nie wiedziała, gdzie się znajduje, była dla nas wyczekany moment ucieczki. Wzięłam klucz od jednego z gościnnych pokoi, a Karolowi powiedziałam słodkim głosem świeżo poślubionej małżonki, by za chwilę do mnie dołączył. Zebrałam dziewczyny i poszłyśmy do góry.

– Mari, czy to ten Teodor, którego podobno zabiłaś? – zapytała Jolka, kiedy tylko Monia zamknęła drzwi.

– Ten sam. – Zaśmiała się zalotnie. – Rada Baški nas do siebie bardzo zbliżyła. Ja – bohaterka, on – dozgonnie mi wdzięczny. Role trochę się odwróciły, bo to facet powinien być rycerzem, a ja księżniczką, ale życie płata nam różne figle. Odwiedzałam go w szpitalu i kilka razy przypadkiem musnęłam jego dłoń. I tak się zaczęło. – Wyraźnie się rozpromieniła, opowiadając tę historię.

– Przypadkiem musnęłam jego dłoń – przedrzeźniała ją Moni, a my wybuchłyśmy głośnym śmiechem.

– Ale mam też inne wieści. – Marietta znów zaczęła przemowę. – Zrealizowałam postanowienie i jestem dyrektorem projektowym. Jednak twoje zwycięstwo mnie zaskoczyło. – Patrzyła na mnie wzrokiem innym niż zawsze, kiedy coś szło nie po jej myśli.

– Gratulacje. W końcu będziesz zarabiała tyle, ile chciałaś. – Kpiący ton Jolki, o dziwo, nie zdenerwował Mari.

– Nie muszę. Teodor ma kasy jak lodu i nie oszczędza na mnie. Zobacysz w kopercie ślubnej – dodała, patrząc znów na mnie.

– Skoro o kasie mowa, to wyskakujemy z kopert, dziewczyny. W tym roku trochę szybciej, ale doskonale wiemy, że postanowienie Berki było najmocniejsze i udało jej się je zrealizować – zarządziła Monia i każda z nich udała się na poszukiwanie swojej torebki.

– Dziewczyny, muszę wam coś powiedzieć... – wyznałam, kiedy już trzymałam w ręku pięć kopert.

– Wiedziałałam, przekupiła go, żeby się z nią ożenił! – wykrzyknęła wrednie Jolka. – Nikt normalny nie bierze ślubu w rok.

– Zamknij się! – Baška odważnie stanęła w mojej obronie.

Pięć par oczu spojrzało na mnie wyczekująco. Zatkano mnie na chwilę, ale wiedziałam, że muszą poznać prawdę.

– Z Karolem się naprawdę kochamy i to chyba od dawien dawna, tylko musieliśmy do tej miłości obydwójce dojrzeć. – Czuję, że muszę się jakoś obronić przed zarzutami Jolki. – Chcę wam powiedzieć, że ten sylwester będzie naszym ostatnim wspólnym – wyszeptałam.

– Ledwo ślub wzięła, a już ją ustawia. On gra, a ona tańczy do tej durnej muzyki – z niezadowoleniem stwierdziła Monia, a reszta pokiwała głowami na znak zgody.

Stałam między nimi w mojej pięknej śnieżnobiałej sukni ślubnej i czekałam, aż skończą narzekać. Myślami pofrunęłam do mojego męża, zastanawiając się, czy odnalazł już pozostawiony obok swojego talerza podarunek.

– Karol już powinien zauważyć swój prezent, więc i wam mogę z czystym sumieniem powiedzieć – zaczęłam, kiedy tylko skończyły się przekrzykiwać. – Jestem w szóstym tygodniu ciąży.

Dziewczyny zerkały to na mnie, to na siebie. Bezgłośnie wyraziły swoją radość, ale ich twarze nie mogły ukryć zdziwienia.

– Dziecko, też mi coś! – pierwsza odezwała się Baśka. – Ja jakoś daję radę od prawie trzech lat.

Spojrzałyśmy na nią z otwartymi ustami i czekałyśmy cierpliwie na wyjaśnienie. Baśka miała dziecko?! Jak mogłyśmy tego nie zauważyć?! Owszem, przez jakiś czas nosiła luźniejsze ubrania, ale byliśmy pewne, że to raczej próba stworzenia nowego image'u. Rzadziej się też spotykałyśmy (w sumie wcale), bo ponoć miała młyn w wydawnictwie, ale że cięża...

– No, ma dwa i pół roku, ale nie mogłam wam powiedzieć – rzekła smutno. – Pamiętacie, jak nie piłam wina w sylwestra i mówiłam, że się źle czuję? To był dziesiąty tydzień.

– Dlaczego to zataiłaś? – zapytałam.

– Ojciec dziecka nie chciał, by się wydało, nie chciał, by jego córka się dowiedziała. – Basi wyraźnie zadrżał głos.

– Ale nam mogłaś powiedzieć – powiedziała Mari z wyrzutem.

– Właśnie nie. Maksymilian, twój tata, nie chciał, byś wiedziała – powiedziała, patrząc na Zosię.

– Czy ona mówi do mnie? – Zszokowana Zośka chciała się upewnić, czy nie ma halucynacji poalkoholowych.

– A która inna ma ojca Maksymiliana? – drwiła z niej Jolka.

– Mam rodzeństwo?! Kurwa, muszę się napić! – krzyknęła świeżo upieczona siostra.

Patrzyłyśmy na Zośkę, która o dziwo nie przeczesywała kruczoczarnych włosów. Była wstrząśnięta rewelacjami padającymi z ust jej przyjaciółki.

– Maks nie chciał, byś bała się o spadek, bo tylko to się dla ciebie liczy – wyznała smutno Basia.

– Macie mnie za aż tak próżną? – zapytała Zośka, ale widząc nasze miny, nie czekała na odpowiedź. –

Bożeszczu, mam rodzeństwo, o którym marzyłam od zawsze, a ty... ty, kurwa, Bacha, będziesz moją macochą. Berka, daj mi wina, bo nie wytrzymam – poprosiła, a ja podałam jej jedną z butelek otrzymanych w ramach prezentu ślubnego, zamiast kwiatów.

Zośka wypiła pół butelki jednym haustem. Przełknęła. Znów przechyliła butelkę i piła, aż ujrzała dno.

– Jak ma na imię? – zapytała.

Basia poszła w kierunku swojej torebki. Wróciła do nas, trzymając telefon w ręku. Kliknęła na nim kilka razy i podała Zośce.

– Zuzia. Maks chciał, aby jego córki miały imiona na tę samą literę. – Basia się uśmiechała, kiedy mówiła o Zuzi.

Zośka patrzyła chwilę na zdjęcie małej ślicznotki z czarnymi włosami. Widok małej, ładząco podobnej do niej, wyraźnie ją wzruszył, lecz nie chciała tego okazać.

– Nie myśl, że będę do ciebie mówiła „mamo”! – Zośka podeszła do Basi i mocno ją przytuliła.

Stały tak, obejmując się i całując po policzkach, dobre kilka minut. A może tylko nam tak się wydawało i w rzeczywistości trwało to tylko krótką chwilę?

– To mamy teraz domowe przedszkole – syknęła Jolka. – Berka w ciąży, Baśka z dzieciakiem, aż się boję kolejnych rewelacji...

– No dobra, która teraz? – zapytała Mari, a Zosia zdecydowanie podniosła rękę.

– Tylko pamiętaj, że od lat jesteś przede wszystkim moją przyjaciółką, a dopiero od niedawna partnerką mojego ojca – zwróciła się do Baśki. – Zagrałam w filmie porno.

– Co?! – krzyknęłyśmy wszystkie razem, jak na komendę.

– Wtedy, co byłam u ciebie i posmarowałam się tą Karolową maścią... – Spojrzała na mnie, a ja na wspomnienie tej sytuacji zaczęłam cicho rechotać. – ...to nie był casting do reklamy. Chciałam być znaną aktorką. Obiecali, że jak się sprawdzę, to zagram w prawdziwym filmie, jak Kozuchowska.

– Tylko Kozuchowska nie zaczęła kariery od zdejmowania gaci – podsumowała Jolka.

Żadna z nas nie wiedziała, jak skomentować tę sytuację. Tego się nie spodziewałyśmy. Zośka zawsze

miała parcie na szkło, ale żeby film porno? To nie w jej stylu. Była za ładna i za mądra (mimo wszystko).

– Jak Maks się dowie... – zaczęła matkować Baśka.

– Właśnie dlatego się nie dowie – przywołała ją do porządku Zosia.

– Pokażesz nam kiedyś, jak wyszłaś? – Marietta wyraźnie chciała ponownie sprowadzić naszą rozmowę na przyjemne tory.

– Mnie się podoba. Wyszłam jak zawsze, czyli dobrze. – Zosia przeczesła włosy palcami, a my wybuchliśmy śmiechem.

Od dawna nie czułyśmy się ze sobą tak blisko. Każda z nas była inna, każda trochę egoistyczna. W natłoku obowiązków przemilczałyśmy wiele tematów, ale dzisiaj był wieczór tajemnic, wyjawiania sekretów i pogłębiania więzi, która łączyła nas od lat, choć nie zawsze pamiętałyśmy, jak jest silna.

– Ja też muszę coś wam wyznać, ale obiecacie, że się ode mnie nie odwrócicie... – nieśmiało poprosiła Monia.

– Od razu mówię, że jeśli kogoś zabiłaś, to nie mów przy mnie, bo ja wyklepię – wtrąciła Zośka.

– Nie, nie zabiłam. Jeszcze. Ale jak będziesz mi przerywać, to możesz być moją pierwszą ofiarą. – Monika posłała Zosi piorunujące spojrzenie. – Jestem lesbijką i mam dziewczynę.

– O kurwa! Dawaj wino, Berka. – Tym razem to Marietta nie wytrzymała.

Podeszłam do ozdobnych papierowych toreb, które stały w skrzynce. Wyjęłam cztery wina i podałam kolejno Mari, Baśce, Joli i Moni. Spojrzałam pożądliwie na skrzynkę, lecz rozsądek i mała istota pod sercem wybrały stojący obok mountain dew.

– A ja? – dopominała się Zośka.

– Ty już masz bombę po jednym. – Pokazałam na pustą butelkę.

Zośka niechętnie podała korkociąg Marietcie, która puściła go w obieg, do pozostałych.

– Otworzę ci – powiedziała do mnie Monia, patrząc na trzymany przeze mnie napój. – Szkoda płamić sukienkę, jakby ci wybuchło...

– Dobra, łknijmy. No to zdrowie, ale nie pijmy do dna, bo coś czuję, że to jeszcze nie koniec – zarządziła Mari, a my przechyliłyśmy butelki.

Wino rozgrzało nasze ciała i poplątało myśli niczym labirynt Dedala zbudowany dla Minosa. Oni uwięzili Minotaura, my zamknęłyśmy niepokój, strach i złość.

– To jak z tą dziewczyną? – zapytała Baśka.

– Normalnie, jest i tyle – powiedziała cicho Monika.

– Jak „jest i tyle”?! – wzburzyła się Jolka. – No niech będzie, Monia, wygrałaś.

Monika uśmiechnęła się tajemniczo, a my zrozumiałyśmy, że od niej nic więcej się nie dowiemy.

– Od prawie dwóch lat jesteśmy z Monią razem – wyznała Jolka, a ja, Marietta i Baśka w milczeniu przechyliłyśmy butelki.

Stojąca z pustymi rękoma Zośka rzuciła się w kierunku skrzynki z winami i błagalnym spojrzeniem poprosiła o zgodę. Kiwnęłam głową, bo sama wiedziałam, że na trzeźwo trudno to wszystko przetrwać. Zośka znalazła carlo rossi i czym prędzej upiła kilka łyków.

– Ale jak to? – pierwsza odezwałam się tym razem ja.

Nie wierzyłam, że mogły to ukryć przed nami. Baśka dziecko to jeszcze rozumiałam, ale one jako para? Nigdy bym nie pomyślała. Wredna Jolka i ułożona Monika? To jak połączenie dzemu z szynką na kanapkach.

– Ja od liceum już wiedziałam, że wolę kobiety – tłumaczyła Monia, a Jola patrzyła na nią i słuchała uważnie, wiedząc, że ona też będzie musiała coś dopowiedzieć. – Miałam nawet kilka dziewczyn, ale to były przelotne znajomości.

– Po sylwestrze w dwa tysiące trzynastym odwiozłam Monię do domu. Pamiętacie, w jakim była wtedy stanie? – Zerknęła na nas, a my przypomniałyśmy sobie, jak Monia tańczyła nago na stole i zbierała od nas napiwki, próbując chować je za stanik, którego nie miała. – Zaprowadziłam ją do góry. Pomogłam

się rozebrać, a ona zaczęła mnie całować. Odwzajemniłam pocałunek, podobało mi się to. I wtedy się zaczęło. Przez jakiś czas nie odzywałyśmy się do siebie, ale pękłam i zapytałam Monię przez telefon, czy czuje to, co ja. – Jolka uśmiechnęła się słodko, już nie wydawała się wredna.

– Czy wy razem ten teges? – Zośka jak zawsze musiała zabłysnąć inteligentnym pytaniem.

– Tak, my razem ten teges. Gdyby ktoś nie rozumiał, to tłumaczę: tak, śpimy ze sobą, kochamy się, jak kto woli – wyznała zadowolona z siebie Jolka.

Monika podeszła do swojej dziewczyny i pocałowała ją czule w usta. Widziałyśmy to pierwszy raz, ale nie raziło nas, wydawało się naturalne. Nasze przyjaciółki się kochały, a my cieszyłyśmy się ich szczęściem.

– No, Berka, sądzę, że w postanowieniach dałyśmy radę, ale w kategorii Zaskoczenie Roku dałyśmy dupy – zaśmiała się Marietta.

– To może od przyszłego roku będziemy rozdawać nagrody? – zaproponowała wesoło Zośka.

– Jakie nagrody? – zapytała Baśka.

– Ustalimy w sylwestra kategorie przyznawanych nagród i za rok wyłonimy zwyciężczynię – tłumaczyła Zosia, a my słuchałyśmy jej z szeroko otwartymi oczami. – Na przykład zrobimy kategorie: Zaskoczenie Roku, Sukces Roku, Gwiazda Roku, Wtopa Roku i inne. Wiadomo, tytuł gwiazdy już możemy oddać mnie – dokończyła i przeczesła swoje kruczoczarne włosy, a my znów wybuchłyśmy śmiechem i przytuliłyśmy ją.

– Zośka, ty jak pijesz, to myślisz – skwitowała radośnie Jolka.

– To ja zaprojektuję nagrody. Może dyplomy albo... ja już wymyślę coś szałowego. – Mari prawie podskakiwała z radości.

– To co, schodzimy na dół i widzimy się za kilka dni na naszym ostatnim samotnym sylwestrze? – zapytałam.

– Zaraz, zaraz... Chwilka, chwilka... Ty przyjdiesz z Karolem, Bacha z moim ojcem, i z picia nici, Mari z nieżywym Teodorem, Monia z Jolką, a ja? Ja z kim? – Zośka zrobiła minę dziecka, któremu zabrano zabawkę.

– A ty... ty jesteś tak piękna, że zawsze sobie kogoś znajdziesz – rzuciła Jola, a nas zatkało.

– W sumie masz rację. – Zosię mile połechtaly te słowa, była wniebowzięta.

Dochodziła szósta. „Goście już pewnie poszli do domu” – pomyślałam i gestem wskazałam dziewczynom drogę do wyjścia. Spojrzałam jeszcze na skrzynkę z winami i zastanawiałam się, jak wytłumaczę te drobne braki Karolowi. „W kosmitów nie uwierzy, więc chyba będę musiała wyznać prawdę” – stwierdziłam. Schodziłyśmy po schodach powoli. Będąc w połowie drogi, usłyszałyśmy dźwięki muzyki. Weszłyśmy na salę i Karol wziął mikrofon od wujka Henia, który, ledwo trzymając się na nogach, śpiewał tylko sobie znaną pieśń.

– Moi drodzy goście, tak jak obiecałem, zeszy do nas nasze piękne dziewczyny, które u góry trenowały swoją wyjątkową piosenkę – mówił Karol, a przyjaciółki spojrzały na mnie z zapytaniem w oczach.

Wzruszyłam ramionami i czekałam na dalsze słowa mojego męża.

– Orkiestra stop. Teraz moja śliczna żona Bernadetta wraz ze swoimi przyjaciółkami: Moniką, Jolantą, Mariettą, Barbarą i Zofią zaśpiewa piosenkę, od której to wszystko się zaczęło. Dziewczyny, zapraszam do mnie po mikrofony, a was, goście, proszę o wysłuchanie najpiękniejszego wykonania piosenki *Krąg życia*, pochodzącej z filmu Disneya *Król Lew*.

Wzięłyśmy od Karola mikrofony i czekałyśmy na podkład muzyczny, który Karol przygotował w domu.

– Naprawdę? – szepnął wprost do mojego ucha.

Skinęłam radośnie głową, a on pogładził delikatnie mój brzuch.

– Jestem największym szczęściarzem na świecie – rzucił szybko, zanim zaczęłyśmy śpiewać.

Tekst znałyśmy na pamięć. Muzyka płynęła z głośników, a z naszych ust wydobywały się słowa dzieciństwa, miłości i przyjaźni:

*Odkąd los rzucił nas tu, na Ziemię,
ośniewa wzrok słoneczny blask.
Jest tu więcej dróg, niż ktoś przejść by je mógł,
więcej spraw, niż ogarnąć się da.
Istnienia sens, jak pojąć, gdy
wokół nas niezbadany lśni ląd.
Ale Słońca twarz hen, nieba lazur się pnie,*

*to lśniąc, to nie, nieskończony ciąg.
Wieczny Życia Krąg, co prowadzi nas
przez rozpaczy mrok, w nadziei blask.
Aby dojść do tych dróg, własnych i pisanych,
w ten wspaniały Wieczny Życia Krąg.*

*Wieczny Życia Krąg, co prowadzi nas
przez rozpaczy mrok, w nadziei blask.
Aby dojść do tych dróg, własnych i pisanych,
w ten wspaniały Wieczny Życia Krąg.*

Podziękowania

Zakończenie jest bez wątpienia najtrudniejszym czasem dla autora, który zdaje sobie sprawę, że należy pożegnać się z bohaterami, chociaż na jakiś czas. Należy powrócić do świata żywych, by móc na nowo zebrać materiały do dalszych poczynąń postaci. Bohaterowie tej książki przez czas jej pisania stali się dla mnie rodziną, o której myślałam non stop, nie mogąc spać niejednej nocy. I za te nieprzespane noce chcę im właśnie podziękować, mając nadzieję, że powrócą wkrótce, by móc na nowo towarzyszyć mi podczas spisania ich losów. Sześć przyjaciółek, które posiadają po trochu moich cech, stały się dla mnie odskocznią od dnia codziennego...

Podziękowania należą się mojemu mężowi, Wojtkowi, który ze śmiechem podchodził do moich „dziwnych” zapisków na kartkach kilku zeszytów, zastanawiając się, jak jeszcze się w tym wszystkim nie pogubiłam. To on pomagał mi znaleźć odpowiednie słowa, kiedy nie wiedziałam, jak coś nazwać, oraz odpowiadał na pytania z serii „głupie”, które znajdziecie na kartkach powieści. Przecież najlepsze scenariusze pisze nam życie i tak jest i w tym przypadku.

Dziękuję moim rodzicom, bo to oni pozwolili zakwitnąć mojej pasji do czytania i pisania. Pamiętam, jak wspólnie z tatą i bratem szłam, dumna, zapisać się do biblioteki, by móc wypożyczać, a potem czytać książki. Rodzice zapewne nie myśleli, że małe ziarenko stworzy kiedyś piękny kwiat mojej miłości do książek. Kocham Was, Mamo i Tato.

Podziękowania ślę także osobie, która może przeczyta kiedyś tę książkę, ale na pewno nie w najbliższych latach. Zuziaku, jesteś najcudowniejszym stworzeniem poniżej metra, jakie świat widzi każdego dnia. Darku i Agnieszko, Wam należą się podziękowania za Zuzię, ale także za nasze rodzinne spotkania w domu rodziców, które bez wątpienia są inspiracją w pisaniu komedii.

Dziękuję nastolatce, która pozwala mi wierzyć w to, że młodzież czyta książki i – co najważniejsze – rozumie je. Dominiko, jestem z Ciebie dumna i wierzę, że Twoja półka z książkami będzie kiedyś podobna do mojej. Kiedy byłaś mała, nie myślałam, że w przyszłości będziemy sobie siadać i rozmawiać o tym, co najpiękniejsze – o książkach.

Dziękuję reszcie wrocławskiej ekipy (Dorotka, Mariusz, babcia i dziadzia) za wsparcie w każdej sytuacji, w którym przekonałam się nie jeden raz. Cudownie jest móc powiedzieć, że z rodziną wychodzi się dobrze nie tylko na zdjęciu.

Dziękuję także: Alicji, Ani, Ani, Ewelinie, Sebastianowi i wszystkim, którzy pomagali mi przy

tworzeniu sytuacji. Mam nadzieję, że czytając tę książkę, znajdziecie w niej więcej historii, które odczytacie między wierszami.

Czym byłyby te podziękowania, gdybym nie wspomniała o moich fantastycznych Podopiecznych i ludziach, z którymi mam możliwość pracować w Fundacji im. Brata Alberta. Praca z Wami to sama przyjemność, do której podchodzę z uśmiechem na twarzy. Dziękuję za te prawie pięć lat i liczę na kolejne wspólne lata pracy.

Specjalne podziękowania ślę ku mojej grupie przyszłych terapeutów zajęciowych z SKK: Paulinie, Paulinie, Natalii, Annie, Ewie, Dorocie, Iwonie, Ilonie, Oli, Kasi, Michalinie, Julii oraz Kubie, za cotygodniową dawkę śmiechu, opowieści i zjawiskowe pomysły, które na pewno wykorzystam w następnej książce. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, że ja wszystko koduję w swojej głowie.

Pisząc podziękowania, nie mogę zapomnieć o najważniejszych osobach, o Czytelnikach, bez których nie byłoby książki. Bo co za radość stworzyć coś, czego nikt nie czyta? Ja tak nie chcę i dziękuję każdemu z osobna za poświęcenie mi i bohaterom swojego cennego czasu. Dzięki Wam człowiek chce pisać, bo wie, że ma dla kogo. Mam nadzieję, że losy bohaterów przypadną Wam do gustu i zechcecie zajrzeć do kolejnych części ich przygód, które zrodziły się w mojej głowie podczas pisania.

Dziękuję Wydawnictwom Videograf za zaufanie, jakim mnie obdarzyły, dając szansę debiutantowi. Cudownie jest być z Wami i móc spełniać marzenia. Dziękuję.

Nie mogę nie podziękować moim wspomniałym patronom medialnym. Co ciekawe, z częścią z nich połączyła mnie książka i to nie ta moja, ale wiele wcześniejszych w klubie czytelniczym.

I Ewa... pozostała mi ona. Znana przez wielu, motywująca do ćwiczeń Ewa Chodakowska. Mnie zmotywowała, by dążyć do spełniania marzeń. Kiedy czytałam, że mogę osiągnąć wszystko, to pewnego dnia uwierzyłam i wciąż będę wierzyć. Ewo, dziękuję Ci.

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Prześwietlenie](#)

[Sylwester 2014](#)

[1 stycznia 2015 roku](#)

[2 stycznia 2015 roku](#)

[Sposób 1. Siłownia](#)

[25 stycznia 2015 roku](#)

[Sposób 2. Złoty kibic](#)

[25 lutego 2015 roku](#)

[Sposób 3. Dance with my husband](#)

[5 marca 2015 roku](#)

[Sposób 4. Elektroniczny zawrót głowy](#)

[3/4 kwietnia 2015 roku](#)

[5 kwietnia 2015 roku](#)

[14 kwietnia 2015 roku](#)

[Sposób 5. Do zaczytania jeden krok](#)

[20 kwietnia 2015 roku](#)

[Sposób 6. Internet jednak gryzie](#)

[1 maja 2015 roku](#)

[2 maja 2015 roku](#)

[15 maja 2015 roku](#)

[Sposób 7. Date of date](#)

[23 maja 2015 roku](#)

[29 maja 2015 roku](#)

[Sposób 8. Stodoła](#)

[1 czerwca 2015 roku](#)

[3 czerwca 2015 roku](#)

[Sposób 9. Swatki](#)

[20 czerwca 2015 roku](#)

[Randka 1. Trafieni maskotką](#)

[Randka 2. Na jeziorze wielka burza...](#)

[Randka 3. Do trzech razy...?](#)

[30 czerwca 2015 roku](#)

[1 lipca 2015 roku](#)

[9 lipca 2015 roku](#)

[22 lipca 2015 roku](#)

[25 lipca 2015 roku](#)

[13 sierpnia 2015 roku](#)

[21 sierpnia 2015 roku](#)

[7 września 2015 roku](#)

[8 września 2015 roku](#)

[11 września 2015 roku](#)

[21 września 2015 roku](#)

[29 września 2015 roku](#)

[15 października 2015 roku](#)

[7 listopada 2015 roku](#)

[13 listopada 2015 roku](#)

[3 grudnia 2015 roku](#)

[25 grudnia 2015 roku](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)